

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM X.

ROK III.

TOM II.—ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1878.

SPIS RZECZY.

DWIE ELEKCYE.

> Azaż to nie piękniejsza bywa krotochwila,
> Sieść sobie z kilkiem osób, kiedy wolna chwila,....
> Albo przejrzeć kilka kart onych dziejów dawnych,
> Nasłuchać się zwyczajów zacnych ludzi sławnych.
>
> *Rej*, w „Wizerunku."

Od bitwy pod Zawichostem (1205 r.), która zakończyła się klęską i zgonem Romana księcia halickiego, ziemie krakowska i sandomierska używały przez lat kilka pokoju, a młodziuchny zwycięzca, Leszek Biały, umacniał tymczasem swą władzę w Krakowie. Orężem zabezpieczył się od napaści zewnętrznéj, ale cóż mogło uchronić go od zaburzeń domowych, przed któremi niejednokrotnie już ustępować musiał wraz z matką do Sandomierza? Teraz i matki mu nie stało. Szczęściem dla siebie, Leszek poszedł śladem ojca, Kazimierza Sprawiedliwego: w obec chwiejnych umysłów panów krakowskich, szukał i znalazł poparcie w ścisłym sojuszu z duchowieństwem. Naczelnym tu zwierzchnikiem kleru był Pełka biskup krakowski, dawny i wypróbowany stronnik Kazimierza, wierny téż przyjaciel i opiekun jego dzieci. On to na radzie starszyzny, zebranéj po zgonie księcia Sprawiedliwego, nie wahał się wynieść wyraźnie zasady dziedziczności tronu po nad prawo elekcyi, co dziwnie w uszach zgromadzenia wyborczego brzmieć musiało; on téż po bitwie mozgawskiéj utrzymał Kazimierzowiców na Wawelu; wreszcie, staraniom Pełki zawdzięczał Leszek swoje ostateczne powołanie na tron krakowski. I tradycya przeto domowa i interes obecny popychały Leszka w przyjazne objęcia biskupa, nakazywały mu koniecznie oprzéć swą politykę na związku z kościołem, zwłaszcza téż w czasie, gdy

usunięty niedawno z Krakowa, spółzawodnik Leszka, Władysław Laskonogi, toczył zażartą walkę z duchowieństwem. Widzimy tedy Leszka na zjeździe z głównym wrogiem Laskonogiego, arcybiskupem gnieźnieńskim, oraz z innemi biskupami i opatami; widzimy, że czyni nadania klasztorom, że nakoniec stara się o poparcie w Rzymie, gdzie papież, „biorąc na uwagę szczerą pobożność i wiarę, którą ku niemu i kościołowi rzymskiemu książę żywi, przyjmuje jego osobę, księstwo i wszelkie posiadłości pod opiekę św. Piotra.“

Opieka papieska była potężną rękojmią bezpieczeństwa w te czasy, kiedy Rzym jednym dawał korony, a drugim je odbiérał, kiedy, śród zaburzającego społeczeństwo świeckie nierządu, stolica apostolska była rzeczywistą stolicą świata i sprawami jego kierowała. Jeśli Kazimierz, dla umocnienia się w Krakowie, wyjednywał sobie potwierdzenie od Aleksandra III papieża, o ileż pożądańszą dla jego syna musiała być protekcya tak potężnego władcy, jak Innocenty III? Mógł więc Leszek cieszyć się owocami dotychczasowéj polityki, mógł spokojniéj spoglądać w przyszłość; gdy w tém zaszedł wypadek, który spokojność tę mógł naruszyć.

W ośm miesięcy po wydaniu protekcyjnego listu przez papieża, stary Pełka dnia 11 Września 1207 roku zakończył życie, po 22 letnich rządach na biskupstwie. Książę tracił w nim nietylko przyjaciela i doradcę, ale zarazem główną podporę swéj władzy w Krakowskiém; gdyż Pełka „był onych czasów tak możnym biskupem, że co jedno chciał, podług myśli jego wszystko rycerstwo ziemie krakowskiéj na wszystko zezwalało.“ W istocie, zmarły biskup był członkiem możnego rodu, przyjaźń więc Pełki zapewniała księciu pomoc wszystkich jego krewniaków; bo, jak powiada głęboki znawca przeszłości, „cały ród, cała parentela potężnych możnowładców w jednę rzucała się sprawę. Boć téż związek rodowy był wtedy jeszcze tak z całą siłą doznawany w uczuciach, jak był wyrażany w prawach rodzinno-majątkowych: bo wtedy w rodzinie jeden za wszystkich, wszyscy za jednego stawali; jednego krzywdę wszyscy z prawa krwawo mścili; a wyraz *krewny* nie był, jak dziś, niemal teoryjném tylko pojęciem, lecz na to słowo wówczas stała krew na myśli i wrzała w żyłach rodziny całéj.“ Jako pasterz ogromnéj dyecezyi, Pełka nietylko osłaniał księcia powagą wysokiéj dostojności kościelnéj i stan duchowny po stronie Leszka zatrzymywał, ale mógł nadto w razie potrzeby wesprzéć go środkami materyalnemi, których dostarczały liczne posiadłości biskupstwa. Biskupie klucze iłżecki, tarszecki, państwo sławkowskie, państwo muszyńskie, że pominiemy kapitulną kasztelanią Chropy, były to dobra, obszarem przewyższające nie jedno hrabstwo niemieckie. Ubogi władyka, zosta-

jąc biskupem krakowskim, od razu i sam się stawał magnatem, nieustępującym bogactwy najznamienitszym panom, i krewniaków swych wzbogacał.

Mając takie dostatki, biskup krakowski, miał wtedy i siłę zbrojną, a jego rycerski orszak, jeśli nie dorównywał drużynie książęcéj, to niewiele mu do tego brakowało, a w każdym razie, liczniejszym był bez porównania, aniżeli dworskie poczty najpotężniejszych magnatów, nie wyłączając nawet wojewody krakowskiego. A poczty to były nie błahe; bo już wtedy istnieje kwitnący do ostatnich lat w rzeczypospolitéj szlacheckiéj zwyczaj czepiania się klamki dworskiéj. Kto tylko nie kierował się na teologa lub prawnika, a więc przeważająca część młodzieży, wstępował do praktycznéj szkoły życia na dworze wielkiego pana, duchownego lub świeckiego. Owszem i klerycy, czyli, jak dawniéj mówiono, „żacy,“ przechodzili częstokroć ten dworski nowicyat. Godyk Dnieprowic z pod Pełczysk został kapelanem u biskupa, zaś Jan Dnieprowic, zapewne brat tamtego, jest rycerzem wojewody. Niech sobie Sulisław Gęba będzie łowczym u kasztelana; biskup ma nietylko łowczego, ale i podłowczego Marcina, a w gronie swoich rycerzy liczy dwóch innych Marcinów: Pierścionka i brata Zbiwojowego. Stary Jędrzej był koniuszym zmarłego biskupa Pełki; syn jego, także Jędrzéj, woli wysługiwać się bogaczowi świeckiemu, jakim był Pakosław Lasocic. Jeśli śladem tego, stroniącego od kleryków, Jędrzejewica pójdą Bogusław z Brzeźna, Iwan Nosaty, Racibór Tłusty i trzynastu innych rycerzy, to dwór biskupi dwakroć liczniejszą pociągnie ku sobie gromadę ochotników. I nic w tém dziwnego; bo tu się uśmiecha niepłonna nadzieja osiągnięcia jakiego urzędu, bo mnóstwo tu komorników i stolników, koniuszych i podczaszych, łowczych podkoniuszych, podstolich, i trzebaby prawdziwego nieszczęścia, żeby się żadnego z tych urzędów z czasem nie dosłużyć. A nuż się uda zostać „włódarzem,“ z łacińska „prokuratorem,“ to jest rządcą jakiego klucza w dobrach stołowych! Wtedy droga do majątku otwarta już i pewna, a mniejsza, że dla sumienia śliska. Bo gdy, naprzykład, „włódarz“ Zegram kupi wieś sobie za pieniądze biskupa i zemrze, nie oczyściwszy sumienia; toć troskliwi o jego zbawienie synowie, mistrz Goćwin i ksiądz Jan, bacząc, „że kto cudzą rzecz przywłaszczy, a nie odda zasłuży na otchłań piekielną,“ staną przed księciem i dobrowolnie oddadzą biskupowi wioskę „na wieczność;“ a tak i „kondycyą duszy ojca swego w rajskich siedliskach polepszą,“ i „niebezpieczeństwu swoich dusz zaradzą,“ i zjednają sobie nazwę „mężów wiary i czci godnych,“ i nawet nie utracą wioski, którą im biskup zostawi na dożywocie, pragnąc przez to „innych podobnych do takiéj“ rze-

telności zachęcić. Co większa, przy téj sposobności, ogólny nastrój pobożny udzieli się samemu książęciu, który „dla dobra duszy swéj i swych następców“ nada prawo zbudowania w téj wiosce karczmy i różne inne przywileje. Tyle korzyści, płynących z jednego źródła, które nieboszczyk Zegram, mimo chcąc otworzył, w nikim zapewne nie ostudziły żądzy awansowania na włódarza. Wreszcie, jeśli nie każdemu zostać prokuratorem lub komornikiem, to i niższe obowiązki podkomorzego, wojskiego, w ostateczności—giermka, nie są także do pogardzenia. Wprawdzie to urzędy nie książęce, nie ziemskie; aleć dla młodzieży, na początek, dobra jest służba i u biskupa. Więc kto się tu dostał, i sam służbę ceni, i dla krewniaków stara się o miejsce. Mirosław jest z początku giermkiem biskupim; w dziesięć lat potém ujrzymy Mira z Sędziszowa rycerzem. Wawrzyniec pełni w tych czasach urząd podkomorzego; Ptaszek Wawrzyńcewic, choć nie ma urzędu, będzie towarzyszyć biskupowi na wieca. Szczęśliwszy od Wawrzyńca, inny podkomorzy, Chwał cieszy się, że brat jego młodszy Jan znalazł miejsce w szeregu rycerzy biskupich. Jeżeli „miles“ Gaweł z Koniuszy służy dziś po rycersku jednemu biskupowi, to u jego następcy będzie milesem Bogusław z Koniuszy. Na dwór pasterza tłoczy się młodzież zewsząd: między krakowiakami znajdzie się i sieradzanin i węgrzyn; tłoczą się „wielcy“ i „mali.“ Obok dwóch braci, Benka i Mileja, synów Pawła z Tarska, zapewne oficyalisty z téj wsi biskupiéj, nie sromają się pożywać dworskiego chleba dzieci dostojniejszego rodu, jak Trojan Trojanowic, pono syn kanonika, z którym się daléj spotkamy; jak syn możnego domu Gryfów, Janek Klimencic, któremu to dworszczyzna nie przeszkodzi późniéj zostać kasztelanem. W pół wieku potém, ziemianin z pod Wieliczki Chwalibóg, nie posiadając sam żadnego urzędu, z pewną chlubą wspominać będzie, że ojciec jego Dobrosław był niegdyś koniuszym biskupa.

Łatwo zrozumiéć, że pan duchowny, który mógł rozkazywać tak licznéj drużynie zbrojnéj, był istotną potęgą w społeczeństwie wielce ruchliwém, zmienném w polityce, a zawsze pochopném do korda. Jeśli, jak głosiło stare przysłowie, pożądaném było „miéć księdza w rodzie,“ o ileż goręcéj każdy ród pragnął ujrzéć swego krewniaka na biskupstwie. I dla książęcia wreszcie nie było obojętném, kto obejmie rządy dyecezyi, wierny przyjaciel, czy zmiennik wątpliwy. Śmierć bowiem biskupa krakowskiego sprowadzała bezpośrednio zmianę w ustosunkowaniu sił różnych stronnictw, których nigdy nie brakowało, a które rzadko kiedy cicho siedziały. Zaszły obecnie zgon Pełki o tyle był jeszcze ważniejszym wypadkiem, że

w starym porządku obsadzania katedr biskupich, stolica apostolska przeprowadzała teraz zmianę zasadniczą.

Sto lat zaledwie upłynęło od czasu, kiedy papież Paschalis II uskarżał się, że monarcha polski osadza biskupów na katedrach samowolnie, bez zezwolenia stolicy apostolskiéj. Wtedy, stawione przez Rzym arcybiskupowi gnieźnieńskiemu żądanie, aby przed przyjęciem paliusza, złożył obowiązkową przysięgę, wprawiło pobożnego „króla“ i starszyznę krajową w zadziwienie. Bolesław Krzywousty i „magnaci“ uznali wtedy, że arcybiskup nie potrzebuje przysięgać. W pół wieku późniéj, episkopat polski uznał klątwę rzuconą przez legata papieskiego za nieważną; czém oburzony Eugeniusz III, posyłając biskupom surowe upomnienie, po zwykłém na początku listu pozdrowieniu apostolskiém, dodaje, że jeśli z błogosławieństwem zwraca się do nich, to nie dlatego, iżby na takowe zasłużyli, ale jedynie z łaskawości stolicy apostolskiéj. Czas wszelako płynął i przynosił zmiany; ośmiu legatów przyjeżdżało z kolei, zaprowadzając stopniowo reformy gregoryańskie w urządzeniach kościelnych; opór się zmniejszał, nowe zasady zyskiwały, zwolna wprawdzie, coraz nowych stronników. Duchowieństwo poczęło zbiérać się na synody i z pod przewagi władzy świeckiéj usuwać. Biskupi kujawski, wrocławski, krakowski i płocki wyjednywali sobie u papieża bulle, stwierdzając ich posiadłości i przywileje. Nawet władza książęca uznała za korzystne szukać sobie sankcyi w stolicy Piotrowéj i stwierdzać uchwały krajowe powagą papieża. Mianowicie w Krakowskiém wyraźnym był zwrot umysłów w tym kierunku. Nie wszystko jednak było już dokonaném, a wyznawcy starego porządku dość byli jeszcze liczni. Mianowanie biskupów jeszcze zależało od woli książąt.

Ale skoro w Niemczech już od lat wielu, bo od sejmu w Wormacyi 1122 r., kapitułom przyznane zostało prawo wyboru biskupów i opatów, to i dla Polski zbliżała się pora przeprowadzenia zmiany w tymże duchu. Pora ta istotnie nadeszła teraz, gdy na stolicy papieskiéj zasiadł Innocenty III, mąż wielkiego umysłu, co kierował sprawami całéj Europy z energią i zręcznością, budzącą podziw nawet w tych, którzy poglądów jego nie podzielają. Wszystkie zresztą okoliczności sprzyjające złożyły się po temu, bo papież do przeprowadzenia reformy w hierarchii kościelnéj, do wyzwolenia kleryków z pod władzy laików, znalazł w Polsce dzielnego pomocnika w Henryku arcybiskupie gnieźnieńskim; bo panujący książę Leszek, zawdzięczając wiele kościołowi, widział potrzebę ustąpienia żądaniom Rzymu; bo nakoniec, katedra biskupia zawakowała w Krakowie, gdzie ludzie, przywykli wybiérać sobie książąt, łatwiéj z ideą

wyborów kościelnych oswoić się mogli. Następca Pełki miał być pierwszym, wybranym przez kapitułę biskupem. Pytanie, kto nim będzie, nie traciło przez to na wadze dla żadnego stronnictwa.

Kapituła składała się z sześciu prałatów, inaczéj „personami“ zwanych, oraz dwudziestu czterech kanoników. Mieli w niéj stalle opat tyniecki i archidyakonowie sandomierski, zawichojski i lubelski; dwóm ostatnim, w późniejszych czasach, nie służyło prawo głosu.

Jakże ciekawém byłoby bliższe zapoznanie się z działającemi na wyborach osobami. Na nieszczęście, skréślić możemy tylko ich sylwetki, i to sylwetki o niezbyt wyraźnych rysach, gdyż skutkiem burz w czasach dawnych i lekceważenia pamiątek przeszłości przez następne pokolenia, szczupła tylko liczba pomników piśmiennych doszła rąk naszych.

Zaczniemy od dziekanii, która w katedrze krakowskiéj „wbrew naturze i porządkowi innych kościołów“ była najwyższą i po biskupiéj pierwszą godnością.

Zajmuje ją w tym czasie polak Wyszesław, przez skrócenie zwany Wisławem. Pochodził on ze wsi Kościelca, pod Proszowicami, a miał należéć do rodu zwanego Zabawą. Radzibyśmy ród jego uważać za spokrewniony z Odrowążami i kujawskimi Ogończykami, śród których imię Wisław bywało pospolitém. Domysł ten tém więcéj nabywa prawdopodobieństwa, że i Ogończykowie posiadali dwa Kościelce: jeden na Kujawach, a drugi na Pomorzu, ród zaś dziekana Wisława miał właśnie przybyć z Pomorza. Wreszcie, jeśli wspomnimy znane zatargi Odrowążów z Gryfitami, nie będzie bez znaczenia ta okoliczność, że gdy po wielu latach przyszło do wyboru Wisława na biskupią stolicę, głównym jego przeciwnikiem okazał się mistrz Jędrzéj z domu Gryfów. Wisław jest teraz jeszcze człowiekiem młodym, skoro po ćwierciowiekowém sprawowaniu dekanatu, będzie potém jedenaście lat jeszcze rządził biskupstwem. Jednakże, lubo młody, powoduje się więcéj rozwagą aniżeli uczuciem. Cecha to zresztą rodowa. O członkach domu Zabawa mówiono, że bywali „sensaci;“ w Wisławie téż poznajemy sensata, a przynajmniéj człowieka wielce oględnego. Jak później, w czasie walki Konrada mazowieckiego z Henrykiem Brodatym, potrafi on uniknąć starcia z jedną lub z drugą stroną, owszem, będzie wiecował spokojnie naprzemian to z Henrykiem, to z Konradem i Grzymisławą; tak i obecnie, gdy duchowieństwo rozpadło się na dwa stronnictwa reformatorskie i zachowawcze, Wisław, którego usposobienie wrodzone winno było zbliżać do obozu tych ostatnich, nie sprzeciwia się jednak reformie. Zwykle siedzi w Krakowie, gdzie pilnie spełnia

swe obowiązki, prezyduje w nieobecności biskupa na posiedzeniach kapituły, tytułuje się wtedy „dziekanem z Bożéj łaski“ (1), i do sporządzonych tam aktów przywiesza starą pieczęć kapitulną, wyobrażającą kościół o dwóch wieżycach. Ale gdy się okaże potrzeba, uczęszcza na zjazdy duchowieństwa i synody. Był już z arcybiskupem na zjeździe 1206 r., będzie znowu wkrótce na synodzie w Borzykowy i znowu na zjeździe sieradzkim 1213 roku. Umysł zda się realny raczéj, aniżeli do kontemplacyi skłonny, przeważnie zajęty sprawami praktycznego znaczenia, a lubo pobożny, nie znajdzie czasu dla aspiracyi idealnych. Zarzucano mu, że zaniedbywał starań o kanonizacyą św. Stanisława; przyznawano za to, iż położył zasługi przez urządzenie i pomnożenie dochodów biskupstwa. Jeśli w ojczystym Kościelcu zmurował świątynią, to i o kościele katedralnym nie zapominał. Gdy przy pokrywaniu wieży, z zapisu biskupa Iwona, wszczął się pożar i sprawił wielkie zniszczenie, Wisław trzy wieże odbudował i ołowiem pokrył. Rygoryści ganili go, że niezamożnym braciom swym pozwolił założyć dwie wsie w lasach biskupich Radłowa; my powiemy, że Wisław nie był pod tym względem wyjątkiem i dodamy, że kapitule krakowskiéj sumę znaczną, bo sto grzywien odkazał, a nowym klasztorom w Ludzimierzu, w Staniątkach nadawał dziesięciny. Człowiek prawy i spokojny, gotów był wiele ustąpić dla uniknięcia procesu, jeżeli tylko na ustępstwo sumienie mu pozwalało. Tak spór o wieś Bukowno, toczący się od lat kilkudziesiąt, zagodził, zapłaciwszy stronie przeciwnéj 60 grzywien z dodatkiem sześciu wołów i jednego konia. Ale gdy obowiązek nie dozwalał ugody i nakazywał bronić praw swoich, Wisław nie cofał się przed procesem, jak to było w sporze ze Strygońskim proboszczem św. Marcina o granice dyecezyi i dziesięciny. Współcześni oddawali hołd jego prawości, wzywając go do sądów polubownych. Tak w długoletnim i bez końca wznawianym sporze między benedyktynami a premonstrantami o bogate opactwo św. Wincentego w Wrocławiu, gdy sprawę papież oddał już pod wyrok trzech sędziów przez siebie delegowanych, obie strony wolały poddać się są-

---

(1) W nadaniu Ziemięty, które u Nabielskiego (Miechovia, 131) nosi mylną datę 1214 r. Ze względu na wymienionego tam Radulfa kantora, akt musiał być wydanym po r. 1222 kiedy kantorem jest jeszcze Wawrzyniec, a przed Czerwcem 1230, bo wtedy dziekanem już Salomon. Kanonicy Mikołaj Łysy, Strachota i Fryderyk, oraz trzéj wikaryusze zbliżają datę bardzo do r. 1230. Formula „z bożéj łaski“ nasuwa przypuszczenie, że akt wydany został jeśli nie zaraz po śmierci Iwona, to przynajmniéj po wyjeździe jego do Włoch, gdyż w akcie 1227 (kodeks Mogils. 6) w nieobecności Iwona spisanym, Wisław występuje tylko jako świadek. Wszystko to wskazuje na rok 1229.

dowi polubownemu i na arbitra powołały, między innemi, naszego dziekana. W następnych latach, osiągnąwszy godność pasterską, nieraz godził rozmaite zatargi i otrzymywał od stolicy apostolskiéj zlecenia w wielu drażliwych sprawach, nad któremi zbytecznóm byłoby tu rozszerzać się. Wolimy natomiast zwrócić uwagę na pewien dosyć charakterystyczny szczegół. Wisław miał drugie imię Piotr; było to imię kościelne, które lubo kazał wyryć na pieczęci, zwykle używał w aktach imienia pierwszego, że tak powiemy, świeckiego. Wbrew temu zwyczajowi, trzy razy nazwał się urzędownie Piotrem, a wszystkie te trzy razy przypadły wtedy, gdy dziekan zjechał się z arcybiskupem Henrykiem (1). Czyżby to znaczyło, że w obec głównego promotora reform ultramontańskich, popisywał się imieniem kościelném, aby cudzoziemskiego ucha arcybiskupa nie razić imieniem polskiem, i tém łatwiéj uchodzić za stronnika reformy? Stanowczo tego twierdzić nie śmiemy; mniemamy jednak, iż byłoby to dość zgodne z charakterem ostrożnego „sensata.“ Chybione to wszelako wybiegi; bo kiedy starcie sprzecznych żywiołów dochodzi swego zenitu (a właśnie taka to była chwila), los przechyla się na stronę tych, co z całą namiętnością rzucili się do walki. Umiarkowani sensaci mogą doznać powodzenia dopiéro wtedy, kiedy walczący wzajemnie się osłabią, a starcie na łagodniejsze wchodzi tory. Trudno więc dziekanowi wróżyć, aby pierwsza elekcya czoło jego uwieńczyła infułą biskupią.

Drugim z porządku prałatem był Boguchwał proboszcz katedralny, niewiadomego nam rodu, wszelako krajowiec. Z usposobień wydaje się nam podobnym do Wisława. Zabieglejszy, czy niecierpliwszy od tamtego, mniéj za to okazuje zręczności. Bywa na zebraniach kapituły, uczestniczy w zjazdach z arcybiskupem Henrykiem, asystuje mu przy konsekracyi klasztoru ołobockiego. W Gnieźnie takie sobie zjednał stosunki, że gdy Henryk życie zakończył, on omal że nie został jego następcą, gdyż jedna połowa kapituły swoje dała mu głosy. Nie umie jednak utrzymać zgody z „kolegami“ w kapitule krakowskiéj, która zaniesie nań skargę do Rzymu. Rzecz chodziła o dobra obszerne w Szadkowskiém, zwane „kasztelanią chłopską,“ z któréj dochody winny były iść na podział między proboszcza i kanoników. Wedle osnowy skargi, Boguchwał obrócił dobra na swój użytek, na téj zasadzie, że się o to jakoby umówił z kanonikami za pewną stałą ilość pieniędzy, która to umowa krzy-

(1) Wyjątkowe użycie imienia *Piotr* już po śmierci arcybiskupa (Rzyszcz. I, 22) nie obala powyższego spostrzeżenia, skoro w 23 aktach imię *Wisław* stale się powtarza.

wdzić ich miała więcéj niźli o połowę sprawiedliwéj ceny. Nie bardzo jednak skłonni jesteśmy uwierzyć w zasadność skargi. Rozumiemy, że umówiono się o dzierżawę na zwykłych wtedy warunkach, a zarzut mniemanéj krzywdy wymyślony został przez którego z jurystów kapitulnych, tak płodnych wtedy w prawne przebiegi, i z tego chyba urósł, że dobra chropskie, przy umiejętném gospodarstwie proboszcza (może przez karczowanie i zakładanie nowych osad) lepsze zaczęły przynosić dochody. Łatwo zrozumiéć, że powiększone zyski proboszcza mogły obudzić zawiść i wydawać się kanonikom krzywdą; nie będziemy jednak winić Boguchwała, wiedząc, że kapituła i dawniéj, przed trzydziestu laty, nie umiała sama rządzić Chropami i oddała te dobra w zarząd melioracyjny ojcu teraźniejszego księcia Leszka. Nie mniéj przeto zarzucamy proboszczowi niezręczność. Ubieganie się o korzyści materyalnę, byleby przy pomocy środków godziwych, nie jest zapewne naganném; wszelako, nie jednego już w naszym kraju pozbawiło zasłużonéj zkąd inąd popularności: nie rokujemy téż gospodarnemu Boguchwałowi powodzenia przy mającéj się odbyć elekcyi.

Trzecią „personą" w kapitule był Jędrzéj archidyakon katedralny. Urząd to wielkiego znaczenia, archidyakon bowiem wizytował kościoły parafialne i wglądał w postępowanie proboszczów; dlatego wymagano późniéj, a może już i teraz, aby archidyakon posiadał stopień naukowy z teologii lub kanonów (1). Nie wiemy, czy Jędrzéj go posiadał. Nie zdaje się, aby był zbyt gorliwym w pełnieniu obowiązku, bo zwykle siedzi w Krakowie, i tylko jeden raz widzimy go w drodze, w Wiślicy; pobytu w Sieradzu nie możemy tu brać na uwagę, gród ten bowiem leżał po za obrębem dyecezyi krakowskiéj. Zresztą Jędrzéj, dopiéro przed rokiem objąwszy archidyakonat po Januszu, zbyt mało miał czasu zasłużyć się, aby go za kandydata na biskupstwo uważano.

Po archidyakonie szedł z kolei scholastyk Benedykt. Był to zwierzchnik szkoły katedralnéj, tytułowany w tych czasach pospoliciéj „mistrzem, magistrem," zkąd wieś, na któréj miał uposażenie, zwała się Mistrzowice. Czasem przybiérał miano „najwyższego mistrza," dla odróżnienia od podwładnych mu submagistra i „mistrza chłopców." Scholastyk z konieczności musiał być uczonym, znać teologią i kanony, boć to z pod jego ręki wychodzili przyszli kapłani.

(1) W pierwszéj połowie XIII wieku, spotykamy w dyecezyi krakowskiéj na urzędzie archidyakona kilku magistrów: 1220 Idziego, 1223 Zdzisława, 1227 Jana, 1238 Salomona, 1241 Piotra, 1244 Salomona, 1248 Gerarda.

Benedykt odpowiadał zapewne tym warunkom, jak wnosić wolno z tego, że z całéj kapituły jego jednego wziął z sobą na miecholińskie wieca mąż niezaprzeczenie uczony, jakim był mistrz Wincenty, autor znanéj kroniki; Benedykta spotykamy prócz tego parę razy w towarzystwie Wincentego, a do rozsądzenia wzmiankowanéj już sprawy o klasztór w Wrocławiu był nasz scholastyk wezwany na arbitra. Kapitule darował jednę wieś z młynem. Więcéj powiedziéć o nim nie umiemy.

Kantor w szeregu prałatów zajmuje piąte miejsce. Jest to niby mistrz obrzędów i ceremonij kościelnych, a że mu nie dodano jeszcze pomocnika, wicekantora, sam przeto musi pełnić te obowiązki. W dni uroczyste przewodniczy chórowi przy śpiewaniu „godzin nocnych i dziennych,“ a na procesyach intonuje pieśni. Kantor téż winien czuwać, aby wszyscy proboszcze kościołów w Krakowie i na przedmieściach odbywali procesye w dni oznaczone, a opieszałych stósownie karać. Obowiązki kantora pełni obecnie Wawrzyniec, przed rokiem dopiéro posunięty na ten urząd z kustodyi. Co zacz był, jakiego trzymał się stronnictwa — pomniki nie wskazują, a że w ciągu lat 19 świadczył przy siedmiu aktach, sporządzonych w Krakowie, nie dostarcza to wątku do kreślenia jego charakterystyki.

Ostatnim prałatem jest Henryk Kustosz. Pilnuje on porządku w kościele, jest strażnikiem skarbca katedralnego. Wyznaczano na ten urząd osobę „wierną, dojrzałą i czynną“, takiéj bowiem tylko godziło się powierzyć nadzór nad bogactwami, które skarbiec zawierał. A zaprawdę, było czego pilnować. Ze spisu w roku 1110 ułożonego dowiadujemy się, że oprócz szat kapłańskich, jak kapy, dalmatyki, ornaty, opony, w liczbie sztuk 170 z górą, między któremi były i złotą frędzlą obszyte, znajdowało się 6 kielichów, jedna korona, jedna tablica, 3 krzyże—wszystko ze złota; przedmiotów zaś srebrnych znacznie więcéj, bo 12 kielichów, 10 kandelabrów, 5 trybularzy, 3 nalewki, 2 korony wiszące, 2 tablice, 4 skrzyneczki do relikwij, 7 krzyżów i dwie do nich „nogi,“ jedno naczynie do wina, oraz puszka do komunikantów. Pomijamy rzeczy z tańszego materyału, ale wspomnimy taką osobliwość, jak dwa jaja strusie, 3 rogi z pokrywkami srebrnemi, chorągiew złotem zdobioną, 7 dywanów, 2 plenaria oprawne w złoto a 3 w srebro (1). Przy każdéj zmianie biskupa, dla wszelkiego bezpieczeństwa, czyli, jak się w owych nieokrzesanych czasach po prostacku wyrażano, „aby żaden kleryk lub kustosz nie mógł czego usunąć,“ spisywano inwentarz wszystkich ko-

---

(1) *Plenaria* znaczyło księgi, obejmujące ewangelie i listy apostolskie całe.

sztowności. Jednakże w czterdzieści lat po opowiadanych tu wypadkach, skarbiec znacznie zubożał: liczba kielichów zmalała więcéj niż o połowę, został bowiem jeden tylko złoty, a sześć srebrnych. Wojny o Kraków, pożar kościoła i straszny najazd Tatarów mogły te straty sprowadzić. Wtedy, zapewne przez ostrożność, spóźnioną wprawdzie, jeden wyłącznie kielich przeznaczono do codziennego nabożeństwa, resztę pod kluczem trzymając. Ale wróćmy do naszego kustosza. Miał on pomocnika, zwanego podkustoszym, Henryk przed rokiem właśnie te pomocnicze pełnił czynności (1). Obowiązany był sypiać w zakrystyi i miał pod swą władzą świątników, to jest ludzi z kilku wsi poblizkich, którzy, zwolnieni będąc od wszelkich danin, opłat i robót, a nawet od składania dziesięciny, odbywali dniem i nocą posługi w kościele. Miała swoich świątników kolegiata sandomierska i Tum łęczycki. Dla „tumu“ płockiego takiemi świątnikami byli Radziwiacy, mieszkańcy wsi, leżącéj po drugiéj stronie Wisły; inne katedry i niektóre klasztory miały także służebników tego rodzaju. Świątnicy podlegali karności podkustoszego, który za przewinienia i niedbalstwo „bił ich rózgami,“ a w razie ważniejszych występków zawiadamiał kapitułę. Ale, jakoby na poparcie twierdzenia, że jest sprawiedliwość dziejowa, groza ze strony podkustosza stokrotnie się opłaciła świątnikom: z najniższéj klasy służebnéj, rzecby można—niewolniczéj, wyrośli zczasem na wcale wolnych kmieci, zajmując stanowisko, będące dla nich źródłem dostatku i arystokratycznéj niby pychy, a w innych klasach wieśniaczych budzące zazdrość. Świątnicy sandomierscy stworzyli sobie nawet całkiem niehistoryczną legendę o królowéj, któréj niby łasce uprzywilejowa-

---

(1) Dr. Piekosiński (Kod. Małopol. 9—11), ustanawiając trafnie datę nadania sulejowskiego na r. 1206, mówi, że Henryk ustępując kantoryi Wawrzyńcowi przesiadł się na kustodyę. Nie podzielamy tego zdania: raz że byłaby to degradacya, powtóre że Henryk kantor inną był osobą od Henryka kustosza. Kalendarz krakows. śmierć pierwszego zapisuje 17 Kwietnia, zgon drugiego 16 stycznia. Ten ostatni był jeszcze podkustoszym, kiedy pierwszy już nie żył. Akt bowiem wznowiony 1210 r. przy konsekracyi klasztoru Jędrzejowskiego wydanym być musiał pierwotnie w r. 1206, lub na początku 1207, i duchowni świadkowie do pierwotnego nadania należą; nazwanie Wincentego biskupem jest wstrętem, zaszłym przy renowacyi. Objaśni to widoczniéj poniższa tabliczka.

(1206) . . . . Jan kantor . . . . (kod. Małop. 9)
1206 . . . . . . Janus archid. Henryk I kantor. Wawrzyniec kustosz
(kod. katedr. I. 11).
1210 (? 1206 lub 1207) Janus archid. Wawrzyniec kant. Mikołaj kust. Henryk II subcust.
(Helcel, o klaszt. Jędrz. 141).
1207 . . . . . Jędrzéj arch. Wawrzyniec kant. Henr. II kust.
(Rzyszcz. I, 16—18):

ne położenie zawdzięczali, dobry byt, jakim się cieszyli, zatarł ze szczętem w ich pamięci wszelki ślad tego, że ich ojcowie byli nędznymi niewolnikami (1).

O ile Henryk był srogim dla świątników zwierzchnikiem—odgadnąć dziś niepodobna. Nie byłoby to jednak dziwném w wieku, kiedy księżna panująca, matka królowéj halickiéj, mogła być na rozkaz własnego szwagra „oćwiczoną.“ Henryk zresztą nie wydaje się figurą znaczącą. Obowiązek przykuwał go do gmachu katedralnego; na żadnych zjazdach nie bywał, co się w ogóle do kustoszów krakowskich da zastosować, z całéj bowiem pierwszéj połowy XIII stulecia dwa znamy tylko wypadki, że kustosz wydalił się na wieca, a raz na konsekracyą klasztoru w nieodległych od Krakowa Staniątkach, zapewne dla czuwania nad potrzebnemi do obrzędu tego utensyliami kościelnemi.

Jak już nadmieniliśmy, katedra św. Wacława liczyła dwudziestu czterech kanoników; wskażemy tu kilku ważniejszych.

Raul albo Radulf jest cudzoziemcem, jak mówią rzymianinem. Osobistość to wielce czynna i ruchliwa: spotykamy go w różnych okolicznościach szesnaście razy. Obecnie zarządza archidyakonatem sandomierskim, niebawem porzuci go, zostając przy kanonii katedralnéj, a na niéj dosłuży się prelatury i posiadania dworu, stojącego obok kościoła św. Jędrzeja, dworu dość obszernego, jeśli mogło się w nim pomieścić liczne grono osób na wieca książęce zebranych. Dla Radolfa, który przybył do Polski z odległych krain Zachodu, odbyć podróż do Rzymu błahą jest rzeczą. Z dziekanem Wisławem nie bardzo harmonizuje, bo wyniesieniu go na biskupa będzie się energicznie sprzeciwiał. Jemu papież polecił dopilnować, aby ugoda między klasztorami miechowskim a mogilskim ściśle była wypełnioną. Nie omylimy się téż pono, jeśli w owym kanoniku, oznaczonym tylko literą R. jako pierwszą imienia, który jeździł do Rzymu ze skargą na proboszcza Boguchwała, poznamy naszego Radulfa. Z danego mu tytułu „prezbitera magistra“ widać, że odbywał nauki i stanął pod chorągwią celibatu. Cudzoziemiec z rodu a „kortezan“ z praktyki, może być uważany za stronnika reformy kościelnéj.

---

(1) Ob. „Wieś Świątniki“ przez J. K. Gregorowicza.—Legendę, o któréj Długosz (Lib. benef, I, 347,387) nic jeszcze nie wie, opisała z Tańskich Hofmanowa,—W przywileju fundacyjnym kolegiaty sandomirs., którego datę dr. Piekosiński na r. 1191 prostuje między nadanemi wsiami jest „Gronovo cum sanctuariis;“ dziś nazwa Gronowo nie istnieje: oczywiście, ustąpiła, w skutek tego nadania, teraźniejszéj nazwie Świątniki.

Kanonik Pęcław należy do ziemian krakowskich. Kapituła przechowała o nim wdzięczną pamięć z powodu następującéj sprawy. Siostra Pęcława Helena była żoną Racibora, dziedzica na Bieżanowie pod Wieliczką, który jéj przed zgonem odkazał wszystkie swe dziedziny. Jeżeli dziś czyhający na spadek krewniacy szemrzą przeciw testamentom, a wszelkie zapisy, szczególniéj téż przeznaczone na cele publiczne, starają się często zwalić,—to za Piastów, wobec uświęconego wiekami pojęcia, że ziemia należy do całego rodu, a w ręce obce przechodzić nie powinna, testamentom, które za wpływem duchowieństwa pojawiać się teraz zaczęły, groziło w Polsce wielkie niebezpieczeństwo. Jakoż i w obecnym wypadku, Radwan, brat zmarłego Racibora, uczuł się pokrzywdzonym i wystosował spór przeciw wdowie. Ujmując się za siostrą, wystąpił z drugiéj strony kanonik Pęcław. Wprędce jednak obadwa, powód i obżałowany, nabrali przekonania, że lepsza jest zgoda słomiana niż złoty proces; że włóczyć się z wieców na wieca, doręczać potrójne pozwy, stawać na różne roki „zawite“ i niezawite, albo i całkiem „omylne,“ to tylko próżna mitręga czasu; bo i prawem oznaczone trojakie lub czworakie termina sądowe mnożyć się mogły bez końca, wzięciem „zalaskę,“ idąc „wstecz“ do poprzedniego sędziego, którego czasem daleko, aż za granicą ziemi szukać wypadło. Nie wielka uciążonym pociecha, choćby potwarcę sądowego „ognistem żelazem na czole wypiętnowano.“ Czasem, nie czując pragnienia, trzeba było, „jak kazał zwyczaj,“ wychylać puchary.... wody; bo niezawsze znalazł się spółczujący książę, jak teraźniejszy pan Szląska, Henryk Brodaty, co uznając rzetelność Karola syna Berona, kazał mu podać „miodu w dzbanie srebrnym.“ Spełniłeś kielich nie *wina*, a jednak gdy zechcesz się zapierać, powiedzą o tobie: *winien.* Cóż mówić wreszcie o nieuniknionych kosztach, gdy co chwila opłacać trzeba woźnemu „pozewne,“ za uchybienie terminu „niestanne,“ od przysięgi „przysiężne,“ czasem „poteczne,“ sądowi od wyroku „czesne albo pamiętne.“ A i na tém jeszcze nie koniec, bo za lada uchybienie porządkowi przyjętemu groziły dotkliwe „grzywny,“ kary pieniężne; kto w sądzie nie odkrył głowy, nie zdjął płaszcza, wszedł do izby z laską, lub nie odpasał zawczasu broni, skazywany był na opłatę „trzysta,“ a gdy téj w ciągu dwóch tygodni nie uiścił, ulegał karze „sześciu grzywien.“ Mądrze więc sobie poradzili Pęcław z Radwanem, kładąc kres procesowi przez dobrowolną ugodę, na mocy któréj Radwan wziął resztę spadku a bratowéj ustąpił Bieżanowa, upoważniając ją do oddania wioski komu zechce. Wieś przeszła w ręce kapituły, bez wątpienia za staraniem Pęcława. Ale pomimo uroczystych zapewnień Radwana, „że nie będzie godziło się ani jemu,

ani jego potomstwu“ odwoływać téj ugody, kapituła nie była wolną od nagabywań pieniackich: dawszy raz 5o z górą grzywien odczepnego, jeszcze po dwudziestu pięciu latach miała nowy z tego powodu proces, wytoczony przez Bogusława Fasta; wygrawszy i tym razem, nie była już przecię niepokojoną, i oparła dochody pierwszéj kanonii „chóru prawego“ na dziesięcinach z Bieżanowa. Rozpisaliśmy się, może zbyt szeroko, o téj sprawie dlatego, iż mamy w niéj obraz tysiąca spraw innych, które ze starcia między dawnemi urządzeniami kraju a napływającemi teraz z zachodu instytucyami wynikały,—starcia, które wrodzoną przodkom naszym wadę pieniactwa do wysokiego stopnia podniosło. Zasłużywszy się kapitule, Pęcław wyniesiony został późniéj na godność kustosza. O jego ofiarności na domy boże świadczy i to, że wieś kupioną od wojewody Pakosława, darował opactwu w Mogile, „czyniąc się uczestnikiem bractwa i modłów“ tamtejszych cystersów. Widząc go z księciem Konradem podczas wieców nad Pilicą, a nie spotykając ani razu w towarzystwie Henryka Brodacza, uważamy go za reprezentanta umiarkowanéj części duchowieństwa, co będąc pobożne i nie odrzucając reform koniecznych, nie lgnęło jednak zbytecznie do nowinek zagranicznych i stroniło od niemczyzny.

Pośród kanoników wyróżniające się, z pewnych względów, stanowisko zajmował Trojan. Do poznania go niech posłuży poniższe wspomnienie pośmiertne, które o nim współczesna ręka w kalendarz kapitulny zapisała. „Roku 1269 ksiądz kantor krakowski, Trojan imieniem, podeszłego wieku, mąż sędziwy i ze wszech miar łagodny, więcéj niźli stuletni, który cieszył się widokiem zrodzonego z siebie potomstwa płci obojéj, a w jałmużnach i modlitwach dosyć pilny był i gorliwy, dnia 3o Grudnia umarł“ (1). Chociaż za życia, duch tego męża, zresztą spokojnego, potęgą rozkoszy dionejskiéj owładnięty, nie umiał panować nad krewkością ciała, wszelako, gdy innemi celował cnoty, a na języku nie miał obłudy, ani bliźniemu nigdy nie szkodził; przeto téż św. Stanisław przez jego rękę błogosławiąc pierścieniem swym i relikwiami, raczył w wielu niemocach udzielać ulgę i uzdrowienie.“ Jakoż w opisie cudów tego męczennika czytamy, że niejaki Boisław, ciężko na wrzód w gardle chorując, ani jeść, ani pić, ani przełykać nie mógł, tak iż po trzech dniach „zdesperowano“ o nim i jako nad konającym zapalono „wedle zwyczaju“ gromnicę. Choremu ukazał się wtedy mąż w białych szatach, który

---

(1) Właściwie ta data, po zredukowaniu na teraźniejszy układ kalendarza, przypadnie na rok 1268.

rzekł: Idź do Trojana, kustosza katedralnego, niech wskaże ci grób św. Stanisława; takowy gdy ucałujesz, zaraz zdrów będziesz. Ów człowiek, mówić nie mogąc, w myśli ślubował tak uczynić; i oto nagle wrzód pęka, chory powraca do zdrowia i czwartego dnia idzie do grobu męczennika złożyć Panu Bogu dzięki.

Nie potrzebujemy tedy być surowszemi dla Trojana od spółczesnego skrupulata.

Małżeństwa świeckich księży przez cały wiek XII były u nas rzeczą dosyć pospolitą. Najmocniéj zakorzenił się ten zwyczaj w „Polsce,“ pod którą nazwą rozumiano wtedy starą krainę nad rzeką Wartą. Nie raziło to jeszcze nikogo, i benedyktyni lubińscy, lubo sami ślubem czystości związani, zaciągając imiona swoich dobrodziejów do księgi bractwa klasztornego, obok książąt, biskupów, opatów, wpisują do niéj bez zgorszenia: „Radulfa prezbitera z żoną Małgorzatą i córką Radosławą,“ „Filomena kapłana z żoną Bogodarą i córkami:“ Reforma poczęła się od Szląska, gdzie biskup Walter zaprowadzał bezżeństwo księży w połowie rzeczonego stulecia. Małżeństwa kleryków, pomimo że je zaczęto nazywać konkubinatem, trwały daléj. Przed dziesięciu dopiéro laty przyjeżdżał legat papieski, kardynał Piotr kapuański, wprowadzać tę reformę w Krakowskiém, z lepszém powodzeniem niżli w Czechach; bo tam, gdy wyświęcając kapłanów do ślubów czystości pociągał, księża podnieśli rozruch i kupić się poczęli w zamiarze zabicia niewczesnego w ich rozumieniu nowatora. Ale i w Polsce powodzenie było tylko względne. Lubo kronikarz zapewnia nas „że to zbawienne postanowienie było snadno od całego duchowieństwa przyjęte i jak najściśléj zachowywane;“ to jednak w czasie, o którym mowa, zasiada na katedrze kujawskiéj żonaty biskup Ogierz, a jego małżonka Burna, zapisawszy kapitule wieś Wyciąże, polecaną jest modłom przy wypominkach. Teraźniejszy biskup lubuski Wawrzyniec jest ojcem mistrza Przemysława „za dni swoich najsławniejszego męża.“ Wincenty obecnie kanclerz Władysława Laskonogiego, a potém arcybiskup gnieźnieński, liczniejszéj doczekał się pociechy, a jego synowie, Mirosław i Boguchwał, nie myślą ukrywać swego pochodzenia i w aktach urzędowych wyraźnie mianują się „synami arcybiskupa.“ Nie przeczymy jednak, że celibat szerzył się stopniowo. Z Rzymu bez przerwy głoszono, że być synem kleryka jest „plamą urodzenia,“ która nietylko stanowi zawadę w osiągnięciu wyższych dostojeństw kościelnych, ale nadto czyni każdego niezdolnym do posiadania beneficyów. Aby się z takiéj „plamy“ oczyścić, kantor gnieźnieński świadkami dowodzi, jako się urodził „z małżeństwa prawego,“ wprzódy nim ojciec jego przyjął święcenia. Surowość względem

„konkubinatu“ z każdym dniem wzrasta. Na dziewięć miesięcy przed śmiercią Pełki, papież w liście do biskupów powiada, jako mu wiadomo, że w Polsce ludzie żonaci przyjmują godności kościelne, że tacy kanonicy nie kryją się nawet ze swą hańbą; że niesłychane dzieją się tam rzeczy: całe parentele ojców, synów, siostrzeńców i powinowatych pełnią służbę kościelną wbrew prawu, że karność duchowna zwolniała, a przywiązanie do własnéj krwi szerzy wśród kleryków obojętność o dobro kościoła. Nakazuje przeto Innocenty, żonatych nadal nie przyjmować, a przyjętych bezzwłocznie oddalić. Z jakiémż uczuciem gniewu, oporu lub rozpaczy słuchały tego nakazu całe rodziny *księżyców*? Obraz widziany zdala szarą się barwą powleka: gorliwemu o reformę papieżowi czarnym się całkiem wydawał.

Wielkie i istotne musiały być cnoty Trojana, kiedy pomimo tak surowego zlecenia, utrzymał się przy posiadanéj kanonii pod znanemi z ścisłéj religijności biskupami; wprawdzie, przyjął tylko święcenia dyakońskie. Mając ognisko rodzinne, stale przebywa w Krakowie, i w ciągu stuletniego żywota, o ile wiemy, raz jeden tylko wydalił się z miasta, na konsekracyą klasztoru. Trojan jest pięknym typem księdza starego pokroju.

Idealny typ zwolennika nowych porządków przedstawia kanonik Iwon, kanclerz księcia Leszka. Zostawiliśmy go na koniec, aby z poznajomienia się z kapitułą wynieść przyjemne wspomnienie; ale, gdyby przyszło szykować ludzi w miarę cnót i zasług, wzniosłéj postaci kanclerza dalibyśmy bez wahania pierwsze miejsce. Koleje życia i rola, jaką odegrał, nie raz już były opisywane; nie powtarzając przeto rzeczy znanych, skreślimy kilka wydatniejszych rysów jego charakteru.

Syn Szawła z Końskich, potomek wielkiego rodu i dziedzic obszernych włości, między Opocznem a Kielcami leżących, Iwon należał do słynnego domu Odrowążów, z którego wielu świątobliwych i zasłużonych krajowi ludzi wyszło. Wychowanie, które wedle późniejszych wieści, ukończył w szkole paryskiéj, jednéj z dwóch najznakomitszych wtedy na całą Europę, otworzyło mu wrota ówczesnéj wiedzy. Łączył w sobie pracowitość z rzetelnością, poczucie obowiązków z szlachetną dumą męża, prawdziwie pożytecznego ojczyźnie. W znacznych majętnościach, które objął po przodkach, i w większych po nad nie dobrach, przywiązanych do jego godności, gospodarował starannie. W dzielnicy Leszka, on pierwszy pomyślał o sprowadzaniu osadników, dla rozszerzenia uprawy roli w krainie, którą olbrzymie puszcze leśne okrywały. Obok rolnictwa, prowadził gospodarstwo pszczelne i posiadał sycarnie miodu; hodo-

wał gony bobrowe i eksploatował źródła solne. W ziemi sandomierskiéj, téj kolebce naszego górnictwa, Iwon może pierwszy zaszczepił metalurgią, widzimy bowiem, że na budowę klasztoru mogilskiego sto „wiązek“ żelaza przeznacza. Własności swéj troskliwie bronił i w razie potrzeby sądownie się rozprawiał. Ale nie chciwość, ani pospolita żądza zbiorów nim powodowała. W rękach takiego człowieka majątek—to tylko środek działania, a celem jest dobro bliźnich. Iwon pod tym względem jest wzorem magnata w najlepszém znaczeniu tego wyrazu. Gdyby żył na początku XVI wieku, byłby mecenasem humanistów, założyłby kolegium, jak Lubrański; w końcu tego stulecia obdarzyłby kraj akademią, na równi z Zamoyskim; w XVII wieku nie dałby upaść szkole Jagiellońskiéj, wypłaciłby z własnych funduszów żołd wojskom skonfederowanym; cuchnąca atmosfera zeszłego stulecia zdusiłaby go bez wątpienia. Ale że Iwon żył w wieku XIII, że miał naturę z gruntu pobożną, więc hojność jego poszła w kierunku odpowiednim duchowi czasu, zrobiła go fundatorem kościołów, klasztorów, szpitali, które zbytecznem byłoby tu wyliczać. Czém dla poprzedniego stulecia był Piotr Włoszczowic, znany założyciel wielu kościołów, tem w wieku XIII był Iwon, a jeśli tamtemu nie dorównał co do legendowéj liczby 70 świątyń, to o ileż przewyższył pod względem wspaniałości budynków? Któryż z tak zwanych kościołków Duninowskich porównać można z Maryackim tumem na rynku Krakowa, że o innych fundacyach Iwona zamilczymy? A jakąż to wspaniałość okazuje Iwon w uposażeniu założonych przez siebie klasztorów. Jedno czasem słówko, drobna jakaś okoliczność, daje nam poznać i ocenić człowieka. Oto nieboszczyk Pełka, kiedy go proszą o dar jaki dla świeżo założonego klasztoru w Busku, wymawia się przepisem, wzbraniającym alienowania dóbr kościelnych: „i acz mnie wielebny brat, ksiądz Wit biskup częstemi nagabywał prośbami, jam, pamiętając rzeczony zakaz, statecznie się temu opierał.“ Wit radzi sobie inaczéj, wyrabia w Rzymie pozwolenie, wtedy Pełka zdobywa się na ofiarę dziesięciny z trojga wsi. Iwon nie mniéj zapewne biegły jest w prawie, a w skrupulatném spełnianiu przepisów przewyższa go bez wątpienia, a jednak kiedy potrzeba uposażyć cystersów, umie odszukać w kanonach artykuł, który upoważnia biskupa do czynienia darów z kwinkwagezymy na rzecz nowowznoszonego klasztoru.

W życiu Iwona nie dojrzymy żadnego Iwonica; surowy dla siebie, będzie wyrozumiałym na krewkość Trojana, ale, jako ścisły przestrzegacz prawa, podzieli kanoników św. Wacława, niby kardynałów rzymskich, na trzy kategorye: kapłanów, dyakonów i subdyakonów. Dochodami kościoła nie będzie wzbogacał krewnych, ale na

chwałę Boga je obróci; nie przeto jednak stargał węzły łączące go z rodzeństwem. Gdy krewniak jego Wisław odda na klasztor wieś jednę z trzema przyległościami, Iwon wspaniale wynagrodzi go za to zapisem siedmiu włości. Dziedzic pierwotnego gniazda, wioski zwanéj Stary-Odrowąż, jest patryarchą rodziny, a głos jego nawet z po za grobu hamuje chwilowy obłęd krewniaków. Dwunastu Odrowążów, potomków „wielkiego Prandoty", założyciela Prędocina, publicznie oświadczy „jednym duchem i jednemi ustami," że lubo „machinowali za podmową dyabła różne trudności ku szkodzie klasztoru mogilskiego, wzruszając dzieło stryja swego Iwona, które zdawało się im zdziałaném niesłusznie,—teraz, łaską Ducha św. natchnieni, obowiązują się pod przysięgą, że klasztoru niepokoić nie będą, owszem, od każdego napastnika obronią, krzywdę klasztoru za swoją własną uznając."

Iwon ma jednę tylko namiętność, jeśli to namiętnością zwać można: gorąco pragnie katedrę krakowską całym możliwym blaskiem otoczyć; dla przywrócenia jéj praw metropolii, podniesienia do stopnia arcybiskupstwa, nie będzie szczędził starań, choćby przyszło życiem przypłacić; podejmie daleką podróż i kości swe na obcéj ziemi złoży. Tymczasem trzyma dwór liczny; jeśli na wiecach orszak jego nie da się zaćmić książęcemu, to w kapitule otoczy się gronem prałatów, które świetnością przewyższy świtę arcybiskupa. Ponieważ w archikatedrze gnieźnieńskiéj zasiada przełożony klasztoru trzemeszeńskiego, to katedra na Wawelu nie może, jak mniema Iwon, poprzestać na jednym opacie tynieckim, który w jéj stallach zasiada. Zawiéra zatém z opatem sieciechowskim korzystną dla tego ostatniego zamianę na dobra i wymawia sobie, aby „na każdym synodzie opat trzymał przed biskupem księgę do błogosławieństw i aby mu przy odprawianiu nabożeństwa „asystował w tyarze." Niechno by się kto ważył targnąć na przywileje katedry, ktokolwiek on jest, pasterz innéj dyecezyi, arcybiskup, czy książę, znajdzie w Iwonie nieugiętego przeciwnika. Gdy na synodzie biskup wrocławski ośmieli się zabrać pierwszeństwo przed krakowskim, Iwon energicznie protestuje, prawo swoje udowodnia, a widząc, że niechętny dlań arcybiskup głuchym jest na słuszne wywody, Odrowąż bezzwłocznie opuszcza synod, zaskarża obu przed papieżem i komisyą z Rzymu na nich sprowadza. Leszek Biały, jak wiemy, sprzyjał statecznie duchowieństwu, a dla katedry krakowskiéj szczególną okazywał przychylność; z Iwonem w najlepszych zostawał zawsze stosunkach. Ale niech Leszek pomyśli o poborze podwody z dóbr biskupich, Iwon to nazwie „rabunkiem;" zapomni, że ten książę jeden z pierwszych przywiesił pieczęć do dwóch wielkich przywilejów wolności kościel-

néj; zapomni, że od Leszka otrzymał dziesięcinę z kruszców i soli, że wygranie sprawy o Pełczyska zawdzięcza synowi Kazimierza, że Leszek przyznał mu bobrownie na rzece Czarnéj, a nadto inne prawa bobrowe; zapomni, że przed jedenastu dniami uzyskał od niego nowy przywiléj na sprowadzanie osadników niemieckich (1), i nie bacząc na dwudziestoletnią przyjaźń, zaskarży go do Rzymu. Nie dopatrujmy w tém jednak chłodu serca, oschłych uczuć; bo wdowa Leszka, w nikim nie znajdzie tak odważnego obrońcy, jak Iwon; dla pozostałego po księciu dziecka sieroty on tylko będzie bezinteresownym opiekunem. Iwon, tak żarliwie broniąc przeciw wszystkim praw kościoła, szedł za głosem sumienia, które się uśpić nie daje: bo nie próżność, nie ambit, nim powodowały. Wszak nie przyjmuje arcybiskupiéj godności w Gnieźnie, wszak ukochaną nawet katedrę krakowską chce opuścić, infułę na kaptur mnicha zamieniając. Ale to dopiéro po wielu latach pracy i kłopotów zapragnął usunąć się od świata; dziś jest dopiéro w kwiecie młodości; mając naukę i zamiłowanie pracy, wybornym może być dla Leszka kanclerzem. Daty, które w aktach zapisuje, są arcyformalne, dokładne i tak pełne, że mu pod tym względem żaden notaryusz nie dorówna. Kiedy inni nadmieniali w aktach, że wyliczać wszystkie obecne osoby „byłoby za długo,“ akta Iwona odznaczają się niesłychanie wielką liczbą świadków. Z nich téż zaczerpnęliśmy znaczną część przywiedzionych tu szczegółów.

Takie to były główniejsze w kapitule osobistości w czasie zgonu biskupa Pełki; około nich grupowali się inni kanonicy, prezbiterowie, kapelani, wikaryusze itd. Różnojęzyczna to gromada. Tu Raul, niby rzymianin, wraz z Baldwinem raczéj na francuza wygląda; tam obok Gerarda Lombarda stoi Szymon Romulus; inny Hosovoaldus, z imieniem brzmiącém z longobardzka, potrąca o Goćwina niby anglosasa; ówdzie kanonik Jan Węgier snuje może ambitne plany na infułę, nie przewidując, że go w dalekiéj przyszłości pieczęć kanclerska u księcia Konrada oczekuje. Wspomnijmy Idziego i Piotra, zaszczyconych tytułem „mistrzów,“ oraz innego Piotra, noszącego mniéj zaiste pochlebny „przydomek Barabasza.“ Nikną oni w tłumie Wikerów, Robertów, Wichardów, Hermanów, Bernardów, Walterów, Fryderyków, Gizbrechtów, w których podejrzywamy niemców,

(1) Właściwie, jedenaście dni rozdziela potwierdzenie przez papieża przywileju na kolonizacyą od daty listu, w którym skargę Iwona poleca papież zbadać. Odpowiednio temu, pozwoliliśmy sobie przypuścić, że tyleż czasu upłynęło między datą przywileju księcia a datą skargi biskupa.

lubo nas ucho częstokroć w téj mierze zawiedzie: bo nieraz cudzoziemskie imię jest tylko kościelném i maskuje Polaka, jak owego Gumberta, późniejszego archidyakona krakowskiego, co wbrew pozorom był szczerym krajowcem, dziedzicem ojczystéj wsi Błonia w Łęczyckiém, a rodzonym bratem kasztelana oświęcimskiego Mściwoja, który pieczętował się podkową z krzyżem (1). Krajowców widzimy téż niemało: Wojko, Miłosław, Radwan, Sławosz, Zawisza, Dobiegniew, Strachota, Stanimir, Więcek, Jaszczołd, Gosław, Pełka, Obiecan; co do nich—imię bezpiecznie za metrykę obstanie.

Babilońskiéj mięszaninie języków odpowiadała pstrocizna ubiorów. Wiadomo, jak były cudaczne i śmieszne mody średniowieczne, jak sobie w jaskrawych barwach podobały. Szata cała w pasy różnokolorowe, wzdłuż lub wszerz idące, nie dziwiła nikogo na mężczyznie, bo obok inny, w sukni opiętéj, cały był poszachowany w strzępki żółte i purpurowe, a wszystka odzież trzeciego sprawiedliwą równowagą godziła najbardziéj krzyczące kolory: prawa połowica sukni wabiła oko zielonością wiosny, lewa barwą brunatną chmurzyła się. Stroje arlekinów z tych czasów ród swój wywodzą. Rękawy wydłużają się do pięty, obówie rogatym dziobem zwykłą swą długość podwaja. Na Szląsku panny, stu laty późniéj, używają blanszu: córki ziemianina Pęcława myją twarz pięknszydłem, zwanem po polsku „krupice," które z krajowego owsa wyrabiają. Nie wiemy, czy nasi klerycy blanszu używali, to jednak pewna, że zaniedbywali tonsury, „trefili włosy;" wiemy, że ćwierć wieku upłynęło od zgonu Pełki od wprowadzenia reformy obyczajów, a naszym klerykom musiała jeszcze surowa uchwała synodalna nakazywać, aby mieli „szaty co do ilości i jakości, godności kleryczéj odpowiednie, to jest ani zbyt długie, ani krótkie, ani inszym kształtem nieprzyzwoite," aby nie nosili „obówia wyszywanego lub rogatego."

Z kościołem łączyła się ścisłym węzłem szkoła. W języku średniowiecznym, ksiądz zwał się klerykiem, jak człowiek świecki laikiem. Laik, to znaczy pozbawiony nauki; kleryk albo „dziak, żak"—to uczony, piśmienny. Kiedy na tronie angielskim zasiadł Hen-

---

(1) Jest to późniejszy herb Pobóg.—Nadmienimy tu nawiasem, że akt Gumberta, w „Źródłach do dziejów" Grabowskiego i Przezdzieckiego (I. 123—124) wydrukowany z mylną datą 1238 r., nosi w oryginale, który znajduje się w bibliotece publicznéj w Petersburgu, wyraźnie datę 1235, gdzie ostatnia cyfra wyrażona jest literami „quinto." Tym sposobem znikają wątpliwości d-ra Kętrzyńskiego (Kod. Tyniec. 40—41) co do kasztelanii Mściwoja, a także wyjaśnia się kwestya archidyakonii krakowskiéj Salomona, który umarł, jako proboszcz 1236 r.

ryk I, mający pewne wykształcenie, spółcześni przezwali go Beau-Clerc, tak niezwykłém była w świeckim człowieku zjawiskiem nawet ta skąpa porcya wiedzy, którą syn Wilhelma Zdobywcy posiadał. Sto lat wprawdzie od tego czasu upłynęło, popęd do nauk ogarniał obszerniejsze koła; ale kościół nie przestał być źródłem światła, zkąd ono na całą ludzkość promieniowało, i nawzajem—ogniskiem, skupiającém w sobie wszystkie pierwiastki nauki. Kto się chciał uczyć, zostawał klerykiem: istniał zakaz dopuszczania świeckich do szkoły, z obawy, aby przywykłe do ciemności oczy laika nie olśnęły od blasku mądrości. Z drugiéj strony, kościół zabraniał swym członkom chodzić do szkół świeckich, które we Włoszech powstawać już zaczęły. Pewnemu młodzieńcowi, obranemu biskupem, pozwolił papież pozostać w szkole, aby się uczył „ksiąg bożych;“ ten, nadużywając łaski, zajął się *świeckiemi prawami*. Innocenty każe mu wracać do dyeczyi, dozwalając zabrać z sobą jakiego biegłego kierownika, aby „nie okazał się młodzieniaszkiem w uczynkach, jak jest młokosem latami.“ W Polsce nie było o to obawy, miała bowiem tylko szkoły kościelne. Widzieliśmy, jak młodzież tłumnie garnie się na dwory; do szkoły oczywiście nacisk jest mniejszy. Gdy Kazimierz syn Mieszka II oddany został na naukę—rocznik zapisuje zaraz takie niezwyczajne zdarzenie. Szkoła w Krakowie istniała już w XI wieku; uczył się w niéj Zbigniew dorosłym będąc młodzieńcem, nim go na dalszą naukę do klasztoru w Saksonii wyprawiono. Czyżby to znaczyło, że nasz zakład był tylko elementarnym? Trudna na to odpowiedź. Wszelako wykładano uczniom dzieje ojczyste. Nie znamy również programu nauk w czasie, który nas tutaj najbliżéj obchodzi. Dorozumiewamy się jeno, że szkoła dzieliła się na dwie części: jednę, kształcącą kleryków, drugą—szkółkę dla dzieci; tak bowiem objaśniamy sobie rozróżnienie podwładnych scholastykowi: submagistra i „mistrza chłopców.“ Byłyż w niéj obadwa kursa, zwane *trivium* i *quadrivium*? wolna domysłom droga. My nie pójdziemy na te obłędne szlaki i przedstawimy czytelnikowi kilka tylko ułomkowych wiadomości, które w naszych ubogich źródłach zdołaliśmy zebrać. Zajrzymy tedy do biblioteki, co nam miejsce zaginionego planu nauk zastąpić musi.

Biblioteka katedralna stu laty wcześniéj zawiérała tylko 46 książek, z których, jeśli wyłączymy psałterze, mszały, brewiarze i inne podobne księgi, służące wyłącznie do obrzędów kościelnych, jeśli potrącimy duplikaty, niewielki zaprawdę pozostanie skarb wiedzy. Pięć książek w dziale teologicznym, jedno dzieło filozoficzne: Boecyusza *o pociechach filozofii*. Sallustyusz samotnie przedstawia tu całą historyą; gałąź nauk jurydycznych reprezentują „Prawa

Longobardów" i „Longobardzkie prawa" (sic). Znajdujemy za to aż czterech poetów: Stacyusz dostarczył tu napuszoną i ciemną epopeję *Thebais*, Persyusz w dwóch egzemplarzach *satyry*; z utworów Owidyusza są tylko *listy z Pontu;* wreszcie *komedye* Terencyusza, odznaczające się pięknym językiem a płaskiemi konceptami i dla obu tych przymiotów zapewne, tak upodobane w średnich wiekach i bez końca wtedy przepisywane. Ubóstwu poszczególnych działów biblioteki zaradzało jedno, dawne, ale cenione jeszcze temi czasy, dzieło *XX ksiąg etymologicznych* Izydora z Sewilli (Hispalensis), rodzaj encyklopedyi scholastycznéj. Pominąwszy nieznanego nam Aratora (jeśli to nie Aratus z Soli, autor poematów astronomicznych), wspomnimy dwie księgi, które, jako do praktycznych celów służące, najwięcéj zapewne były używane: są to *Reguły gramatyczne* i *Dialectica*, obie rozumie się łacińskie, jak wszystkie inne, bo szkoła ówczesna przedewszystkiém dążyła do wykształcenia biegłych łacinników i dyalektyków. Katalog z początku XIV wieku, co do liczby dzieł, nie jest od powyższego spisu bogatszy, przedstawia jednak tę uderzającą różnicę, że miejsce usuniętych poetów zajęło prawo i historya. Zmiana ta, wynik wzrastającego rygoryzmu i częstszych wędrówek za granicę, w części zaszła w opisywanym tu czasie: uczeńsi księża zapisywali kapitule swe księgi.

Uczniowie szkoły katedralnéj nie są ani dziećmi, ani wyrostkami, pełnią bowiem obowiązki wikaryuszów, powoływani są na świadków przy czynnościach prawnych. Znamy akt, w którym „uczniowie i wikaryusze" w jednę złączeni są kategoryą. Wspomniawszy sobie, co Innocenty III pisał o parentelach, obsiadających katedry, zrozumiemy, że znaczną część uczącéj się młodzieży stanowili synowie kleryków, *księżyce*. W pewnym akcie z r. 1230 wymienionych jest siedmiu uczniów, z pomiędzy nich trzéj oznaczeni są imieniem własném i imieniem ojcowskiém: Iwon Miłosławic, Przybysław syn Bernarda i Mikołaj syn Domana. Cóż było powodem tego zaszczytnego od reszty kolegów wyróżnienia? Oto pierwszy jest jednym z dwunastu wzmiankowanych wyżéj potomków „wielkiego Prandoty," a synowcem biskupa, dwaj drudzy mieli ojcami kanoników krakowskich.

Młodzież była hulaszcza i skłonna do wybryków. Dobrze to, kiedy bawi się „w króla," gorzéj gdy przegranę „w kości" na policzku towarzysza wetuje; bywają i inne zabawki naganne. Pod koniec XII wieku „przypadkowe poturbowanie żyda" sprawia młokosom uciechę, od któréj surowe kary, jakie książę Mieszko wymierzał, niezawsze żaków wstrzymują. Świątynie pańskie nawet profanowane są w sposób niepojęty dla naszych wyobrażeń o przyzwoito-

ści. „Nieraz w tych kościołach odbywają się igrzyska teatralne; nie dość, że dla widowisk błazeńskich wprowadzają do kościołów potworne larwy, ale co gorsza, dyakoni, kapelani i subdyakoni poniżają powagę kleru, gdy w obec ludu, niby trefnisie szalone, wyprawiają sprośne gestykulacye.“ Pojmiemy teraz namiętność, z jaką nowatorowie przeciw nadużyciom walczyli; zrozumiemy, dlaczego kronika spółczesna zaczyna się od pochwały trzech starożytnych Greków, „którzy gardzili widowiskami teatralnemi.“ Był to głos wołającego na puszczy, i trzeba było surowego rozkazu papieża, aby katedrę od tych bezeceństw uwolnić. Wtedy rozpasane żaki krakowskie innego poszukają miejsca, i niedaleko od miasta leżący klasztór tyniecki utrapią, „burząc braciszkom spokój, serca ich wielce gorszące.“ „Idąc za obmierzłym zwyczajem tego kraju, święto Bożego Narodzenia i dnie następne spędzają na pijatyce, śpiewkach bezwstydnych, igraszkach i innych obrzydliwościach, biją się aż do rozlania krwi, a zapasy klasztorne rozszarpują.“ Tu za natchnieniem Bachusa mógł się urodzić ów wierszyk:

Est bona vox *naléj*,
Melior *pij*,
Optima *wypij!* (1).

Ale niesłusznie w liście, z którego obraz skandalów tynieckich wyjęliśmy, powiedziano, że to był zwyczaj polski; wspólny on całéj Europie, od Gibraltaru aż do Uralu, a na zachodzie zwano go z pewną słusznością „świętem osłów,“ „świętem błaznów,“ „świętem matki szalonéj“ i t. p. Niektórzy dopatrują w tém resztki pogańskich saturnaliów.

---

(1) Znana nad Wisłą niegdyś i Dniestrem piosenka pijaka, żądającego pogrzebu przy beczce w piwnicy, jest tylko lichą kopią wiersza łacińskiego, który ułożył Gualter Map, archidyakon oksfordzki, żyjący w końcu XII i początku XIII wieku. Oto pierwsza jego strofa:

Meum est propositum in taberna mori.
Vinum sit oppositum morientis ori,
Ut dicant, cum venerint, angelorum chori:
Deus sit propitius huic potatori!

W *Carmina Burana*, które z rękopisu benedyktyńskiego wydał Schmeller (Stuttgart, 1847), wyliczony jest kontyngens pijaków w następnym wierszu:

Bibit herus, bibit hera,
Bibit miles, bibit clerus,
Bibit ille, bibit illa,
Bibit servus cum ancilla.

To prawie tyle, co nasze „Pije Kuba do Jakóba, Jakób do Michała.“

Pomimo tych nadużyć, szkoła krakowska szerzyła w kraju naukę. Jéj uczeń Iwon Miłosławic zostanie kanonikiem gnieźnieńskim. Z niéj wyjdzie Wisz, syn komesa Budziwoja, „mąż znany z wzorowych obyczajów, nauki i uczciwości, który pierwszy z Polaków został kapelanem papieskim.“ Jest mniemanie, że prolog do rocznika kapitulnego przez Wisza był napisanym. Pragnienie wiedzy objawia się śród wszystkich warstw ludności. Kazimierza Sprawiedliwego „otacza grono ludzi uczonych.“ „Z tymi rozważa przykłady ojców świętych i czyny sławnych mężów; czasem grając na organach i śpiewając, kosztuje słodyczy muzyki niebiańskiéj; niekiedy ćwiczy się w badaniach teologicznych: oboją stronę kwestyi naprzemian popiera najdobitniejszemi dowodami, jak najbystrzejszy badacz rzeczy subtelnych.“ Przed wiekiem jeszcze, dbano głównie o ciało, mistrza zastępował karmiciel, „który syna królewskiego żywił;“ za lat dziesięć, synowce Leszka Białego, nie pójdą wprawdzie na naukę do klasztoru, ale na dworze ojca mieć będą „pedagogów.“ Szkoła krajowa już nie wystarcza żądnym nauki żakom. Początek wieku XIII stanowi z tego względu epokę w dziejach oświaty naszego kraju. Z każdym niemal rokiem rośnie liczba magistrów, którzy kształcili się za granicą, przywożą ztamtąd księgi i zastęp zwolenników reformy kościelnéj pomnażają. Komes Janusz Jarosławic i Piotr syn Henryka udadzą się do Włoch; za łaską św. Stanisława doznają cudu w czasie żeglugi z Akwilei do Wenecyi; Piotr będzie słuchał nauk w Bononii, a przepisany przezeń w Padwie rękopis naukowy, dotąd w Krakowie świadczy o jego pracowitości. Szlązak znamienitego rodu Tomasz wróci do kraju z zaszczytnym stopniem „doktora dekretów.“ Sulisław syn Jana, jeden z Gryfitów krakowskich, pojedzie na naukę do Padwy, a gdy mu pieniędzy zabraknie, stryj sprzeda wioskę za 100 grzywien, aby mu środków na dłuższy pobyt dostarczyć. Zjawiają się „profesorowie prawa:“ jeden z nich, mistrz Salomon archidyakon sandomierski weźmie prym przed Ugerem Buzakarinem, widocznie Włochem.

W téj pogoni za nauką biorą udział obok synów pańskich, obok ziemian i księżyców, dzieci ubogiego i służebnego ludu. Licha osada miechowitów w Radomskiém, Skaryszów, znana dziś tylko z jarmarków, jest kolébką „mistrza Wojciecha.“ Zaćmi go niebawem sławą „mistrz Jakób ze Skarzeszowa.“ Ileż tytułów zdobył sobie ten syn gminu! „Dziekan krakowski, scholastyk bamberski, kantor kujawski, kanonik wrocławski, kapelan ojca świętego oraz króla Czechów.“ „Szczupłego ciała, wzrostu małego przewyższał wielu ogromem nauki i światłem swojéj mądrości.“ Nabrawszy biegłości w nauce filozofii, oddał się studyom prawnym, ka-

nonicznym i cywilnym, na których cztery lata w Bononii spędził. Krótko mówiąc, był to „wyborny doktór dekretów," „wielki obojga prawa doktór." Co większa, jaśniał cnotami. Głos powszechny zarzucał ówczesnym jurystom skłonność do serwilizmu względem możnych świata tego. Mistrz Jakób wolnym był od téj wady. Nie znał „lisich przebiegów," nadskakiwaniem faworów sobie nie jednał; „czciciel sprawiedliwości nieugięty, ani się dał ująć pochlebstwy, ani zastraszyć groźbą; szczery zelator kościoła, za jego swobodę mężnie walczył;" o nim nie można powiedzióć „że to trzcina, którą wiatr zmienny kołysze," bo stanął murem przeciw Niemcom, krzywdzącym kościół wrocławski. Takiemu służyć mężowi za zaszczyt uzna mistrz inny, Adam rektor szkoły katedralnéj, za co w nagrodę otrzyma „decretum" i „dekretale," dwie księgi z pomiędzy wielu, które Jakób kapitule krakowskiéj zapisze.

Z osób, którcśmy dotąd poznali, nie wszystkim służyło prawo wzięcia udziału w nadchodzącéj elekcyi: można było zasiadać w stallach, a nie mieć głosu w naradzie; tylko członkowie kapituły głosowali. Ale chociaż nie wszyscy byli wyborcami, każdy natomiast, nie wyłączając żaka, mógł zostać wybranym. Wspomnieliśmy już o niedojrzałym biskupie, co po wyborze dopiéro zasiadł na szkolnéj ławie. Głosowanie, choćby i powszechne, przynosi osobliwe czasami niespodzianki. Oto w następnym stuleciu, w klasztorze „na Piasku" w Wrocławiu przyszło wybierać opata. Mnichy, udając się na zebranie, wołają z sobą braciszka Konrada, co pełnił skromną funkcyą kuchmistrza szpitalnego. Nie pójdę, odparł Konrad, i bez tego, mnie wybierzecie opatem. Śmieli się bracia z żarciku kuchty. Na elekcyi wszczęły się zażarte spory, chwycono się tedy środka, zwanego kompromisem, to jest zlecono trzem, którzy wśród obecnych najstarsi byli wiekiem, aby mianowali opata. Los chciał, że każdy z owych trzech mnichów sam się ubiegał o godność i nie myślał dać drugiemu głosu. Pierwéj nim który z was będzie opatem, braciszek Konrad nim zostanie, ozwał się jeden; dwaj inni, pod wpływem podobnego uczucia, powtórzyli téż słowa, a cały konwent zebrany, widząc w tém wyższe zrządzenie, okrzyknął przypadkowego wybrańca. Konrad został opatem, dodajmy, jednym z najlepszych.

Traf wszakże nie rządzi światem; w Krakowie kuchty nie obiorą. Ale też żaden z członków kapituły nie będzie następcą Pełki. Ani Wisław sensat, ani gospodarny Boguchwał, ani krewki Trojan, ani Benedykt uczony, ani nawet kanclerz Iwon nie zyska sobie teraz głosów. Długie lata upłyną wprzódy niżli niektórzy z nich zasiądą na katedrze biskupiéj; poczekać mogą, są bowiem jeszcze nie starzy

a to, co o każdym z nich powiedzieliśmy wyżéj, stosuje się do całego żywota, nie zaś do obecnéj już chwili. Nie mieli dość jeszcze czasu, by się odznaczyć takiemi zasługami, któreby ich po nad towarzyszów wynosiły, a zawiściom stronnictw przeciwnych nakazywały milczenie. Stronnictwa bowiem w Krakowie istniały jak wśród laików, tak i między klerykami, a z powodu elekcyi zarysowały się ostro dwa wrogie obozy. Po jednéj stronie stanęli zwolennicy reform, możnaby ich nazwać stronnictwem dworskiém, bo się ku niemu przechylał Leszek. Tu bez wątpienia należał kanclerz Iwon, a prawdopodobnie scholastyk Benedykt i ów kortezan Radulf. Przeciwny obóz stanowili ci wszyscy, co niecierpieli zagórskich nowinek, mącących błogi spokój ducha i słodycze życia familijnego. Własny interes pchał w ich szeregi owładniętego „mocą dionejską“ Trojana. Nazwijmy ich starowiercami. Górowali oni liczbą, siłę ich stanowiły owe „parentele kościelne,“ o których papież z oburzeniem wspominał, a po za temi były parentele rodów pańskich, przywykłe na tronie biskupim osadzać swoich krewniaków. Oglądając się w około za stosownymi w danéj chwili kandydatami do infuły, oba stronnictwa zatrzymały swój wybór na osobach, zdala od Krakowa przebywających. Należy nam poznać ich bliżéj.

Wśród żyznéj ziemi sandomierskiéj, tam gdzie rzeka Łukawa wypływa z pod ostatnich odrośli góry Opaczéj i przerzyna malowniczą okolicę Opatowa, leżą wsie Gójców, Okalina, Czerników, Nikisiałka i Karwów, będące w XII wieku własnością rodziny, zaliczanéj przez heraldyków do klejnotu Róży. Tu, w Karwowie, z ojca Bogusława i matki Bogny urodził się około r. 1160 mistrz Wincenty. Wychowaniec szkół zagranicznych, przyjaciel Kazimierza Sprawiedliwego, został proboszczem czyli pierwszym prałatem kolegiaty sandomierskiéj (1), czasy następne dały mu imionisko Kadłubka. Wincenty jest pierwszym z Polaków autorem, którego dzieło, prawdziwy śpichrz uczoności średniowiecznéj, dochowało się do naszych czasów. Wielki erudyt i dyalektyk, przedstawia wzór mędrca scholastycznego. Takiego ucznia nie powstydziłby się ani Wilhelm z Cham-

---

(1) W 1189 r. Wincenty ukazuje się w Opatowie jako *magister*: byłże wtedy scholastykiem sandomierskim, czy krakowskim? Kolegiata w Sandomierzu konsekrowana była, jak wykazał dr. Piekosiński 1191 r.; być może, iż wtedy dopiéro zorganizowano kapitułę, bo przy kolegiacie łęczyckiéj, poświęconéj już w 1161 r., kapitułę urządzał, a przynajmniéj dopełniał, arcybiskup Henryk dopiéro około r. 1206 (Innoc. III opera ed. Migne, t. II, kol. 1065, 1068) Możnaby więc mniemać, że Wincenty za czasów Kazimierza był scholastykiem krakowskim, a dopiéro z objęciem Krakowa przez Mieszka Starego, przeniósł się na prepozyturę do Sandomierza.

peaux, ani Abellard, ani późniejszy odeń św. Tomasz z Akwinu. Właśnie w tych czasach wiedza ludzka, nie poprzestając już na teologii i dyalektyce, poczęła zwracać się do studyów klasycznych, w sferę prawa i nauk przyrodzonych. Wincenty wszystko to sobie przyswoił. Z prawa rzymskiego i kanonicznego sypie cytatami obficie, a widać, że je doskonale rozumie; cienie Irneriusza i Gracyana mogły być zadowolnione. Czytał widocznie *bestyariusze*, jak nazywano wtedy książki traktujące o zoologii. Prawda i bajka w przykładnéj zgodzie w nich żyły: feniks, syrena i jednorożec opisywane są tam z równą dokładnością, jak pies, koń, wół albo owca. Ztamtąd to Wincenty zaczerpnął wiadomość o „gryfie, który jest królem ptaków," że „bazyliszek pogodnym wzrokiem zabija," że są ptaki „sepony albo uranidy," co żyjąc samotnie, dla każdego jajka oddzielne gniazda budują, jako „leoxipus, pospolicie wilkiem wściekłym zwany", rodzi się ze lwa i wilczycy. Do tego muzeum osobliwości zagranicznych rodzinny kraj autora dostarczył jednego tylko smoka wawelskiego. Ale obok tego, Wincenty wie, że słońce przyświeca antypodom, umie nazywać drogie kamienie, wspomina zodyak; wie także, iż winną łozę z zbytnich gałązek okrzesać trzeba, że zaszczepiona na wierzbie płonka zawsze wierzbowym trącić będzie smakiem, że szaléj im słodszy tém jadowitszy, że nad obłokami jest eter. Wspominając czasem choroby ciała, zaznacza ich symptomata. O słabościach ducha, wadach i namiętnościach rozprawia śmiało, klasyfikuje one, jedne rozróżnia, inne spokrewnia, stopniowy rozwój maluje, jak przystało na psychologa, który się nietylko rozczytywał w starych księgach, ale żyjąc na dworze książęcym, sam obserwował sprężyny poruszające czynnościami człowieka. W dziełach autorów starożytnych bardzo jest oczytany. Owidyusz, Boëtius, Persyusz, Statius i Sallustyusz, wreszcie Izydor znajdowali się jak wiemy w bibliotece krakowskiéj. Trzebaż dodawać, że Wincenty znał wybornie ich dzieła? Można li wątpić, że całe pismo święte i głównych ojców kościoła zgłębił gruntownie? W kronice swojéj stanowcze na to złożył dowody. Zna historyka Justyna a może i zaginionego Troga Pompeja, a także prawdziwe i mniemane dzieła filozofa Seneki; lokucye Cycerona co krok się w jego dziele napotykają. W rzędzie poetów, których czytał, oprócz już wymienionych, znajdują się Wirgili, Horacy, Terencyusz, Juwenal, Klaudyan i Lukan. Zna język greków, nie obcą mu francuszczyzna, w łacinie jest wirtuozem. Wprawdzie to łacina „średnia," niekrępująca się regułami klasycznemi, i całe szpalty spisano wyrazów, którychby nie użył Cycero. Cóż z tego? Język naszego kronikarza jest językiem żywych ludzi; takim się wtedy porozumiewała cała uczona Europa. Wincenty zbyt

żywo przejmuje się opisywanym przedmiotem, aby się regułą krępował. Język musi nagiąć się do jego nagłych zwrotów, potrzebuje assonancyi i dwuznaczników. Styl nie mniéj żywy, pełen aluzyj, porównań, obrazów i tak misternych przenośni, że jedném słówkiem zdoła scharakteryzować rzecz, któréj po imieniu nazwać nie chce. Oślepienie Zbigniewa wyrazi porównaniem mitologiczném, mówiąc, że go Tyrezyaszowa spotkała kara. Erudycya wielce mu była w tém pomocną; i długo jeszcze badacze odkrywać będą w jego kronice nowe niedostrzeżone szczegóły. Naszém bowiem zdaniem, Wincenty posługiwał się erudycyą nie dla popisu próżnego, ale jako dogodnym i bezpiecznym środkiem pisarskim. Wyznać ze smutkiem trzeba, że w Polsce otwarte pisanie prawdy niezawsze uchodziło płazem; bywały czasy, w których historycy nie znajdowali miru. Dzieje Długosza zostały zakazane, wydawca i drukarz pozwani przed sąd sejmowy; dzieło Łubieńskiego ileż poruszyło gniewów i reklamacyj. A że podobnie działo się w wiekach poprzednich, więc miasto ganić Wincentemu ostrożność, wolimy zręczność podziwiać. Że pisze panegiryk Leszkowego ojca, Kazimierza, to cnoty chwalonego a wdzięczność chwalącego tłómaczą; ale i dla przeciwnika znajdzie stosowny wyraz pochwały. Mieszkowi przyzna „wielką odwagę,“ powié, że słynął potomstwem mnogiém; o Laskonogim—że ujmującém obejściem jednał sobie serca krakowian. Możnaż lepszy wrogowi napisać nekrolog nad ten, który Wincenty ułożył dla Mieszka? „Spoczął w pokoju, i oby dusza jego zamieszkała na Sionie!“

Sam, biegły dyalektyk, i w Kazimierzu biegłość dyalektyczną podziwia; broniąc tezy, czerpie argumenta zkąd może, z rzymskich dygestów i baśni greckich. Dziś nie zawaha się nazwać cesarza Barbarossę „rudym smokiem;“ innym razem przyzna Fryderykowi na równi z papieżem wyłączną „władzę stanowienia i odwoływania praw.“ Troskliwy o pełność okrésów, śmiały w porównaniach, jeśli dla nas czasem nużący, rozkoszą był dla spółczesnych i następnych pokoleń: „Rhetor mirificus,“ jak go jeden rękopis z uwielbieniem nazywa. Wszakże, gdy jak o muzyce, tak i o stylu pisarza, żadne opowiadanie nie zastąpi wrażenia bezpośredniego, przytoczymy tu krótki ustęp z prologu, w którym swój zamiar pisania dziejów objaśnia.

„Mamy pośród muz nie płochy wyprawiać chorowód z zwolenniczkami Diony, lecz zająć miejsce na wyżynach w obec świetnego senatu, i opiewać nie cieniste trzciny po kępach, lecz ojczyzny złote kolumny. Nie lalki z gliny, lecz prawdziwe ojców wizerunki z łona niepamięci, z najstarszego trzonu słoniowego wyrze-

żbiać nam kazano, ba i światła boskiego kagańce w zamku królewskim rozwiesić i wraz w wojennych czoło uznoić zapasach.“

„Inna wszakże jest, przedsiębrać co w nieoględnéj skwapliwości z chęci popisania się, z żądzy zysku; a inna spełniać wymogi wszechwładnéj konieczności. Mnie oto ani taka namiętność pisania nie zaślepia, ani pobudza taka chęć sławy, ani żądza zysku zapala, iżbym po tylu doświadczonych morskich przygodach, po tylokrotném w przedsiębranych trudach rozbiciu i zaledwie na brzeg wybrnięciu, miał ochotę na tychże samych rozbijać się mieliznach: tylko bowiem osła podniebieniu smakuje oset zamiast sałaty, i tylko całkiem bezrozumny da się przynęcić cierpką słodyczą.“

„Lecz nie słuszna jest opierać się słusznemu rozkazaniu. Zrozumiał to bardzo dobrze najwaleczniejszy z książąt, że wszelkie czyny bohatyrstwa, wszelkie zacności oznaki z przykładu przodków, jakby z jakich zwierciadeł na jaw wychodzą.... Pragnąc tedy cnoty przodków zrobić udziałem potomnych, na mnie pisarza, na kruche jak ze trzciny me pióro, na pigmejskie me barki włożył brzemię Atlasa, nie inną zapewne kierowany pobudką, jak tą, że blask złota, że połysk pereł nieudolnością artysty ceny swojéj nie tracą, podobnie jak i gwiazdy najczarniejszymi Etyopów palcami ukazane nie kopcieją.“ (Przekład prologu u Bielowskiego).

Natura wskroś artystyczna. Nawet sucha formuła aktowa pod Wincentego piórem nabywa życia i wdzięku. Inny notaryusz spisaniem aktu „zaradza krótkiéj pamięci ludzkiej;“ mniéj lakoniczny Wincenty w tym razie powie: „że troskliwie czuwać i działać należy, aby przez niedbalstwo lub starość czasów nie wśliznęło się nic takiego, coby moc sprawy w inną zmieniło postać, lub ją w całości stłumiło, starość bowiem i marmurowe niszczy posągi i złote blasku pozbawia.“

Ale dość o pisarzu, poznajmy teraz człowieka.

Z usposobienia teoretyk raczéj, niźli człek praktycznego życia, spostrzegacz a nie mąż czynu; pracownik gabinetowy, rzadko na scenie publicznéj występuje. Wychowanie zbliża go do reformatorów, jest wszakże umiarkowanym, nie chce gwałtownie „poruszać rzeczy, które są u nas w zwyczaju. Byłoby to bowiem nieuczciwością nie czcić tego, co rozum ustanowił a tkliwa miłość ku przodkom ze czcią przechowuje.“ Broniąc zwyczaju postrzyżyn, pyta: „ażaliż mamy dla tego uważać je za godne wzgardy, że obrząd ten pogaństwo zrodziło? Przecież i kupno, dzierżawa, zastaw, wtedy już także istniały.“ Pobożność i wysoki stopień, który zajmuje w kościele, oczu ani ust mu nie zasłania, i o spółczesnych biskupach powié z sarkazmem: „nasze olbrzymy jęczące pod wodą.“ Sam ze zna-

cznego domu pochodzi, ale mniema „że błądzą ci, którzy szlachectwa nie w duszy, lecz we krwi dopatrują.“ Nie dziwi go „cnota w ludziach niskiego rodu, ale zadziwia to, *że częściéj się ją tam znajduje, aniżeli nagradza.*“ Prawdziwą zasługę Wincenty uczci udatnym hymnem pochwalnym. Jeśli dworuje Kazimierzowi, to z istotnego przywiązania, nie dla widoków, a po zgonie księcia funduje modły za jego duszę, przeznaczając na to dwie wioski. Powiada, że „żądza wyniesienia się zwykła każdemu się lizać, przed każdym płaszczyć, dopóki nie osiągnie zamiaru,“ jednak nie tyle ją samę, ile środki użyte potępia, bo pragnienie zaszczytów zwie „córą niebiańskiego pochodzenia;“ jego ta niebianka nie złudzi, gdyż wié, że „roskosze, które ona gotuje, to węgle rozżarzone pod nogami a miecz nad karkiem wiszący.“ Poczciwe imię ceni: „któżby odtrącił nasuwającą się sławę? chyba zupełny bezecnik.“ Gardzi zbiorami, które mają brudny początek, powiada „iż nazwy bogactw nie warte skarby nikczemnością nabyte.“

Niektóre rysy przekonań, nastroju ducha, czynią go podobnym do Iwona. Oba pobożni, oba uczeni, oba stronnicy najmłodszéj linii potomków Krzywoustego, obadwa hojni, obadwa tęsknią do ciszy w celi klasztornéj. Ale zresztą każdy z nich odmienną przedstawia fizyonomią. Iwon jest pełen ognia, w Wincentym refleksya przeważa. Pierwszy czynnie na polu walki działa, drugi pisze satyry i pamflety polityczne, bo taki jest charakter niektórych ustępów jego kroniki. Twórczy umysł Iwona co raz to nową instytucyą zakłada: dopiéro kościół zbudował, już szpital funduje a jednocześnie zamierza wystawić klasztór; Wincentemu snadź brak ducha inicyatywy, on nie ufunduje żadnego nowego klasztoru, ale istniejące hojnemi obsypie dary. Iwon zamiar zostania mnichem porzuci na rozkaz papieża i z dawnym zapałem weźmie się do dalszéj pracy; Wincenty, patrząc zbliska na intrygi dworskie, zwątpi o ludziach, wyrzeknie świetnych dostojeństw i habit cystersa przywdzieje, bez żalu za światem, na którym, jak mówi z goryczą, „w tych naszych nędznych czasach, wierność nie rodzi wierności, lecz począwszy, pierwéj poroni nim porodzi; gdzie jaszczurcze plemię czepia się piersi uczciwej wiary, ssie ją zdradliwie, a zdradą, częściej niźli wiernością, płaci nietylko przyjaciołom lecz i panom.“ Zda się, że czytał głośne w tym czasie dzieło Innocentego III „o mizeryi człowieczej kondycyi,“ wzniosły traktat o znikomości rzeczy ludzkich, który miejscami psalmy Dawida, miejscami „filozofią niebytu“ przypomina.

St. Ł.

(c. d. n.)

POEZYA, MUZYKA I RYSUNEK

JAKO ŚRODKI

WYCHOWANIA ESTETYCZNEGO.

Przyczynek do pedagogiki.

I.

Potrzeba wychowania *estetycznego*, jako koniecznego uzupełnienia zwykłéj praktyki wychowawczéj, a szczególniéj wychowania naukowego, abstrakcyjnego dziś już dość powszechnie jest uznaną. Znalazła ona w najnowszych czasach między innymi obrońcę i w takim z pozoru utylitarnym i praktycznym myślicielu jak Herbert Spencer, który mówi, że ocenieniu estetycznego wykształcenia i wypływających z niego dla człowieka korzyści nie da się nikomu wyprzedzić, że bez uczuć estetycznych życie straciłoby połowę swego powabu, przyczém wskazuje wymownie na stronę poetyczną najściślejszych nawet wyników nauk (1). Nie mamy tedy potrzeby zastanawiać się obecnie dłużéj nad ogólną doniosłością wychowania estetycznego. Zresztą już przed jedenastu laty ogłosiłem w *Tygodniku Illustrowanym* rzecz *O wychowaniu estetyczném kobiéty* (2), gdzie miałem sposobność szerszego rozwinięcia téj kwestyi. Ztąd dla naszego obecnego, bardziéj specyalnego zadania, zupełnie będzie wystarczającém, gdy uwydatnimy tylko najgłówniejsze praktyczne cele wychowania estetycznego, aby na téj podstawie wykazać pedago-

---

(1) Zob. piękne streszczenie poglądów pedagogicznych Herberta Spencera w *Ateneum* za Styczeń i Luty r. b.

(2) Zob. *Tygodnik Illustrowany* z r. 1867 № 394 i nast.

giczną doniosłość *poezyi*, *muzyki* i *rysunku*, jako niezbędnych środków dla osiągnięcia tych celów.

Jeżeli jest prawdą,—na co się wszyscy pedagogowie od czasów Pestalozzego zgadzają,—że celem wychowania jest harmonijne rozwinięcie wszystkich zdolności dziecka, aby z niego wyrobić o ile można doskonałego *człowieka* w wyższém tego słowa znaczeniu,—natenczas nie ulega wątpliwości, że uwzględnienie *estetycznéj* strony ducha ludzkiego i należyte jéj rozwinięcie jest koniecznym warunkiem prawidłowego wychowania. Człowiek jako człowiek nie jest adeptem żadnego specyalnego zawodu, nie jest ani rzemieślnikiem, ani kupcem, ani technikiem, ani artystą, ani żołnierzem, ani uczonym, ani realistą, ani klasykiem,—lecz jest: ma być przedewszystkiém *człowiekiem*, tj. istotą rozumną, obdarzoną myślą, uczuciem i wolą, ulegającą w skutek swego rozwoju dążnościom umysłowym, estetycznym i moralnym tak w stosunku do samego siebie jak w stosunku do społeczeństwa i całego świata zewnętrznego. A jako taka istota, człowiek, chociaż i powinien przyjąć udział w ogólnéj *pracy* nad polepszeniem dobrobytu ludzkości, chociaż powinien szukać *zawodu*, odpowiedniego jego indywidualnym zdolnościom, i spełniać sumiennie obowiązki takowego,—z tém wszystkiém jednak nie powinien nigdy dla téj pracy zawodowéj wyzuć się ze swéj ogólnie ludzkiéj natury, przytłumić w sobie zdolności i potrzeby, wynoszące go po nad poziom godnego politowania proletaryusza, dla którego niestety świat cały zamyka się zazwyczaj w czterech ścianach warsztatu, a wszystkie słodycze życia w surowych rozdrażnieniach nerwów.

Otóż na to, aby ludzkość z czasem nie stała się stekiem samych tylko proletaryuszów, fizycznych i umysłowych, należy dać młodzieży wychowanie nietylko *zawodowe*, lecz i ogólnie ludzkie, *humanitarne*; trzeba ją uczyć nietylko jak ma *pracować*, ale i jak się ma *bawić* po ludzku, nietylko jak ma przynosić innym *korzyści*, aby zabezpieczyć swój byt *materyalny*, ale: jak ma spędzić chwile wolne od pracy i trosk materyalnych, bez uwłaczania swej ludzkiéj godności, oddając się wyższym rozkoszom życia, zdolnym podnieść ducha, uszlachetnić uczucia, wzmocnić energią moralną. W skutek zaniedbania tych wymagań *estetycznego* wychowania, lub też niewłaściwego ich rozwinięcia, czasy nasze tak są skore do zniechęcenia, do pessimizmu wszelkiego rodzaju, do rozpaczy i nawet samobójstwa. Większość młodzieży współczesnej, dla owych niedostatków pedagogicznych, nie doznaje wcale dodatnich stron życia, nie ma należytego pojęcia o wyższych, idealnych rozkoszach bytu ludzkiego, o owych rozkoszach, które w głębi ducha spoczywają, a dostępne są dla każdego, kto z téj odwiecznéj krynicy wzniosłych myśli, uczuć i dąż-

ności zaczerpać potrafi nieskończone zasoby wewnętrznego zadowolenia i szczęścia. Cóż dziwnego, że nie nawyknąwszy od młodu do wszechstronnego zużytkowania swych zdolności umysłowych, do szukania godnych człowieka *estetycznych* rozkoszy, młodzież współczesna zbyt prędko przesyca się zwykłemi przyjemnościami życia, a następnie nie znajdując już nowych środków, pobudzających energią umysłową, wpada w owę zniewieściałość i apatyą, z któréj wypływają w praktyce życiowéj rozpacz i samobójstwo, na polu zaś teoretyczném—pessymizm i nihilizm.

Tym to niedostatkom życiowym nie zaradzi żadne wychowanie *zawodowe*, ani techniczne, ani naukowe, abstrakcyjne, lecz tylko wychowanie, uwzględniające *całkowitą* istotę człowieka, a zatém kształcące nietylko jego zręczność, lecz i jego *wolę*, nietylko jego rozsądek, lecz i jego *uczucie*.

Zwykłe *szkolne* wychowanie kształci bądź zręczność do pewnego zawodu, bądź téż myśl i rozsądek, tj. zdolności umysłowe. *Wolę* wzmacnia i rozwija wychowanie *religijno-moralne; uczucie* zaś należycie rozwiniętém być może tylko przez wychowanie *estetyczne*. Prawda, że szkoła przez naukę *religii* i rygor szkolny przyczynia się téż do kształtowania charakteru, do rozwinięcia w nim energii moralnéj; podobnież szkoła, posiłkując się literaturą piękną, klasyczną i narodową, jako środkiem kształcenia młodzieży, uwzględnia do pewnego stopnia i *estetyczne* potrzeby wychowania. Ale bliższy pogląd na trzy główne środki wychowania estetycznego, jakiemi są *poezya*, *muzyka* i *rysunek* wykaże dobitnie, że co do tych ostatnich, szkoła pozostawia jeszcze bardzo, bardzo wiele do życzenia, a zatém potrzebuje koniecznie uzupełnienia przez wychowanie domowe, jeżeli cel prawdziwie *humanitarnego* wychowania ma być należycie urzeczywistnionym.

Każda zdolność ducha ludzkiego powinna być przez praktykę wychowawczą rozwijaną w dwóch różnych kierunkach; raz w kierunku wewnętrznéj, podmiotowéj *wrażliwości*; drugi raz w kierunku przedmiotowéj, zewnętrznéj *działalności*. Pierwsze zadanie polega na rozbudzeniu uśpionych zdolności umysłowych, na wprawieniu w ruch życia duchowego w skutek działania na niego bodźców zewnętrznych. Drugie zaś zadanie ma na celu wydobyć ducha ze stanu podmiotowéj bierności i zachęcić go do urzeczywistnienia w sposób należyty swych myśli, uczuć i dążności w świecie zewnętrznym na podstawie własnéj, samodzielnéj działalności. Każdy dobry pedagog rozumie, że nie dość np. rozbudzić myśl wychowań-

ca, zbogacić ją wiadomościami z zewnątrz zaczerpanemi, ale że prócz tego trzeba go skłonić do samodzielnego zastanowienia się nad rzeczami i wskazać mu drogi, które go prowadzą do zużytkowania swych myśli tak dla własnego umysłowego postępu jak i dla dobra innych.

Otóż to samo zupełnie odnosi się i do *estetycznego* usposobienia wychowańca. Prawdziwe zadanie estetycznego wychowania nie ogranicza się samém tylko rozbudzeniem *estetycznéj wrażliwości* wychowańca; ono nie kontentuje się faktem, że wychowaniec do pewnego stopnia zdolnym jest biernie odczuwać piękno, że miewa estetyczne wzruszenia, gdy czyta wzniosłe utwory poezyi, gdy słyszy piękną muzykę, gdy patrzy na dzieła sztuki plastycznéj. Prawda, że ta podmiotowa wrażliwość jest koniecznym początkiem estetycznego wychowania, że bez niéj mowy być nie może o należytém wykształceniu samodzielności estetycznéj, ale zwykła praktyka pedagogiczna zapomina zupełnie, że połowiczne wykształcenie jest zazwyczaj gorszém od żadnego, że rozbudzenie saméj wrażliwości estetycznéj bez pokierowania jéj samodzielnemi przejawami, jéj dążnością do przedmiotowego urzeczywistnienia swych podmiotowych zasobów, staje się zwykle przyczyną zupełnego zboczenia téj dążności z drogi wyższych wymagań estetycznych.

Cóż tedy powinno być ideałem pedagogicznym wychowania estetycznego, do jakiego praktycznego celu dążyć winien wychowawca ze względu na rozwój estetyczny wychowańca, ze względu zarówno na jego wrażliwość, jak i na jego działalność estetyczną?

Przedewszystkiém każdy wyzna, że celem takowym być nie może danie wychowańcowi *specyalnego* estetycznego wykształcenia, a tém mniéj wyrobienie z niego kompletnego poety, muzyka, lub artysty plastycznego. Tego rodzaju usiłowania przekraczałyby nietylko zakres ogólnego humanitarnego wychowania, ale i zakres wszelkiéj w ogóle działalności wychowawczéj. To, co może być tylko wynikiem szczególnego uzdolnienia, co zależy od nadzwyczajnych przyrodzonych talentów, nie może służyć za podstawę dla ogólnych celów pedagogicznych. Od ogólnego wychowania wymagać można tylko, aby ono rozwijało zdolności wychowańca o tyle, o ile tego wymaga ogólna istota ducha ludzkiego, ogólny ideał wszechstronnie wykształconego człowieka. A do tego naturalnie nie należy, aby był koniecznie poetą, muzykiem, malarzem lub rzeźbiarzem. Wychowanie ogólne urzeczywistnia w zupełności swoje zadanie, gdy wszystkie bez wyjątku dodatnie zarodki natury ludzkiéj w wychowańcu do użycia i działania pobudza, pozostawiając szcze-

gółowe wykształcenie wyjątkowych zdolności specyalnym zakładom naukowym. Tak tedy i wychowanie estetyczne, o którém mówimy, nie mając bynajmniéj na celu kształcenia poetów, muzyków itd. powinno mieć na oku tylko *ogólne* wykształcenie estetyczne wychowańca.

Na czémże jednak polega to *ogólne* estetyczne wykształcenie? Zwyczajna praktyka pedagogiczna,—jeżeli w ogóle uwzględnia stronę estetyczną wychowania,—sądzi zazwyczaj, że dosięga w tym względzie szczytu wszelkich wymagań, gdy rozbudza w wychowańcu estetyczną *wrażliwość*, w określoném przez nas znaczeniu. I w saméj rzeczy zdawaćby się mogło, że powyższe zastrzeżenie, według którego wychowanie estetyczne nie może mieć na celu kształcenia poetów i artystów, ogranicza ogólne wykształcenie estetyczne rozbudzeniem saméj tylko estetycznéj wrażliwości. Jakaż bowiem, zapytać można, *samodzielna działalność* estetyczna ma być udziałem ogólnie wykształconego człowieka, nie poświęcającego się czynnie żadnéj ze sztuk pięknych? Otóż na to pytanie odpowiadamy, że prócz specyalnéj estetyki sztuk pięknych istnieje i powinna istnieć ogólna estetyka *życiowa*, która przedstawia szerokie pole dla *samodzielnéj działalności* każdego ogólnie wykształconego człowieka. Ta ogólna estetyka życiowa przejawia się w trzech głównych formach: 1⁰ jako estetyka *domowa*, polegająca na godném uporządkowaniu i upiększeniu domu i wszystkiego co do życia domowego należy, według wymagań wykształconego poczucia piękna; 2⁰ jako estetyka *towarzyska*, wyrażająca się w formach towarzyskich, zabawach, ubiorach, jedném słowem we wszystkiém, co się odnosi do swobodnego pożycia ludzi między sobą, do towarzyskiego przepędzenia czasu, wolnego od zajęć obowiązkowych,—wreszcie 3⁰ jako estetyka *społeczna*, która jest zbiorowym wyrazem poczucia estetycznego całego społeczeństwa i znajduje swoje urzeczywistnienie w czynném popieraniu różnych instytucyj estetycznych, jako to towarzystw literackich i artystycznych, teatrów, koncertów, galeryi sztuk pięknych itd.

Nad doniosłością każdéj z tych form estetyki *życiowéj* obszerniéj zastanawiać się nie będziemy; gdyż to odprowadziłoby nas zbyt daleko od naszego obecnego zadania. Powiemy tylko, że na należytém rozwinięciu powyższych wymagań estetycznych polega w znacznéj części uszlachetnienie ludzkiego bytu, urok życia, jego strona prawdziwie poetyczna. W urzeczywistnieniu tych wymagań każda jednostka znaléść może niewyczerpane źródło wyższych przyjemności życiowych, niezbędne dla odświeżenia sił fizycznych i moralnych człowieka, które tak łatwo podlegają rozstrojowi w skutek naprężonéj pracy i denerwującéj prozy codziennego życia. Ale chcąc

w sposób właściwy skorzystać z téj estetyki życiowéj, trzeba koniecznie przyjąć czynny udział w urzeczywistnieniu jéj dążności i zadań. I tutaj właśnie wykazuje się potrzeba uzupełnienia biernéj wrażliwości względem utworów piękna samodzielną działalnością na polu estetyki życiowéj. Człowiek prawdziwie wykształcony powinien w miarę swojéj możności dbać o należyte upiększenie swego domu, przepędzać chwile wolne od pracy w sposób godny, niesprzeciwiający się tylko wymaganiom moralnym, lecz i niezakłócający w niczém delikatnego poczucia estetycznego, wreszcie dbać winien, naturalnie znowu w miarę możności, o wszechstronne urzeczywistnienie zadań estetyki *społecznéj*.

Ta potrójna powinność estetyczna wykształconego człowieka nie jest wypływem jakichś konwencyonalnych wymagań, lub wymarzonych pedagogicznych ideałów, lecz jest wynikiem saméj natury człowieka, która zawsze i wszędzie objawiała powyższe dążności estetyczne i dlatego nie dochodzi nigdy do zupełnego wewnętrznego zadowolenia, gdy te dążności na korzyść innych przygnębia, lub je téż nie urzeczywistnia w sposób właściwy. I to właśnie wkłada na pedagoga obowiązek rozwinięcia w wychowańcu poczucia estetycznego do tego stopnia, aby ono nie ograniczało się tylko bierną wrażliwością, lecz aby nadto przez czynny udział w estetyce życiowéj znalazło owe wewnętrzne zadowolenie, jakie wypływa zawsze z samodzielnego urzeczywistnienia idealnych dążności ducha.

Powyższe uwagi wystarczą dla określenia *celu* estetycznego wychowania, mającego być osiągniętym przy pomocy pedagogicznego zużytkowania *poezyi*, *muzyki* i *rysunku*. Zwróćmy teraz bliższą uwagę na same te *środki* estetycznego wychowania.

Jednostronność dotychczasowéj praktyki *szkolnéj* w wychowaniu estetyczném uwydatnia się najdobitniéj tą okolicznością, że wyłącznym prawie środkiem wychowania estetycznego, rozwijanym na szerszą skalę w szkole jest *poezya*. *Muzyka* nie jest zazwyczaj objętą planami szkolnemi; oddaną ona jest zwykle na łaskę edukacyi domowéj. Tylko pedagogika niemiecka uwzględnia w sposób należyty *śpiew* młodzieży i przez to podtrzymuje świeżość jéj uczucia i czerstwość moralną znacznie dłużéj, niż to zwykle ma miejsce w młodzieży innych narodowości. Co zaś do *rysunku*, to ten traktowanym bywa po macoszemu już nietylko przez szkołę, lecz i przez edukacyą domową. W téj ostatniéj samowładztwo muzyki przygnębia despotycznie we wszystkich prawie wychowańcach żywsze poczucie dla piękności plastycznéj, które téż w skutek tego przejawia się zwykle tylko szczęśliwym przypadkiem bez kierownictwa pedagogicznego. W szkole zaś *rysunek* chociaż i zostaje po części uwzględ-

nionym, traktowanym bywa jednak zazwyczaj tak mechanicznie, zewnętrznie, że nie może uchodzić za prawdziwy środek wychowania *estetycznego*. Bardziéj racyonalny pogląd na pedagogiczne zastosowanie *poezyi*, *muzyki* i *rysunku* zdaje się być zatém rzeczą co najmniéj pożądaną.

Poezya i *muzyka* są przeważnie sztukami *podmiotowemi*, *subjektywnemi*. Cała sfera ich działalności polega na samym akcie poruszenia życia wewnętrznego, szczególniéj zaś uczucia. Po za zakresem tego podmiotowego poruszenia, obie te sztuki nie posiadają żadnego trwałego estetycznego bytu, żadnego *przedmiotowego* pierwiastku, zdolnego im nadać pewną estetyczną samoistność niezawiśle od chwilowych poruszeń duszy. Nikt nie przyzna estetycznego znaczenia samćj książce, zawiérającéj w sobie najpiękniejszy nawet poemat; podobnież nie ma ani śladu piękna w hieroglifach, które jako nuty wyrażają najwspanialszą nawet sonatę. Są to tylko środki techniczne, warunkujące możność zachowania i rozpowszechnienia utworów poezyi i muzyki, lecz środki te nie mają nic wspólnego z samemi temi sztukami pięknemi, które téż, jak wiadomo, istniały i nawet kwitnęły niezależnie od pisma, druku lub nut. Same podmiotowe wytwory ducha ludzkiego, jako to myśli, uczucia, obrazy poetyczne, słowo, śpiew itd. są nietylko celem i wynikiem poezyi i muzyki, lecz zarazem i najgłówniejszym *materyałem* dla ich twórczéj działalności. Podczas gdy utwory sztuk plastycznych opiérają się na materyale samoistnym, przedmiotowym, niezależnym od podmiotowości człowieka, bo *danym* w naturze, a w skutek tego przyjmują ostatecznie i formę objektywnego, zewnętrznego istnienia,—malarstwo,—rzeźba, architektura—poezya i muzyka natomiast istnieją tylko w chwili podmiotowéj działalności człowieka,—w chwili, gdy człowiek treść tych sztuk własnym czynem w duchu swoim odtwarza. Z chwilą ustania tego podmiotowego poruszenia—poezya i muzyka przestają w ogóle istnieć,—one mają zatém tylko byt *idealny*, chwilowy, ulotny w saméj podmiotowości człowieka.

Tymczasem piękno *plastyczne* reprezentuje z natury swojéj *realizm* w sztuce. Wydane raz na jaw, dzieło plastyczne staje się ciałem materyalném i nabiéra przez to bytu rzeczywistego, samoistnego na równi ze wszystkiemi produktami martwéj wprawdzie, lecz pomimo to jak najrealniejszéj przyrody. W skutek tego dzieła plastyczne co do własnego istnienia nie są zależne od ciągle powtarzającéj się podmiotowéj działalności artysty, nie potrzebują być ciągle na nowo stwarzane i odtwarzane, lecz raz stworzone emancypują się zupełnie z pod wpływu artysty, z pod podmiotowości człowieka i pozostają tém, czém są same przez się bez dalszego artystycznę-

go współdziałania człowieka. Poeta i muzyk mogą w każdéj chwili ponownego odtworzenia swoich utworów, wlać w nie nowe życie, wyrażające do pewnego stopnia ich nowy, podnioślejszy nastrój duchowy. A gdy oni sami w obronie swych dzieł już wystąpić nie mogą lub nie chcą, natenczas jeszcze znajdują cały szereg usłużnych adwokatów w osobie bądź lektorów, odczytujących ich utwory, bądź artystów dramatycznych, ożywiających ich kreakcye, bądź wirtuozów różnego rodzaju, wlewających swe uczucia w ich harmonie i melodye. Z tych wszystkich przywilejów plastyk nie korzysta. On patrzy na swe dzieło jako na rzecz skończoną bezwzględnie; on wie dobrze, że żadnym podmiotowym nastrojem swego ducha nie jest w stanie ani ukryć niedostatków utworu, ani zjednać pobłażliwość miłośnika piękna. Tu już dzieło bezwzględnie samo za siebie przemawiać musi. Tu już nie ma żadnéj adwokatury. To téż w samotném swém odosobnieniu dzieło plastyczne spogląda spokojnie na widza; wyzywa jego sąd,—przychylny lub potępiający, byle sprawiedliwy,—ono znosi wszystko ze stoicyzmem, godnym duszy skamieniałéj.

Powyższa ogólna charakterystyka sztuk podmiotowych i plastycznych daje nam najstowniejszą podstawę dla określenia ich pedagogicznéj doniosłości.

Jeżeli nam idzie o poruszenie podmiotowych uczuć wychowańca, o obudzenie w nim tego, cośmy powyżéj *wrażliwością estetyczną* nazwali, natenczas rzeczą jasną, że dla osiągnięcia tego celu nie ma lepszych środków nad właściwe pielęgnowanie *poezyi* i *muzyki*. Przy pomocy tych sztuk zmiękczyć można najtwardsze nawet serce, cóż dopiero miękkie od natury serce dziecięce. Któreż serce proste, niezepsute może pozostać bez wzruszenia w obec bezpośrednich wyrazów poezyi lirycznéj; które może pozostać bez współczucia dla przygód współbraci, opowiadanych tak żywo przez poezyą epicką; któreż wreszcie nie czuje najgłębszych wstrząśnień w obec walk, kolizyj i gromów poezyi dramatycznéj? Każdy z tych działów znajduje w duszy ludzkiéj oddźwięk sobie właściwy, każdy uderza o struny serca siłą elementarną, bezpośrednią, zmuszającą do współczucia nawet mimo woli i wiedzy. Toż samo tylko w znaczeniu spotęgowaném, powiedziéć należy i o muzyce. Na nią każdy człowiek od natury jeszcze bardziéj jest wrażliwy niż na poezyą, bo ona jeszcze bezpośredniéj przemawia do serca i głębiéj w nie wnika, nie będąc w swém działaniu krępowaną znaczeniem dźwięków, ich treścią myślową. Drgania muzyki przenikają same przez się duszę i zmuszają już nietylko do współczucia, lecz nawet do współdrgania, wstrząsającego całym systematem nerwowym. Takim sposobem obie te sztu-

ki, wypływając przedewszystkiém z podmiotowego nastroju poety i muzyka, oddziaływają téż najsilniéj na *wewnętrzne* życie wychowańca, wprawiają w ruch wszystkie pierwiastki jego duchowego rozwoju, czynią go wrażliwym na wszelkie odcienia myśli, uczuć i dążności, poruszają jedném słowem bezpośrednio cały wewnętrzny zasób jego ducha.

Ale z drugiéj strony nie należy zapominać, że tym zakresem podmiotowych poruszeń ogranicza się téż działalność tych dwóch sztuk pięknych na wychowańca. Ostatecznym bowiem kresem działalności każdéj sztuki jest zadowolenie estetyczne, jakie w duchu wywołuje. Każda sztuka porusza ruchliwość człowieka, działa jako motyw, popychający do czynu, tylko do chwili, gdy dosięga najwyższego możliwego, estetycznego zadowolenia. Z osiągnięciem tego szczytu powoduje stan biernéj kontemplacyi, estetycznego rozkoszowania się w skończoném dziele piękna. Ponieważ zaś poezya i muzyka, jak widzieliśmy, z istoty swojéj są natury *podmiotowéj*, czerpią swą treść i formę z samych tylko wewnętrznych stanów ducha, przeto i same te wewnętrzne stany ducha są zarówno główną *przyczyną* jak i ostatecznym *kresem* estetycznego zadowolenia tych sztuk podmiotowych. To jest poezya i muzyka mają jako ostateczny psychologiczny wynik lubowanie się człowieka we własnych swoich podmiotowych stanach, szukanie bodźców wywołujących przyjemne wewnętrzne wzruszenia, uczucia samozadowolenia.

Już powyższy psychologiczny wynik, wypływający bezpośrednio z istoty poezyi i muzyki, wykazuje jak najdobitniéj całą jednostronność owéj praktyki pedagogicznéj, która nie zna dla młodzieży innéj estetycznéj strawy prócz poezyi i muzyki. Prawda, wyznać należy, że racyonalne zużytkowanie tych sztuk pięknych może ocalić wychowańca przed jednostronnemi skutkami duchowéj zniewieściałości, wewnętrznego rozmiękczenia. Każda bowiem sztuka, a zatém i poezya i muzyka, zawiéra w sobie pierwiastki ochraniające ją od fałszu i zboczeń. Ztąd należyte rozwinięcie *przedmiotowéj*, *objektywnéj* strony poezyi i muzyki mogłoby przeciwdziałać ich jednostronnie podmiotowéj działalności na wychowańca. Przez oddanie pierwszeństwa poezyi epickiéj i dramatycznéj przed liryczną; przez ograniczenie nauki muzyki do utworów prostych, zrozumiałych, poważnych, z wyłączeniem wszelkich sztuk rozdrażniających nerwy; wreszcie przez umiejętne traktowanie *teoretycznych* podstaw poezyi i muzyki, możnaby bez wątpienia pod niejednym względem zapobiedz złym skutkom *wyłącznego* pielęgnowania poezyi i muzyki. Ale każdy wyzna, że takie wymijanie naturalnych skutków téj praktyki pedagogicznéj jest rzeczą nader trudną i wymagałoby szczegól-

nych zdolności i dobréj woli ze strony wychowawcy; nadto uniknienie zboczeń poezyi i muzyki nie obdarzy jeszcze wychowańca dodatniemi korzyściami pielęgnowania innych sztuk pięknych. A te dodatnie korzyści są właśnie tak ważne, tak konieczne dla osiągnięcia wykazanego powyżéj zadania wychowania estetycznego, że najracyonalniejsze nawet traktowanie poezyi i muzyki nie może zwolnić sumiennego pedagoga od należytego uwzględnienia innych sztuk pięknych. W obec zaś faktycznego stanu rzeczy, w którym *poezya* przy pobieżném szkolném traktowaniu oddaną jest zazwyczaj na wolę saméj młodzieży, która zaś czyta, co jéj do gustu przypada, to jest co podnieca jéj skłonność do nieokreślonych marzeń, a *muzyka* stała się zazwyczaj pedagogicznym środkiem jaknajwcześniejszego zdenerwowania młodzieży, w obec tego stanu rzeczy, mówię, ograniczenie jednostronnego wpływu tych sztuk podmiotowych na korzyść piękna plastycznego powinno być świętym obowiązkiem każdego wychowawcy, mającego na oku prawdziwe dobro młodzieży i społeczeństwa.

Wykazana powyżéj w ogólnych zarysach *przedmiotowa* istota sztuk plastycznych nadaje im zupełnie odrębny charakter pedagogiczny. Piękno plastyczne odrywa przedewszystkiém człowieka od samego siebie i zmusza go do szukania źródła zadowolenia estetycznego nie w samym sobie, w owych własnych podmiotowych wzruszeniach, lecz w świecie *zewnętrznym* i jego wytworach, w pewnym układzie, ustosunkowaniu i harmonijném zespoleniu przedmiotowego bytu i jego form. Podczas gdy zmysł poetyczny i muzykalny nawet w swym najwyższym rozwoju, same przez się nie posiadają tendencyi *działania* na świat zewnętrzny, przerobienia jego materyału na nowe doskonalsze formy,—gdyż sama idealna doskonałość, samo wewnętrzne wzruszenie zadawala poetę i muzyka; zmysł *plastyczny* natomiast dla urzeczywistnienia swéj estetycznéj istoty popycha człowieka koniecznie do *czynu*, do przekształcenia zewnętrznego otoczenia, do nadania mu form nowych, doskonalszych, odpowiadających wymaganiom dobrego smaku. Póki to zewnętrzne otoczenie nie czyni zadość wymaganiom estetycznym, dopóty zmysł plastyczny nie czuje się zadowolonym, dopóty ożywiony jest pragnieniem oddziaływania na świat zewnętrzny w kierunku upiększenia jego zewnętrznéj postaci. Ztąd wypływa, że należyte rozwinięcie zmysłu plastycznego, zmysłu dla piękna zewnętrznych form, staje się niewyczerpanym bodźcem *działalności* estetycznéj, bezustanną pobudką do estetycznego udoskonalenia zewnętrznego bytu. Jeżeli tedy, jak widzieliśmy, prócz rozwoju estetycznéj wrażliwości, wychowanie koniecznie zwrócić winno swoję uwagę na wykształcenie este-

tyczne *działalności* wychowańca, jego popędu do czynnego urzeczywistnienia zadań estetyki *życiowéj*, to jasną jest rzeczą, że cel ten osiągniętym być może tylko przez należyte wykształcenie zmysłu *plastycznego*, gdyż tylko ten zmysł zawiéra w sobie dane do działalności w tym kierunku.

W naszém społeczeństwie nikt w obecnéj chwili nie może narzekać na brak zmysłu poetycznego i muzykalnego, a pomimo to *estetyka życiowa* leży u nas prawie jeszcze zupełnie odłogiem, oddaną jest zupełnie na łaskę słabego instynktu estetycznego. O estetyce *domowéj*, w wyższém znaczeniu tego słowa, mowy prawie jeszcze wcale nie ma nawet i w takich domach, którym nie zbywa na środkach. Estetyka *towarzyska* wprawdzie stoi daleko wyżéj, ale sprowadza się zazwyczaj do tego, że panie nasze gustownie się stroją i bardzo ładnie tańczą. Za to estetyka *społeczna* leży jeszcze w pieluszkach, z których ją Towarzystwo Sztuk pięknych bez czynnego poparcia całego społeczeństwa wydobyć nie zdoła. A to wszystko wynika z tego, że nasze poczucie estetyczne kształcone jest prawie wyłącznie na poezyi i muzyce, na literaturze nadobnéj, teatrze i koncertach, a pozbawione jest prawie zupełnie zmysłu plastycznego, zmysłu dla piękna *zewnętrznego*. My lubujemy się w pięknie, ale nie czujemy potrzeby przekształcenia naszego otoczenia wedle wymagań dobrego smaku. Sama podmiotowa estetyka wyczerpuje cały nasz zasób estetyczny. Wszyscy u nas *lubią* poezyą i umieją grać, wszyscy kupują i czytają powieści, kupują nuty i chodzą na koncerta, ale rzadko kto dba o artystyczne upiększenie domu, kupuje obraz dobry lub posąg dla zachwycenia się ich pięknemi formami. Mamy genialnych malarzy, wysoce utalentowanych rzeźbiarzy, zdolnych architektów, ale dzieł ich nie posiadamy. Co powinno znaléść miejsce stałe a pokaźne w pałacach magnatów i domach zamożnych,—obrazy i rzeźby,—to czołga się po całym świecie z wystawy na wystawę, aż wreszcie ginie dla kraju na zawsze. Co zaś powinno zdobić ulice i place publiczne, to występuje na jaw tylko jako projekt architektoniczny, niewykonalny dla braku dobréj woli i pieniędzy. Okoliczności temu wszystkiemu bardzo winne, to prawda, ale nie mniéj winien i brak należytego wykształcenia zmysłu plastycznego, brak potrzeby upiększenia świata zewnętrznego według wymagań wykształconego poczucia piękna.

Najelementarniejszym i zarazem najważniejszym środkiem dla kształcenia zmysłu plastycznego, jest *rysunek*. Przy pomocy rysunku odtworzyć możemy wszystkie *formy* przedmiotowego bytu, i przez to nakreślić wzory ich estetycznego ustosunkowania. Ztąd *rysunek* pod względem pedagogicznym przedstawia następujące bezpośrednie ko-

rzyści. 1° Rozwija zmysł spostrzegawczy, przyuczając oko do bacznego uchwycenia linearnych form i cieniowania przedmiotów. 2° Kształci perspektywiczny pogląd na rzeczy zewnętrzne, na ich wzajemną od siebie odległość i inne wymiary przestrzeniowe. 3° Solidaryzuje działalność oka i ręki dla wykonania ruchów stanowczych, pewnych i jasnych. 4° Rozwija upodobanie estetyczne do zewnętrznych form piękna i uczy je oceniać z właściwego stanowiska. 5° Podaje środki do samodzielnego odtworzenia, przekształcenia lub kombinowania tych form. 6° Wreszcie, pobudza działanie do upiększenia świata zewnętrznego według wymagań piękna formalnego. Każdy wyzna, że są to korzyści, które wymagane być winny od każdego prawdziwie wykształconego człowieka, a które jedynie zdolne są ograniczyć zbytnią podmiotową wrażliwość, rozbudzaną przez jednostronne pielęgnowanie saméj tylko poezyi i muzyki. Wychowaniec przywykły do rysunku, a przy jego pomocy do właściwego poglądu na piękno plastyczne już nie zadowoli się nieokreślonemi wzruszeniami uczucia, samą podmiotową estetyką, lecz będzie miał zawsze na oku estetyczne ukształtowanie świata zewnętrznego. Formalna piękność otoczenia, porządek, jasność, symetrya, proporcya, obok innych coraz wyższych warunków pięknéj formy, staną się jego *potrzebą* estetyczną, któréj dogadzać będzie wedle możności na równi z innemi potrzebami swego ducha, a na tém skorzysta nie tylko on sam, lecz i jego otoczenie, ulegające pod jego wpływem podobnemu estetycznemu przekształceniu. Wymagania i obowiązki estetyki życiowéj urzeczywistniane będą przez takiego wychowańca ochoczo i ze znajomością rzeczy, bo wypływać będą z jego własnego poczucia piękna, z jego zmysłu plastycznego wspartego przez należyte wykształcenie oka i ręki.

II.

Przechodząc od powyższéj ogólnéj charakterystyki *poezyi, muzyki i rysunku* jako środków estetycznego wychowania do kwestyj bardziéj szczegółowych, należałoby dla wyczerpania naszego tematu przedstawić specyalny plan pedagogicznego traktowania tych sztuk pięknych. Ponieważ jednak nie mamy tutaj na myśli wyłożenia całkowitéj nauki o środkach wychowania estetycznego, lecz w celu praktycznym pragnęliśmy tylko wskazać na konieczną potrzebę sprostowania błędnych na ten przedmiot zapatrywań, przeto uzupełnimy powyższe uwagi tylko jeszcze krótkim poglądem na główne momenty w zastosowaniu poezyi, muzyki i rysunku do stopniowego rozwoju umysłów młodocianych.

Wychowanie estetyczne rozpoczyna się już w wieku niemowlęcym dziecka i z natury swojéj wyprzedza nawet wychowanie moralne i umysłowe. Kształcenie najelementarniejsze zmysłów dziecka, szczególniéj zaś zmysłów szlachetniejszych, słuchu i wzroku, łączy się jak najściśléj z pedagogiczném zastosowaniem głównych środków wychowania estetycznego. Gdy matka nuci dziecku swemu piosenkę do snu, wtedy kształci mimowoli i wiedzy jego słuch, a témsamém i jego zmysł muzykalny. Gdy daje niemowlęciu do rąk różne zabawki i zwraca na nie jego uwagę, wtedy rozwija jego wzrok, a przez to powołuje do życia jego poczucie dla piękna formalnego, jego zmysł plastyczny. Gdy wreszcie matka uczy dziecko mówić, gdy z serdeczną radością wspiéra jego pierwsze próby wysłowienia, wyrażające wzruszenia niewinnéj duszy, natenczas zaszczepia w dziecku pierwsze poczucie wewnętrznych rozkoszy ducha, kształci jego zmysł *poetyczny*. To wszystko robi każda dobra matka instynktowo, na zasadzie naturalnych popędów miłości macierzyńskiéj; idzie tylko o to, aby to instynktowe działanie ująć w karby jasnéj myśli, poprzeć świadomością pedagogicznyeh warunków prawidłowego rozwoju. A w tym celu konieczną jest rzeczą uwzględnić przedewszystkiém następująee dwie zasady: 1) zmysły kształcić należy przy pomocy wrażeń o ile można prostych, wyraźnych, a przytém przyjemnych czyli pięknych; 2) należy kształcić zmysły harmonijnie, t. j. nie rozwijać jednego zmysłu kosztem drugiego.

Zastosowanie tych dwóch zasad do praktyki pedagogicznéj w wieku niemowlęcym nie potrzebuje szerokich wywodów. Dla należytego jednak uwydatnienia myśli, w tych zasadach spoczywającéj, wypowiadamy tutaj jeszcze kilka uwag objaśniających w formie urywkowéj. Dziecko wedle możności jak najdłużéj ochraniać należy od wszelkich wrażeń chaotycznych hałasu, szumu, turkotu i tym podobnych nieokreślonych szmerów, zakłócających jasność i wyrazistość wrażeń słuchowych. Dźwięki, które dochodzą ucha dziecięcego, powinny być jasne i wyraźne, ani zbyt nizkie, ani zbyt wysokie, a przytém winny odpowiadać wymaganiom muzykalności, t. j. podlegać prawom melodyi i harmonii. Lepiéj wcale nie śpiewać nad kolébką dziecka, niż wdrażać jego ucho w słuchanie tonów fałszywych lub jakichś pieśni, pozbawionych najprostszych praw muzykalności. Ile pod tym względem grzeszy praktyka wychowawcza, wszyscy dobrze wiemy. Dzieci biédne muszą się zbyt często całemi dniami lub nawet miesiącami nasłuchać nieznośnych, pełnych monotonii śpiewów nianiek i mamek, takich śpiewów, których dorośli i kilku chwil bez objawów niecierpliwości słuchaćby nie mogli. Czyż nie jest powszechnie przyj ętą zasadą pedagogiczną: dla dzieci

najlepsze? Jakim tedy prawem mielibyśmy je zmuszać do wrażeń przykrych, od których sami uciekamy?

Toż samo uwzględnić należy co do pierwszych wrażeń wzrokowych dziecka. Przedmioty, na które zwracamy uwagę dziecka, lub które dajemy mu do ręki jako zabawki, powinny się odznaczać prostotą i wyrazistością formy i barw. Wszelkie zabawki pstre, nieforemne, lub o formach sztucznych, niewyraźnych, psują oko dziecka, podkopują jego zmysł dla form naturalnych, prawdziwie pięknych. To też nie ma nic przewrotniejszego nad przedstawienie dzieciom zabawek, figur, obrazków nieproporcyonalnych, lub nawet karykaturalnych i wstrętnych. Linie proste a kształtne i wyraźne, figury naturalne trójkąta, kwadratu, koła, krzyża i t. d., barwy pierwotne, czyste, niemięszane, jasno określone ze względu na swe granice przestrzenne, powinny przy kształceniu wzroku wyprzedzać wszelkie figury złożone, wszelkie sztuczne kombinacye barw. Od wrażeń zaś nieforemności i brzydoty, połyskującéj nieokreśloności i pstrocizny należy ochraniać oko dziecięce jak można najdłużéj.

Tęż samę zasadę wyrazistości zastosować należy przy pierwszéj nauce mowy. Przedrzeźnianie dziecka lub nawet dobroduszne naśladowanie jego nieudolnych prób przy wymawianiu wyrazów jest nietylko niegodną igraszką ale nadto wprowadza dziecko w błąd i przyucza je do folgowania swoim słabościom. Dziecko uczy się głównie przez ciągłe naśladowanie otoczenia; jeżeli tedy dorośli stają się odźwierciedleniem jego własnéj słabości, to natenczas ono pozbawionem zostaje wzoru dla udoskonalenia swoich organów. Matka zatém i pod względem dobitności i wyrazistości w wymawianiu głosek i wyrazów powinna być nietylko nauczycielką, lecz i ideałem dziecka, a przez to bez wątpienia przyczyni się niemało do osiągnięcia celów wychowania estetycznego. Wszelka w tym względzie zniewieściałość, wyrażająca się tak często lubowaniem się w nieudolności dziecięcéj, sprzeciwia się zdrowym zasadom wychowania, a témsamém prawdziwemu dobru dziecka.

Z pierwszą nauką czytania i pisania rozpoczyna się zazwyczaj nowa epoka w rozwoju umysłowym dziecka. W epoce téj wychowanie estetyczne przyjąć powinno charakter coraz wyraźniejszy. *Poezya* rozbudza już coraz bardziéj sferę uczuciową dziecka za pomocą zrozumiałych dla niego piosnek, powiastek, przypowieści, baśni, które albo słyszy od matki, albo przy matce czyta. Tutaj, w uzupełnieniu zwykłéj praktyki wychowawczéj, zauważymy tylko, że nie należy zbytnio rozbujać fantazyi dziecka samemi tylko baśniami o jakichś nadzwyczajnych przygodach, ludziach i zjawiskach, lecz przeciwnie postawić należy za zasadę, aby przyuczać wychowańca

od dzieciństwa do odczuwania poezyi w najprostszych, najzwyczajniejszych objawach życia codziennego. Stosunki rodzinne, miłość wzajemna rodzeństwa, przygody życia domowego, historya ludzi znakomitych, wsparcie nędzy, stosunek dzieci do zwierząt domowych, zjawiska i utwory przyrody i t. d. i t. d. podają jak najbogatszy materyał do prawdziwie poetycznych opisów, zdolnych dziecko zająć do żywego i wpłynąć na rozwój i uszlachetnienie jego uczucia. Że przytém rozbudzić można i fantazyą dziecka opowieściami, przekraczającemi zakrés codziennéj rzeczywistości i celów dydaktycznych, to naturalnie nie ulega wątpliwości, idzie tylko o to, aby w tym względzie zachowano należyty takt i nie zapominano o tém, aby świat poetyczny, idealny dziecka nie stał się transscendentalnym, nie oderwał się bezwzględnie od świata rzeczywistego jako coś od niego zupełnie różnego, lecz aby te dwa światy w świadomości dziecka łączyły się z sobą, aby w duchu dziecka rozwijało się przekonanie o wewnętrznéj spójni, łączącéj świat idei ze światem rzeczywistości. Inaczéj wychowalibyśmy pokolenie romantyczne, oddające się swym oderwanym marzeniom, bez wszelkiéj świadomości, że marzenia te powinny mieć charakter prawdopodobieństwa i łączyć się wewnętrznemi więzami ze światem rzeczywistym.

Wpływ *muzyki* w téj epoce sprowadza się jeszcze głównie do piosnek, śpiewanych dziecku, przyczém jednak zwrócić trzeba już uwagę na poetyczną treść tych piosnek, gdyż dziecko zaczyna pojmować tę treść i łączy z nią swoje myśli i poetyczne wzruszenia. Należy zatém wystrzegać się nucenia dziecku piosnek bezmyślnych lub nieprzystępnych dla pojętności dziecka, gdyż w takim razie przyucza się do wrażeń niejasnych, nieokreślonych, mętnych. Przy téj sposobności należy zachęcać dziecko do pierwszych samodzielnych prób głosowych i kierować takowemi nieznacznie, bez męczącego rygoru, według wymagań wyrazistości i poprawności. Te pierwsze próby śpiewu dziecięcego, należycie zużytkowane, mogą służyć jako bardzo skuteczny środek dla wprawy organów mownych dziecka. Urok muzykalności przezwycięża u dziecka bardzo często trudności, które prozaiczną nauką wymawiania zgłosek niezawsze usunąć się dają. Widziałem dzieci, które w śpiewie wymawiały z łatwością takie głoski i wyrazy, które zwyczajnie albo wcale nie wymawiały, albo tylko z wielką trudnością. Pokazuje się z tego, że nastrój estetyczny podnosi energią i ruchliwość dziecka, o czém rodzice i nauczyciele nigdy zapominać nie powinni.

Z nauką pisania, od pierwszych początków, łączyć się winna elementarna nauka *rysunku*, t. j. wprawa w prowadzenie ołówka i wy-

konanie linij prostych i figur geometrycznych. Przez odpowiednie złożenie elementarnych linij i form dziecko wkrótce nabiéra możności wyrysowania przynajmniéj szkieletu domu, parkanu, sztachet, drzewa, studni, wozu, różnych sprzętów domowych, wreszcie nawet ludzi i zwierząt. Zadowolenie i nawet radość serdeczną, jaką dzieciom sprawiają tego rodzaju zajęcia, są najlepszym dowodem czego pragnie ich oko, ich zmysł plastyczny, i w jakim kierunku pedagog spożytkować powinien tę estetyczną potrzebę młodocianego umysłu. Nie dość bowiem bawić dzieci dobremi obrazkami, ale nadto trzeba im dać możność samodzielnéj estetycznéj działalności, trzeba im wskazać pole, na którém mogą urzeczywistnić pomysły swéj fantazyi formalnéj, wyrażającéj się choćby tylko odtworzeniem przedmiotów widzianych. Takie odtworzenie jest zawsze już *obrazem* wymagającym samodzielnéj działalności oka i ręki, i dlatego właśnie sprawia dziecku taką niewymowną satysfakcyą. Ono widzi w *obrazie* swoję działalność, odczuwa w nim potęgę twórczą swego ducha, która zdolną jest wywołać do istnienia coś *rzeczywistego*, coś istniejącego przedmiotowo, jakieś przedmioty, które mają byt, choćby tylko na papiérze, ale byt widzialny i dotykalny. Żadne inne zajęcie, prócz rysunku, nie jest zdolném tak wcześnie i tak wyraźnie zachęcić dziecko do estetycznéj samodzielności, obdarzyć je wewnętrzném zadowoleniem, wypływającém z téj samodzielności. Prawda, i mowa i śpiew wymagają także samodzielnéj działalności ze strony dziecka, ale pomimo największego natężenia ono w téj dziedzinie podmiotowych objawów nie *widzi* rezultatów swéj pracy i dlatego nie dochodzi do świadomości o swém działaniu w tym kierunku. W nauce *pisania* już bardziéj występuje na jaw pierwiastek przedmiotowy; tu już rezultat pracy widzialny. Ale te konwencyonalne hieroglify, które literami nazywamy, nie mają dla dziecka żadnego zrozumiałego znaczenia. Ono uczy się pisać bo musi, ale nie dlatego, żeby pojmowało doniosłość téj nauki i uczuwało przy tém jakiekolwiek wewnętrzne zadowolenie. Tymczasem *rysunek*, samodzielne odtworzenie dobrze znanych dziecku przedmiotów, jest dla niego działaniem wielkiéj doniosłości, działaniem, którego wartość estetyczną dziecko pojmuje bezpośrednio; ono wié dobrze, że bogaci własność swoję, swój zasób przedmiotów, odtwarzając choćby na papiérze dom, drzewo i t. d. Ten dom rysowany zastępuje w wyobraźni dziecka w zupełności dom rzeczywisty; ono, narysowawszy własnym trudem dom, raduje się z jego posiadania tak samo jak człowiek dorosły, który w pocie czoła dorobił się własnego domu. Czyż godzi się przez lekkomyślne zaniedbanie rysunku pozbawiać umysł dziecięcy takiéj

potężnéj dźwigni wewnętrznego zadowolenia, takiéj zachęty do samodzielnego działania w całém znaczeniu tego słowa?

Jako bardzo pożądane dodatkowe środki wczesnego kształcenia zmysłu plastycznego wymienić jeszcze można: ulepianie i modelowanie figur z gliny, wosku lub chleba, wycinanie i układanie z papiéru różnych przedmiotów, budowanie klockami, malowanie i t. d. i t. d. Ale zauważyć należy, że to wszystko są tylko środki dodatkowe, które w należyty sposób zużytkowane być mogą tylko na zasadzie nauki *rysunku*, gdyż tylko przy pomocy téj nauki nabiéra oko i ręka potrzebnéj wprawy i pewności dla prawidłowego urzeczywistnienia zadań sztuki plastycznéj.

Z dziewiątym, czy dziesiątym rokiem życia rozpoczyna się dla dziecka zazwyczaj epoka nauki poważnéj, systematycznéj. Umysł dojrzewa coraz bardziéj, aż w końcu w szesnastym, czy siedmnastym, a u chłopców zazwyczaj dopiéro w ośmnastym, czy dziewiętnastym roku życia dosięga owego stopnia dojrzałości, uważanego za wystarczający, aby dalszy rozwój umysłowy wychowańca poruczyć przeważnie jego samodzielności. Pedagog przestaje już być *kierownikiem*, a staje się tylko *doradcą*, przyjacielem ojcowskim. Mając na oku tylko punkta wytyczne wychowania estetycznego, obejmujemy cały ten okrés jednym rzutem oka.

W okresie tym *poezya* zazwyczaj łączy się z nauką języka ojczystego i zredukowaną zostaje bądź do wymagania, aby wychowaniec kilkanaście wierszy na rok na pamięć się nauczył, bądź do wykładu niektórych elementarnych zasad teoryi poezyi. Szersze pojmowanie pedagogicznéj doniosłości *poezyi* jest dotąd jeszcze niestety objawem bardzo wyjątkowym. A jednak poezya w rozbiéranym okresie jest jednym z najpotężniejszych środków nietylko wychowania estetycznego, lecz wychowania w ogóle. Ona to jest najgłówniejszym czynnikiem w kształceniu *ideałów* wieku młodzieńczego,—a ideały, jak wiadomo, stanowią istotę umysłu młodzieńczego, najważniejszą sprężynę jego rozwoju i postępu. Od ideałów zależy cały charakter młodzieży, cała ich przyszła doniosłość dla społeczeństwa. Ztąd nie należy nigdy dla jakichś celów utylitarnych lekceważyć pedagicznego wpływu na wytworzenie ideałów młodzieńczych. Młodzież *musi* mieć ideały; one stanowią żywioł duchowy, bez którego młodzież istnieć nie może. Jeżeli zatém pedagog prozaik lub utylitarysta, mający na oku tylko ciasny zakres zawodowego wykształcenia, pozostawia bez uwagi tę stronę swéj działalności, natenczas młodzież wytwarzać będzie swoje ideały mimo jego woli i wiedzy, wedle swego upodobania i owych przypadkowych wpływów, które właśnie umiejętna pedagogika albo zupełnie usunąć,

albo w karby ująć pragnie. Tu zatém przejawia się cała niestosowność jednostronnéj utylitarnéj pedagogiki, zapominającéj zupełnie o ogólnie ludzkich potrzebach młodzieży, które są i rozwijają się bez względu na to, czy pedagog raczy na nie zwrócić swą uwagę lub nie.

Jakże kształcić *ideały* młodzieńcze? Trzy są główne drogi do tego celu: 1° oświecenie umysłu nauką, szczególniéj nauką historyi, racyonalnie traktowaną; 2° uszlachetnienie uczuć; 3° przedstawienie wzniosłych wzorów, budzących szacunek, podziw lub miłość. Dwa te ostatnie czynniki w kształceniu ideałów młodzieńczych wpadają zupełnie w zakres poezyi. Pierwszy z nich osiągniętym być może najlepiéj przez dobrą poezyą liryczną oraz balady i krótsze poematy z tłem uczuciowém. Drugi zaś czynnik spoczywa głównie we wzorowych utworach poezyi epickiéj i dramatycznéj. W skutek tego stopniowe zapoznanie młodzieży z klasycznemi utworami tych rodzai poezyi, o ile one są przystępne dla młodzieży i odpowiadają zasadniczym warunkom pedagogicznym, staje się obowiązkiem sumiennego wychowawcy. Że takie zapoznanie nie powinno się ograniczać do samego czytania tych utworów, lub uczenia się na pamięć pokaźniejszych wyjątków, lecz wymaga umiejętnych objaśnień ze strony pedagoga zdolnych uwydatnić prawdziwe piękności tych utworów, rozszerzyć umysłowy, estetyczny i moralny widnokrąg uczniów,—o tém osobno mówić nie potrzeba. Podobnież byłoby zbyteczném rozwodzić się nad doniosłością w tym względzie szczególniéj utworów klasycznych, mianowicie Greków,—gdyż powszechnie wiadomą jest rzeczą, że właśnie te utwory nietylko że są jedynemi w swoim rodzaju wzorami poetycznéj plastyczności wysłowienia, lecz nadto rozwijają najwznioślejsze ideały jasności umysłu, potęgi uczuć, nadzwyczajnéj siły i energii charakteru. O jakiémśkolwiek zaniedbywaniu utworów ojczystych, o ile takowe w celach pedagogicznych zużytkować się dadzą, naturalnie mowy być nie może.

Tylko uczucie, kształcone na najpiękniejszych wzorach poezyi, podaje rękojmią należytego rozwoju idealnych wytworów młodzieży; tylko ono może służyć jéj za wskazówkę życiową, za gwiazdę przyświecającą jéj na drodze do godnego urzeczywistnienia godnych ideałów i marzeń. Zarazem tylko smak estetyczny, udoskonalony na wzorach pierwszorzędnych, zdolny jest ocalić nas od owéj skarłowaciałéj zniewieściałości, która dziś jest panującą na polu estetyczném, a która wyraża się w tak powszechném zamiłowaniu do czczych efektów i w tylu innych nieokreślonych, mętnych a nieraz nawet przewrotnych dążnościach naszego czasu. Wreszcie nie należy zapominać, że należyte traktowanie poezyi jest nader ważnym

czynnikiem w wyrobieniu jasności, przystępności i obrazowości wysłowienia,—owych zalet tak ważnych dla każdego, kto myśli, uczucia i dążności swoje pragnie udzielić innym, a przez to stać się zrozumiałym dla szerszego koła. Wprawy stylistyczne na podstawie znakomitszych utworów poezyi stają się pod tym względem środkiem równie pouczającym jak skutecznym.

W wychowaniu domowém nauka *muzyki* w rozbiéranym okresie odgrywa zazwyczaj rolę najważniejszą. O niedostatkach panującéj w tym względzie praktyki już i u nas obszernie pisano. Któż nie wié, że muzyka traktowaną zostaje zazwyczaj tylko mechanicznie, że staje się zwykle przedmiotem bezmyślnéj mody, popisu, że o głębszém, prawdziwie estetycznêm jéj wpływie na wychowańca, a szczególniéj na panienki mowy być nie może w obec wysiłków, skierowanych prawie wyłącznie na biegłość i zręczność w palcach.

Wysiłki te, oraz wybór utworów powierzchownych, lekkich, pozbawionych prawdziwéj muzykalności mają zwykle za skutek albo zupełne zniechęcenie do muzyki, albo też zamiłowanie do niéj ze względów ubocznych, niemających nic wspólnego z poczuciem piękna. Sfera uczuciowa, wzruszenia serca, pozostają zwykle bez wszelkiego udziału w dzisiejszéj nauce muzyki, nawet po przezwyciężeniu trudności czysto technicznych. Są wprawdzie i u nas wyjątkowi nauczyciele muzyki, którzy dobrze pojmują, że sama mechanika i biegłość nie stanowi jeszcze muzyki, że prawdziwe wykształcenie zmysłu muzykalnego wymaga innych zupełnie, daleko wyższych warunków;—ale to są rzadkie wyjątki, które mało co zdziałać potrafią przeciwko ogólnemu prądowi zwyczaju i mody. Tymczasem w saméj rzeczy muzyka, traktowana w sposób właściwy, mogłaby zająć nader ważne miejsce w rozwoju estetycznym młodzieży. Ona jest najpotężniejszym środkiem dla rozbudzenia estetycznéj wrażliwości, dla złagodzenia i uharmonizowania uczuć, dla nadania, że tak powiem, ruchom ducha owego rytmu, taktu, który stanowi istotę muzykalności. Ale naturalnie do tego potrzeba, aby muzyka pozostawała przedewszystkiém sobą, aby działała na wychowańca, nietyle swoją stroną techniczną, ile swą stroną estetyczną, swą melodyjnością i harmonią, swym rytmem i taktem. Celem nauki muzyki jako czynnika ogólnego estetycznego wychowania nie może być nigdy wykształcenie wirtuozów, popisujących się na każde zawołanie efektowną techniką, lecz danie wychowańcowi w rękę trwałego środka rozbudzenia swego uczucia, wywołania w głębi serca owéj gry muzykalnych wzruszeń, która w harmonijnym swym rozwoju sprawia tak wysokie estetyczne zadowolenie, zdolne ukoić najnie-

spokojniejsze burze życia wewnętrznego. Dla osiągnięcia zaś tego celu bynajmniéj nie potrzeba łożyć na naukę muzyki tyle czasu i pieniędzy, jak to się zwykle dzieje, ze szkodą już nietylko rodziców, ale przedewszystkiém samych wychowańców. Ci ostatni bowiem umęczeni tyranią techniki fortepianowéj tracą zwykle wszelkie głębsze poczucie dla prawdziwego piękna, a w każdym razie dla jednostronnego traktowania muzyki pozbawieni zostają należytego rozwoju swego zmysłu plastycznego, tak niezbędnego, jak widzieliśmy, dla osiągnięcia wyższych celów wychowania estetycznego.

W imię zatém zdrowych zasad pedagogicznych śmiało domagać się można, aby wychowanie domowe ograniczało dotychczasowe jednostronne rozwinięcie nauki muzyki, aby z wyłączeniem wszelkich przesadzonych wymagań technicznych miało na oku tylko ogólne wykształcenie zmysłu muzykalnego przy pomocy gry fortepianowéj i śpiewu, pozostających w granicach, tak zwanego, domowego użytku. Czas zaś i pieniądze zaoszczędzone w ten sposób na muzyce można daleko lepiéj, z nierównie większą korzyścią dla wychowańca spożytkować przez należyte uwzględnienie nauki *rysunku*. Wykazawszy powyżéj obszerniéj doniosłość nauki rysunku, sądzę, że na podstawie téj doniosłości można wypowiedzieć wymaganie, że nauka rysunku powinna być zupełnie tak samo uważaną jako niezbędny warunek dobrego wykształcenia, jak nauka muzyki, że zupełna nieznajomość rysunku powinna uchodzić za taki sam niedostatek w wychowaniu, jak zupełna nieznajomość muzyki. Takie równouprawnienie rysunku z muzyką zaznacza minimum owych wymagań, które racyonalna pedagogika stawić winna w imię wewnętrznéj harmonii, prawidłowości i praktyczności wychowania estetycznego.

Prawda, że należyte zastosowanie nauki rysunku do praktyk wychowawczéj, szczególniéj w dojrzalszym wieku wychowańców, nie jest tak łatwém, jak się to często wydaje. Każdy dobrze zrozumié, że tu, podobnie jak w muzyce, nie wystarczy sama techniczna i mechaniczna strona rysunku, że od dobrego nauczyciela rysunku wymagać należy wtajemniczenia ucznia w główne zasady perspektywy, zapoznania go z estetycznemi prawidłami symetryi, proporcyi i t. d. Umiejętne zaś połączenie tych teoretycznych podstaw piękna plastycznego z nauką rysunku należy do trudniejszych zadań dydaktyki, i dlatego rzadko spotykać się daje u zwykłych nauczycieli rysunku. Ale i tutaj są wyjątki; i na tém polu, podobnie jak w zakresie muzyki, posiadamy siły artystyczne, gruntownie obeznane z teoretycznemi podstawami swéj sztuki, a zdolne zarazem wy-

łożyć takowe w sposób jasny i przystępny. W każdym razie dobra nauka rysunku nie przedstawia więcéj trudności jak dobra nauka muzyki, i dlatego w imię tych trudności nie powinna być zaniedbywaną. Przeciwnie, ważne korzyści, jakie dla wychowania wypływają z nauki rysunku, powinny zachęcić do przezwyciężenia wszelkich tego rodzaju przeszkód, a wyznać należy, że osiągnięcie tego celu nie wymaga zbyt wielkiego zasobu dobréj woli i energii; potrzeba tylko w imię miłości młodzieży i zdrowych zasad pedagogicznych wyzwolić się od istniejącéj rutyny, od wpływu mody i nawyknienia. Zbawienne zaś skutki wynagrodzą wkrótce taki postęp w racyonalném zużytkowaniu środków wychowania estetycznego. Bo w saméj rzeczy, tylko od należytego rozpowszechnienia nauki *rysunku* spodziéwać się można tak pożądanego rozwoju estetyki *życiowej*, zamiłowania szerszych warstw społeczeństwa do upiększenia domu, do czynnego poparcia sztuki plastycznéj, do podniesienia rzemiosł zbratanych ze sztuką i jéj zadaniami. Tylko prawidłowa działalność zmysłu plastycznego zdolną jest wybawić dążności estetyczne naszego czasu od owego subjektywizmu, od owego rozprzężenia i niespokoju, wypływającego z uległości dla przypadkowych zachcianek podmiotu, nieograniczonych żadnym pierwiastkiem przedmiotowym, stałym, niezmiennym. Tylko zmysł plastyczny zawiéra w sobie rękojmią prawdziwie poważnego traktowania sztuki, wolnego zarówno od zniewieściałego romantyzmu, jak od szukania istoty sztuki w efektach zmysłowych. Zmysł plastyczny Greków nadał wszystkim estetycznym dążnościom tego narodu piętno samodzielne, klasyczne, będące wzorem harmonii, powagi, estetycznéj doskonałości aż po dzień dzisiejszy. A najznakomitszy poeta nowszych czasów, odznaczający się i w swoich utworach poetycznych niezwykłą przedmiotowością,—plastyką, Göthe,—zaznacza sam, że przedmiotowość tę swojéj poezyi zawdzięcza przeważnie nauce rysunku, któréj się oddawał nawyknieniu oka do form piękna plastycznego, i dodaje, że pracownia wielkiego artystysty, uważne studyowanie dzieł sztuki plastycznéj jest najlepszą szkołą dla rozwijającego się poety, szkołą nieraz daleko korzystniejszą niż abstrakcyjne wywody estetyków i krytyków. Prawda, nie należy zapominać, że duch nowszych czasów, a szczególnéj nowéj sztuki, jest przeważnie romantyczny, muzykalny; żadne wysiłki pedagogiki nie zdołają zmienić tego ducha, wszczepić w niego znowu owę naiwną prostotę i przedmiotowość, która charakteryzuje sztukę klasyczną. Ale o takie sprowadzenie ducha czasu, jego dążności artystycznych z toru dziejowego rozwoju wcale tu nie chodzi. Idzie tylko o to, aby zapobiedz jednostronnym wytworom tego ducha, aby uzupełnić jego niedostatki niezbęd-

nemi czynnikami przedmiotowego piękna, aby dać zarówno każdéj jednostce, jak i całemu społeczeństwu, możność osiągnięcia co raz wyższego szczebla estetycznéj doskonałości, a témsamém coraz wznioślejszych rozkoszy duchowych. A to wszystko właśnie urzeczywistnioném być może tylko przez właściwy kierunek wychowania estetycznego, przez należyte kształcenie w młodzieży poczucia dla piękna form zewnętrznych, przez prawidłowy rozwój zmysłu plastycznego, wzroku, tak niesprawiedliwie zaniedbywanego na korzyść czysto podmiotowych tendencyj poezyi i muzyki.

Henryk Struve.

CZTERY OGNISKA CYWILIZACYI.

Vergleichende Culturbilder, aus den vier Europäischen Millionnenstädten (Berlin—Wien—Paris—London) von Louis Faucher. Hannover 1877. Der Organismus einer Weltstadt, von G. Ebe.

Liebig powiedział, że miarą cywilizacyi narodów jest zużywana przez nie ilość mydła; ktoś inny dopatrywał skalę kultury w mniejszéj lub większéj dbałości o pewne domowe urządzenia, których nazwa niełatwo wysuwa się z pod dyskretnego pióra. Jakkolwiekbądź zapatrywać się będziemy na te materyalne probierze postępu, przyznać nam wypadnie, że odpowiadają one w zupełności i duchowi czasu i naturze tego postępu, który, pracując gorączkowo nad zniesieniem czasu i przestrzeni, nad zneutralizowaniem wszelkich oporów stawianych człowiekowi przez materyą, chełpi się wyniośle z tego, że uduchownia materyą.

Przypomina to czasem jezuicką kazuistykę, dozwalającą dbać o wygody ciała w przezorném przewidywaniu, że zadowolona doczesna powłoka nie będzie w takim razie stawać na przeszkodzie duszy w jéj polotach nad poziomy.

Przyszłość okaże czy rezultatem téj pracy nie jest raczéj zmateryalizowanie ducha; tymczasem niepodobna zaprzeczyć, że znaczna część zdobyczy duchowych na polu wiedzy wcieliła się w praktyczne wyniki, dzięki którym ostre kąty i chropowatości egzystencyi materyalnéj wygładzają się, polerują i nadają życiu ów połysk zewnętrzny, który nie będąc samą cywilizacyą, jest niewątpliwie ważną jéj oznaką.

Taki połysk powierzchownéj kultury świeci punktem mniéj więcéj jasnym, w oszlifowanych soczewkach, skupiających w sobie życie społeczeństw w wielkich stolicach; porównanie więc siły

jego blasku w najgłówniejszych ogniskach staréj cywilizacyi może mieć pewną stronę pouczającą.

Wszelkie jednak pod tym względem zestawienia powinienby poprzedzić szkic jakiegoś typowego ustroju wielkiego miasta, co znowu jest prawie niemożliwém do spełnienia. Określić ogólne prawa ekonomiczne i estetyczne, według których milion lub więcéj ludzi rozmieszcza się w jakiéjś miejscowości w obrębie olbrzymiego miasta, równa się nieledwie wynalezieniu kwadratury koła.

Zanim pasterz i rolnik przekształcił się na mieszkańca miasta, a ostatecznie na obywatela wielkiéj stolicy, długą przebyć musiał drogę.

Na pośrednim jéj etapie, w okrésie sadowienia się mniejszemi grupami, jednostka zachowuje jeszcze dostateczną swobodę ruchu, każdy uprawiać może własny zagon, nic mu nie staje na przeszkodzie w czerpaniu środków utrzymania ze źródeł naturalnych, żadne zewnętrzne wpływy nie wstrzymują téż procesu krystalizacyi jego charakteru. Główny warunek fizycznego bytu, zdrowie, nie potrzebuje żadnych sztucznych urządzeń, czuwających nad czystością powietrza, wody i ziemi; blizkie, niczém nietamowane sąsiadowanie z naturą w zupełności do tego celu wystarcza.

Inaczéj i trudniéj kształtują się warunki życiowe w ciasném ogrodzeniu nowożytnéj stolicy, gdzie samo jądro miejskiego życia odgraniczone jest sztuczną łupiną od bezpośredniego zetknięcia z przyrodą, gdzie wielkie połacie domów tamują swobodny przewiew powietrza, gdzie wybrukowany i ściśnięty na różne sposoby grunt z trudnością chłonie wodę deszczową i inne płynne nieczystości, gdzie wreszcie mieszkaniec sprawy swego wyżywienia, przenoszenia się z miejsca na miejsce i w ogóle wszelką swobodę ruchów zdać musi na istniejące raz na zawsze organa wielkiéj maszyny, a pozostawioną sobie samodzielność, tysiąckrotnie jeszcze ograniczać jest zmuszony interesami swoich współmieszkańców.

Potrzebna tu jest mądrze obmyślana, na podobieństwo kolosalnego mechanizmu urządzona organizacya, któraby różnostronnie powikłane stosunki sprowadziła znowu do normy prostéj i zdrowéj natury, co stanowi ekonomiczną stronę zadania. Nareszcie do sztuk pięknych, szczególniéj do budownictwa, należy treść duchową wcielić w formy plastyczne. Pierwszą fazą miasta, wychodzącego z bezkształtnego chaosu jest architektoniczne rozczłonkowanie, pod którego prawo twórca Boskiéj komedyi piekło nawet poddaje, dzieląc je na ściśle odgraniczone kręgi. Przypadek może częstokroć w niespodzianéj igraszce skrzyżować ideę przewodnią, ale twórczo dzia-

łać nie jest w stanie, tém mniéj kaprys jednostki, choćby nawet wielkiemi rozporządzała środkami.

W wiekach średnich zajmowano się kreśleniem planów miast idealnych; Albrecht Dürer był twórcą jednego z takich projektów, a jako syn swego czasu główną zwracał uwagę na obronność grodu. W nowszych czasach Schinkel pozostawił w papiérach swoich plan stolicy, nakreślony z myślą, ażeby etyczna idea głównego ogniska państwowego przedstawiła się w możliwie pięknéj formie. Więc akropolis zamyka i otacza u niego wszystkie gmachy poświęcone duchowym i najwyższym sprawom i dlatego zewnętrznie wyróżnia się pozycyą na większéj wyniosłości. W środku wznosi się rezydencya panującego z kopułą zakończoną koroną, obok niéj, nieco wyżéj, sterczy olbrzymia gotycka katedra. Muzea, gmachy przeznaczone na cele naukowe i rządowe, pałace magnatów okalają tę grupę. Od akropolis przez piękne propyleo—wspaniała ulica prowadzi w dół do dzielnicy pracy i zarobku, następnie od domów kupieckich, bliżéj akropolis położonych, dochodzi się do ożywionéj żeglugą rzeki, nad brzegami któréj kwitnie handel i rzemiosło, spotęgowane do znaczenia fabrykacyi.

Jestto fantastyczne marzenie budowniczego poety, w którém, pominąwszy byzantyjską ideę państwową, znajdujemy rozwiązanie tylko estetycznego zadania. Nieubłagane wymagania życia, zasada ekonomiczna, nie mogła w niém być uwzględnioną. Ta druga strona zadania, troszcząca się przedewszystkiém o usunięcie następstw wielkiego nagromadzenia ludzi na ciasnéj przestrzeni, nie była jeszcze przez pojedyńczych myślicieli konsekwentnie traktowaną.

Rozstrzygnięcie zadania w tym kierunku musiałoby się oprzéć na wielu wymaganiach przeciwstawionych wszystkim niedogodnościom, nieodłącznym od wielkich miast i ciągle wzrastającym w miarę powiększenia się liczby mieszkańców. Przedewszystkiém wypadłoby ograniczyć budowanie co do powierzchni zajmowanego gruntu i co do wysokości, ażeby mieszkańcy nie odbiérali sobie powietrza i światła, ażeby płuca jedne w drugie nie oddychały, ażeby nie rozmnażały się przez to zarodki najrozmaitszych chorób; następnie należałoby poplątane mrówcze szlaki i drożynki skierować na praktycznie urządzone linie komunikacyjne, uregulować dowóz środków do życia, zewnątrz z surowego materyału przerobionych, i rozdział głównych potrzeb życiowych ustanowić na stosownie wybranych punktach; świéża, zdrowa woda musiałaby pod sztucznem ciśnieniem dostawać się z wielkich arteryj aż do ich najdrobniejszych rozgałęzień na wszelkie wysokości i głębokości, równie jak gaz przeznaczony do ogrzewania i do oświetlania; wreszcie wszystkie pozostało-

ści nieużyte, przerobione, lub wydzielone równie jak woda deszczowa niewchłonięta przez grunt opancerzony, musiałyby ustąpić z obrębu miasta przez rury podziemne i nieprzenikliwe, ażeby nie zarażać powietrza i ziemi wyziewami zgnilizny.

Dla zaspokojenia tych wymagań, nieodzowny jest mechanizm nader skomplikowany, którego części według swéj natury znajdują się nad lub pod powierzchnią ziemi i w którém najmniejsze kółko nie może odmówić posługi bez narażenia na szwank wygody, a nawet bytu znacznéj liczby ludzi. Myli się bardzo ten, kto sądzi, że naszkicowana wyżéj organizacya sama z siebie urzeczywistniać się będzie w miarę postępującego zabudowywania miasta; działo się zwykle przeciwnie, i ludzie przez ciężkie przechodzić musieli próby, ażeby stopniowo zdobywać sobie ustrój, który w grubych tylko nakreśliliśmy rysach. Rzeczy szły i w tym wypadku zwykłą koleją ludzkich przedsięwzięć; niedogodności dojść musiały do punktu, w którym stały się nie do zniesienia, zanim o ich usunięciu pomyślano, a i dziś nawet, mimo wysoki szczebel naszéj cywilizacyi, dalecy jeszcze jesteśmy od stanu zupełnie zadawalającego. W takiém téż znaczeniu rozumiéć należy znane słowa Bismarcka o zgubności stolic, których prawdziwość nie ulega zaprzeczeniu, jakkolwiek komunie Paryskiéj w części tylko udało się praktyczną ich doniosłość wykazać. W rzeczywistości ani miłość, ani nienawiść nie są w stanie zmienić elementarnéj konieczności, z jaką rozwijają się wielkie miasta, a polityczny środek każdego organizmu państwowego zawsze stać się musi wielką stolicą.

Rzuciwszy okiem wstecz na zdobycze dawnéj kultury w tym kierunku, w starożytnych miastach Wschodu nie spotkamy się bynajmniéj z wzorową organizacyą. Wprawdzie przedhistoryczne podania przechowały nam rysy wspaniałéj symboliki: jak np. siedm murów otaczających Ekbatanę, odpowiadających siedmiu planetom; lub zgrupowanie Babylonu około piramidy Belusa, ale o urządzeniach zmierzających do udogodnienia praktycznego życia, nie dowiadujemy się nic zgoła. Nowsze miasta na Wschodzie mogą duszę poetycznego spostrzegacza czarodziejskim usidlić urokiem, ale trzeźwe oko nie dostrzeże w nich nic więcéj prócz zbiorowisk bez spójności i gniazd wielkich epidemij, które, ztamtąd wyszedłszy, spełniają w całym świecie straszne dzieło zniszczenia. Fatalistyczny nastrój mieszkańców Wschodu zdaje wszystko na przypadek, co najwyżéj na hodowane bez trudu, jeżeli nie ubóstwiane zwierzęta, żywiące się padliną. Taki stan naturalnéj ochrony, przypomina dziś jeszcze współczesny Konstantynopol, ze swemi trzodami dzikich psów, tępiących szkodliwe dla zdrowia pozostałości, i ze swemi nieudolnemi

urządzeniami przeciw powtarzającym się olbrzymim pożarom. Podobne wschodnie niedbalstwo znajdujemy nawet w południowych Włoszech, gdzie deszczom, padającym w pewnych określonych porach, pozostawia się oczyszczenie ulic z odpadków piętrzących się w góry.

Jedyna w swoim rodzaju gwiazda pierwszéj wielkości, Roma starożytna, przedstawia nam się w swojéj klasycznéj szacie, mało wiekami uszkodzonéj. Charakterystycznym rysem Rzymu, jako wielkiego miasta, jest samodzielne rozwinięcie się jednéj tylko, z pomiędzy wszystkich sztuk pięknych, architektury, i skierowanie téj samodzielności przeważnie do rozstrzygnięcia praktycznych zadań życia realnego. *Cloaca maxima*, wspaniały pomnik Tarkwiniuszów, dziś jeszcze oddaje usługi i uchodzić może za pierwowzór naszéj nowoczesnéj kanalizacyi miejskiéj. Liczne wiadukty, przeprowadzone za pomocą olbrzymich arkad, z gór o kilkanaście mil odległych, nie mają podobnych sobie nigdzie i aż do zbytku zaopatrują miasto w wodę z najzdrowszych źródeł. Jakaż przepaść dzieli te kolosalne urządzenia od lichych wodociągów w nowożytnych stolicach, których mieszkańcy muszą się za szczęśliwych uważać, jeżeli dostaje im się jakiś surrogat wody zdatnéj do picia. Nadto posiadał Rzym ogniska życia publicznego, urządzone z wszelką okazałością sztuki budowniczéj i streszczające wraz ze świątyniami, łukami tryumfalnémi i pomnikami wielkość polityczną, nigdy i nigdzie już późniéj nie doścignioną. Niezrównany blask tego środkowego punktu świata nie powinien nas wszakże zaślepiać na ciemne strony obrazu: złe nieodłączne od miast chroniących miliony ludzi srożyło się tam w stosunku prostym do świetności. Rewolucye zgłodniałego tłumu, który, oprócz niewystarczających środków do życia czerpanych wprost z łona natury, musiał być przez rząd żywiony, zapisują krwią nie jednę stronicę historyi rzymskiéj. Przedsiębrano niejedno, ażeby złemu zapobiedz; mnóstwo urządzeń, budzących w nas podziw jeszcze dziś, służyło do tego celu. Wskazać tu np. wypada port w Ostia, następnie drogę wspaniałą, poprowadzoną z Brundisium ku przeciwległemu brzegowi, wreszcie spichrze nad Tybrem, dopełniające rozumnie obmyślaną całość. Zaokrąglając obraz, wspomnijmy o teatrach, z których największy, *Circus maximus*, mieścił według Pliniusza ośmdziesiąt tysięcy czterystu widzów; nie mniejszą wagę przywiązywano też do budowli, przeznaczonych na publiczne kąpiele, których za czasów Konstantyna liczył Rzym aż piętnaście. Klęska, trapiąca nas dzisiaj; ciasne i zbyt wysokie budynki, w znacznéj mierze już wtedy dawała się uczuć; historya Rzymu wspomina o domach siedmiopiętrowych i o przepisach, wzbraniających budować zbyt wysoko. Ogólne wrażenie z wiadomości pozostałych o dawnym Rzymie da się

streścić w zdaniu: że, pod względem śmiertelności mieszkańców, wieczne miasto nie przewyższało dzisiejszych naszych stolic.

Cyfry śmiertelności podawane przez statystykę, choć niedość jeszcze niestety pod względem przyczynowym wyjaśnione, stały się dziś miarą lepszéj lub gorszéj organizacyi miejskiéj, a wynikłe ztąd punkta porównania są bodźcem do stosownych ulepszeń. Jak dalece ożywiona działalność na tém polu zapanowała w nowszych czasach, wykazać może rzut oka na główne ogniska cywilizacyi europejskiéj. W Paryżu, w Londynie walą się w gruzy całe dzielnice, zostawiając swobodę powietrzu, światłu i dogodnym komunikacyom. Berlin znaczny udział w tych dążeniach przyjmuje. Koléj miejska, koléj konna, drugi kanał do żeglugi, kanalizacya, popychają stolicę cesarstwa niemieckiego o spory krok naprzód, jeżeli nie do marzonéj godności „stolicy świata", to przynajmniéj do znaczenia pierwszorzędnego politycznego *centrum;* wreszcie i postać Wiednia przez zabudowanie dawnych wałów (glacis), przez gęstą sieć wzorowych tramwayów, przez uregulowanie koryta Dunaju, zmieniła się do niepoznania. Czystości a zatém zdrowia mieszkańców nigdy dość drogo okupić nie można. Wzmiankowane wyżéj postępy zbliżają nas dzisiaj bardziéj niż kiedykolwiek do rozstrzygnięcia zadania dobréj organizacyi miast; o ile zaś w obecnéj chwili blizcy jesteśmy tego ideału, wskaże pobieżny, porównawczy rzut oka na cztéry pierwszorzędne stolice europejskie: na Londyn, Paryż, Wiedeń i Berlin.

I.

Zaczniemy od Londynu—a do dania takiego pierwszeństwa stolicy połączonych królestw, skłania nas nietylko największa, cztéromilionowa cyfra mieszkańców, ale i ta ważna okoliczność, że położenie geograficzne Anglii odbiło się w sposób wyjątkowo charakterystyczny na Londynie, pozwalając mu swobodniéj i samoistniéj rozwijać się w kierunku normalnym, dążącym do wyżéj określonéj stołecznéj organizacyi, „któraby różnostronnie powikłane stosunki sprowadziła znowu do normy prostéj i zdrowéj natury." Zamknięty w sobie indywidualizm, wynik wyspiarskiego odosobnienia, nietylko przygotował historycznie grunt pod zasiew Manchesterskiéj polityki względem innych narodów, a w stosunkach społecznych Anglii wyrobił twardą zasadę samopomocy, lecz i w główném ognisku jéj życia, w Londynie, dał początek znanéj dewizie: „my honse is my kingsom", według któréj czteromilionowy gród zabudował się i buduje dotychczas.

„Dom mój jest mojem królestwem, mówi z dumą Anglik, i może to powiedzieć tylko w Londynie, gdzie nasz system wznoszenia wielopiętrowych koszar na mieszkanie do najęcia jest prawie nieznany, gdzie każdy dom, zawierający niedostępne dla obcych i nietykalne mieszkanie pojedyńczéj rodziny lub jednostki, jest taką samą odosobnioną wśród innych wyspą, jak Wyspy Wielkiéj Brytanii względem reszty krajów Europy.

Zasady nieinterwencyi w cudze sprawy broni Anglik w życiu prywatném równie jak w politycznem, a najlepszą jéj rękojmią zapobiegającą, ażeby się w jego sprawy nie mięszano, jest mieszkanie, swobodne w górze, na dole i ze wszystkich stron od sąsiadów współmieszkańców.

Że taki system mieszkań uwydatnia się w postaci domów, w fizyognomii ulic, wreszcie w ogólnéj konfiguracyi miasta, które rozkładać się musi na większych przestrzeniach, aniżeli miasta kontynentalne, wynagradzające sobie na wysokość przymusową oszczędność na szerokości; że stanowi on palladyum najdroższéj formy wolności osobistéj, wolności domowego ogniska, tego co Anglik *home* nazywa;—o tém teoretycznie przekonany jest każdy mieszkaniec stałego lądu. Mimo to jednak na miejscu wszystko wydaje mu się niezwykłém, nowém.

A najprzód ludzie, których spotyka już w Southhampton, w tym porcie Londynu, w tym, że się tak wyrazimy, dworcu kolei żelaznych całego świata.

Głowy tu węższe *en face*, szersze w profilu, piersi szczupłe, biodra szerokie. Na twarzach mężczyzn i kobiét rozlewa się blask jakiś nieznany na lądzie stałym, będący skutkiem nietylko świeżéj cery, ale i szczególniéj silnéj, sprężystéj muskulatury około oka, ust, a szczególniéj w nozdrzach: zmarszczki około oczów i kątów ust nie zdarzają się prawie wcale, słowem, jest się w obec świeżości nietylko jednostki, ale i rasy. Pokrewnego szczepu Niemcy wyglądają przy tych zdrowych okazach jak jabłka suszone przy świeżo zerwanych. Oczy Anglików, wypukléj wystające w orbitach, spoglądają nieruchomo, marząco—a jeżeli błyszczą, to tak jak u dzieci. Rzęsy niepraktykowanéj u nas długości są ozdobą powieki, która otwiéra się i zamyka znacznie wolniéj. Ciężkie, obfite a długie włosy u kobiét w giętkich splotach spadają im na plecy; mężczyznom zarost skąpo wschodzi na brodzie i pod nosem,—gęsto na policzkach. Kolor włosów, po większéj części blond, różni się od barwy niemieckich głów odcieniem jasnobrunatnym z domieszką czerwonawego. Mężczyzni wyglądają często jak kobiéty, kobiéty nigdy nie mają w sobie nic mezkiego, jak we Francyi, a szczególniéj w Paryżu.

Brzmienie mowy i ruchy ust przy mówieniu zlekka przypominają, równie jak postać mieszkańców, dolno-niemieckie pochodzenie; ale złudzenie znika szybko, ten sam dźwięk, ta sama natura organu, nie mają tego samego psychicznego i deklamacyjnego znaczenia.

W trybie życia odzywają się również właściwości dolno-niemieckiego szczepu: skłonność do odosobnienia, zamiłowanie czystości widoczne nietylko w bieżących czynnościach, ale i w sztywnych tradycyjnych formach, nacechowanych pewném specyficzném znamieniem.

Skutkiem jakiegoż procesu, wychodźcy dolno-niemieccy, Anglowie, Saksonowie, Fryzowie, opuściwszy te same brzegi, z których dziś prąd emigracyjny kieruje się ku Nowemu Yorkowi, i założywszy siedm wolnych państewek wśród opuszczonych przez Rzymian Celtów, mimo wybitne dawniejsze rysy w postaci zewnętrznéj i w wewnętrznym duchowym ustroju, różnią się przecież tak stanowczo od innych mieszkańców Europy?

Prostą mięszaniną szczepów wytłómaczyć się to nie da, bo w takim razie nie uderzałoby tak wielkie podobieństwo z najczystszym szczepem—z Fryzami. Niewątpliwie takie krzyżowanie odbywa się do dziś dnia. Celt, Duńczyk, francuski Norman, Flamandczyk przybyły w XVI wieku, którego potomkowie mieszkający w Kent i w Londynie rozpowszechnili w Anglii tkactwo i porter, Hugonota osiadły w XVII wieku, Niemcy i Skandynawy napływający do dziś dnia—wszystko to przetopiło się w ogniu wspólnego życia, niezostawiając po kilku pokoleniach żadnego po sobie śladu;—wszystko stało się napowrót dolno-niemieckiém w specyficznéj angielskiéj formie.

Przyczyną tego zjawiska jest raczéj wewnętrzna hodowla, odpowiadająca w zupełności obyczajom narodowym i prawom z tych obyczajów wynikłym. Anglia, z małym wyjątkiem wyższych warstw społecznych, była po wszystkie czasy krajem małżeństw ze skłonności, gdzie mąż od żony nie wymaga posagu, a nawet wyprawy, gdzie czynności dziewczęcia nie są kontrolowane, gdzie rodzice co najwyżéj mówią do córki „tego nie powinnaś robić", ale nigdy nie powiedzą—„to powinnaś robić." Prawo naturalnego i płciowego wyboru miało w kraju, gdzie zostało odkrytém, największe między ludźmi zastosowanie. Otóż to prawo, działające w ciągu czternastu wieków na sześćdziesiąt następujących po sobie pokoleń, wyszło na korzyść szczepu dolno-niemieckiego, czemu trudno się dziwić ze względu na piękność kobiét holsztyńskich, brunświckich i wschodnio-fryzyjskich. Widocznie w opancerzonéj Brytanyi kryje się *Venus*

victrix. Cecha kobiécości, znamionująca cały lud, i korzystny dla kobiét stosunek uzdolnienia i wpływu płci niewieściéj względnie do męzkiéj zdaje się również wynikać z tego 1400-letniego procesu, który i inne jeszcze wyjaśnia różnice między wyspą i lądem stałym. Jednostka pokrewnego z Anglikiem szczepu, porównywając się ze współplemiennym osobnikiem, może z pewną słusznością powiedzieć: „to, co pojmie głowa angielska, pojmę i ja.“ Ale ta sama jednostka ze zdumieniem patrzéć musi na Anglików, jako na naród wprowadzający w życie takie rzeczy, które w Niemczech np. natrafiają na nieprzezwyciężone przeszkody, i do których Niemcy jako naród nigdy nie będą w stanie dać inicyatywy. Spostrzeżenie, że to co najprzód jeden anglik pojmie, pojmą wkrótce wszyscy po krótkiéj walce zdań za i przeciw,—stopniowo dopiéro rozjaśnia niezrozumiałe zjawiska, aż nareszcie badacz zrozumié, że ma do czynienia nie tyle z szerzącym się wpływem jednostkowego przekonania, ile raczéj z jednoczesném ujawnianiem się podobnych myśli, co świadczy o mnogich podobieństwach w ustroju myślowym między pojedyńczymi Anglikami. Wtedy dopiéro pojąć można, że owa zbiorowość czynów, która na lądzie stałym przemocą się tylko urzeczywistnia, jest podstawą angielskiéj inicyatywy i angielskiéj wolności.

Jeżeli z wyżyn życia politycznego i społecznego zstąpimy do codziennych spraw i zabiegów olbrzymiego mrowiska, które się stolicą nazywa, spostrzeżemy, że ciągły rozwój i wzrost Londynu, téj wolności także przypisać wypadnie.

Nazwał ktoś Londyn plamą tłustości, rozlewającą się ciągle na karcie Anglii. Gdzie, kiedy i jak zatrzyma się, straszny w swéj szybkości wzrost Londynu, największéj, a przedewszystkiém najludniejszéj dziś na świecie stolicy? Jaki wypadek niespodziany, jakie wstrząśnienie powolne lub nagłe położy tamę szerzeniu się tego ludzkiego mrowiska. Ważne te pytania zasługują, zdaniem naszém, na głębszą uwagę myślicieli.

Lat temu niespełna dwadzieścia, Anglicy z pewną dumą powtarzali, że stolica ich wykazuje jedyną wtedy, niesłychaną w Europie dwumilionową cyfrę ludności. Od tego czasu cyfra podwoiła się, według bowiem dokonanego jeszcze w r. 1871 spisu ludności, Londyn liczył wtedy przeszło cztéry miliony mieszkańców. I na tém nie zatrzyma się przyrost ludności, bo obecnie zwiedzając niezliczone *suburbs* (przedmieścia), które tworzą obwód miasta i dopóty grawitują do jego środka, dopóki nie zleją się z nim zupełnie, niepodobna przebyć pięciuset kroków, ażeby się nie znaléźć w obec pola przekształconego ze spokojnego niedawno pastwiska na coś, co wkrótce zakipiéć ma życiem bynajmniéj nie sielskiém. Przed trze-

ma miesiącami pasły się tu barany; dziś na polu, przerzniętém głębokiemi rowami, najeżoném stertami ziemi błotnistéj, cegły, drzewa budulcowego, wśród krzątających się robotników, wynurzają się zarysy nie pojedyńczego domu, lecz caléj ulicy. Ta zmiana dekoracyi, zakrawająca na czarodziejstwo ze względu, na krótkość czasu, odbywa się jednocześnie od wschodu, od za chodu, od południa i od północy: na wszystkich punktach widnokręgu. W ciągu kilku miesięcy stanie gotowa ulica z chodnikami, z oświetleniem gazowém, z nazwą King-Street, Queen-Street, lub Albert Street i z mnóstwem ludności, która zajmowała domy jeszcze wtedy, kiedy w nich cieśle, mularze, stolarze lub malarze wykończali swoję robotę.

Główną przyczyną tego prądu popychającego w Anglii mieszkańców wsi ku wielkim ogniskom (podobnie jak Londyn wzrastają także: Birmingham, Manchester, Liwerpool etc.) jest, jak już wspomnieliśmy wyżéj, wolność nierównie większa po miastach, aniżeli gdzieindziéj. Pokrzywdzona jednostka w mieście przedewszystkiém może głos podnieść i znajdzie poparcie zarówno w prasie jak na trybunie Swoboda żywego i drukowanego słowa, którą Anglik tak słusznie się szczyci, w miastach ma najwłaściwsze siedlisko; wszędzie zresztą na wsi, rzeczy idą zawsze trochę po feudalnemu, i opowiadania Fieldinga w *Tom Jones* niezbyt jeszcze dziś rażą anachronizmami. W miejscowościach niezaludnionych na tyle, ażeby w nich mogły wychodzić dzienniki, lub odbywać się meetingi, właściciel wiejski jest panem, przed którym wszystko drży i głowę skłania. *The lord of the manor* z konieczności staje się despotą: jest bogatym i prawie wszechmocnym: w sądzie miejscowym zasiada jako *justice of the peace* obok swego plenipotenta, dzierżawców i *clergymana*, który co tydzień jada u niego obiady; możnaż przypuścić ażeby w takim komplecie głos jego nie miał paraliżującéj przewagi.

I dlatego to wieśniacy angielscy, począwszy od żyjącego z dochodów aż do wyrobnika, gorączkowo dążą do miast, a szczególniéj do stolicy, gdzie istnieje wolność mowy i prasy, gdzie się nie jest na łasce tyrana w miniaturze, gdzie zarówno możny jak maluczki może w kątku ciasnym, ale własnym powtarzać *my house is my kingdom*, znaleźć się w swoim klubie między podobnymi sobie, a na meetingu, niezależnie bronić własnych przekonań. O ile ta wynikająca z wolności namiętność do indywidualizmu przeradza się w domu w despotyzm rodzinny, w klubie w despotyzm excentryczności, na meetingu w despotyzm przekonań—nie jestto przedmiotem niniejszego szkicu, w którym życie Londynu rozważane być ma bardziéj z materyalnéj, aniżeli duchowéj strony. Wyznaczywszy więc trzy

główne tego życia funkcye, wypadnie teraz w organizmie stołecznym zbadać odpowiednie im organa.

Zrozumieć dokładnie Londyn wtedy dopiéro można, kiedy się zbada w jaki sposób Anglik mieszka.

Na każde mieszkanie w Londynie, bądź szczupłe, bądź obszerne, bez względu na to, czy je zajmują ludzie bogaci, czy biedni, zużytkowany jest cały dom, przy największém nawet ubóstwie mieszkańców, od innych odosobniony i nigdy niepozbawiony sieni, choćby najmniejszéj. W całéj więc olbrzymiéj stolicy nie napotkamy domu prywatnego, zawiérającego więcéj niż jedno mieszkanie, wyjąwszy może tam, gdzie dyletanci w reformatorstwie społeczném zadali gwałt tradycyjnemu systematowi budowania, dla dania przytułku téj warstwie społeczeństwa, która się sama za połowiczny pauperyzm uważa. Polem takich prób socyalnych jest jedna w Londynie ulica obstawiona domami, w których usiłowano przeszczepić lądowy obyczaj piętrowych mieszkań, z wielkiemi materyalnemi stratami, w części zaledwie późniéj powetowanemi przez odnajmowanie całych domów władzom rządowym, lub utrzymującym hotele. Oprócz tego, znaleźć można tu i owdzie również poronione eksperymenta, podjęte w celu pomieszczenia klasy roboczéj, jak np. w Kensington-Common dom wzorowy (model—lodging—house) na cztery rodziny postawiony przez księcia Alberta, którego śladem poszła wszelaka filantropia, budując różne wspólne mieszkania (double, treble, quadruple cottages) bez względu na to, że lud angielski przywykł uważać przymusowe wyrzeczenie się rodzinnego życia przy własném oddzielném ognisku, za prostą drogę do domu roboczego. Z temi więc małemi wyjątkami (które, zacisnąwszy się w jednę dzielnicę miasta, mogą w oczach powierzchownego badacza poważne przybiérać rozmiary), w sieci ulic wynoszącéj 500 mil niemieckich wszystkie domy w liczbie 530.000 urządzone są w ten sposób, ażeby każdy zajęty był przez jednę tylko rodzinę.

Począwszy od pewnego szczebla towarzyskiego, aż do najwyższéj warstwy społecznéj, różnice majątkowe i stanowe bardzo nieznacznie wyrażają się w liczbie pokoi i w ich rozmiarach. Mimo arystokratyczną cechę społeczności angielskiéj, w Anglii o wiele większa panuje równość aniżeli na stałym lądzie. W granicach jednéj i téj saméj warstwy społecznéj, odskoki są nierównie częstsze i zależą nie tyle od dochodów, ile raczéj od powołania mieszkańców.

Dom zawiéra oprócz suteryn, których brakuje chyba tylko na odległych przedmieściach i w miejskich willach dawniejszéj budowy, i oprócz właściwego dołu najmniéj jedno, a najwyżéj trzy piętra.

W suterenach, oddzielonych od ulicy rowem (area), który odkrywa frontową ścianę domu aż do fundamentów, na dół obfitsze przepuszcza światło i mieszkanie chroni od wilgoci, mieści się kuchnia i piwnice na kartofle, piwo, wino itp. W miarę jak dom większą zajmuje powierzchnię przybywa tam jeszcze pralnia, i izba stanowiąca drugi jadalny pokój, lub też w zamożniejszych, dla służby przeznaczona. Piwnica na węgiel znajduje się po za obrębem domu, po drugiéj stronie rowu pod samą ulicą; prowadzą do niéj z kuchni drzwi szklane i drugie drzwi w ścianie rowu umieszczone. Piwnica komunikuje się z ulicą za pomocą otworu zamkniętego klapą, którym węgiel dostaje się przez wielki lejek, ułatwiający przesypywanie do piwnic tego materyału opałowego. Tym sposobem z okien rozciągać można nad dostawą węgla nadzór, który zresztą w Londynie jest prawie zbytecznym, bo wszelkie nadużycia węglarzy natychmiast karcone są przez policyą. Właściwy dół zawiéra, oprócz zamkniętego zawsze i tylko dla pieszych przeznaczonego wejścia, czyli sieni (passage)—dwa pokoje: jeden większy od frontu i mniejszy od tyłu, przecięty klatką schodową, oba przedzielone często ruchomą ścianą z lakierowanego drzewa. Dom, niewychodzący po za granice tego oszczędnego pod względem przestrzeni urządzenia, zalicza się do kategoryi *cottages*, które przy sprzyjających okolicznościach mogą być nawet bardzo dogodnémi dla nielicznych rodzin gniazdkami. Pod pojęcie *cottage*, podpada wogóle dom jednopiętrowy, zawiérający oprócz opisanego już dolnego mieszkania dwie lub trzy sypialnie na piętrze z dodatkiem częstokroć jednego jeszcze sypialnego pokoiku. Zmiany w urządzeniu dołu bywają dwojakie, stosownie do dwojakiego przeznaczenia, jakie przybiéra *cottage*, powiększając swoje rozmiary. *Cottage* stanowi mieszkanie najzdrowszéj części klasy roboczéj lub młodych małżeństw z innych warstw społecznych: ze stanu kupieckiego, urzędniczego, nauczycielskiego, artystycznego; sadowią się w niém także wdowy niemające skłonności do powiększania szczupłych swoich dochodów przez odnajmowanie sublokatorom meblowanych pokojów. Wspominaliśmy, że dół mieści w sobie dwa pokoje, jeden od frontu, drugi od tyłu, połączone między sobą drzwiami lub nie, a w każdym razie komunikujące się z sienią. *Parlour* jest techniczną nazwą obu z wyróżnieniem tylko *front-parlour* i *back-parlour*. W domu przeznaczonym dla jednéj rodziny, pokój frontowy przeznaczony bywa na jadalnią, od tyłu zaś na gabinet pana domu. Nad dołem wznosi się najmniéj dwa, czasem półtrzecia, często, szczególniéj w nowszych budowlach, trzy piętra. Pierwsze piętro, rozszerzone o całą przestrzeń sieni, zawiéra od frontu wielki pokój o trzech oknach, zwykle z jednym balkonem przed oknem

środkowém, czasem z trzema gankami. Jestto siedziba pani domu i zarazem pokój bawialny *drawing room*. Należący do tego i mniejszy o szerokość klatki schodowéj pokój od tyłu różne miewa przeznaczenia. W domach na wspanialszą stopę urządzonych stanowi on część bawialnego pokoju, przedzieloną tylko opisaną wyżéj ruchomą ścianą, w innych jako odrębny pokój nosi nazwę *sittingroom*, w przeciwstawieniu do sypialni; przy mniejszéj zamożności mieszkańców, przy większéj ich liczbie w stosunku do ilości pokojów,—staje się sypialnią, często sypialnią dla gości. Pokoje na wyższych piętrach, po dwa lub po trzy w każdém, używane są w domach swobodnych od najmu, wyłącznie na sypialnie; pokój frontowy na trzecim piętrze służy zwykle na sypialnią dla dzieci, lub jeżeli umieszczenie łóżek gdzieindziéj jest możliwe—na miejsce do zabaw i do nauki—*nursery*.

Taki jest normalny typ miejskiego mieszkania w Anglii, na podstawie którego rozwija się dopiéro cała rozmaitość architektonicznych przekształceń zależnych od różnych ekonomiczno-społecznych potrzeb.

Ta zasadnicza forma poddać się musiała najróżniejszym wymaganiom, użyczając przestrzeni interesom sklepowym, warsztatom o małych rozmiarach, rozmaitym kantorom w City i mieszkaniom do najęcia, a wreszcie ciasnym siedzibom pauperyzmu, ażeby z drugiéj strony w zamożnych dzielnicach arystokratycznego zachodu (West-End) i w przedmiejskich punktach, o parę tysięcy kroków ze wsią graniczących, przybiérać na się postać coraz okazalszych rezydencyj„ należących do warstw społecznych, które mogą wybiérać sobie miejsce na mieszkania do pór roku zastosowane.

Przy zastosowywaniu normalnego domu londyńskiego do potrzeb sklepowych, warsztatowych lub kantorowych, wązki front takowego ważną częstokroć stawał się przeszkodą; padały więc ściany, oddzielające sąsiednie domy, które wiążąc się w całe połacie budowli jednemu posługujących celowi traciły stopniowo wszelkie cechy domów, przeznaczonych na mieszkania. Skutkiem téj metamorfozy normalnego domu było wydzielenie zeń zupełne fabryki, bazaru, instytucyj bankowych i t. p., a zatém stanowcze rozłączenie produkcyi z życiem rodzinném, otwiérające na przyszłość ważne widoki w zawiłéj kwestyi mieszkań.

W tym procesie przekształcania się normalnego domu, ważną rolę odgrywa prawo ekonomiczne, na podstawie którego, małe sklepiki i małe warsztaty, ustępując przed nagromadzoną centralizacyjnie w środku miasta wielką produkcyą, nie giną bynajmniéj, lecz szu-

kają sobie innego miejsca, a ufne w zbawienne działanie decentralizacyi dążą od środka ku obwodowi, przenurtowawszy wprzódy miasto we wszystkich jego częściach i znajdując wreszcie przytułek w normalnym domu, na liniach obwodowych, najdawniéj zabudowanych. Najlepszy to punkt dla drobnego handlu i przemysłu, który staje się wtedy przedmiejskim, *suburban business.*

Tam znowu, gdzie istniała niegdyś na trakcie położona wieś, którą późniéj potwór miejski pochłonął (a w pewnych kierunkach na promieniach zbiegających się ku środkowi, można w niejakich przerwach do pięciu takich wsi napotkać), drobny handel z wioskowego zrodzony kramarstwa, zachował wraz z pomieszczeniem w otwartych budach rynkową cechę, z powodu któréj, odpowiednie części ulic otrzymały z ludowego miejskiego słownictwa ogólną nazwę *market-street.* Przerwy na głównych liniach (*roads*) zabudowały się domami normalnemi, w grupach po sześć do dwudziestu czterech wznoszonemi przez jednego przedsiębiercę w jednakowym stylu; nomenklatura uliczna wynalazła dla takich grup miano „tarasów“ *terraces*, zapewne z powodu znacznéj ilości zieleni, którą otoczył się dom normalny, korzystając w miarę oddalenia się od środka miasta z tańszego gruntu i zużytkowując takowy zarówno od frontu jak od tyłu, na ogródki opasane żelaznemi sztachetami. Ta swobodna przestrzeń, porosła trawą i krzakami, nietylko daje miły dla oka wypoczynek, ale odosobnia dom od gwaru ulicznego, chroni od ciekawości przechodniów, a przedewszystkiém przedstawia przezorną zapobiegliwość na wypadek przekształcenia domu mieszkalnego na jakiekolwiek przedsiębierstwo. Wychodzi tu na jaw zmysł praktyczny Anglików, który w obec niemożliwości przewidzenia wszystkich przeobrażeń, jakim każdy dom stosownie do różnych użytków uledz musi z postępem czasu, negatywnie przynajmniéj troszczy się o przyszłość przez zachowanie przydatnéj na różne cele rezerwowéj przestrzeni.

O pięknościach artystycznych takiéj łatanéj architektury, budującéj pod naciskiem utylitaryzmu, mowy być nie może. Ale w domu angielskim, sztuka na wewnątrz zwraca swoje oblicze: jądro, to jest ruchomości, więcéj jest zwykle warte, aniżeli łupina, czyli dom. Czy tak zawsze będzie—trudno przewidzieć. Sztuka sama w sobie nie nosi praw postępu; dzieje jéj są historyą zmieniających się ideałów. W zastosowaniu do form ekonomicznych, sztuka tém więcéj podlega wpływom zewnętrznym, i postępująca ciągle ekonomika kreślić jéj będzie zapewne coraz nowe, a coraz trudniejsze i zawikłańsze zadania. Tymczasem, każdy trzeźwy spostrzegacz dwa razy

się zapewne namyśli zanim względy artystyczne postawi przed najsłuszniejszemi wymaganiami zdrowia organizmu stołecznego.

Naszkicowany wyżéj proces przejściowy spełnił się całkowicie na ostatnich liniach przedmieściowych. Budują się tam odrazu nietylko „tarasy“, ale całe przedmieścia, staraniem już nie jednostki, lecz przedsiębierców, którzy albo stać się mają następnie właścicielami nowo-wzniesionych domów, lub téż, urządzając stosownie mieszkania, zamierzają wynajmować je lokatorom.

Wynajem mieszkań meblowanych, ważne i zajmujące we wszystkich stolicach zjawisko, zasługuje w Londynie na szczególną uwagę. Spożytkowanie domu normalnego na taki cel zdarza się w Anglii częściéj, aniżeli na stałym lądzie, i w trybie życia tego kraju jest prawidłowszym niż na kontynencie objawem. Korzystają z tego urządzenia nietylko cudzoziemcy w ciągu dłuższego w stolicy pobytu, nietylko samoistnie pragnący żyć członkowie rodzin, ale i młode stadła, które albo pragną korzystać z większéj swobody ruchu, lub téż z założeniem własnego ogniska wstrzymują się do chwili nagromadzenia odpowiednich środków. Ten ostatni wypadek dość często się zdarza jako zgodny z obyczajem i z charakterem narodowym. Anglik, który nie może pokazać się jakby chciał, woli zniknąć z widowni i znika z niezrównaną rezygnacyą. Tam gdzie ambicya podrzędną odgrywa rolę, występuje na pierwszy plan pogodne zaufanie w przyszłość i cierpliwość, nietroszcząca się o to, co ludzie powiedzą. W obu wypadkach mamy tylko pewne odmiany jednéj właściwości anglo-saksońskiéj kultury, która niejednokrotnie zdaje się być w sprzeczności z zasadniczym téj kultury warunkiem, z samoistném gospodarstwem w rodzinie.

Sprzeczność jest tylko pozorna, lokator bowiem niewiele poświęcić potrzebuje z domowéj samodzielności. W cenie komornego opłacone jest utrzymanie czystości w domu, obsługa (z wyjątkiem posyłek po za dom), gorąca woda na każde żądanie, prawo gotowania w kuchni zakupionych produktów, przysługujące kucharce lokatora, a nawet wypożyczenie potrzebnego naczynia. Lokator zakupuje herbatę, cukier, chléb, masło, mięso i jarzyny, jak na własném gospodarstwie, co mu ułatwia wygodny w Anglii zwyczaj dostawiania przez magazyny do domu kupującego zakupionych towarów. Słowem, wszystko w tym stanie rzeczy przygotowywa lokatora, do objęcia kiedyś gospodarstwa na własną rękę.

Wypada nam teraz wspomnieć o przeszczepioném ze stałego lądu i wynikającém z systematu wielopiętrowych domów wynajmowaniu mieszkań bez mebli, które o tyle jest w Anglii trudniejszém, że w domu normalnym znajduje się, jak wiadomo, jedna tylko ku-

chnia i jedna piwnica. Do wynajmowania mieszkań meblowanych służą przeważnie dół i pierwsze piętro; na mieszkania bez mebli wynajmują się drugie, trzecie piętro—i najwyższe—*attics*. Ulice i domy, w których się taki wynajem praktykuje, zamieszkane są przez inne zupełnie warstwy społeczne. W dwóch tylko wypadkach wynajem mieszkań bez mebli jest wynikiem prawidłowych stosunków ekonomicznych. Mieści się w nich albo rodzina robotnika, oczekująca na przyjaźniejszą sposobność zamieszkania pod własnym dachem, albo taka sama rodzina, związana z powodu rodzaju zajęcia głowy domu z dzielnicą miasta, w któréj każdy dom zbyt jest obszerny względnie do środków materyalnych, któremi żywiciel familii rozporządzać może. Wynajęcie rodzinie robotnika mieszkania bez mebli jest ostatnią najniższą fazą w procesie przeobrażenia domu, który jak już wspomnieliśmy, stosownie do różnych użytków zmienne przechodzi koleje, pociągające za sobą metamorfozę całéj dzielnicy. Ciekawe są zaiste dzieje tych zmian, w których dom dumny najprzód z gościny tak zwanego „dobrego towarzystwa," po wyniesieniu się pierwotnych mieszkańców na West-End, przyjmuje następnie mieszczańskie gniazda, małpujące „dobre towarzystwo," i zadowolić się musi klientelą lekarza lub adwokata. Wkrótce rozgaszcza się w tym samym punkcie, szkoła i artyzm, zajmując miejsce jurysprudencyi i medycyny, które równie jak „dobre towarzystwo" lepszego szukają sobie siedliska. Wreszcie między napisy, wskazujące przechodniom powołanie tych nowych mieszkańców, wkrada się nieznacznie mosiężna tabliczka, niechętnie widziana przez rodziny, żyjące nie z zarobków, lecz z dochodów. Wyryte na niéj wyrazy: *boarding establishment for families* mieszkania ze stołem dla rodzin rozpoczynają nową przejściową epokę w życiu dzielnicy. Wkrótce ukazuje się pogardzane przez właścicieli domów ogłoszenie: *furnished rooms to let*, pokoje z meblami do najęcia. Rzecz istniała już wprawdzie oddawna, ale nazwa nadaje jéj dopiéro stanowczą cechę. Odtąd kto może ten przenosi swoje penaty, rozpoczyna się bowiem upadek dzielnicy. W końcu lekarz, adwokat, nauczyciel i artysta niezadowoleni z sąsiedztwa ustępują miejsca szarlatanowi, pokątnemu doradcy; zagadkowe egzystencye, których najwybitniejszym wyrazem jest tak zwany „agent" sadowią się obok siebie i dzielnica staje się przytułkiem maskowanego pauperyzmu klas wykształceńszych.

Z powyższego szkicu przekonywamy się, że w tym procesie ludzie idą w górę, a domy spadają. Mieszkańcy, opuszczający te domy, idą tam, gdzie im będzie lepiéj: zajmujący ich miejsce przychodzą ztamtąd, gdzie im było gorzéj. Ostatnia faza spełnia się, jak już wspomnieliśmy, kiedy cała społeczność dzielnicy wyemigruje w inne

okolice, które w podobny sposób opróżniły się dla nowych przybyszów, a sąsiednia ludność robocza zajmie oswobodzone domy, na resztę czasu określonego kontraktami stuletniéj dzierżawy.

Z wyjątkiem więc dwóch powyżéj przytoczonych wypadków wynajem mieszkań bez mebli jest w Londynie objawem chorobliwéj ekonomii społecznéj, symptomatem pauperyzmu rozpaczliwie wyrzekającego się niepodległości rodziny, tego, co anglicy „standard of life“ normalną formą życiową nazywają. Im wyższą jest ta normalna forma bytu, tém cięższy i straszniejszy bywa upadek z takiéj wysokości—bo droga powrotna wydaje się mozolniejszą, wiara w powodzenie słabnie, wola się łamie. Każdy krok na dół w nowe wtrąca otoczenie, które upadłych zaraża obezwładniającą swoją rezygnacyą, a wraz z nadzieją i poczuciem godności niknie pomału i trochę ruchomego mienia,—ostatni ratunek pauperyzmu. Moglibyśmy wskazać czytelnikowi jeszcze kilka szczebli téj posępnéj drabiny, wymienić odpowiadające im ulice,—ale fizyologia nędzy nie jest zadaniem tego studyum, w którém obchodzi nas przeważnie mieszkanie, jako czynnik, w którym się normalna forma bytu i zboczenia od niéj ujawniają. Stosunek tych zboczeń da się mniéj więcéj w ten sposób wyrazić: że słabszy upadek społeczny występuje w domach sporadycznie,—silniejszy gromadzi się cykladycznie, że użyjemy tu drugiego wyrażenia, którego nam archipelag grecki dostarcza.

Ostrożność z jaką zamknięty dom rodzinny broni się od niezdrowych stosunków familijnych, usuwając je nietylko od drzwi swoich, ale i ze swojéj ulicy,—sprawia że gnieżdżą się one w połaciach domów, zespolonych albo jednakowym stopniem upadku, lub téż po średniowiecznemu jednakową narodowością. Takie grupy domów scharakteryzowane są oddawna w obrazowym gwarze ludu, mianem „gniazd wronich“ *rookery.* Londyńskie Ghetto, wielka *rookery* pauperyzmu żydowskiego, zajmuje na granicy między City i Whitechapel ulice: Petticoatlane i Honuds-Ditch; wygląda nieźle, a prosperuje lepiéj aniżeli wygląda. Gniazda irlandzkie rozsiane są po całém mieście. Mężczyzni chodzą do roboty na wolném powietrzu, kobiéty są po większéj części przekupkami i gałganiarkami. W irlandzkiéj *rookery* przy ulicy Leatherlane mieszka wędrowny włoski pauperyzm. We właściwie angielskich „gniazdach wronich“ wypada również zwracać uwagę na różne odcienia. Marynarski Londyn na północnym brzegu Tamizy około doków posiada *rookery*, w których mieszkają „kawki“ wyłącznie rodzaju żeńskiego. W Westminterze blisko parlamentu znajdziemy nawet wojskowe *rookery*, ognisko praktyk werbunkowych. W okolicach południowéj strony Tamizy, powyżéj Londonbridge, ciągną się dzielnice, w których ulice po-

przeczne zamieszkuje ludność wyrobnicza, mieszcząc się w mieszkaniach odnajmowanych bez mebli.

Zbliżamy się nareszcie do najsmutniejszych objawów, w których upadek ekonomiczny idzie w parze z moralnym. Występują one częścią sporadycznie, częścią cykladycznie w środkowych punktach West-Endu. Wiadomo, że wielka arterya komunikacyjna między City i West-Endem rozszczepia się już w obrębie City przed katedrą Ś-go Pawła na dwie główne linie, które coraz bardziéj od siebie się oddalają. Spotykamy tam w kierunku od wschodu ku zachodowi: handel księgarski, siedlisko pracy i świat prawniczy. Grupa dawniejszych teatrów, wspaniałe życie hotelowe, dzielnica bokserska, arena nowożytnego półświata i obcego przejezdnego żywiołu, wszystko to nadaje okolicom między Holborn i Strand charakter wielko-stołeczny, dopełniony zwykłém sąsiedztwem występku i najstraszniejszéj nędzy. Wszędzie, gdzie między głównemi liniami ulic znalazło się miejsce na przecznice i zaułki między Strand i skwerem, należącym do dzielnicy sądowniczéj, ztamtąd do skośnéj komunikacyi przez Bowstreet i Drurylane i daléj na zachód słynna gwiazda z siedmiu ulic w dyecezyi Ś-go Idziego aż do Soho—widnieją objawy upadku w ludności. Obok wynajmu niemeblowanych mieszkań napotykamy nocne przytułki: *lodging-house*, w których łóżka ile ich tylko zmieścić może jeden pokój, wynajmują się na jednę tylko noc za 4 lub 3 pensy; albo w ciemności potrącamy o ostatnią nędzę bez dachu, nad którą opiekę rozciąga dom roboczy lub miłosierdzie publiczne.

Gdybyśmy, schodząc coraz niżéj, nie dosięgli do samego dna przepaści, to i tak wszystkie najciemniejsze obrazy napotkane w téj Dantejskiéj wędrówce niewiele znaczą przy poważném z całością zestawieniu; podzieliwszy bowiem cyfrę ludności przez liczbę domów, otrzymamy 7,5.... jako ilość osób przypadającą na jeden dom. Przewyżkę nad wyższą niż na stałym lądzie przeciętną liczbę członków jednéj rodziny, pokrywa liczna w Londynie klasa służących; daléj rodziny, zamieszkujące pokoje umeblowane, lokatorowie domów utrzymujących pensyonarzy, uczniowie przyjmowani do rodzin, masa uczącéj się dziatwy z prowincyi, umieszczonéj na stancyi, mieszkańcy zakładów opiekujących się podeszłym wiekiem *alms-houses* korporacyj i innych instytucyj, wreszcie olbrzymia liczba hotelowych gości i cudzoziemców, którzy nietylko po hotelach się sadowią, bo wiele kawiarni i restauracyj w łóżka się w tym celu zaopatrują. Widzimy więc z powyższego obrazu, że lud angielski trzyma się wytrwale w największéj nawet stolicy swego kraju normalnéj formy ma-

teryalnego bytu, wyrażającéj się w odosobnieniu i niezawisłości własnego domowego ogniska.

Zwiedziwszy niziny społeczne, wejdźmy teraz na najwyższe szczeble drabiny towarzyskiéj, a drogę mamy przed sobą niedługą, bo tylko z St. Giles do St. George; ale za to napotkamy najjaskrawsze na świecie przeciwstawienie socyalne.

Poruszamy się jeszcze w sercu organizmu miejskiego, w którém panuje wyłącznie dom normalny i to okopcony dymem normalny dom z przeszłego stulecia. Ale na wschód od Regent-Street niema już śladu podupadłéj ludności. Z wyjątkiem poprzecznic wyróżniających się wybitnie, mieszkają tu wszędzie najwyższe warstwy towarzyskie; nawet mieszkania wynajmowane z meblami stają się czasowym przytułkiem wiejskiéj szlachty: *landed gentry and nobillity*, przepędzającéj w stolicy sezon parlamentowy. Okazałość domów, więcéj wewnętrzna niż zewnętrzna, rośnie stopniowo aż do Green-Parku i Hyde-Parku. Na północ i południe od Hyde-Parku ciągną się nowoczesne przedłużenia West-Endu, Tyburnia i Mayfair, oraz Belgravia i Pimlico. Dom normalny, nie wzbogaciwszy się od frontu w większą liczbę okien, rozsunął je na szersze odstępy, wyrósł na wysokość, przybrał się w sukienkę z białego tynku i pozwolił sobie przed drzwiami zbytku kolumnady. Podwórze domu nie przytyka od tyłu do żadnego placu, ciągną się tam natomiast stajnie *mews* wraz z mieszkaniami służby; stamtąd wyjeżdżają powozy i stają około przedsienia. Domy te nie są właściwém mieszkaniem lokatorów czy téż właścicieli, lecz tymczasową ich w mieście kwaterą. Rzeczywiste mieszkanie, prawdziwa wiejska siedziba, *conutry seat*, kryje się gdzieś w głębi jednego z hrabstw, między aksamitnym trawnikiem i malowniczo ugrupowanemi drzewami, oddzielona parkiem od gospodarstwa. Nie zatrzymując się więc w téj wsi wkraczającéj do miasta, rzućmy raczéj przelotne spojrzenie na miasto, które w granice wsi wtargnęło; przejawia się ono wśród rozległych ogrodów w drugiéj formie rozwoju angielskiego domu, w postaci willi. Zdania co do linii demarkacyjnéj, na któréj kończy się *cottage* a rozpoczyna willa, bardzo są podzielone. Główną cechę przejściową, oprócz liczby i obszerności pokoi, stanowi zgrupowanie domów po dwa przy jednym murze ogniowym, w ten sposób, że domy z obu stron nie przytykają do niczego, a droga około nich służy za komunikacyą ogródków frontowych z tylnemi. Wille takie nazywają się napółodosobnionemi *semi-detached*; zupełnie zaś oddzielnie stojące noszą nazwę odosobnionych *detached*. Posuwając się daléj, napotykamy coraz rozleglejsze ogrody, coraz większe wille i coraz bogat-h w nich mieszkańców. Wypada tu nadmienić, że ten postęp

w wewnętrznym rozwoju domu najrzadziéj się wyraża w powiększeniu liczby pokojów bawialnych, które u nas tak wielką odgrywają rolę. Tłumna, hałaśliwa towarzyskość, polegająca, jak na stałym lądzie, na systemacie jednorazowego nakarmienia, w Anglii coraz więcéj z mody wychodzi i pozostawiona jest najwyższéj arystokracyi, lub politycznym kołom. Natomiast w skutek ułatwienia i spotęgowania środków komunikacyjnych zagęszcza się coraz bardziéj zwyczaj odwiedzin na dłuższy czas, pociągający za sobą pomnożenie liczby sypialni gościnnych. Córki np. rodziców wszelkich stanów, nie wyjmując klasy roboczéj, spędzają w pewnych latach swego wieku czasem po pół roku u przyjaciół na prowincyi, lub nawet w innéj dzielnicy miasta. Urządzenie angielskich domów, mieszczące sypialnie na piętrach, nadaje się do tego wyśmienicie.

Taki jest w szkicowych zarysach obraz Londynu, stolicy, która mimo olbrzymie swoje rozmiary, a może właśnie z powodu tych rozmiarów, nietylko nie zerwała z wiejskiemi obyczajami, ale nawet zboczywszy od nich w przeszłém stuleciu i na początku bieżącego, przy urządzaniu domu normalnego według wymagań normalnéj formy rodzinnego życia, obecnie z podwójną gorliwością usiłuje zbliżyć się napowrót do natury.

Między wielorakiemi przyczynami wywołującemi takie dążenie, niepoślednią rolę odgrywa wrodzona Anglikowi skłonność do obcowania z przyrodą. Jest ona tak dalece narodową, że stanowiła w niezbyt dawnym okresie literatury wybitną cechę poezyi angielskiéj. Któż nie przypomina sobie obrazów natury Wordswortha, słynnych opisów przyrody Walter Scotta, zachwytów naturalistycznych całéj szkoły *lakistów*; kogóż zresztą dziś jeszcze nie zadziwi drobiazgowość współczesnych romansopisarzy w kreśleniu scen z życia wiejskiego?

Dzięki temu rdzennie narodowemu upodobaniu, każda niespożytkowana pod budowlę piędź ziemi przy domu mieszkalnym zamienia się na ogródek, z każdego niemal swobodnego zakątka sterczy drzewo, wygląda trawnik. Około licznych kościołów w City i w dawniejszych dzielnicach zielenią się cmentarzyki; wśród domów wirydarze, zwane skwerami, przerywają estetycznie jednostajność murów, i sanitarnie zbyt gęste nagromadzenie siedzib ludzkich. Urządzenie skwerów bywa dwojakie; jest to albo od ulicy położony plac zarosły trawą, ozdobiony kwiatami, drzewami, lub nawet posągami, i otoczony żelazną kratą, od któréj klucz posiada mieszkaniec każdego z domów, otaczających wirydarz; lub też trawnik wspólny wewnątrz czworoboku domów, do którego przystęp możliwy jest jedynie przez prywatne ogródki do tych domów należące.

Czém są skwery dla pewnych grup domostw, tém są parki publiczne dla całych dzielnic miasta. Wejście do nich jest swobodne, wyjąwszy gdy się ściemnia. Na szczególną wzmiankę zasługują najprzód trzy przylegające do siebie parki w najokazalszéj części West Endu: James-Park Green-Park (najpiękniejszy) i Hydepark oraz graniczący z nim publiczny ogród Kensington. Daléj w kierunku północnym, ale zawsze w West-End znajduje się wielki Regentspark, z ogrodem botanicznym i zoologicznym i przyległy Primerose hill. Północno-wschodnie części miasta zdobi nowszego urządzenia Victoriapark. Z drugiéj strony Tamizy młody Batterseapark i dumny olbrzymiemi drzewami park w Greenwich zupełnie wygodzie publicznéj odpowiadają. W środku południowéj dzielnicy znajduje się mniejszy publiczny park Kennington, dawniéj pastwisko gminne. *Commons* czyli pastwiska gminne te same oddają usługi co parki, uboższe są tylko w drzewa i brak im tylko ogrodzenia. Takie pastwiska w Clapham, Torting, Streatham, Wandsworth, Wimbledon i Putney, miłą są przedmieść południowo-zachodnich ozdobą. Wymienić następnie wypada parki należące do pewnych instytucyj lub zakładów i dostępne tylko za opłatą. Należy tu park pałacu kryształowego w Sydenham, park Towarzystwa ogrodniczego, z nieustającą wystawą powszechną w Kensington itp. Daléj wreszcie ciągną się wielkie królewskie parki w Richmond w Windsor, rozległe na milę kwadratową każdy i stanowiące dla Londynu taki sam urok jak Wersal, St. Germain lub Fontainebleau dla Paryża,—doliny Wiedeńskiego lasu dla Wiednia, ogrody Poczdamskie dla Berlina.

Oprócz tych wspólnych z kontynentalnemi ogrodami celów, parki angielskie mają, jak wiadomo, wyłączne i nigdzie w Europie nienapotykane przeznaczenie. Otwiérają one przestwory swoje życiu zbiorowemu, symbolizując jakoby różnicę między zamkniętą w domowém zaciszu, nietykalną i niepodlegającą niczyjéj kontroli sferą prywatnéj egzystencyi, a jawną, głośną, poddaną pod krytyczną ocenę ogółu, dziedziną publicznéj działalności. Te pełne zieleni zadrzewione obszary służą poniekąd za laboratorya wolności. Myśl indywidualna, zrodzona w spokoju i ciszy niepodległego, samodzielnego ogniska domowego, przechodzi w *meetingu* proces fermentacyjnego wrzenia, ażeby, dostawszy się w możliwie czystym stanie do retorty parlamentu, tam dopiéro skrystalizować się w prawie, lub jak subtelna, nieujęta para ulotnić się bez śladu. Konstytucyonalizm angielski pomny, że urodził się w lasach starożytnéj Germanii, lubi drzewa, trawę i świeże powietrze, i dziś jako mąż dojrzały a silny, w parkach, ogrodach, w swobodnych pod gołém niebem przestrzeniach

szczególne ma upodobanie, uważając je poniekąd za godne poszanowania instytucye narodowe.

Niemniéj odrębną, wyłącznie narodową cechę posiadają kluby angielskie—stanowią one kwiat nietylko stołecznéj, ale specyficznie anglo-saksońskiéj kultury. Wszelkie naśladownictwa na stałym lądzie: paryskie *cercles*, *muzea* i *atenea* w miastach prowincyonalnych niemieckich, *cassina* włoskie i ablegry ich w Wiedniu lub Berlinie nie wytrzymują z angielskiemi oryginałami żadnego porównania pod względem znaczenia w życiu społeczném i politycznem kraju. W stolicach stałego lądu łącznikiem, gromadzącym członków jednego klubu, jest towarzyskość, czynnik odgrywający najmniejszą rolę w życiu klubowém angielskiém, które znów opiéra się na wybujałym indywidualizmie. Brzmi to nieco paradoksalnie: a jednak nie ulega wątpliwości, że anglik szuka w zbiorze jednostek pokrewnych sobie pozycyą socyalną, pojęciami politycznemi lub społecznemi, odosobnienia raczéj niżeli wspólności i, że znalazłszy się wśród właściwych sobie żywiołów, napawa się przedewszystkiém tém błogiém przeświadczeniem że żaden opór z zewnątrz przeciw jego przekonaniom i pojęciom nie zmusi go do wyjścia z wewnętrznego intellektualnego zamknięcia. Powiedział ktoś, że nietylko Anglia, ale każdy Anglik jest wyspą: trafność téj definicyi sprawdza się nawet w klubie angielskim—a w niéj téż leży źródło ekscentryczności, to jest idywidualizmu rozrośniętego nienormalnie w atmosferze klubowéj, która, niedopuszczając obcych przewiewów, przyczynia się tém samém do rozwoju téj dziwacznie egzotycznéj rośliny. To téż można sobie wyobrazić Paryż, Wiedeń lub Berlin bez tego co się tam jedynie przez analogią klubem nazywa—ale niepodobna prawie wystawić sobie Londynu bez klubu.

Siedliskiem klubów budowanych z okazałością architektoniczną, jest jedna przeważnie miasta okolica w bliskości ministeryów i parlamentu, pałacu królewskiego i dawniejszych części West-Endu, oraz słynna ulica Pall-Mall. Według przepisów obowiązujących, w klubach nikomu nocować nie wolno, a jednak śmiało powiedzieć można, że kluby są właściwém mieszkaniem tych przedstawicieli wyższego towarzystwa, którzy w mieście własnego gospodarstwa nie posiadają. Oprócz dobréj restauracyi, win starannie dobranych przez komisyą klubową, znaleźć można w klubie wszystkie dzienniki, odpowiadające jego barwie i dążeniom politycznym, oraz bibliotekę, która zwolna wprawdzie, ale ciągle wzrasta; klub dostarcza nadto materyały piśmienne i marki pocztowe na każde zażądanie członków. Wiele klubów stoi otworem przez całą noc i zmienia służbę dwa razy w ciągu doby. Niemałą przynętą do klubów jest

prawo, zwalniające od zamykania dostępu w niedzielę i podczas nabożeństwa. Wysokość opłaty przechodzi całą skalę od cztérech do dwudziestu cztérech funtów rocznie, który to wydatek Anglicy tak chętnie ponoszą, że ilość kandydatów, oczekujących na koléj wpisu (statuty ograniczają liczbę członków) na setki, do niektórych zaś na tysiące obliczać można.

Taki popęd do życia klubowego ma znów swoje źródło w wolności, która, jak już wspomnieliśmy, oswobadza kluby na noc od przepisów obowiązujących wszelkie inne zakłady publiczne. Ważną jest ta swoboda szczególniéj dla klubów politycznych, na czele których stoją starszy i młodszy Calton-Club i Reform-Club,—gdyby bowiem klub zamykano według prawa o północy, stronnictwa polityczne straciłyby możność porozumiewania się o téj porze, kiedy właśnie kończą się posiedzenia parlamentu.

Zresztą wszelkie życie publiczne ustaje w Londynie o północy do tego stopnia, że nawet w teatrach w razie przeciągnięcia się przedstawienia, zasłona spaść musi wraz z uderzeniem dwunastéj godziny.

W wielkich stolicach stałego lądu widzowie protestowaliby zapewne przeciwko takiemu wtargnięciu prawa w dziedzinę zakulisową—w Londynie publiczność filozoficznie jest gotową poddać się téj interwencyi, bo minęły zaiste czasy szekspirowskiego teatru i roznamiętnienia tłumów do widowisk scenicznych.

Ogólne spostrzeżenie, że teatr spada wszędzie mniéj więcéj z godności instytucyi artystycznéj do niskiego poziomu zakładu uprawiającego rozrywkę, nigdzie może tak jaskrawo nie potwierdza się jak w Anglii. Cudzoziemiec, przybywający do Londynu z myślą rozmarzoną o czasach Garricka i Kembla, znajduje się w obec przepaści oddzielającéj *niegdyś* od *dzisiaj*, niby w obec nierozwikłanéj zagadki. Dopiéro stopniowo w charakterze stolicy znajduje klucz do téj zagadki. Londyn posiada 38 teatrów. Uczęszcza do nich różnorodna publiczność, jaśnieją w nich najrozmaitsze talenta, ale wszystkie ożywione są jedném wspólném dążeniem. Od arystokratycznego teatru Drury-lane, do którego wejść można tylko we fraku i w białych rękawiczkach, aż do najuboższych świątyń Talji w East-endzie, gdzie widzowie obrzucają aktorów pomarańczami, gdzie loża kosztuje sześć pensów, a cudzoziemiec przyzwoicie ubrany naraża się na niebezpieczeństwo, wszędzie hasło „robić pieniądze“ brzmi głośniéj od wszelkich innych względów. Interes jest wszystkiém, a kto lepsze robi interesa, ten posiada szacunek John Bulla.

Rozliczne są przyczyny takiego stanu rzeczy; jedną z główniejszych, jeżeli nie najgłówniejszą jest brak publiczności, zamiłowanéj

w estetycznych uciechach, a brak ten wynika znowu z rozwijającego się w Londynie komfortu życia rodzinnego. Wykształcony stan średni oddawna już odsunął się od teatru—przekładając spokój i wygodę domową, nad kłopotliwą czasem rozrywkę. W miarę olbrzymiego rozrostu miasta, mieszkania ukształconéj i zamożnéj warstwy wysunęły się, jak widzieliśmy wyżéj, coraz daléj ku wiejskim okolicom, w milowych często odległościach od środka miasta, gdzie około Strandu grupują się teatra. Cóż dziwnego, że pan domu, ukończywszy około 6-téj wieczorem mozolną jakąś pracę, śpieszy znużony do omnibusu lub na pociąg, ażeby dostać się prędzéj na łono rodziny, i że z trudnością poświęca rozkosze domowego ogniska, dla powtórnéj podróży do teatru.

Nie należy stąd wnosić, że teatra londyńskie bywają puste: anglik z natury lubi widowiska, dowodzą tego wystawy wszystkiego co tylko wystawiać się daje. Ale publiczność teatralna składa się przeważnie z „młodego Londynu," z mężczyzn wszelkich stanów, którzy jeszcze dewizy *my house is my theatre* nie obrali sobie za hasło życiowe, z przedstawicieli średniego i niższego stanu, wreszcie z „półświata," który na wszelką zabawę ciśnie się najchętniéj. Jacy widzowie, takie widowisko; więc téż z wyjątkiem włoskiéj opery, dającéj przedstawienia tylko przez trzy miesiące i takich teatrów jak „Prince of Wales," „Lyceum" lub „Haymarket," które pod względem wyboru sztuk i talentów aktorskich nierównie wyżéj stoją od innych, wszędzie ku uciesze tłumów wszechwładnie panują farsy, sztuki sensacyjne i wystawowe. Dla ścisłości wspomnieć tu jeszcze wypada o widowiskach zwanych *Christmaspantomimes* dawanych we wszystkich teatrach od Bożego Narodzenia do Marca: jestto mięszanina tańców, konceptów clownowskich, deklamacyj, scen morderczych, zaostrzonych ukazywaniem się duchów. Panuje w tych przedstawieniach staro-londyński humor, najzdrowsza zaprawa tego rodzaju ludowych widowisk.

Na Leicestersquare, niedaleko Alhambry, nazwanéj z powodu pląsającego tam baletu, londyńskim „przybytkiem nóg", stoi marmurowy posąg Szekspira. Dziwnie ironiczne wrażenie sprawia to sąsiedztwo, kiedy w nocy niezliczone tłumy płyną z przybytku podkasanéj wesołości. Na ustach wieszcza z nad Avonu zdaje się igrać uśmiech politowania na widok owéj potomności, która odwróciwszy się plecami do swego poety opuszcza teatr, nucąc piosnkę Offenbacha.

Ale Offenbach nie jest jeszcze ostatnim szczeblem cynizmu. Londyn przedstawia i w życiu teatralném zboczenia, wyróżniające go nawet pod tym względem z pomiędzy innych wielkich stolic.

W jednym z zakątków Londynu istnieje gospoda z przedstawieniami dramatyczno-muzykalnemi, którym podobnych napróżnobyśmy gdziekolwiekbądź szukali. Knajpa nazywa się *Coalhole*, jama węglowa. Co wieczór odbywa się tam od lat wielu urągowisko z sędziów i przysięgłych (Judge and Jury), przyczém moralność wystawiona jest na szwank w sposób niepraktykowany może na całym świecie. Widzowie są przysięgłymi; sędzią,—który się baronem Nicolson nazywa, jest gruby stary hulaka, prezydujący w zgromadzeniu w olbrzymiéj peruce i w czarnéj sędziowskiéj todze. Przed nim na ławie obrończéj siedzi trzech czy cztérech podupadłych literackich geniuszów, którzy w podobnych kostiumach role swoje odgrywają. W takim komplecie rozsądza się proces o wiarołomstwo z naśladowaniem angielskiéj procedury. Przemawiający przeciw sobie adwokaci wywołują kolejno świadków, którzy zjawiają się w stosownych męskich lub kobiécych przebraniach. Wszyscy świadkowie całują przedmiot, zdaleka do biblii podobny, podnoszą palce do przysięgi, a sędziowie mruczą niezrozumiałe wyrazy. Świadkami są zwykle podupadli bez chléba aktorzy. Po przesłuchaniu świadków, w którém adwokaci prześcigają się w bezwstydzie, sędzia ma przemowę, zadaje pytanie przysięgłym, a otrzymawszy odpowiedź wydaje wyrok. Muzyka odzywa się natychmiast, kurtyna podnosi się odsłaniając jasno oświetloną scenkę, na któréj dziewczęta jak najmniéj ubrane tworzą grupy, ile możności zastosowane do usposobienia publiczności.

Jednoczesne zamykanie teatrów i restauracyj oraz kawiarń przeszkodziło wyrobieniu się w Londynie nocnego życia, które w innych stolicach, a szczególniéj w Paryżu o téj porze dopiéro kipiéć zaczyna. Zresztą przy silnie zorganizowaném życiu rodzinném i klubowém, nałogi restauracyjne i kawiarniane, nawet w ciągu dnia mniejszą w życiu angielskiém niż gdzieindziéj odgrywają rolę. Podlega im przeważnie ludność falująca, napływowa, cudzoziemska, pozbawiona z konieczności swego *home* i rozproszona po hotelach, mieszkaniach meblowanych, a nawet po traktyerniach i kawiarniach, które, jak już wspomnieliśmy, starają się zaopatrzyć w łóżka, aby gościom jaki taki nocleg zapewnić.

Zakładów tych pod różnemi nazwami mnóstwo jest w Londynie. Niektóre hotele sięgają dawnych wieków: w Southwark naprzykład niedawno zburzono hotel, o którym Chaucer jeszcze wspominał, ztamtąd bowiem rozpoczęły się pielgrzymki do Cantenbury. Przeszłego stulecia sięgają również drogie hotele na Brookstrett: Clarendon-hotel i Milwart-hotel. W nowszych czasach pojawiły się w Londynie i w ogóle w Anglii olbrzymie hotele, z niesłychanym przepychem na wzór kontynentalnych budowane. Większa ich część

łączy się ze stacyami kolei żelaznych, jak np. Maidland-Hotel na Kings Cross i hotel na Charing Cross, który wraz z hotelami Langham na Regent-Street i Victoria przy dworcu drugiéj kolei Dowerskiéj, pełne są zawsze podróżnych cudzoziemców. W hotelach angielskich nie ma zwyczaju jadania w pokojach, gdzie stoją łóżka: sprzeciwia się to angielskim pojęciom o czystości i przyzwoitości. Nawet śniadanie, składające się z herbaty lub kawy z dodatkiem ryby albo mięsa, spożywa się w kompletném już ubraniu, w przeznaczonych na to gościnnych salonach. Obiady hotelowe odpowiadają pod względem ilości i jakości obiadom u zamożnych rodzin wszelkich stanów. Składają się one z pieczeni w całéj sztuce (*joint* ztąd pochodzi nazwa obiadów *off the joint*), po których następują właściwe angielskiéj kuchni pasztety i puddingi. Zakończenie stanowi sér i sałata z selerów. Zamiast zupy podawaną jest często ryba morska, na któréj wyszukanych gatunkach opiéra się głównie wytworność angielskiéj kuchni. Jarzyny w wodzie tylko obgotowane służą za dodatek do pieczeni. Do obiadu podają w kuflach piwo: *ale* lub porter, czasem Xeres i Portwein. W wyższém tylko towarzystwie pijają Bordeaux, reńskie i szampańskie wina.

Dwa urządzenia odżywcze są w Londynie wytworem nowszych czasów. W tak zwanych *dining rooms* dostać można za umiarkowane pieniądze jedzenia z karty; restauracye zaś śniadaniowe, urządzone na wzór amerykańskich, dostępne są tylko zamożniejszéj klienteli. Wspomniéć tu wreszcie wypada o garkuchniach i pasztetniach, w których żywią się wyłącznie klasy pracujące. Dla tych to klass, w szynkach i piwiarniach (public houses) istnieje oddzielne miejsce zwane *tab-room*, ściśle odgrodzone od właściwego pokoju gościnnego *(parlour)*, gdzie lepsze towarzystwo ma prawo przeplatać Gambrynusowe lub alkoholowe uciechy, swobodną rozmową. Tab-room bywa tak często widownią strasznych, krwawych dramatów, wysnuwających się z milczącego nałogu pijaństwa, który zaspakaja się pośpiesznie, stojący, jakby na poczekaniu,—że właściciele takich zakładów, nabywając na nie konsensa, zrzekać się muszą dobrodziejstwa aktu *Habeas-corpus* i tym sposobem dają policyi swobodę interwencyi bez pogwałcenia prawa nietykalności domu.

Zatrzymaliśmy się w główniejszych punktach skupiających życie powszednie, codzienne jednostek lub mas ludności londyńskiéj. Przy olbrzymim rozroście stolicy, odległości między temi punktami powiększają się z każdym dniem, wywołując coraz doskonalsze środki komunikacyjne, które zapewniają Anglikowi swobodę ruchów równie mu drogą jak swoboda domowego ogniska. To też pod względem rozgałęzienia tramwayów i kolei śródmiejskich, Londyn

nie ma równego sobie miasta na stałym lądzie. Komunikacya konna jest znowu tak oryginalnie angielską, że na oddzielną zasługuje wzmiankę.

Typem jéj jest *cab* albo *hansom*, dwukołowy powozik z trzech stron zamknięty, niby charakter anglika i utrzymany w równowadze za pomocą kozła z tyłu pudła przyczepionego, z którego woźnica, umieszczony wysoko, swobodnie koniem kieruje. Hołoble bronią wehikuł od przechylenia się w tył, pasażer zaś wchodzi do powozu bez pomocy stopnia, bo spód pudła znajduje się tuż nad brukiem. Dolna część korpusu pasażera zabezpieczona jest od wpływów atmosferycznych dwojgiem niskich drzwiczek z obu stron *hansoma* zamkniętych; górną połowę ochrania dach nad głową zwieszony, oraz okno, które w razie niepogody z przodu zasunąć można. Z woźnicą komunikuje się pasażer za pomocą otworu w dachu. Z powodu konieczności zbyt bliskiego sam-na-sam jazda z kobiétą w *hansomie* wtedy tylko nie jest *shroking*, kiedy kobiéta jest żoną lub należy do rodziny pasażera.

Przejażdżkę *hansomem*, przyjemną zawsze z powodu szybkości, udogodnia jeszcze bruk londyński po większéj części smołowcowy lub z kostek drewnianych ułożony. Asfalt zdaje się jakby umyślnie stworzonym dla londyńskich *cabów*, których koła o wielkich średnicach, oszczędzając koniom wysiłku, toczą się jak po szynach i sprawiają wrażenie jazdy saniami.

Komunikacya szynowa wewnątrz miasta sięga blisko trzydzie stoletniéj daty: wtedy już funkcyonowały koleje w samém sercu City, wzdłuż wszystkich doków ku przedmieściowi Blakwall, a z tego samego dworca biegła równolegle linia wpółkole zgięta w kierunku przedmieść północnych aż do Camdentown. Obie koleje przeprowadzone były na groblach tak wysoko nad ulice wzniesionych, że pod arkadami dźwigającemi nasypy przejeżdżać mogły najwyżéj ładowne wozy.

Przed dziesięciu laty, w głowie specyalnie po angielsku uorganizowanéj, powstała myśl wyminięcia prawa, które nie pozwala różnokierunkowym liniom kolei krzyżować się na jednéj płaszczyznie i przeprowadzenia drogi żelaznéj pod ziemią w tunelach, jak wiadomo, coraz łatwiejszych do zbudowania. Pierwsza koléj według tego pomysłu, nazwana „drogą żelazną stołeczną“ *metropolitan railway*, biegła po linii kołowéj z City pod City-Road i New-Road i powracała do swego punktu wyjścia. Następne przedsiębierstwo, koléj obwodowa *metropolitan district railway*, pokryło gęsto stacyami dzielnice nad brzegami górnéj Tamizy i zachodnie przedmieścia, biorąc

znów City za punkt wyjścia. Wszystkie kompanie kolejowe, mające główne stacye w Londynie, urządzały z postępem czasu coraz więcéj mniejszych stacyj wewnątrz miasta, budowały w tym celu odnogi jedne po drugich, mianowicie w południowéj części Londynu i powstała stąd linia długości około 12 mil angielskich, łącząca 177 stacyj kolejowych rozsianych po całym Londynie.

Systemat śródmiejskiéj kolei nietylko zapewnia jednostkom panowanie nad przestrzenią, nietylko ważną odegrywa rolę w procesie grupowania ludności, przenoszącéj się z miejsca na miejsce w miarę swego wzrostu, ale wpływ ma na ekonomią życia miejskiego, ułatwiając krążenie materyi w organizmie stołecznym. Przytoczymy tu jako przykład jeden ważny w życiu codziennem produkt, mléko, w które cały Londyn dwa razy dziennie jest zaopatrywany przy pomocy kolei śródmiejskiéj.

Granice, które z góry nakreśliliśmy niniejszemu szkicowi, zatrzymują nas w rozpatrywaniu ustroju stołecznego Londynu. Rzuciwszy okiem na główniejsze organa, posługujące miastu przy spełnianiu funkcyj życia materyalnego, nie posuwamy się do badania życia duchowego stolicy, które wymagałoby wyczerpujących studyów nad charakterem narodu, nad jego instytucyami społecznemi i politycznemi. Do muzeów zajrzymy na krótką tylko chwilę, jako do śpichrzów gromadzących w sobie zaoszczędzone wiekami zapasy chleba duchowego, którym żywiły się przeszłe, żywią się teraźniejsze i żywić się będą przyszłe pokolenia.

Między zbiorami artystycznemi i naukowemi, Muzeum Brytańskie pierwsze zajmuje miejsce. Sztuka jest w niem właściwie najskąpiéj przedstawioną. Z trzech oddziałów, mieszczących zbiór zwierząt wypchanych, bibliotekę i rzeźbę, ostatnią podciągnąćby można pod kategoryą zbioru artystycznego, gdyby ją sama instytucya jako taki traktowała. Tak jednak nie jest; rzeźba starożytna ma w Muzeum brytańskiem znaczenie jedynie w związku z ogólną historyą cywilizacyi i z architekturą; co starsze i rzadsze, większą tam ma wagę niżli to co piękniejsze.

Muzeum Brytańskie, jak wszystko w Anglii, różni się znów od podobnych zbiorów na lądzie stałym w tém, co zawsze stanowi odrębną cechę charakteru angielskiego, inicyatywą. Powstało ono nie z opiekuńczéj troskliwości rządu, ale dzięki prywatnemu zamiłowaniu. W połowie przeszłego stulecia, sir Sloane zaproponował parlamentowi nabycie swego zbioru za 20.000 funt. Parlament zgodził się, kupił, a następnie materyał wszystkich trzech oddziałów muzeum na téj drodze był powiększony, choć instytucya nie odrzucała też

różnych, a między innemi i królewskich darów. Systematyczne uporządkowanie zbiorów późniéj dopiéro nastąpiło, zupełnie jak w prawodawstwie angielskiém.

Zbiory przyrodnicze mniéj są w Muzeum zwiedzane aniżeli w paryskim ogrodzie botanicznym, mimo swe niezaprzeczone bogactwo. Pochodzi to zapewne stąd, że Francuzi, którzy nierównie rzadziéj podróżują aniżeli Anglicy, ciekawsi są od swoich zakanałowych sąsiadów.

Biblioteka, wzrastająca ciągle dzięki przyznanemu przez parlament rocznemu subsydyum, liczy obecnie przeszło półtora miliona tomów, a zatém jest zbiorem najbogatszym w świecie ilościowo i jakościowo; posiada bowiem niewątpliwie najrzadsze rękopisma; stojąc zaś otworem dla wszelkich bez różnicy stanu i narodowości, dając każdemu wszelkie możliwe do studyów ułatwienia, jest może pod względem doskonałości urządzenia jedyną w swoim rodzaju instytucyą.

Zbiory starożytności, wzbogacane ciągle prywatną troskliwością podróżujących po całéj kuli ziemskiéj anglików, zawiérają skarby dla badacza, który spotkać się tam może z marmurowemi rzeźbami Akropolis, z trumną króla egipskiego Menke-Ra z trzeciéj piramidy; z assyryjskiemi pamiątkami z Niniwy, z grobowcami z Małej Azyi lidyjskiego, frygijskiego licyjskiego i xantyjskiego pochodzenia. Żeby zaś nigdzie nie zbrakło śladu excentryczności angielskiéj, więc i w muzeum, w jednym z najpiękniejszych zbiorów naczyń Etruskich, stoi w miejscu zagrodzoném, pod strażą oddzielnego nadzorcy słynny wazon portlandzki, rozmyślnie stłuczony przed trzydziestu laty przez szaleńca, którego nazwisko, Lloyd, zyskało sobie w Londynie historyczny rozgłos. Indywidualność tego nowożytnego Herostrata tak się czuła uciemiężoną pojęciem o niczém nieopłaconéj wartości jednego glinianego garnuszka, że tylko w czynie samowolnego wandalizmu znalazła dla siebie ujście i wyswobodzenie.

Pod względem zbiorów publicznych i wystaw wszelkiego rodzaju, Londyn posiada wszystko, co tylko kształcić i rozwijać może. Wymienimy tu pobieżnie tylko ogród zoologiczny w Regentparku, botaniczny w Kew pod Richmond nad Tamizą, muzeum indyjskich obyczajów, ubiorów z etnograficznym zbiorem wschodnio-azyatyckim, galeryą obrazów na Trafalgar-Square (National-gallerie), pałac kryształowy w Sydenham, zawiérający: wzory budownictwa wszystkich wieków i narodów, wyroby przemysłu wszelkich ludów, olbrzymią cieplarnię dla roślin egzotycznych, wyobrażenia

z gliny zwierząt przedpotopowych w naturalnéj wielkości, które w chwili ukazania się nauki Darwina przygotowały najniższe warstwy londyńskiéj ludności do zrozumienia teoryi pochodzenia gatunków i stopniowego rozwoju świata zwierzęcego.

W Sydenham jak wszędzie, jak w zakładzie polytechnicznym z odczytami fizyczno-matematycznéj treści, jak na obu londyńskich wystawach powszechnych, Londyn dążył widocznie do stania się punktem środkowym kultury całego świata i, w zakrésie nauki do życia praktycznie stosowanéj, stał się nim niewątpliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA,

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

(Ciąg dalszy).

Zaledwie dźwięki muzyki przebrzmiały i turkot ostatniego powozu przycichł, Elsa odeszła do swego pokoju, nie dlatego jednak, by się czuła zmęczoną—o nie, przeciwnie—młodość, życie pulsowały w całéj jéj istocie przyśpieszoném tętnem i zdwojoną siłą; ale potrzebowała skryć się i nacieszyć skarbem wrażeń doznanych i zdobytych wspomnień. Obrazy przebytego wieczoru przesuwały się przed wyobraźnią jéj niby cudowna panorama; myśl się zatrzymywała wciąż na chwilach pełnych rozkoszy, kiedy tańczyła z Reinholdem, kiedy widziała go chodzącego pod rękę z ojcem, który z pewnym rodzajem ojcowskiego jakiegoś uczucia patrzał na niego i rozmawiał tak poufnie, tak przyjacielsko. A chwile spędzone przy wieczerzy jakże były rozkoszne! Wezwawszy na pomoc całą swą dyplomacyą, tak urządziła, że przy jednym z nim stoliczku zasiadła wraz z Schönau i jedną ze swych przyjaciółek. Mogła wówczas patrzéć w jego piękne, wierne oczy, które wciąż szukały spojrzenia jéj—mogła słuchać tego szczerego śmiechu, co tak zachwycał niegdyś Mieting, i téj spokojnéj, jasnéj mowy, co zdawała się być zawsze prawdziwym wyrazem myśli jasnéj, poważnéj i czystéj.

Patrząc na niego i na Schönau, mimowoli porównywała ich między sobą. Przyjaciółki nieraz prześladowały ją młodym kapitanem,

Schönau i nie gniewała się o to. Teraz wszakże zapytywała siebie w myśli, dlaczego ten dawny przyjaciel ich domu mniéj ją obchodził, niż ten niedawnopoznany; dlaczego pełna dowcipu lub szerszych poglądów rozmowa tamtego, mniéj ją zajmowała niż kilka słów lub poważne milczenie Schmidta.

Słuchała, patrzała i czuła się szczęśliwą wówczas tak jak i teraz w cichym swym pokoiku, dumając o tém wszystkiém i trzymając w ręku swe skarby—album i busolę. Chciała się przekonać, czy igiełka magnesowa zawsze mu wierną była i zawsze swego pana szukała. Album samo się otwiérało na kartce z wizerunkiem jego. Wizerunek był szkaradny, ale nadpis—potrzebowała spojrzéć na niego, chciała przeczytać „z miłością.“ Pochyliła się, leciutko dotknęła ustami wyrazu, który niegdyś sama była nakreśliła, nie nadając mu wówczas żadnego znaczenia i szybko zgasiła świécę. W sercu jéj wszakże i w myśli wciąż było jasno i świątecznie; wyraz nadpisu niby błędny ognik pląsał przed zamkniętemi oczyma i łagodnym blaskiem przyświecał marzeniom i prowadził je wciąż daléj i daléj, aż wreszcie powoli ukołysał do spokojnego dziecinnego snu.

Inne myśli zajmowały brata Elsy. On także zaraz po skończonym wieczorze udał się do siebie, ale nie myślał spać, chociaż niewypowiedzianie czuł się znużonym. Krew szalonèm tętnem biła mu w skroniach, w głowie czuł zamęt, w sercu nieokreślony niepokój. Chwilami myśli, niby burza, zrywały się gwałtownie i bezładnie wirowały plącząc się z sobą; chwilami wszelka czynność umysłowa zdawała się ustawać, jakaś bezwładność, niby ogromny ciężar, przygniatała i powstrzymywała wszelki ruch myśli, a w piersiach było duszno, jak gdyby brakło powietrza.

Ottomar przystąpił do okna i otworzył je. Noc ciemna, dżdżysta, ochłodziła mu czoło: zapalił cygaro i patrzał w noc, w ciemność, i nic nie widział—ani w sobie, ani przed sobą. Po chwili cisza nocna i monotonny szmer deszczu przytłumiły wewnętrzne wzburzenie i sprowadziły pewien stan odrętwienia, który powoli zmienił się w ciężki niby sen letargiczny.

Pogrążony w nim Ottomar nie usłyszał pukania do drzwi i wchodzącego służącego spostrzegł wtenczas dopiéro, kiedy ten stanął koło niego i oznajmił, że ojciec wzywa go natychmiast do siebie.

Przestraszony, nie zrozumiał nawet od razu słów tych i po chwili dopiéro zapytał, czy ojciec zasłabł.

August przecząco potrząsł głową; pan jenerał w mundurze jeszcze, odpowiedział, i nie zdaje się być wcale słaby, ale—

— Ale co?

August przystąpił jeszcze bliżéj i wyszeptał: sądzę, że pan jenerał otrzymał jakiś niepomyślny list. Przedtém jeszcze, tak, może koło pół do dwunastéj przyniesiono go—nie wiém kto, bo posłaniec zaraz znikł, a Ferdynand go nie zna. Ale sam zaniosłem go panu jenerałowi i widziałem, jak czytając go, dziwnie się zmienił.

— Od damy?

August, chociaż widocznie zakłopotany, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Eh, nie, odpowiedział. Takie listy inaczéj wyglądają, miało się kiedyś i z niemi do czynienia. Ten to był gruby list.

— Przeklęci wierzyciele! mruknął Ottomar.

Bo i cóżby innego być mogło?! Znowu ojciec zrobi mi scenę. No, cóż począć?—nie pozostaje nic innego jak przyśpieszyć zaręczyny z Karlą, a zaręczyć się trzeba, chociażby dlatego tylko, by nareszcie skończyć raz z tém wszystkiém. Powiem ojcu po prostu, że nie będę go już odtąd nudził tém i całą sprawę zdam na Wallbacha.

Wszedłszy do pokoju ojca, Ottomar ujrzał go stojącego koło biurka, na którém się paliła lampa.

— Przepraszam cię ojcze, że przychodzę do ciebie w negliżu: miałem już kłaść się i August zalecał mi pośpiech.

Jenerał stał wciąż odwrócony i oparty o biurko—nie odpowiedział synowi wcale; milczenie to padło na duszę Ottomara niby ciężar Alp całych. Po chwili wszakże otrząsnął się z wrażenia tego i zapytał.

— Co chciałeś, ojcze?

— Przeczytaj najprzód list ten, odrzekł jenerał, powoli się obracając i palcem wskazując na papiér, leżący na stole.

— List? do mnie?

— W takim razie nie byłbym go czytał—a czytałem.

To powiedziawszy, odstąpił od stołu i, założywszy w tył ręcę, powoli równemi krokami począł chodzić po pokoju. Ottomar czytał co następuje:

Wielmożny panie jenerale!

Mam nadzieję, że raczysz pan darować, iż niżéj podpisany ośmiela się zwrócić uwagę pańską na pewną okoliczność, która niebezpiecznie zagraża dobru rodziny jego. Chodzi tu o stosunek miłośny, który syn pański utrzymuje z córką pańskiego sąsiada, Schmidt'a, fabrykanta marmurowych wyrobów.

Pozwolisz mi pan zamilczéć o szczegółach stosunku tego, wszakże dla pokazania jak daleko już takowy się posunął, proszę

pana zapytać syna swego, gdzie był dzisiaj, pomiędzy 8—9 wieczór i z kim miał schadzkę.

Nierozsądnie byłoby przypuszczać, że pan wiesz już o wszystkiém i że przez palce patrzysz na to, że syn twój jest bliskim poślubienia córki ultra-radykalnego demokraty. Przeciwnie, niżéj podpisany wyobraża sobie bolesne zdumienie, jakiego doświadczysz pan, czytając te wyrazy; ale niżéj podpisany był także żołnierzem i wié czém jest honor żołnierski. Nie mógł on przeto dłużéj patrzéć na igraszkę jakiéj z honorem tak dzielnego i zasłużonego męża dopuszcza się ten właśnie, który więcéj niż ktokolwiek inny obowiązany jest stać na straży tegoż honoru.

Niżéj podpisany mniema, że nie potrzebuje nawet mówić o wysokiém poważaniu, z jakiém pozostaje dla osoby wielmożnego pana i całéj rodziny jego.

Najwierniejszy wielbiciel pański.

Jenerał nie przeszkadzał synowi czytać, nareszcie widząc go wciąż nieruchomym, sam się zatrzymał i zapytał:

— Czy domyślasz się, ktoby mógł być autorem listu tego?

— Nie.

— Czy masz najlżejsze podejrzenie co do damy, o którą chodzi?

— Na Boga! zawołał Ottomar gwałtownie.

— Przepraszam, ale jestem w tém przykrém położeniu, że muszę cię prosić o objaśnienia, których miałem prawo spodziéwać się od ciebie, a których zdaje się nie życzysz mi dać.

— Cóż mam objaśniać? zapytał Ottomar ze skrytym oporem; jak jest, tak jest.

— Krótko to i zwięźle, odpowiedział jenerał—tylko nie zupełnie jasno. Dla mnie przynajmniej pozostanie jeszcze wiele ciemnych punktów. Czy damie téj—mogę się przecię tak wyrażać o niéj?

— Miałem cię właśnie prosić o to.

— A zatém, czy damie téj masz co, chociażby coś najmniejszego do zarzucenia tak, że już nie mówiąc o zewnętrznych stosunkach, o tém potém, nie mógłbyś ją wprowadzić do towarzystwa Elsy? Pytam cię na uczciwość twoję?

— Na moję uczciwość, nie mam nic takiego do zarzucenia jéj.

— Czy o rodzinie jéj—zawsze pomijając zewnętrzne stosunki, wiesz cokolwiek, coby innemu oficerowi, nie będącemu w tak wyjątkowém jak ty położeniu, przeszkodzić mogło i musiało do połączenia się z tą rodziną? Na uczciwość twoję!

Ottomar zatrzymał się przez chwilę z odpowiedzią. Nie wiedział o Filipie nic takiego, coby uwłaczało honorowi jego; wrodzo-

nym tylko instynktem dżentelmena czuł pewien wstręt do człowieka, który nim nie był, nie miał więc prawa opiérać się na tém niewyraźném uczuciu tylko.

— Nie! odpowiedział ponuro.

— Czy zawiadomiłeś damę tę o interesach swoich?

— W ogóle: tak.

— A między innemi, czyś powiedział jéj, że będziesz wydziedziczony, jeżeli się ożenisz z osobą nienależącą do stanu szlacheckiego?

— Nie.

— To było cokolwiek nieostrożnie, ale wreszcie pojmuję to.

— W ogóle jednak czy wié ona o trudnościach, jakie w najpomyślniejszym nawet razie stanęłyby na przeszkodzie twojemu z nią związkowi?

— Tak.

— Czy dałeś jéj uczuć, że ani jesteś w stanie, ani chcesz usunąć tych przeszkód?

— Nie.

— A więc dałeś jéj może do zrozumienia, że chcesz i możesz je przełamać.

— Tak.

— A więc zaślubisz ją!

Ottomar drgnął gwałtownie; wiedział on, że się na tém skończy, skończyć musi, a jednak duma jego oburzała się na ten gwałt, który chciano zadać uczuciom jego. W głębi duszy obudziło się także owo uczucie przestrachu, którego doznawał był już w parku. Tam czuł się słabszym od téj, co mu się z taką ufnością rzuciła w ramiona. Czyż tu miał znowu być słabszym? Czyż zawsze i wszędzie miał iść nie tam, gdzie pragnął, ale gdzie go inni popychali?

— Nigdy, przenigdy! zawołał.

— Jakto? zapytał jenerał. Czyż mam do czynienia z samowolnym chłopcem, który łamie zabawkę, co mu się już przestała podobać, a nie z człowiekiem honoru, z oficerem, który ściśle dotrzymuje słowa raz danego?

Ottomar czuł, że musi się zasłonić jakąś przyczyną, cieniem nareszcie przyczyny jakiéjś.

— Mniemam, że nie mogę się przechylić na jednę stronę, nie krzywdząc jednocześnie drugiéj.

— Położenie twoje nieprzyjemném jest, dobrze to pojmuję, ale sam je sobie zgotowałeś, musisz się więc z niém godzić. Mogę ci wszakże tę przynajmniéj oddać sprawiedliwość, że teraz dopiéro

postępowanie twoje względem panny Wallbach staje się dla mnie zrozumiałém. Żałuję tylko, że nie było w niém konsekwencyi— wprawdzie nigdy i nigdzie nie przyzwyczaiłeś mię do niéj. Według mego przekonania, obowiązkiem twoim było cofnąć się natychmiast, jak tylko spostrzegłeś, że serce twoje w inną przechyla się stronę. Naturalnie, że przy naszych ścisłych stosunkach z Wallbachami byłoby to wcale nieprzyjemném, ale ostatecznie towarzystwo zrozumiałoby, że można się omylić w uczuciach i musiałoby się zgodzić na taką zmianę i praktyczne następstwa tego. Ale wszystko to powinno było stać się we właściwym czasie i miejscu. W jaki sposób dokonasz tego teraz, nie wiém; wiém tylko, że musisz dokonać. A może już i tutaj doprowadziłeś rzeczy do ostateczności i związałeś się tak jak tam?

— Względem panny Wallbach nie wiąże mię nic nadto, co sam wiész, ojcze, co wreszcie wié świat cały. Moje zaś dla niéj uczucia były od pierwszéj chwili tak chwiejne.....

— Jak postępowanie twoje. A zatém, nie mówmy już o tém więcéj. Zdajmy sobie lepiéj sprawę z położenia, w jakiém się znajdujesz obecnie, i wyprowadźmy konieczne stąd wnioski. Po piérwsze, że dyplomatyczna twoja karyera całkowicie jest stracona, bo na żadnym dworze nie możesz się pokazać z żoną mieszczańskiego pochodzenia. Powtóre, że będziesz musiał opuścić pułk, w którym służysz, bo mając pannę Schmidt za małżonkę, byłbyś tam wciąż narażony na najprzykrzejsze kolizye. Potrzecie, że jeżeli panna Schmidt nie przyniesie ci majątku, a przynajmniéj znacznéj sumy pieniężnéj, w takim razie musisz na przyszłość urządzić życie twe zupełnie inaczéj niż dotąd, co jak mi się zdaje, wcale ci przyjemném nie będzie. Po czwarte, że w skutek małżeństwa tego, chociażby w moralném znaczeniu miało ono być takiém, jak tego pragnę i spodziéwam się, na mocy testamentu tracisz prawo do dziedzictwa, jak już wspominałem poprzednio—otóż i wszystko.

Ottomar jednak wiedział, że nie było to jeszcze wszystko, że ojciec wspaniałomyślnie zamilczał o 25.000 talarów długu, które za niego zapłacił w ciągu lat ostatnich. Wiedział także, iż nie prędko albo wcale nie będzie mógł zwrócić mu tych piéniędzy, a zatém że ojcu pozostawała tylko pensya jego. Ostatniemi zaś czasy powtarzał nieraz, że chce wziąć dymisyą.

Wzrok spuszczony ku ziemi podniósł na ojca, który powoli jak wprzódy chodził po pokoju. Byłoż to złudzenie, czy rzeczywistość. Ojciec wydał mu się starszy o lat 10—po raz pierwszy wydał mu się starym człowiekiem. Do uczucia miłości, które zawsze miał dla niego, przyłączyło się prawie współczucie. Chciałby upaść

mu do nóg, objąć kolana i zawołać: przebacz mi, com zgrzeszył przeciw tobie! Nie mógł jednak poruszyć się z miejsca; stał jak gdyby przykuty do podłogi i ledwie te słowa potrafił wyjąkać: pozostaje ci Elsa.

Jenerał stanął w téj chwili przed portretami rodziców swoich, zawieszonemi na jednéj ze ścian. Przedstawiały one wysokiego oficera w mundurze z czasów wojny o wolność i młodą kobiétę w stroju tamtoczesnym, która z oczu i z czoła uderzająco podobną była do Elsy.

— Kto to wié? odrzekł.

I potarł ręką czoło.

— Późno już—druga godzina. Jutrzejszy dzień nowe przyniesie troski. Czy masz u siebie światło?

— Tak, ojcze.

— A więc dobréj nocy.

Ottomar chciał zawołać: daj mi rękę, ojcze,—ale się nie ośmielił i odrzekł tylko: dobréj nocy!—chociaż o mało co nie wybuchnął płaczem. Jenerał zatrzymał się u drzwi sypialnego pokoju: Jeszcze jedno, rzekł. Zapomniałem powiedziéć, zastrzegam sobie, że zrobię pierwsze kroki. Musisz mi zrobić tę łaskę, ponieważ sam tak długo zwlekałeś z wzięciem inicyatywy. Naturalnie, zawiadamiać cię będę o wszystkiém. Proszę cię téż, byś bez mojéj wiedzy nic nie poczynał. Musimy przecię wspólnie działać teraz, kiedyśmy się już porozumieli.

Ostatnie słowa wymówił z melancholicznym uśmiechem, który przeszył serce Ottomara. Nie mógł znieść tego dłużéj i wybiegł z pokoju.

Jenerał miał także udać się do sypialni swojéj, ale po wyjściu Ottomara wrócił znowu do biurka, otworzył jednę szufladkę i z pomiędzy pamiątek po zmarłéj żonie i matce wydobył żelazne pierścionki rodziców z czasów wojny o wolność. Wziął je w rękę.

— Inne czasy nastały, wyszeptał, nie lepsze. Gdzież, ach gdzież się podziały wasza pobożność, wasze poczucie obowiązków, wasza niewinna prostota, wasza święta gotowość do ofiar? Usilnie starałem się naśladować was i godnym być synem rodu, którego jedyną sławą i chlubą była dzielność mężów i czystość kobiét. Cóżem zgrzeszył, że mię taki zawód spotkał?

Ucałował pierścienie i złożył je znowu w szufladce, potém z pomiędzy wielu miniatur wydostał jednę, z kości słoniowéj, na któréj był wizerunek pięknego o piwnych oczach i ciemnych włosach chłopca, mającego może lat sześć.

Długo, bardzo długo przypatrywał mu się.

Linia męska Werbenów skończy się na nim, a—był to mój ulubieniec. Może ukarany jestem za to, żem go zawiele kochał, za wiele i zawcześnie się nim pysznił!

Tegoż samego wieczora stryj Ernest odebrał również bezimienny list, tylko drogą bardziéj tajemniczą.

Stary Grollman tak opowiadał o tém nazajutrz Reinholdowi.

Koło północy pan wrócił ze zgromadzenia fabrykantów. Zapaliwszy światło w jego gabinecie, wszedłem do sypialnego pokoju, gdzie latem i zimą okna są otwarte aż do chwili, w któréj się pan kładzie. Tu, na dywanie koło samego okna postrzegłem coś białego; sądziłem z początku, że jest to po prostu kawałek papiéru, ale przypatrzywszy się poznałem, że to list, wrzucony zapewne z ulicy przez okno, gdyż papiér obwinięty był nitką, a do téj przymocowany kamyczek. W pierwszéj chwili sądziłem, że należy mi ukryć ten list, nic nie mówiąc o nim panu; ale potém przyszło mi na myśl, że może to jakieś ostrzeżenie, tyczące się pożaru, napaści, lub czegoś podobnego, czego można się spodziéwać po tych łotrach, i dla tego oddałem go. Pan spojrzawszy na pismo, rzekł: zmieniony charakter—nie chcę czytać tego—wrzuć do ognia! Ale ja dopótym go namawiał, dopóty prosił, aż wreszcie otworzył list i przeczytał go. Naturalnie patrzyłem na niego wówczas i przestraszyłem się okropnie, widząc, jak twarz jego nagle pokryła się brunatnym rumieńcem a ręce trzymające pismo gwałtownie drżéć poczęły,—sądziłem, że go apopleksya uderzy. Po chwili zbladł znowu, upuścił list i rzekł: mówiłem, że jakieś głupstwo, nie zapalą przecię nad nami dachu, możesz spokojnie położyć się. Wyszedłem, alem się nie uspokoił wcale. Dziś rano o godzinie czwartéj pan zadzwonił na mnie; znalazłem go w tém samém co wczoraj ubraniu, a łóżko nietknięte nawet. Butelka zaś wina, z któréj zwykle wypija dwie szklanki najwięcéj, a czasem nic wcale, próżna była zupełnie. Pan był tak zmieniony, żem się go spytał, czy nie słaby. Odpowiedział mi, że nie, że się tylko zgniewał wczoraj i dodał zarazem coś o robotnikach i fabrykantach, ale tak jakoś wszystko niejasno,—jak gdyby z przeproszeniem pomięszało mu się w głowie.

Na moję prośbę zgodził się położyć na kanapie i kazał się przykryć, mówiąc:—o pół do dziesiątéj zbudzisz mię. Przyszedłem jak mi kazał, ale zaraz poznałem, że nie spał ani chwili, umył się i ubrał; ale wyglądał jeszcze gorzéj niż wprzódy. Kazał sobie przynieść śniadanie za pół godziny i powiedział, że musi iść na zebranie, bo obiecał; ale wolałby nie iść, bo zapewne spotka tam kogoś, kogo wo-

łaby nie widzieć dzisiaj. Nie odważyłem się zapytać, o kim mówi, ale pomyślałem sobie, że nie chciałbym być na miejscu tego kogoś.

W pół godziny potém, przyszedłszy ze śniadaniem, spostrzegłem, że pan śpi, usiadłszy w rogu kanapy. Zaraz się wyniosłem na palcach ze śniadaniem mojém, ale teraz nie wiém co zrobić, obudzić go czy nie?!

— Daj mu spać, odrzekł Reinhold po chwili namysłu, jeżeliby się stryj gniéwał, ja wezmę wszystko na siebie. Możesz być zupełnie spokojny; musiał to być list ostrzegający, a wiész, że stryj się niczego nie boi.

Grollman wyszedł z pokoju Reinholda, ale doszedłszy do drzwi pana, stanął znowu niepewny co począć.

W téj chwili posłyszał za sobą odgłos kroków na wschodach, przechylił się za poręcz i spostrzegł oficera. Poznał w nim jenerała Werbena. A to rzecz ciekawa, pomyślał sobie. Stanął wszakże natychmiast w postaci pełnéj uszanowania i, wziąwszy z rąk przybywającego kartkę, po chwili wahania, jak gdyby nie wiedział co ma z nią począć, wszedł do gabinetu pana swego.

Jenerał, pozostawszy sam, powiódł zamyślonym wzrokiem po wschodach marmurowych, pokrytych dywanem, pysznie złoconych drzwiach, bogato ozdobionym suficie i pomyślał sobie: wolałbym, żeby mieszkał w prostym mieszczańskim domu.

Po chwili sługa wrócił i, wprowadzając gościa, szepnął do niego, jak gdyby z góry uniewinniając pana:

— Całą noc oka nie zmrużył.

— Ja także nie spałem, odrzekł jenerał, z melancholicznym uśmiechem, spokojnie wchodząc do pokoju.

I tak stanęli naprzeciw siebie, mierząc się wzajemnie wzrokiem, jak dwaj zapaśnicy, z których każdy podziwia siłę swego przeciwnika i mówi sobie, że jeżeli nawet ulegnie to w równym boju i przed godnym siebie wrogiem. Jenerał wszakże czuł, że ten silny, potężny człowiek, co stał przed nim, był w téj chwili słabszym od niego, że on sam górował nad nim spokojem i umiarkowaniem, a zatém, że przewyższał go siłą. Widział to z ponurego blasku oka, z drżenia ręki, która mu wskazywała fotel, i z niepewnego głosu, który mówił do niego.

— Nie spodziéwałem się pana, panie jenerale; pomimo to wszakże nie dziwię się, że go tu widzę.

— Domyślałem się tego, odpowiedział jenerał, i dlatego widzisz mię pan tutaj. Powiedziałem sobie, że każda chwila, dająca nędznemu autorowi tego pisma możność rozlewania daléj jadu, któ-

rym nas otruć usiłuje, zmniejsza zarazem wszelkie prawdopodobieństwo przyjaznego porozumienia się między nami w sprawie, dla któréj tu przychodzę. Mogę prosić pana, byś przeczytał to pismo.

— Wzajemnie może pan będziesz łaskaw rzucić okiem na ten list.

Obaj panowie zamienili między sobą listy, odebrane dnia poprzedzającego. Jenerał ze spokojną uwagą przeczytał co następuje:

„A więc takim jest człowiek, który odprawia robotników swoich dla tego, że ci nie dotrzymali słowa, jak powiada! A on dotrzymuje swego? On, który ma wciąż na ustach słowa wolności, równości i braterstwa? który wciąż się przechwala, że sam tylko wytrwał przy staréj demokratycznéj chorągwi z 48 roku; a teraz patrzy przez palce, jak syn jego, skradzionemi u poczciwych ludzi pieniędzmi kupuje sobie dobra i buduje pałace, i jak jedyna córka jego ugania się za oficerem gwardyi, który co rok zmienia kochanki i złą drogą prowadzi pannę Schmidt do godności małżonki pana Werbena. A może pan Schmidt sam pragnie tego? To zupełnie do niego podobne; inaczéj myśléć jak mówić, inaczéj mówić jak robić. Panowie tak zawsze czynią i czynić będą, dopóki ktoś nie przeszkodzi im nareszcie w tém rzemiośle, co zamierza uczynić

ten, co zdecydowany na wszystko.“

— Autor listu tego, rzekł jenerał, zachował pewne środki ostrożności względem pana.

— Pomimo to natychmiast poznałem pismo jego, odpowiedział stryj Ernest. Jest to niejaki Roller, który służył u mnie lat kilka, a którego za nieposłuszeństwo w téjże sprawie robotników, o któréj napomyka w tym liście, odprawiłem teraz.

— Słyszałem o tém, i to tłómaczy chęć zemsty tego człowieka. W jaki sposób odkrył tajemnicę, o któréj nas zawiadamia, nie wiém wcale, ale mniejsza o to; chodzi tu o rzecz daleko ważniejszą. W liście do mnie pisanym nie zmienił wcale pisma swego, przypuszcza zatém, że nie porozumiemy się z sobą.

Przy tych słowach, jak gdyby przypadkowo, podniósł oczy, wzrok jego ostry był i przenikający.

— Ja również myślę tak samo, odrzekł Schmidt.

Głos jego drżał znowu i oczy spuściły się ku ziemi. Jenerał widział to, ale spokojnie mówił daléj, trzymając się raz powziętego planu.

— Pozwolisz mi pan najprzód objaśnić siebie co do mego zapatrywania się na świat i życie, a zarazem co do położenia, w jakiém się znajdujemy: ja i moja rodzina.

I nie czekając na pozwolenie gospodarza, jenerał mówił daléj.

— Pochodzę z bardzo staréj rodziny, która, jak się zdaje, nigdy bogatą nie była, a od dwóch stuleci już zalicza się do najuboższéj szlachty. W skutek tego zapewne męzcy członkowie téj rodziny, która nigdy nie była bardzo rozgałęzioną, prawie wszyscy służyli po dworach; kobiéty również poświęcały się na usługę księżniczek swoich. I dlatego w rodzinie mojéj z pokolenia na pokolenie przechodziło, jakby dziedzictwem przekazywane poczucie obowiązku i wierności dla książęcego domu. Dowodzą tegó niezliczone w rocznikach wojennych nazwiska Werbenów, którzy z chwałą i honorem walczyli z nieprzyjaciółmi kraju.

— Wiém, że ta duma rodowa uchodzi u niektórych za śmieszność; nie myślę jednak wcale usprawiedliwiać jéj. Chciałem tylko, jakem już mówił, wtajemniczyć pana w życie rodziny, z któréj pochodzę i takim sposobem wyjaśnić niektóre właściwości naszego charakteru; chodziło mi téż o to, bym mógł określić normę postępowania mego, któréj się trzymać zwykłem dotąd w rozmaitych wypadkach, jak i w tym np.

— Jedna z sióstr moich zaślubiła bogatego właściciela ziemskiego. Zawiedziona w wyborze swoim, nie umiała z godnością znieść nieszczęścia swego i szukała w niém usprawiedliwienia dla namiętnego stosunku, który zawiązała z pewnym cudzoziemcem zagranicą. Człowiek ten nietylko nie był szlachcicem, ale nawet nie posiadał tyle cnót i przymiotów, jakich żądam od człowieka, którego mam szanować. Śmierć sprowadziła rozdział małżeństwa, na co mój szwagier nie chciał za życia swego pozwolić. Wielki jego majątek miał się dostać moim dzieciom. Po długim oporze i tylko przez wzgląd na umiérającego, któremu wreszcie nie mogłem się sprzeciwiać, zgodziłem się na to, że połowa tylko téj fortuny miała należéć do moich dzieci, i to pod takimiż warunkami, pod jakiemi moja siostra miała wejść w posiadanie drugiéj połowy. I tak, którakolwiek ze stron zawarłaby związek, przeciwny tradycyom rodu, to jest połączyła się nie ze szlachtą, traciła prawo do dziedzictwa tego. Nadmienię przy tém, że co do mnie, oprócz bardzo małego funduszu, który z pensyi mojéj sam złożyłem, nie miałem i nie mam innego utrzymania. I tego zasobu nie posiadam już teraz. Syn mój nie odziedziczył po mnie nawyknienia do oszczędności; może być, że winą tego jest duch czasu, a może téż i ja sam zbłądziłem, pozwalając mu wstąpić do pułku, gdzie sami tylko bogaci oficerowie służą; dość, że mój syn robił długi, które ja płaciłem, dopóki płacić mogłem. Nie mogę robić tego nadal i przewiduję, że położenie

syna mego będzie nader przykrém, jeżeli utraci dochód ze swojéj dziedzicznéj części, który pobiéra od półtora roku. Pomijam już tutaj większe lub mniejsze straty, jakie poniesie w skutek związku, zawartego wbrew nawyknieniom stanu i tradycyom rodziny; chcę bowiem tylko skreślić ogólny obraz moralnego i ekonomicznego stanu, w jakim się obecnie znajdujemy, wykazać uczucia, jakie wzbudził we mnie ten list, nakoniec opowiedziéć rozmowę, jaką miałem z synem moim dzisiejszéj nocy jeszcze, zaraz po odebraniu listu, i któréj następstwem jest to właśnie, co zamierzam powiedziéć panu.

— Pozwolisz pan przerwać sobie, rzekł Schmidt. Jeżeli pan uważałeś za stosowne z góry niejako wyłuszczyć powody, które go skłoniły do wzięcia téj sprawy pod rozwagę, zdaje mi się zatém, że i ja mam prawo uczynić to samo. Mógłbyś pan bowiem przypuszczać, że postanowienie moje powstało wtenczas dopiéro, kiedy usłyszałem o pańskiéj decyzyi. Przypuszczenie takie byłoby dla mnie nieznośném, i uniknąć go mogę w takim tylko razie, jeżeli tak jak pan jasny wstęp zrobię, zakończenie wypływa już wówczas samo z siebie.

— Nie mogę się temu opiérać, odpowiedział jenerał, wolałbym wszakże, byś mi pan pozwolił dodać jeszcze słów kilka, które miałem powiedziéć, a nawet przekonany jestem, że byłoby to z korzyścią stron obu.

— Pomimo to wszakże obstaję przy prośbie mojéj rzekł Schmidt. Jenerał znowu utkwił w przeciwniku swój jasny, pewny wzrok. Pokrzyżowano plan jego.

— Powinieniem był działać prędzéj, pomyślał sobie. Teraz będę się musiał bronić tylko, a zdaje się, że atak będzie silny. A więc słucham pana, rzekł.

Schmidt nie zaraz odpowiedział, postanowił był nieodmiennie zachować spokój w téj rozmowie. I dotrzymałby postanowienia, gdyby, jak się spodziéwał, znalazł był w przeciwniku dumnego arystokratę, który z zimném szyderstwem lub grubiaństwem oświadczyłby mu, że nie myśli zezwolić na związek syna z mieszczanką i wzywa jéj ojca, by lepiéj strzegł córki swojéj, jeżeli chce uniknąć nieszczęścia, jakie stąd wyniknąć może. Ale teraz inaczéj się rzecz miała. Wprawdzie, w gruncie było to to samo, ale grzeczność jenerała zmuszała go teraz do zachowania podobnéjże formy delikatnéj. I to właśnie pobudzało namiętną naturę jego. Milczał chwil kilka, mocując się z sobą, by przynajmniéj już w pierwszych słowach się nie zdradzić.

— Co do mnie, nie mam żadnéj historyi rodzinnéj do opowiedzenia. Właściwie nie mogę nawet mówić o rodzinie; nie wiém np. czém był mój dziad. Ojciec mój nigdy nie mówił o nim; zdaje się, że nie miał się czém szczycić. Mój ojciec był dumny, ale z samego siebie tylko, ze swéj siły, energii i niecofającéj się przed niczém odwagi. Jako przewoźnik na łodzi, nieraz, gdy się grobla zerwała, narażał życie swoje dla uratowania innych, nieraz w czasie wojny z Francuzami niebezpiecznego podejmował się poselstwa, albo wreszcie robił to, czego nikt inny podjąć się nie chciał. O tyle zaś popędliwy o ile dumny. Kiedy właściciel grobli, szlachcic, w sporze jakimś podniósł rękę na niego, on go zabił na miejscu i gwałtowność swą odpokutował całoroczném więzieniem.

— Zdaje się, że i ludzie „bez rodziny“ mogą jednak mówić o cnotach i wadach rodzinnych. Brat mój, ojciec mego synowca, który ma zaszczyt być panu znany, odziedziczył, jak się zdaje, same cnoty tylko; ja przeciwnie, oprócz kilku przymiotów wziąłem w spadku po ojcu dumę, ambicyą i popędliwość. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego ludzie mają znosić to, czego mogą uniknąć, to jest, czego nie usprawiedliwia żadne prawo natury, jak np. choroba lub śmierć, co pochodzi jedynie z samowoli, chciwości i twardości serca innych ludzi, a co przez własną tylko głupotę i tchórzostwo znosimy. To téż bardzo wcześnie zbudziła się w duszy mojéj namiętna żądza wyrobienia sobie takiego stanowiska, w którém ów stary, a według mego przekonania tak niesprawiedliwy porządek rzeczy jak najmniéj dałby się odczuwać. Jeżeli umiém cokolwiek więcéj nad to, czego mię w miejskiéj szkole uczono, jeżeli z biédnego pracownika stałem się człowiekiem dostatnim, zawdzięczam to jedynie téj namiętności. Wprawdzie, z początku prowadziła mię ona na manowce, ale potém, gdy rozum przyszedł z pomocą swą, pojąłem wówczas, że nie powinienem myśléć o żadnych ideałach niedoścignionych, ale dążyć wytrwale do tego, co możebne przynajmniéj, a dla mnie konieczne.

Schmidt znowu się zatrzymał, musiał przezwyciężyć namiętne wzruszenie, które gwałtownemi falami z serca na usta się cisnęło. Musiał pozostać spokojnym, musiał—chciał tego.

Na dworze lał dészcz, w komnacie niemiła panowała ciemność jak o zmroku.

Jenerał siedział marząc, z głową opartą na ręku. Mów pan daléj, odezwał się.

— Nadszedł wreszcie dzień, w którym ideał przezemnie wymarzony miał się wcielić w życie. Przykro mi, że przy téj okoli-

czności muszę obudzić wspomnienia pańskie, może bardzo bolesne, ale widzisz pan sam, że nie mogę zrobić inaczéj.

Dnia 18 Marca wieczorem, pod moim kierunkiem zbudowano parę barykad w Königstein. A że ustawiono je lepiéj, podług pewnego systemu i broniono téż lepiéj, długo téż i uporczywie opiérały się nieprzyjacielowi, któremu dowodził oficer, walczący z taką odwagą i pogardą śmierci, że i najopieszalszych nawet pobudzał przykładem swoim. W istocie, narażał się on wciąż, jak gdyby szukał śmierci. I byłby ją był znalazł, gdyby nasi ludzie lepiéj strzelali, ale za barykadą był tylko jeden człowiek, który ptaka w locie nigdy nie chybił. Tym człowiekiem był dowódzca, tym dowódzcą byłem ja. Nieraz wśród najstraszliwszego gradu kul oficer stał spokojnie na swoim koniu, jak gdyby przyrosły do niego. Nieraz brałem go na cel, mówiąc sobie, że muszę zabić tego człowieka, bo dla sprawy, za którą walczę, on jeden niebezpieczniejszym jest niż pułk cały, że on sam jest przedstawicielem sprawy, za którą walczy, nie mogłem się jednak zdecydować. Cześć, jaką odważny uczuwa dla odważnego, powstrzymywała mię zawsze. A jednak, przekonany byłem, że człowiek ten zabiłby mię bez litości, jak zwierzę szkodliwe, gdybym wpadł w moc jego; czas pokazał że miałem słuszność. W chwili kiedy już, już mieliśmy uledz, nie mogąc się daléj utrzymać, inny oficer przyniósł tamtemu rozkaz odstąpienia od barykady. Widziałem, jak mu się to nie podobało, jak uważał krok ten za nierozsądny. Ale wojskowe posłuszeństwo przemogło; zbliżył się do barykady i rzekł: mam rozkaz do odstąpienia, gdyby to odemnie zależało, wyciąłbym was wszystkich w pień, wszystkich ilu was tam jest. Potém zawrócił się i odjechał krokiem. Parę kul wysłano za nim, nadaremnie naturalnie, kula, która oszczędziła pierś jego, nie mogła go uderzyć z tyłu.

Schmidt zamilkł znowu. W pokoju prawie zupełnie ściemniało, deszczyk zamienił się w ulewę; wielkie krople uderzały o szyby. Bieg zégara na kominie raził nieprzyjemnie.

Jenerał opuścił głowę i tak jak wprzódy, ale dziwnie złamanym głosem odezwał się: proszę, mów pan daléj.

— Walka zbliżała się do końca, chociaż wewnątrz miasta wrzało jeszcze, słychać było wystrzały ręcznéj broni i działa grzmiały. Pośpieszyłem tam, gdzie jeszcze mogłem być potrzebny. Musiałem się przerznąć przez królewską ulicę; przestrzegano mię, że wojska już ją napełniały, próbowałem wszakże, nie udało mi się, i w kwadrans potém siedziałem w więzieniu królewskiego zamku.

Zamilczę o okropnościach téj nocy; trzeba przeżyć, co ja przeżyłem wówczas, by zrozumiéć całą ich ohydę. Wzdrygam się ze

wstrętu i zgrozy, gdy przypomnę sobie owe zaraźliwe, zgęszczone powietrze, co się mięszało z oddechem nieszczęśliwych ofiar, setkami nagromadzonych w ciasnych podziemiach, o jękach ich i przekleństwach i o okropniejszym niż to wszystko tajemniczym głosie, co wciąż szeptał i szydził: napróżno, wszystko napróżno! głupcze! Sprawa, za którą walczyłeś, stracona bez powstania, stracona! stracona! To trzeba przeżyć, by uczuć, by zrozumiéć!

— Około czwartéj godziny popędzono nas do Szpandawy. Ja czułem się jeszcze silnym, ale byli słabsi odemnie. Obok mnie szedł młody, blady człowiek, student. Biédak trzymał się dopóki mógł, ale chociaż mocował się z sobą i zęby zaciskał, z oczu puściły mu się łzy, ledwie się wlókł. Litość brała, patrząc na niego, ale gdzież litość w sercu żołdaka! Uderzył go kolbą, przynaglając do pośpiechu. Krew rzuciła mu się z oczu i z ust. Nie mogłem daléj znieść tego. Wszystko obalając przed sobą, rzuciłem się naprzód, do oficera, który jechał z boku i zawołałem do niego: jeżeli człowiekiem jesteś, nie pozwalaj, by pod twojém okiem tak nieludzko postępowano, by człowiek pastwił się nad człowiekiem! Zapomniałem się zupełnie, zdaje mi się, żem nawet chwycił konia za cugle. Oficer mógł sądzić, że to osobista napaść na niego; ostrogami spiął konia, który stanął dęba i przewrócił mię. Podniosłem się natychmiast. Jeżeli człowiekiem jesteś, wołałem znowu, powtórnie mu drogę zastępując. Demokrata! przecedził przez zęby; umiéraj więc, kiedy tak koniecznie chcesz tego! I uderzył mię szablą. Gruby kapelusz i gęste włosy złagodziły gwałtowność ciosu, upadłem jednak na kolana i na chwilę straciłem przytomność. Na chwilę tylko, zaraz potém znowu się zerwałem z ziemi, postanowiłem drogo sprzedać życie. Ale w téjże chwili do oficera tego podjechał inny, przywożąc mu rozkaz jakiś, czy coś podobnego. W tymże momencie księżyc ukazał się z za chmur i w przeciwniku moim poznałem oficera z barykady. Spotkamy się raz jeszcze, wołałem za odjeżdżającym, może wówczas koléj przyjdzie na mnie, a przysięgam, że wówczas oszczędzać cię nie będę.

Od owéj nocy upłynęło 24 lat. Oficera tego spotykałem często; on naturalnie nie znał mię, ja poznałbym go wśród miliona. Jemu i mnie posiwiały włosy. Przysięgam na Boga, że pragnąłem i spodziéwałem się, że owo trzecie spotkanie nie nastąpi. Inaczéj się jednak stało: on i ja stoimy teraz tutaj naprzeciw siebie!

Schmidt i jenerał jednocześnie się podnieśli. Nie patrzali na siebie, i żaden nie śmiał pierwszy przemówić. Wreszcie jenerał odezwał się:

— I jakaż konsekwencya tego? Zdaje mi się, że teraz koléj na mnie!

Schmidt spojrzał jak lew, którego ofiara jeszcze się raz poruszyła. Jenerał melancholicznym uśmiechem odpowiedział na groźne wejrzenie i prawie miękkim głosem mówił daléj:

— Zdaje mi się, żeśmy się pomieniali na role, które zwykle wyznaczają człowiekowi z ludu i arystokracie. Człowiek z ludu pamięta aż do najmniejszego szczegółu krzywdę sobie wyrządzoną, pamięta i nic nie przebacza; arystokrata nie zapomniał także nic, ale nauczył się przebaczać. Powiadasz pan: że trzeba przeżyć to, coś przeżył w owę noc, by zrozumiéć twe uczucie. A pan, jestżeś w stanie zrozumiéć człowieka, który w noc owę widział, jak wszystko co dla niego było święte, co wziął ze krwi przodków swoich, haniebnie chciano obalić i na ruinach dawnego porządku wznieść chaos!! A jednak on się nauczył coś więcéj jeszcze; nauczył się oceniać zalety, jakie znalazł w przeciwnikach swoich; nauczył się widziéć słabe strony swego stronnictwa; zrozumiał, że trzeba prowadzić walkę na inném polu, na polu prawa i sprawiedliwości, i że zwycięztwo dostanie się temu, który na tym gruncie najprzód i najsilniejsze zapuści korzenie. Dlatego téż jego stronnictwo nie ma surowszego sędziego; żąda on, aby każda jednostka, należąca do niego, w prywatném swém życiu była wzorem moralności i obyczajów, chociażby to kosztowało ją jak najwięcéj. Co mnie kosztował krok ten, który dzisiaj rano zrobiłem do pana, to już mnie tylko i panu Bogu wiadomo, to coś więcéj a zarazem coś mniéj, jak się panu zdaje. Dość, że jestem tutaj i proszę, byś raczył przebaczyć synowi memu, jeżeli postąpił fałszywie, a nawet źle, kiedy się nie udał najprzód, jak należało do ojca osoby, którą pokochał. Proszę, by dzieci nic cierpiały za to, że ojcowie ich w złéj godzinie stali z bronią w ręku naprzeciw siebie. Proszę w imieniu syna mego o rękę córki pańskiéj.

Na te słowa Schmidt zachwiał się, jak podróżny, któremu bryła skały drogę przecięła z przodu, a w tyle za nim otworzyła się przepaść, niedozwalająca odwrotu.

Na dworze burza szalała. Zégar wybił dziesiątą godzinę. Schmidt wstrząsł się cały. Musiał usunąć skałę z drogi, musiał!

— Przysiągłem, że ręka ta wyschnie pierwéj, nim dotknę się ręki jenerała Werbena.

— To nie przysięga przed Bogiem, który jest wszechdobrocią i wszechmiłosierdziem.

— Przysiągłem.

— Przypomnij, co napisane jest, że człowiek jest jak trawa, która dzisiaj zielona, jutro zaś będzie ścięta, lub uschnie. Obaj już nie jesteśmy młodą trawą; któż wie, kiedy dla nas to jutro nadejdzie?

— Chciałbym, by nadeszło prędko.

— Może i ja chciałbym. Ale zanim to nastąpi, pamiętaj, że błogosławieństwo rodziców jest kamieniem węgielnym w domu dzieci, że nie mamy mocy rozwiązywać dwóch serc, które chociażby bez naszéj woli i chęci związały się z sobą. Pamiętaj, że odpowiedzialność za skutki tego związku niepobłogosławionego od téj chwili spadają na głowę twoję.

— Pamiętam o tém.

— Ja spełniłem mój obowiązek.

Jenerał ukłonił się i skierował ku drzwiom. Tu zatrzymał się. Jeszcze jedno, rzekł. Bez zezwolenia rodzicielskiego, zwłaszcza w tym razie, kiedy chodzi o oficera nieposiadającego majątku, związek ten nie może przyjść do skutku. Pomimo to wszakże syn mój w takim tylko razie będzie się uważał za zwolnionego ze słowa, jeżeli córka pana sama mu je zwróci. Myślę, że to nie nastąpi, jeżeli, jak przypuszczam, ojciec nie zechce wywrzeć na nią nacisku żadnego.

— To przypuszczenie każe mi sądzić, że jenerał Werben nie wywarł także nacisku żadnego na syna, kiedy ten upoważnił go do kroku, jakim mię przed chwilą zaszczyciłeś pan.

Oczy mówiącego zapałały silnie, trzymał w swéj mocy przeciwnika, teraz walka stanowczo musiała się rozstrzygnąć. Po twarzy jenerała przemknął bolesny wyraz.

— To przypuszczenie niesłuszném byłoby: poczucie obowiązku silniejszém było u ojca niż u syna.

Po tych słowach jenerał wyszedł. Dziki wyraz oczu Schmidta zamienił się w radośny płomień.

— Wiedziałem dobrze o tém, zawołał namiętnie. Przeklęte plemię zostanie tém, czém było zawsze, choć się tak bardzo chlubi cnotami swemi. Precz, precz z niém!

I tak stał pochylony, potrząsając silnemi ramionami, jak gdyby w istocie miał u nóg swoich znienawidzonego wroga. Potém wyprostował się. Ramiona opadły, radośny ogień w oczach przygasł.

— Jeszcze jedno zwycięstwo! jeszcze jeden bój, najcięższy, bój z własném ciałem i krwią własną.

Dla Ferdynandy noc minęła w snach słodkich, ranek przeszedł w marzeniach. Po raz pierwszy od wielu miesięcy a nawet, jak się jéj zdawało, od czasu, gdy doszła do samopoznania, czuła w duszy swéj spokój i wesele. Mówiono jéj nieraz, najprzód matka, potém ciotka, wreszcie przyjaciółki, że serce jéj namiętne przyniesie jéj nieszczęście, że duma poprzedza upadek; zawsze odpowiadała im na to, że chce upaść, chce być nieszczęśliwą, jeżeli za tę tylko cenę można kupić szczęście, chociażby krótkie, ale takie o jakiém marzyła.

I w istocie była nieszczęśliwą; nie zadawalniały ją ani hołdy, oddawane jéj nadzwyczajnéj piękności, ani pochwały talentu, ani nawet nadzieja zostania wielką artystką. Czuła dobrze, że niepodobna jéj będzie dorównać tylu innym potężnym talentom i widziała, jak Justus nawet bez żadnego na pozór trudu sięgał wyżyn sztuki niedoścignionych dla niéj, pomimo największych usiłowań, jak się sama przekonywała. Nieraz ubolewała nad tém przed owym wielkim francuskim artystą, na którym piękność jéj zrobiła była tak wielkie wrażenie. Na niespokojne jéj pytania długo odpowiadał uśmiechem tylko i grzecznemi słówkami, wreszcie przemówił na seryo: dla kobiéty jedno jest tylko najwyższe szczęście miłość, ma ona tylko jeden geniusz, któremu nie dorówna żaden mężczyzna, i to znowu miłość. Słowa te przeszyły jéj serce: a więc sztuka była dziecinném marzeniem, a miłość?! Tak, wiedziała, że kochać potrafi bez miary, bez granic! Ale człowiek, który wznieci tę miłość, z pewnością nie pojmie jéj i nie odpowie, może się wzdrygnie przed jéj płomieniem, a wtenczas biada jéj saméj, nieszczęśliwszą będzie niż kiedykolwiek przedtém.

Czyż smutne to przeczucie nie spełniło się już, czyż gorzkiemi łzami nie oblała już swéj miłości? czyż nie widziała, jak on drżał i cofał się nie przed niebezpieczeństwem grożącém ich miłości, ale przed samą miłością, przed jéj potężną, ale nienasyconą, wszystko poświęcającą, ale też wszystkiego pożądającą miłością?

Wczoraj jeszcze czuła to dobrze. A dzisiaj, dzisiaj wśród tysiąca gorących pocałunków, które w myśli składała na jego pięknem czole, na oczach i ukochanych ustach, dzisiaj przepraszała go za wszystko, cokolwiek złego pomyślała lub powiedziała kiedy przeciw niemu, a czego już nigdy, nigdy nie pomyśli i nie powie.

Chciała pracować, nie mogła, ręka nie służyła i myśl nie dawała się przykuć do tego, co się teraz wydawało już tylko dziecinną zabawką, bezskutecznym środkiem do zdobycia szczęścia. Szczęście było tylko w miłości, w jedynie prawdziwym geniuszu kobiéty, w jéj

geniuszu, który sama to ceniła, przewyższał wszystko, cokolwiek ludzie czuli kiedy i miłością zwali.

Za ciasno jéj było w pracowni, tak jak wprzódy za duszno było w pokoju. Wyszła do ogrodu, błądziła wśród drzew, które na jéj głowę otrząsały krople deszczu. Jakże często dawniéj raził ją blask słońca, błękit nieba i ten spokój natury, co zdawał się urągać jéj biédnemu sercu, wciąż miotanemu burzą namiętności. Teraz, dumnie podniosła głowę, nie potrzebowała słońca ani światła, serce jéj pełne było blasków i ciepła! Czarne chmury, przenikający wiatr, szum drzew, wilgotna, czarna ziemia, wszystko się piękném i przyjemném teraz wydawało.

Wróciła do pracowni, usiadła na miejscu, gdzie ją pocałował po raz pierwszy, i znowu się pogrążyła w marzeniu. I zdawało się jéj, że siłą marzenia tego przywołała ukochanego, że się drzwi otwierają, i cicho wchodzi on z uśmiechem na ustach. Tak, to nie jest złudzenie w istocie, drzwi się otwierają, ktoś wchodzi powoli ach nie, to nie on! Na téj twarzy nie ma uśmiechu, w tych oczach nie wyraz miłości i szczęścia, ale ponury blask i ciężki smutek. To nie on! To, wielki Boże! to ojciec!

Gwałtownie zbudzona, porwała się z miejsca i znowu opadła i znowu podniosła. Z oczu ojca, z listu, który trzymał w ręku odgadła natychmiast, z czém przyszedł; wypowiedziała to w namiętnych, pomięszanych wyrazach. On opuścił głowę i nie zaprzeczył jéj. Odpowiedział tylko; moje biédne dziecię!

— Nie jestem więcéj twojém dziecięciem, jeżeli mi tę krzywdę wyrządzisz!

— Zdaje mi się, że sercem nigdy niém nie byłaś.

— A jeżeliby i tak było, któż temu winien? Czyś mi kiedykowiek okazał miłość, któréj każde dziecię ma prawo żądać od swego ojca? Czyś kiedykolwiek pochwalił pracę moję, czyś mię kiedy zachęcił do niéj? Przeciwnie, czyś się nie starał zniechęcić mię i odstręczyć od drogi, którą obrałam sobie, czy nie dawałeś mi uczuć, że nie uważasz mię wcale za uzdolnioną do sztuki, i że w twoich oczach wszystko tutaj jest dziecinną zabawką, którą mi kupiłeś dlatego tylko, by mi dać sposób przepędzenia, przemarnowania czasu. Wydarłeś mi pewność siebie, zaufanie w swe siły, a teraz przychodzisz tu, by mi wydrzéć miłość moję, dlatego tylko, że się duma twoja oburza na to, że tak małe, nędzne stworzenie może także mieć swoję wolę, wolę inną niż twoja! Ale mylisz się, ojcze, jeżeli sądzisz, że dokonasz tego. Bądź co bądź jestem twoją córką—możesz mię złamać, ale nie ugniesz. Możesz mię wygnać, pogrążyć

w nędzy, możesz roztrzaskać głowę oto tym młotem, bo jesteś silniejszy odemnie, ale mojéj miłości nie potrafisz mi wydrzéć!

— Mogę i wydrę!

— Sprobuj!

— Czy chcesz być kochanką pana Werbena?

— A cóż to ma za styczność z miłością moją?

— A więc zapytam inaczéj. Czy chcesz być podobną do jednéj z owych nędznych istot, co się oddają mężczyznie bez małżeństwa a nawet i w małżeństwie, nie otrzymując miłości za miłość? Pan Werben nie da ci miłości. Pan Werben nie kocha cię wcale.

Ferdynanda zaśmiała się szydersko. I on sam przyszedł ci to powiedziéć? on, który wié, że cały ród jego śmiertelnie nienawidzisz?

— Nie on, ale ojciec jego, który musiał najprzód wymódz na synie swym upoważnienie do kroku, którego ten nie miał odwagi sam uczynić.

— To...

— Nie kłamstwo! przysięgam na to! Ale to nie wszystko jeszcze. Nie on sam z własnego popędu udał się do ojca, nie byłby zrobił tego, może nie zrobiłby tego nigdy, ale ojciec kazał go przywołać do siebie i zapytał, czy prawdą jest to, co wróble rozpowiadają na dachu, a zuchwali oszuści piszą w anonimnych listach do nieświadomych niczego ojców, że pan porucznik Werben ma kochankę za ścianą swego ogrodu, albo—co ja wiem!

— Pokaż mi listy!

— Oto jeden z nich, drugi możesz dostać od jenerała, który zapewne bardzo chętnie ci go pokaże; wątpię, by syn jego miał co przeciwko temu.

Ferdynanda przeczytała list.

Była pewną, że Antonio tylko mógł ją zdradzić; ale list nie był pisany ręką Antonia. A więc nie same tylko zazdrośne, pałające miłością oczy przeniknęły jéj tajemnicę. Blade policzki Ferdynandy zapałały ze wstydu i gniewu.

— Kto to pisał? zapytała.

— Roller; w liście do jenerała nie zmienił nawet pisma swego.

Ferdynanda oddała ojcu list i otarła ręce, jak gdyby po dotknięciu do jakiegoś ohydnego przedmiotu. O hańbo, hańbo! wyszeptała.

Odprawiony inspektor przypuszczony był z początku do ściślejszych z rodziną stosunków, ale wkrótce Ferdynanda spostrzegła,

że ośmielił się podnieść na nią oczy. Skorzystała przeto z jakiéjś okoliczności i usunęła go zupełnie od towarzystwa swego. I zuchwałe, wstrętne oczy tego człowieka—o hańbo, hańbo! powtarzała wciąż, szybko chodząc po pokoju i rozpaczliwie trąc ręce. Zbliżyła się wreszcie do biurka, pośpiesznie nakreśliła parę linij na ćwiartce papiéru i podała ją ojcu, który nieruchomie stał na miejscu. Czytaj rzekła.

Na kartce były te słowa:

— Ojciec mój chce dla mnie zrobić ofiarę z przekonań swoich i zgadza się na związek mój z panem Werbenem. Ale ja, z powodów, których duma nie pozwala mi tutaj wymienić, uważam ten związek za moralnie niemożebny ani teraz, ani nigdy i uwalniam pana Werbena od wszelkiego zobowiązania, jakie względem mnie mieć może. Postanowienie to, z własnéj mojéj woli pochodzące, jest stanowczo nieodwołalne. Wszelkie usiłowanie pana Werbena, mające na celu zmienić je, będę uważała za osobistą obrazę.

Ferdynanda Schmidt.

— Czy dobrze tak?

Skinął głową. Czy mam mu to odesłać?

— W mojém imieniu.

Odwróciła się od ojca i wzięła się do pracy. Ojciec złożył list i zbliżył się ku drzwiom. Tu zatrzymał się. Ona, zagłębiona w pracy, zdawała się nic nie widziéć. Jego oczy z wyrazem głębokiéj boleści patrzyły na nią. A jednak, szepnął, a jednak!

Wyszedł. Powoli idąc po dziedzińcu, szeptał: pusto i próżno. Wszystko pusto i próżno! Taki to koniec piosnki dla mnie i dla niéj.

— Stryju!

Zatrzymał się przelękniony, przed nim stał Reinhold.

— Stryju, na Boga! Jenerał był właśnie u mnie. Wiém wszystko, co postanowiłeś?

— To, cośmy musieli postanowić?

— Dla Ferdynandy będzie to wyrok śmierci.

— Lepiéj śmierć, niż życie bez honoru!

Wyprzedził Reinholda i wszedł do domu. Reinhold nie odważył się iść za nim—wiedział wreszcie, że byłoby to napróżno.

(c. d. n.)

WINCENTY POL

JAKO POETA

DWA ODCZYTY W. SPASOWICZA.

I.

W małoczytanym Pamiętniku W. Pola o literaturze polskiéj XIX wieku złorzeczy autor pewnéj rutynie, przyjętéj w wykładzie téj literatury w książkach i dziennikarstwie i opartéj na czasowych teoryach. Teorye, powiada Pol, należą do czasu i panujących wyobrażeń, a fakta dopiéro należą do historyi (*Prel. 1*). Obalić rutynę utkaną ze stronniczych uprzedzeń i płytkich teoryj, może tylko krytyka, ale krytyka za dni naszych jakież nieprzebrane ma zastępy nieprzyjaciół? Jeden z takich krytyków (*Łuniewski*, *Niwa*, *34 zeszyt*, *1876 r.*) powiada: po macoszemu postępuje z poezyą krytycyzm sui generis ostatnich czasów. Rozpoczęto szturm do poezyi już nie w imię oderwanych zachceń, lecz z całym systemem sztucznie powiązanych i wzajemnie wspierających się teoryj. Przetrząśnięto archiwa przeszłości i pociągnięto wielkich naszych mistrzów do odpowiedzialności przed obliczem moralném i umysłowém chwili dzisiejszéj. Dostaje się więc rutynie, bo na względnych i odkwitłych teoryach oparta; dostaje się krytycyzmowi, bo w imię nowych teoryj sądzi, największa zaś wina spada na teorye za to, że śmią dopuszczać się zbrodni i powoływać umarłych wielkich mistrzów słowa przed sąd chwili obecnéj, to jest przed jedyny możebny trybunał, zawsze otwarty i nieznający żadnych prekluzyjnych terminów, przed który bodajby przychodziło co najwięcéj spraw sądzonych po raz dziesiąty, albo setny z odnawiających się wciąż apelacyj. A jednak nikt się nie obejdzie bez krytyki, a krytyka musi teoryzować, to jest rozkładać każdy poetycki utwór na pierwiastki, tłómaczyć to-

warzyszące powstaniu jego okoliczności i warunki i, pozbawiwszy go wszelkich barw jaskrawych, któremi go przyodziewało uczucie namiętne, podać treść jego przejrzysto jasną, w niezabarwionêm świetle idei. Krytyka porządkuje nagromadzone skarby twórczości poetyckiéj, ułatwia użytkowanie z nich, uprząta wszystko, co zużyte i przeżyte, rozpędza ćmy szkodliwe ślepych naśladowców. W krytyce spoczywa rękojmia umysłowéj niezależności i samodzielności społeczeństwa w obec wielkich mocarzy myśli, których panowanie jest niesłychanie długie i mocne, bo trwa nieraz przez długi ciąg pokoleń, ale wtedy tylko bywa pożyteczne, kiedy oparte nie na ślepéj wierze, lecz na krytycznie co chwila sprawdzanêm ich uznaniu. Krytyka ma prawo żądać: by była bez uprzedzenia i spokojnie wysłuchaną. Zbić ją można, lecz nie wprzód, aż wykazane będą myłki i szczerby w jéj teoryach, a głównie wady w jéj metodach, w środkach i sposobach badania. W imię tych niezaprzeczonych praw krytyki upraszam o spokojne wysłuchanie krytycznego studyum o jednym z mistrzów naszego Parnasu, o mężu niedawno jeszcze, bo przed laty 6-ciu zmarłym i niezawodnie należącym do niewielkiéj liczby nieśmiertelnych. Postać to była piękna, poważna, podniosła, pociągająca wszystkich, którzy mieli szczęście ją poznać, i tak na wskróś polska, że niktby się w nim nie domyślił kropli krwi niemieckiéj.

W ciągu pewnego czasu Pol był najbardziéj czytanym, lubionym i popularnym poetą na całym obszarze mowy polskiéj. Słusznie zauważano, że bezpośrednio po śmierci Adama była chwila, gdy nikt z żyjących nie był ceniony tak wysoko jak Pol. To powszechne uznanie odbiło się we wpół na seryo, w pół żartem pisanym „Haśle“ Kondratowicza (*1855. Borejkowszczyzna, VI, 325*), z racyi zastosowanych doń słów Trzycieskiego o Reju: ty rej wodzisz.... „Tyś jest Pol,“ pisze Kondratowicz, „bard jedyny Sarmackiego pola, tyś przestronny jak pole od brzega do brzega. A sarmacka twa pieśnia górą się rozlega. Z echem jéj obeznane rozległe krainy od Karpat i Powiśla aż do Newy i do krańców Lapońskiéj rubieży.“ W chwili kiedy te wiersze pisano, słońce poezyi miało się już ku zachodowi, dziś całkiem zaszło, nie narodził się żaden nowy wielki poeta po Polu. Mimo to, krytyk dzisiejszy, prawie każdy, uważa zwykle za obowiązek: strącić dużo z dawniejszych uwielbień i zredukować przez porównanie dawniejsze, uznawane dziś za przesadne, obliczenia wartości poezyi ostatniego minstrela staroszlachetczyzny. Pojęcia ludzkie zmieniają się ze zmianą punktu widzenia. Krytyk jest jak podróżny, który gdy się wspinał na jakikolwiek ze szczytów podgórza, nic nie widział prócz tego szczytu, bo mu ten szczyt zasłaniał ostrza i iglice głównego pasma gór. Zwiedziwszy świat górski, podróżny spuścił się

na równiny i z oddąli w perspektywie dostrzega wyraźnie pasmo gór główne, a za niémi na jego tle zarysowujący się rząd wyniosłości niższych i domyśla się wklęsłości pomiędzy obu pasmami. Taką wklęsłością, w dziejach poezyi polskiéj XIX wieku, były pamiętne lata 1846—1848, przedzielające niby czarną pręgą dzieje te na dwie różne doby. Stało się to, co się dzieje z łąką po pierwszym pokosie, trawa na nowo dorosła, i łąka zakwitła po raz drugi nie tak obficie, innemi nie tak pięknemi i nie tak pachnącemi kwiatami. Odmiany zaszłyby same przez się. Mickiewicz zamilkł jako poeta po 1834 r., najwięksi po nim i najgenialniejsi śpiewacy zaszli w najmglistszą metafizykę, albo skoczyli równemi nogami w mistycyzm. Wypadki i zaburzenia w Europie uwydatniły tylko nieco jaskrawiéj różnicę pomiędzy florą z doby pierwszéj i florą z doby drugiéj, niby z babiego lata, które nastąpiło po wczesnych ostrych chłodach, zwiastujących jesień.

Była to rzeczywista jesień, jasna, pogodna, bez żadnych dalekich ideałów, bez żadnych poetyckich aspiracyj na przyszłość. Po całkowitém zdyskredytowaniu i śmiałych wypraw nadpowietrznych na skrzydłach metafizycznéj dedukcyi i praktycznych prób przerobienia społeczeństwa wedle teoryi demokracyi i socyalizmu, górowały same żywioły zachowawcze: religijność, tryumfująca zawsze po wszelkich rozbiciach się umysłowych, ustalone podanie i prastary obyczaj. Wiadomo, że wybujanie tych potęg i ich przewaga nad postępowemi żywiołami prowadziłaby do skostnienia i znaczyłaby to samo, co przeżywanie funduszu, zarywanie, prócz intrat, z samego zakładowego kapitału. We wszystkich postępujących i odnawiających się społeczeństwach, górowanie starego podania charakteryzuje okresy przejściowe, w których z powierzchni nie odgadniesz co się odbywa w głębi, bo idzie podwójna robota i życie się rozstrzela w rozmaite kierunki. Na pozór przyświecały też same ideały, dla rozmiłowanéj w staroświetczyznie publiczności, w coraz to nowych formach i ugrupowaniach podawali je poeci, już nie natchnieni wieszczowie, ale bardowie z profesyi, a na dnie życia układały się stosunki, całkiem nieodpowiednie ideałom. Zarazem w umysłowości europejskiéj, tak ściśle związanéj z naszą, postępowała krytyka, wyrabiały się metody naukowego badania i przygotowywała się naukowa synteza dwóch światów zewnętrznéj natury i duszy, największy za dni naszych, ale nie ostatni wysiłek rozumu ludzkiego, próba nowéj filozofii, którą wypada zaznaczyć jako fakt, chociażby się nie podzielało wszystkich jéj nadziei i zasad, próba wykazania, że prawa też same rządzą biegiem ciał niebieskich, ruchami materyi, procesami duszy i rozwijania się społeczeństwa. W skutek téj dwoistości

w przejściowym okresie, wszystkie osoby i przedmioty przedstawiają się w złudném, niepewném oświeceniu: w dwuświetle, zorzy wieczornéj i porannego brzasku, i wszelkie o nich sądy spółczesne podlegają ogromnemu sprostowaniu, bo albo podwyższeniu wartości tych, na których nie umiano się poznać, albo deprecyacyi. Na firmamencie poezyi tkwią, jak szruby niewzruszone olbrzymiéj arfy, wielkie imiona Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego; ostateczny sąd o nich mało się odmieni. Inaczéj się rzecz ma z poetami, którzy się pojawili, lub szerzéj zasłynęli po roku 1830, a było ich naczelnych dwoje: Kondratowicz na Litwie i Pol w Galicyi; obaj dalecy od nowatorstwa, obaj lutniści, gawędziarze i pobożni, a bezwzględni czciciele starych tradycyj; na pozór zda się, jak gdyby pobratymi, lecz przy ich zestawieniu, jakże rażące dadzą się dostrzedz różnice. W człowieku z Palemońskiego lasu, poddanie się staréj regule i ubóstwianie staroświetczyzny były niezmienne, mające cechy niewzruszonych przekonań, zasad myślenia teoretycznych; w nich się wychował, niemi przesiąkł na całe życie, lecz obok tego zamiłowania w świecie, który zeszedł, zamiłowania, którego zresztą Kondratowicz nikomu nie narzucał, było szczere zajęcie się i światem jaki jest, wżycie się we wszystkie realne stosunki, powodowane ogromną dozą spółczucia dla wszystkiego co pospolite, poziome a słabsze, co proste a nieoświecone i dlatego chociaż liczebnie mnogie, cierpi od wyzyskiwania i ucisku. Ta wielka ludzkość, ten zmysł demokratyczny, mocą którego Kondratowicz stawał zawsze po stronie wielkich ludowych mas, a nie wysterkających nad poziom osobistości, więc szedł nie zbaczając ani jednę chwilę w kierunku głównego prądu naszego wieku, ten zmysł demokratyczny, powiadam, w połączeniu z niewyczerpanemi skarbami wyrozumiałości dla różnic od własnéj wiary i przekonań, sprawiały, że ten religiant i człowiek tradycyi nie złorzeczył nigdy duchowi wieku, nie przeczył i nie opiérał się wielkim umysłowym nabytkom i płodnym w następstwa usiłowaniom. Najskromniejszy z ludzi Kondratowicz nie ideami, lecz tendencyami wyprzedzał znacznie swoich spółczesnych, i jaśnieć będzie coraz bardziéj ceniony, jako poprzednik i zwiastun nowéj epoki.

Z Wincentym Polem ma się nieco inaczéj: Pol kroił zawsze na podniosłe i wielkie i innych lotów jak orle nie rozumiał: jeżeli ukochał i śpiewał kiedy maleństwo, to abstrakcyjnie i teoretycznie, jak Król w sielance, który wzdycha: szczęśliwi wieśniacy,—a jednak nigdy korony nie złoży i między chłopami nie zamieszka, chociaż pojmuje „że to, co małe, bywa téż i całe, I niby wieczne i zdrowe i hoże, czyste swobodne i żywe i Boże; I rade sobie i rade drugie-

mu, I nie zawadza cudzemu ni swemu, Boć rade temu co mu padło w dziele, A silne liczbą, boć to tego wiele"... „Więc lepiéj pyłkiem a w światłości zginąć, I niby kropla w morzu życia spłynąć."

Rady w rodzaju tych: „biedni wy ludzie, że też wy nie wiecie co to być małym".... dają się zwykle innym, a nie chowają się dla siebie i udzielają się tylko warunkowo: „Kiedy nie zdołasz biedne chłopię sprostać temu co proste i temu co wielkie, To zniknij iskrą lub zléj się w kropelkę"...

Warunku tego doradca nigdy do siebie nie zastosuje, choć wié doskonale, że: „Źle wielkiéj rybie, która wierzchem chodzi. I źle ptakowi co strzela wysoko. I biedne to oko co w słońce patrzy." Autor nie może nigdy osobiście zasmakować w szczęściu maleństwa, bo wprzód trzebaby mu było zwątpić o sobie i o swojéj zdolności sprostania temu co proste i temu co wielkie, więc szybuje wciąż w górę i ma upodobanie tylko w tém w „co zwykle świat godzi," albo co gorsza, co samo w siebie godzi, a mianowicie w to: „co światłe, co z kraja, co lotne,—co wielkie, wzniosłe i samotne, czy to na lądzie, na morzu czy w niebie" *(Z podróży, VIII)*. W człowieku budzi się czasami swawolna pokusa minąć mogiły: „Iść nie dnem życia," a jego wierzchem. „Pluśniem," powiada, „wesoło jak rybka wodą." (*Z podróży*, *1*), lecz swawola nie trwa długo i myśl,—zbieg chwilowy, wraca jak do ojczyzny pomiędzy „Odwieczne Tatry, graniczne strażnice, z któremi przenigdy myśl się nie oswoi. Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością" (*IV*). Zda się, że poeta może swobodnie oddychać tylko w dziedzinach, gdzie niebo „światami zasiane." „I było gwiazd widać obroty. A górą nad mgłami kolczasto szarpane, straszyły jak duchy turń szczyty, Olbrzymio wyrosły z powodzi obłoków Poczwarne, jak widma sumienia, Samotne śród ziemi jak słowa proroków, A wielkie jak słowa stworzenia" (XV).

Co lepsze: góry czy niziny? Wybór jest to rzecz gustu, nawyknień od młodości, a nawet temperamentu. W każdém społeczeństwie i w każdym, by najprostszym stanie, są ludzie z natury bardziéj pochopni stanąć albo po stronie kamiennéj jednostajności, twardéj reguły i władzy, albo rwać się ku rozmaitości, nurzać się w ruchoméj fali życia i swobody. Upodobania pierwszego rodzaju były nawet w przeszłości daleko pospolitsze od ostatnich, okolice górskie uchodzą dotąd za szczególniéj malownicze, sztuka zajmowała się głównie malarstwem historyczném i religijném, a dziś dopiéro staje się rodzajową, ludową, typową. Nawet historya daleko chętniéj badała przeszłość ludzkości w wyjątkowych objawach, w półbogach i potworach, niż średniego człowieka, niż właściwości i prawa rozwijania

się mas. A przytém nic droższego na świecie nad miarę, nic gorszego nad ostateczność. Powiadają podróżni, że wielki powab najpiękniejszéj alpejskiéj okolicy znika, skoro wędrowiec wzniesie się zbyt wysoko, po za linją życia organicznego, skoro wkroczy w przerażającą krainę martwych żywiołów, nad sobą ma niebo ciemne, a pod sobą bezkształtne i nieruchome ogromy, podobieństwo przedstworzennego chaosu, bez miast i osad ludzkich, prawie bez pól i lasów. Kto się wedrze na takie granitowe iglice, albo się spuści na samo dno oceanu, powodując się hasłem—„na dno życia! na dnie waga, Na dnie tylko prawda naga, I natchnienie rwie się z głębi, kiedy w sercu krew zakłębi" (*Przebolało*, *IV*),—ten może łatwo omylić się i wziąć za grunt życia granit, lód, czy piasek, od ludzi się odosobnić i zmarniéć na jakim niedostępnym cyplu. Odosobnienie, w którém znalazł się Pol po roku 1850, w chwili kiedy sława jego brzmiała najrozgłośniéj i kiedy przyznawano, że on rej wodził, znalazło podwójny wyraz w życiu jego i w poezyach;—*po pierwsze* w tém, że poeta miał wciąż zaprzeczane panowanie, w r. 1848 uznał potrzebę odbyć spowiedź publiczną, w któréj tłómaczył się raczéj z tendencyj literackich, niż z czynów; w 1860 dosiągł go dotkliwy i namiętny pocisk z rąk Kornela Ujejskiego, w Listach z pod Lwowa; w ostatnich zaś latach pisano coraz częściéj, że Pol się wyczerpał, przeżył; *powtóre*, że poeta stał się zgryźliwym i opryskliwym krytykiem swojego wieku i gorzko zrzędził, ganiąc wszystkie pomysły wieku, roboty jego i wynalazki.

„Wielki sznur pereł łączy niebo z ziemią; wszystko się popsuło skoro w złości nić tę zerwano, I garść pereł rozsypano, I nikt związać jéj nie może, I już iskra nie przeleci po téj nici Bożém drganiem". (*Po burzy*, *V*, *30*, *wydania lwowskiego* z *1876*). To, co poeta wziął po Bogu, złożył na powrót światu miłośnie, „ale com złożył," powiada on w Makowém ziarnku (*V*. *74*) „to było zapoznane." „Za co on kocha wrzasnęła hołota.... I owo grzechy mojego żywota!" Darmo głos jakiś woła mu, że zbawienie w ramionach krzyża, z których „jedném cierpliwość, drugiém przebaczenie".... (*V*. *75*). Poeta nie może nietylko pogodzić się, ale i przebaczyć tym wężom, w których gnieździe sam stoi (*Po burzy*, *V*), tym trutniom, których aż siedm rodzajów naliczył w odezwie do Syrokomli (*V*, *158*) i z których żaden Bogu nie zapali świecy, ale każdy najpierwszy ciśnie się do miodu. Dziwny to jednak rodzaj tych trutni nowożytnych, na których poeta najbardziéj rozżalony nie za to, że są darmozjady, na nic oprócz spożywania niezdatne, lecz za to, że: „Jak się trutnie dobrze przysposobią, Z pomocą chemii nawet miód wyrobią," zatém, że za pomocą łoju i syropu z buraków przyuczą naród obchodzić

się bez świateł jarzących i słodyczy miodu, bez pszczół i bartnika. Cały świat zawinił bez wyjątku. „Indziéj źle czynią zazwyczaj złodzieje. U nas źle czynią nawet dobrzy ludzie.“ (*V*, *156*). „Świat się w skorupę zatwardziałą zaszył. I w tym pancerzu zabrnął w takie błędy, że nie ma drogi tędy ni owędy. Świat dziś tak stanął, że mu ani radzić, Ni potakiwać ani można przeczyć; że nie iść za nim, ani go prowadzić, Ni z nim umierać ani się wyleczyć.“ (*Wieczór w Swoszowicach*, *VI*, *49*).

Tak źle, że i być nie może gorzéj, przed nami stoi ciemna, ponura, pełna grozy i bezdennéj rozpaczy wizya w stylu Michała Anioła, wilią dnia sądnego przypominająca, pod tytułem: *Obraz z życia*, z epigrafem „Śmierć z trwogą nadchodzi, W boleściach świat rodzi.“ Maurycy Dzieduszycki stawia wiersz pod datę wydań 1863 r., lecz już go cytował w r. 1860 Ujejski, a cały ciąg myśli dowodzi, że wywołały go wrażenia europejskiéj zawieruchy 1848—1851 r. i francuzki socyalizm demagogiczny (*VII*, *360*). Umysł wyjałowiał wedle Pola bez wiary, a szczególniéj bez Łaski Bożéj; nastał wiek obrzydzenia, wiek bez siły, wiek oskarżenia, co nawet wydać śmierci nie jest zdolny, wiek w którym każda ręka czy zbrojna, czy okuta wciąż czeka—ale nikt nie działa. Zamiast czynów, w skarłowaciałéj ludzkości widzimy tylko zabiegi stronnictwa, gawiedź rozdarta na dwie połowy, po jednéj stronie nie ma *cnoty*, po drugiéj *rozumu*. Po jednéj stronie brzęczy złoto, po drugiéj łachmany, po jednéj stronie trzeźwa władza bez serca, po drugiéj półsenne marzenia, pomiędzy niemi wije się pielgrzymka mętnych wyobrażeń, których ćmy lecą jak psy bez panów, jak błędne dzieci, jak ciemne duchy wzdłuż pobojowiska. Każdy czeka i jest wystygły. „W słabości wroga szuka tylko siły, zna co mu dłużni i co sam jest winnym. Lecz ani może spłacić długu innym. Ni poprzeć prawo, które odziedziczył, i jest gorszy od Kannibala, bo chce, a nie śmie ukąsić.“ „Zna kędy trzeba, a nie śmie ugodzić. Ale chcąc mękę przewłoki osłodzić, Patrzy na wroga stopniowy upadek, I pasie duszę widokiem téj klęski, Jakby się jadem mógł dźwignąć na siłach“... —

Straszliwa charakterystyka, któréj naczelnym rysem jest połączenie piekielnéj złości, z największą niemocą, przygotowuje słuchacza do przeraźliwego grzmienia trąb dnia sądnego po nad w nicestwo upadającém społeczeństwem, tymczasem, przez nagłą interwencyą dawniejszych wspomnień filozoficznych, dowiadujemy się, że duch ludzkości nie może pobłądzić, że to rodzące bóle, że „Matka swój żywot pokalany grzechem Zamknie swą śmiercią, ale, kiedy skona, Wyciągnie dziecię do świata ramiona.“ Dziwny ten przeskok od zapadającego w nicość zepsucia, niemającego żadnych za-

datków przyszłości, do jutrzenki nowego żywota, nie jest niczém motywowany i opiéra się na przypuszczeniu bezpośredniego wpływu woli Boskiéj, na niepojętym cudzie. Poeta po prostu wierzy, że „kogo Bóg do sprawy powoła,“ Ten już czynom olbrzymim podoła.“ W r. 1853 (*Kometa*, *VII*, *236*) poeta o tym cudzie marzył i modlił się „Daj Panie światu wielkiego człowieka, Jeżeli światu chłosty jeszcze trzeba, To daj go Panie nawet w nieprzyjaciół domu“!... Robiąc to wywołanie geniuszów, Pol oczywiście pojmował nie tych co orzą gęślą, lub brzękają na lutni, lecz ludzi doraźnego czynu, dzierżących berła, buławy, pieczęcie. Samo wywołanie zdradza brak pojmowania natury znaczenia i roboty ludzi czynu. Wielki człowiek praktyczny nic z siebie nie tworzy, ani do świata wnosi, on tylko bystro przejrzy potrzebę wieku, uchwyci swobodną chwilę i przetnie lub wyprości zły i bolący stosunek, o którym dawno gadali ludzie myśli, stanowiąc nowy sprawiedliwszy a trwalszy, który już dawno przepowiadali ciż ludzie myśli. Sam Pol, dopuszczający i chłostę, zaprzeczał temu, czém kończy wiersz z *Podróży po burzy*: „czém przeszłość świeci I co blask po ziemi nieci, To poczęło się w miłości“ (*V*, *32*). Są rzeczy wielkie, poczęte nie z miłości, ale nie masz poczętych nie z rozumu.

Zresztą z wywoływaniem trzeba być ostrożnie jak z ogniem; powiadają, że czarnoksiężnik nieraz bywał w kłopocie z duchem, którego wywołał zaklęciem, sądzę, że i Polowi, który dożył do niejednego żelaznego księcia, nie bardzo po sercu było sprawdzenie się jego modlitw gorących o wielkiego człowieka z jakiegobądź domu.

Bądźmy wyrozumiali dla proroctw nietrafnych, któż się nie mylił w przypuszczeniach o rzeczach zagadkowych i przyszłych; daleko gorszy błędny punkt wyjścia w rozumowaniu, a ten wydaje mi się błędnym w Apokalipsie Pola, w obrazie natchnionym czarnemi myślami w chwili podobnéj do téj, jaką opisał Ujejski słowami: Kiedym lat temu kilka był w Krakowie, mówił mi Pan Wincenty Pol: „nastały czasy Antychrysta“ (*146*). Świat wedle poety dlatego stał się złym i podobnym do przegniłego jabłka, że zastanawia się i rozumuje: „Dzisiaj świat inny, bo treść życia bada, Jak niegdyś bronią dziś myślą dowodną Bodzie pierś wroga... Dziś widno lecz chłodno, Chłodno i trzeźwo,“ bo każdy człowiek obliczył się z drugimi i z sobą. Jeżeli uprzednio mieliśmy powód wątpić o trafności przepowiedni Pola, to z racyi tego poglądu możemy wywnioskować, że był złym przewodnikiem i doradcą, bo sądy jego o stanie rzeczy spółczesnym, o tém co złe w nim i dobre, obrażają podstawy moralności, jeśli nie teraźniejszéj, to przynajmniéj nie zadługo przyszłéj,

którą, jako poeta, powinien był Pol sercem przeczuć i przeczuwszy rozpowszechniać. Rozważając nabytki i postępy ducha ludzkiego w moralności, dobrotliwości, chrześcijaństwie, głęboko jestem przekonany, że do największych takich postępów zaliczyć należy wzrastające wciąż rozpowszechnienie zwyczaju walczyć na rozumy raczéj, niż na pięście, i kłuć pierś wroga wprzód myślą dowodną, niż ją kroić ostrą szablą. Treści życia nikt nie dociecze, ale badają się objawy życia i stosunki przedmiotów; badanie prowadzić musi do wyrozumienia przeszkód, wyrozumienie do wyrozumiałości względem inaczéj rzeczy pojmujących, wróg najgorszy nawet osobisty schodzić powinien po prostu na przeciwnika, którego nie trzeba nienawidzić—dość usunąć. Nieprzejrzana moc zajść niegdyś niezawodnie krwawych i między ludźmi i między państwami da się załatwić nie morderczo, bo i najkrwawsze zajście sprowadza nie tyle zawziętość, ile zaślepienie, nieporozumienie, brak pojmowania wspólnego interesu przez walczących. Sądzimy, że i dzieje świata, dzięki podniesionemu poziomowi wiedzy, inném popłyną korytem, nie tak może malowniczo, bez krwi potoków, rozlewanych w zapasach domowych i narodowych, bez ostrych granitowych wierzchołków, trzaskanych piorunami i świecących ogniem, jak na Sinai, bez wielkich ludzi meteorycznych (Mąż wielki jak meteor zabłyśnie i ginie—*Senatorska zgoda*, *III*, *41*), ale spokojniéj, przestronniéj, swobodniéj, a zatém więcéj po ludzku, a więc i zbożniéj. I będzie w tym świecie, który kiełkuje i podrasta niezawodnie trzeźwiéj, zapewne nie chłodniéj, a niezaprzeczenie o wiele lepiéj, bo jaśniéj. Kto téj jasności złorzeczy, ten stoi jedną nogą w wiekach średnich i niezaprzeczenie liczyć się nie może do przodujących ludzkości umysłów, chociażby był wielkim poetą, panem serc, grającym na nich jak na strunach. W każdém uczuciu ludzkiém, oddaném środkami sztuki, w każdym ideale tkwi myśl, którą można przez oderwanie wydostać jak gąsiennicę z poczwarki, prawdziwą lub fałszywą, postępową lub wsteczną.

Lubując się w ideale i z nim się pieszcząc, współcześni ludzie chłoną myśl samę i karmią się nią lub trują. Pełne strasznego zwątpienia ustępy, któreśmy przytoczyli z Polowéj apokalipsy, wydanéj w r. 1863, należą do drugiéj części poetyckiego zawodu, którego początki były wcale odmienne i co innego obiecujące. Są krytycy, naprzykład Ujejski, którzy nieskończenie wyżéj stawiają dawniejszego, a mniéj znanego Pola, nad późniejszego, daleko sławniejszego, który w r. 1851 pisał z lekceważeniem i goryczą w wierszu *Wiele mało przebolało*: „Sławę cisnął świat pod nogi Ja mu rzucam moją nędzę,“ (*V*, *30*). Ich zdaniem Pol w drugiéj połowie życia odstąpił od pierwotnych swych zasad i zaprzeczył temu, co podawał za

dobro i prawdę niepomny na to, że sam wyrzekł w Obrazach z podróży: „Oj zła ta wiara co się w ogniu mieni.“ Zestawmy obie połowy życia i zawodu Wincentego Pola, by się przekonać o prawdzie tych zarzutów, o tém czy się poeta zmienił i jeśli zmienił czy na gorsze. Dziś nas zajmą wyłącznie pierwsze poezye Pola, *Obrazy z podróży i życia i Pieśń o ziemi.*

Wydzielamy z chronologicznego szeregu utworów *Przygody Benedykta Winnickiego*, które chociaż wcześniejsze datą (1840), ale należą z ducha do następnéj epoki, w któréj pod wpływem świata i jego wypadków zaszły pewne znaczne odmiany w duszy poety. Utworom z tego drugiego okrésu poświęcimy następną prelekcyą.

Dziś zajmie nas najprzód mała książeczka piosnek, wydana w r. 1833, ale zdaniem dość słynnego mistrza w poezyi, bo Kornela Ujejskiego, (57) „wyższa nad Iliadę, nad Pana Tadeusza, bo gdyby wszystkie źrzódła dziejowe zginęły,“ powiada Ujejski, „a ocalała z potopu tylko ta złota książeczka, z niéj odgadłby historyk charakter dziejów narodu.“ Błąd zasadniczy tkwi w tych przesadnych uniesieniach. Życie i rozwijanie się narodu jest to fakt nieskończenie skomplikowany i bezdenny pod tym względem, że żadna analiza go nie wyczerpie, nie rozłoży ostatecznie materyału dziejowego na składowe pierwiastki. Dzisiejsza nauka dziejów nie wystarczy na jutro, bo jutro będzie miało inne potrzeby, inne zadania, które nakażą zrobić nowy przegląd całego surowego materyału historycznego i wydobyć zeń przez zestawienie takie skazówki, które pominęli, nie domyślając się ich wagi, poprzedni badacze. Stosownie do tych zadań i potrzeb kieruje się i perspektywa dziejopisarstwa na najbardziéj im odpowiedne punkta historyi wytyczne: na koniec wieku XVIII-go, na promieniejący wiek swobody XVI-y, jeszcze daléj na mocną monarchią XIV wieku, albo nakoniec na zagadkowe, przedpiastowskie wszechsławiańskie gminnowładztwo, o którego istnienie samo spiérać się można. Wybór tu wielki i moc poglądów nieprzebrana, a każdy nowy pogląd uwydatnia nowe grupy stosunków, nowe szeregi myśli i uczuć przyszłych pokoleń, odpowiednie tym stosunkom i wywoływane przez nie z nieodzowną koniecznością. Tak się dzieje z historyą, lecz rzecz się ma inaczéj z utworem poetyckim. Każdy utwór poetycki jest to żużel wystygły, kawałek stwardniałéj lawy, w najlepszym razie kryształik, zsiadły szczątek niesłychanie gorącego niegdyś uczucia. Z kryształiku tego przez reflcksyą można wnioskować o mocy i właściwościach uczucia. Utwór poetycki nie wyobraża nigdy żywota narodu w rozmaitych fazach jego istnienia, a tylko z kompleksu wieku wydarte pewne uczucia,

w tym wieku górujące, lecz niepanujące wyłącznie, i uczucie przytém, części może znacznéj, ale nie całego towarzystwa. Byłoby przeciwne wszelkim zasadom logiki z małéj cząsteczki utworu wnioskować o charakterze wielkiéj całości dziejów, lecz nie trzeba być wieszczem, a dość być tylko rozważnym człowiekiem, by dojść jakie w utworze uczucia i myśli są zdrowe lub złe, i aby wywnioskować jakie z tych nasion musiały porość plony w czynach pokoleń, które słuchały pieśniarza. Z tego punktu widzenia pierwsze poezye Pola, o których zanotował w swéj autobiografii pod r. 1832: „począłem pisać pieśni z powodu Adama Mickiewicza i z natchnienia Klaudii Potockiéj,“ mają bardzo wybitny charakter. Poeta pochodził z pół niemieckiego domu, był synem niebogatego sądowego urzędnika, uszlachconego przez rząd austryacki w r. 1815. Familijném było w tym domu zamiłowanie w kwiatach, w muzyce, znajomość gruntowna literatury niemieckiéj i polskiéj, do tych danych przybyły osobiste wrażenia dziecka, zetknięcia się z ludem i z typowymi przedstawicielami zmarłéj przed urodzeniem poety przeszłości: z pasiecznikiem w Mostkach, z dworskim kozakiem, sokołem w zamku Sobieskiego złoczowskim, z bywałym na pańskich dworach Benedyktem Winnickim w Tarnopolu. W r. 1823 szesnastoletni chłopiec, prawie dziecko, przebył ciężką próbę, która oddziałała na cały system nerwowy, sprawiła, że zcierpł i zgorzkniał. „Od śmierci ojca,“ pisze w autobiografii, „padły na mnie cierpienia, znienawidziłem ludzi i żyłem w bardzo wielkim niedostatku samotnie.“

W 1826 r. drugi cios otrzymała rodzina, umarł starszy brat Franciszek, o którym w pamiętniku zapisano: „dał mnie naukę jaką mam.“

Po r. 1830 znowu czytamy: „straciłem zbytnią czułość,“ lecz przytępienie czułości stało się przez zmężnienie. Pełen nadziei, już zakochany od r. 1827 w swojéj przyszłéj żonie, z którą się połączył w 10 lat późniéj, kształcący się literat z wypracowaną historyą epopei w ręku, przez Podole, Wołyń, Polesie wybrał się ubiegać w Wilnie o katedrę literatury niemieckiéj. Tu w Wilnie, w pełném wspomnień o Mickiewiczu gnieździe romantyzmu, młody poeta skąpał się cały w promieniach téj jasnéj zorzy odrodzenia, która, jak wszelka zorza, ozłociła najprzód same wyżyny idealne, same wierzchołki sztuki. Jak wszelkie w dziejach rozkwity sztuki (ateński za Peryklesa i włoski XVI wieku) był romantyzm poprzedzony dwoma wypadkami olbrzymiéj wagi: po *pierwsze* całkowitém przekształceniem się społeczeństwa, w którego skład wcisnęły się i zajęły miejsca naczelne, całkiem nowe żywioły i *powtóre* rozszerzeniem się umysłowego widnokręgu przez wojny napoleońskie, otarcie się o Euro-

pę, o jéj filozofią, szersze spojrzenia historyczne na dzieje ludzkości.

Duchowi urosły skrzydła, przybyły nowe organa i zmysły, obcisła sukienka klasycyzmu opadła w drobne szmaty podarta, i obchodzono weselnie narodziny, nie rozumiejąc jasno, a tylko przeczuwając wielkość przeznaczeń niemowlęcia. Mnóstwo ustępów w pierwszych poezyach da się tylko wytłómaczyć wpływem i natchnieniem romantyzmu: oryginalność, górny polot myśli, zespolenie się z ludem, wiara w prawdy ludu, snucie pieśni z najprostszych tematów gminnych. „Moja skarga was nie znudzi, Ja pieśń z ludu mam dla ludzi. Żale toną w głąb, Mego serca pieśni własnéj, Słucha tylko miesiąc jasny I stuletni dąb.“

Młody docent miał umysł niezbyt ruchawy, mocno trzymający się tego co przyswoił, mający niezmienną wytrwałość, zdolny do zmudnéj, systematycznéj w swoim fachu roboty, czego dowodem późniejsze prace jeograficzne. Z drogi zwyczajnéj wykoleiły go wypadki, błąkanie się bez celu zagranicą.

W chwili poczęcia się, romantyzm nie miał barwy politycznéj, czego dowodem pierwsze kroki Mickiewicza i stosunki jego podczas pobytu w Petersburgu i Moskwie.

Poezya zpolityczniała w większéj części naszych romantyków po r. 1831, lecz nie masz dziełka, w którémby ta cecha panowała wyłączniéj nad pierwsze pieśni Pola. Młodzian, stojąc na pokładzie, który go ma unieść daleko, rozumuje po bajronowsku, że go znudziła przewrotność lądów i boleść krzywdy odgłosów, że mu równo ginąć w bojach czy na wodzie i kończy sentencyonalnie: „Bo losu zwrócić nie ma sposobu, Jak wiatru gdy dmie w przestworze, Daléj więc daléj w około globu, I rozpacz szczęściem być może.“

Szczęście w rozpaczy, to tylko frazes: z ramion spada płaszcz pożyczany u Czajld Harolda, i jawi się wcale niezrozpaczony szermierz, który na jawie i we śnie marzy o starciach, o walkach, walczy jeszcze piórem z ognia, szkicując moc wielką obozowych obrazków, splatając stare i nowe, lud, przeciwników i szlachtę, tragiczne z komicznem. Obrazy widzianego nie są to egzercycye epickie, głos poety brzmi jak surma i nawołuje do czynu, w braku innych zajęć bierze się do pióra.

Określiłbym polski romantyzm, jako drgnienie życia po długim letargu, w całkiem nowych objawiającego się warunkach.

U wszystkich naszych romantyków romantyzmowi towarzyszyły dwa zjawiska: apoteoza przeszłości, świéżo w grób zapadłéj, i prorocze wieszczenia o przyszłości, innemi słowy powstanie eposu szlacheckiego i messyanizm. W obu tych kierunkach szukała myśl

punktu oparcia się. W obu Pol jest nieodrodnym synem romantyzmu. A najprzód w pierwszym nie ulega wątpliwości, że mało wart naród, który swoje dzieje lekceważy, lecz w każdéj rzeczy należy zachować miarę, a dziejom należy się przedewszystkiém prawda, więc celem dziejopisa jest nietylko wykazanie chwały dziejów, ale i śmiałe wykrycie wad przeszłości, błędów i jéj zaniedbań. Zapomnieniem téj zasady grzeszą często gęsto historycy nasi, przynajmniéj dawniejsi. Nawet u samego Szajnochy, w jednym ze szkiców historycznych, napotykamy to rażące niekrytycznością zdanie: „że indyferentyzm historyczny jest szkodliwy, gdyż autor nie zapala się miłością do dziejów, nie unosi się chwałą tych dziejów, nie stara się o podniesienie najszczytniejszych czynów i dążeń“ (*Rozbiór dz. Boh. Chm. Kostomar*, V, 12). Słowem, że chcąc być dziejopisem narodowym, trzeba być nie naukowo bezstronnym, lecz rozmyślnie uprzedzonym na korzyść chwały dziejów pisarzem. Wielkość bezwzględna dziejów jest w Polu wiarą; potrącając o dzieje nastraja się na ton największego entuzyazmu, wszakże po za tym mussującym liryzmem, strzelającym słowami magicznemi, bo obudzającemi serdecznych wspomnień tysiące, nie kryje się żadne pojmowanie wątku dziejów pragmatyczne.

Odrazu wiemy, żeśmy rodem z mogił i żeśmy spadkobiercy licznych wspomnień, lecz gdy zachodzi pytanie o treść téj idealnéj sukcesyi, autor treści téj nie tłómaczy, a skoro potrzeba ją uwidomić, rzuca dźwięk i obraz zamiast myśli, jakieś przysłowie, jakąś zabawną dykteryjkę, albo anekdotkę, albo komunał bardzo wątpliwy, czasem nawet całkiem nieprawdziwy, np. „Dobre były tamte czasy, Gdy szewc nosił złote pasy, Kto był czysty, miał prym wszędzie, Kto pracował miał do syta, Człek uczciwy był w urzędzie.“ „Tam z prawa i miecza,“ powiada Pol o szlachcie, „był każdy z nas równy, a kto był nie równy, braterstwa wróg główny“ (*Wieczór przy kominie*). Tysiąc razy warto powtarzać, że temi illuzyami nie łudzili się nawet spółcześni.

Są w poezyach ustępy, w których przeziera opisowość, cechująca Pieśń o ziemi. Są opowiadania, naprzykład *Wieczór przy kominie*, w których zawiérają się jak w pączku wszystkie przyszłe gawędy w stylu przygód Winnickiego.

„Nuż w kumy.... ba daléj affekta, śniadanie. A były tam gładkie i pany i panie. I człowiek był młody i także nie z lodu, Bo mówią i dyabeł był piękny za młodu. Dopiéroż, dopiéroż przy kitce i z szablą? Ot było to jakoś uczciwie a dyablo!“

W tych niezmiernie żywych obrazkach nie ma perspektywy, wielkie zestawia się z drobném, dalekie z bliskiém, śród uniesień

najpodnioślejszego liryzmu, wywołanych grodem ze smoczą jamą, zjawia się drobny i mało zrozumiały prowincyonalizm, tchnący sekciarską jednostronnością: „Starsza dzieci Słucka fara, Niż luterska krzywa wiara.“

Co się tyczy *messyanizmu*, dość przytoczyć wierszyk *Proroctwo kapłana* i wielkie a bezwzględne przez pokrewieństwo ducha uwielbienie poety dla najszczytniejszego z messyanistów Zygmunta Krasińskiego. Przeszłość wyrobiła wielkie i piękne, a prawdziwie ludzkie tradycye, których wyrzeczenie się byłoby odstępstwem, lecz największe przejęcie się temi tradycyami nie tłómaczy przesadnych i pełnych arystokratycznéj pychy prorokowań: „Świat się urządzi Twojemi prawami, Ty się sam zdziwisz nad władzą twych cudów, Bo twoi wieszcze będą prorokami, A twoja księga Ewanielią ludów.“ Czasy wiary w możność bezpośredniego działania wyższéj woli na narody bez ich zasługi minęły niepowrotnie.

Jest łacińskie przysłowie *suae quisque faber fortunae*, które włoch przerobił na *orefice della sua fortuna*: każdy ma taki los jaki sobie zgotował. Przysłowie to, na pozór gorzkie i ironiczne, jest w gruncie rzeczy pełne otuchy i zachęcające do męskiéj wytrwałości i pracy nad sobą. Stosuje się nietylko do pojedyńczych ludzi, ale i do narodów, naturalnie nie bezwzględnie, lecz z omówieniami i wyjątkami.

Piękne były historyczne tradycye, ale tylko jednéj kasty, zaskorupione w formie arystokratycznéj. Zapóźno usiłowano za pomocą nowych idei, stwardniałe rozmiękczyć, rozwinąć, rozszerzyć, nadać skostniałemu giętkość i sprężystość. Stare, zużyte formy pękły, przez wyłomy i szczeliny wcisnęło się mnóstwo obcych żywiołów, i społeczeństwo znalazło się mimowoli na obcym gruncie cywilnego równouprawnienia, pogrążone w rozczyn demokratycznych pierwiastków i instytucyj, jak w masie wody zsiadłe soli kryształki. Jeżeli w r. 1864 zwiedzający Włochy Taine (*Voyage en Italie*, *I*, *89*) tak charakteryzował zadanie obecne narodu włoskiego: „przerobić naród feodalny na nowożytny spokojnie, nie odrazu, bez wybuchów,“ toż samoby powiedzieć o nas musiał każdy bystry postrzegacz od początków wieku. Należało się starać, aby co prędzéj rozpuściły się w płynie kryształki szlacheckich obyczajów, sposobu życia i odrębności, a zadanie to trudne, robota długa, sam messyanista Krasiński nie inaczéj go pojmował, on w niezmiernéj oddali wskazujący cel wielki w perspektywie z wieków, przez które kroczyć trzeba cierpliwie i zwolna, nim nie wyszlachetnieje społeczność przez umoralnienie jednostek. Tych niesłychanych trudności wykonania W. Pol nie pojmuje, że istnieją nie przypuszcza.

Ze sposobu myślenia i z politykowania, nieodrodny syn XVIII wieku, sądzi on, że byle dużo energii i trochę terroryzmu, a można co chcąc ze społeczeństwa wyciosać, cud się stanie, i w kraju będzie jak w raju. Krew nęci go, bo barwna, czerwona i upaja jak wino.

Pieśń pogańska i szatańska, którą przerywają koledzy Konradowi u Mickiewicza, nie schodzi z ust Pola; on by mózgi ssał. Pol prześlicznie śpiewał o grodzie ze smoczą jamą, o mogile naczelnika twardych kmieci, Pol w *Wachmistrzu Doroszu na Litwie* dał najlepszą satyrę polityczną, spółczesną, lecz poetyzował zarazem i rzeczy wstrętne, podniecał uczucia niedobre, podawał rady szalone.

Sprawdziło się co powiedział: „jest i w śpiewie jad,“ lecz nie była ta piosnka rdzą przecinającą żelazo, owszem wzywała do samobójstwa. Pierwsze poezye Pola, przedziela od następnych utworów lat pasmo długie (przeszło 7) i różne losu koleje. O nowéj gwiazdce mało kto wiedział, tyle było innych świetniejszych, zresztą osłaniał ją pseudonim.

Po długim pobycie zagranicą wrócił poeta do Galicyi, w r. 1834 zwiedził po raz pierwszy Kraków, wybrał się w Tatry, w 1836, nie bardzo pewny o siebie, osiadł jako posessor w bardzo odludnéj górskiéj wioszczynie Kalenicy, w 1837 ożenił się. Na te lata zupełnéj samotności i życia w ukryciu przypada kilka ważnych pod względem umysłowego rozwijania się wypadków: poznajomienie się w r. 1834 z Kremerem w Krakowie i poznanie za jego pośrednictwem filozofii niemieckiéj—„1835 uczył mię Kremer filozofii Hegla w Zagórzanach, od poznania Kremera nabrałem trochę ładu w głowie;“ daléj zajęcie się, albo raczéj pochop do zajęcia się ziemioznawstwem. Pracował powoli, tworzył mało i więcéj dla siebie niż dla innych. Nastrój duszy był o wiele smutniejszy, ale spokojniejszy, i myśli dojrzalsze, uwzględnienie większe przedziału pomiędzy światem myśli i sztuki, a życia i czynu i uznanie ich całkowitego równoważenia się i równouprawnienia. Prześliczny z tego czasu swój własny portret poetyczny odmalował poeta w wierszu „Majtek.“ Fragment ten godzien jest ze wszech miar stanąć obok Mickiewiczowskiego sonetu *Ajudah*. Poeta żegnał z rana słowami: „da Bóg szczęśliwie“ odpływającą eskadrę, o stubarwnych flagach i zwolna wzdymających się żaglach, słońce paliło, brzeg był w rosie, a niebo w błękicie, i każda fala trącając o brzeg „Jak nurek perłę, myśl z morza wyniosła, Świeżą jak piany jak głębie tajemną.“ Nadszedł wieczór, fale pogasły, zawisły łzy na ziemi, sklep niebios téż ociekł gwiazda-

mi łzawemi, i ziemia była jak pogorzelisko, albo jak pobojowisko pełne trupów. „Więc na dno swoje porwało mię życie,“ powiada poeta, „poszedłem właśnie gdzie w łonie ziemi drzemią klejnoty, gdzie perły marzą modlitwę tęsknoty; wyniosłem klejnot—iskra w nim zagrała, wyniosłem pół senną perłę, która spójrzawszy na świat zapłakała..... Czy iskrą spłoniesz, czy łzą się rozpłyniesz, Utul się utul, ty w niéj nie zaginiesz, Jedno to jedno, byle tylko czysta, Czy łza perłowa czy iskra ognista.“ Odosobnienie i tęsknota w duszy działają jak lekka mgła przesłaniająca krajobraz; giną jaskrawe barwy, obraz płowieje, lecz delikatnieją zarysy.

Cechy te mieszczą w sobie w wysokim stopniu wydane w r. 1847, ale napisane oddawna *Obrazy z życia i podróży*, najdoskonalsze pod względem sztuki dzieło Pola, natchnione widokiem Tatrów, długim pobytem w górskich okolicach. W naturze Pola było wiele z górami wspólnego, taż sama *grandezza*, wiejąca niby chłodem wyniosłość, rażąca tych co nie poznali jeszcze duszy surowéj wprawdzie, lecz czułéj a prostéj, taż sama, jak i w granitowych olbrzymach kamienna nieruchomość i zakrzepnięcie w pewnych raz na zawsze stężałych formach, toż rwanie się po nad organiczne życie dla obcowania z Bogiem śród bezludnéj natury, albo śród ludzi tak pierwotnych, jak gdyby Pan Bóg tylko co ich stworzył.

„Bo czy się zmierzyć z ogromem natury, Czy z górskim ludem i jego prostotą, I duch i serce miary nie dotrzyma“ (VIII) „Widok ogromu byłby bez pociechy,“ gdyby lud, co te przepaści oplątał ścieżkami, nie zaludnił tego świata swemi legendy (IV), więc snuje się nieprzerwana nić tych legend, od króla Chrobrego, który czekanem przeciął te góry, aby spuścić Dunajec (III), do górnika Grzeli, Króla na Magórze, który wypalił w łeb rządcy, pobił hajduków i skoczył w świat do *wesołych*, to jest do zbójców (IX).

Juhasi z ciekawością oglądają przybysza z równin lackich, który napróżno upewnia, że szuka nie złota co go ludzie kopią. „Wyście pono ciekawi, czy biedni. Kiedy po światu chodzicie tak jedni“ (II). Dziewczęta wypytują się czy nie zjadł ten człowiek szalonego ziela, którego kto zażyje, „to światem czegoś już szuka, chodzi i chodzi a sobą nudzi, nie spocznie nigdzie choć mu otworzą, tylko rozważa cóś z cicha“ (XIX). Przechodzień ujmuje sercem starych gazdów, pełném powagi poszanowaniem ich, kocha się w góralskiéj dziewczynie, zwiedza górnicze kuźnie, wdziéra się na najwyższe turnie: „Hej turnie moje, hej hale moje, Jakież was cudne wychwalą słowa, Widno z was widno, widno na dwoje, Boć od Śpiża i od Krakowa“ (XX). Aż mu żal prawie, że górski lud pochwalił, bo „jako biją szkodnicy jastrzębie, tak uderzycie na stado

gołębie" (XXII). Żal mu górala, który z Podhala schodzi w niziny, jak żal Dunajca, który zbiegnie na dół, a tam zalegną jego brzegi ludzie żyjący w wiecznym brudzie i potrzebujący wody czystéj, będą pluskać się, zmącą wodę i zabrudzą, aż znowu gdzieś daleko: „bez ludzi, a krajem piaszczystym, Bez słowa pociechy w milczeniu wieczystém," rzeka popłynie bez winy zbrodniarzem ku morzu. (XXI).

A jednak, choć lekko na tych wyżynach, pierś rośnie i myśl zrywa łańcuchy, choć przechodzień nie skosztował szalonego ziela, zostać w górach nie może, chybaby mu wynalazła dziewczyna ziele inne, a takie „żeby zapomnieć co było;" żył on śród ludu co w słońcu pływał, to mu zabrało wszystką duszę, takiego świata i takich ludzi musi on szukać do śmierci (XIX), więc choć mgła zakryła wszystko na okół, prócz skały pływającéj, niby wyspa na morzu, jego umysł zajmuje tylko to, co za mgłą ową. „A pod tém morzem jak wiele narodu. I jakie tam ziemie rozbite" (XV). I chce mu się ujrzéć Maryacki kościół, usłyszéć dzwony, oglądać Kraków i za Krakowem objąć okiem i myślą wszystkie wypukłości, równiny i przestworza między morzami rozsiadłe. Z tego objęcia i uścisku zrodził się utwór Pola najbardziéj rozpowszechniony i sławiony: *Pieśń o ziemi*, poema opisowe, wierszowana jeografia, jak ją nazwano, w 1184 wierszach, rzecz haftowana na kanwie najbardziéj scholastycznéj. By zrozumiéć czar téj pieśni dla współczesnych, trzeba odróżnić składowe pierwiastki poematu, to jest plan, obrazowanie i tendencye, i dojść przez jakie kombinacye mogła całość, z tych pierwiastków złożona, tak głęboko i powszechnie poruszyć serca czytelników. Do poematu potrzebny przedewszystkiém zasadniczy pomysł poetyczny; idea całości powinna być piękną. Taką organizującą w dziele sztuki ideą nie może być dogmat z katechizmu, artykuł kodeksu, żadna schema logiczna, umysłowa szafka z policami, ani nawet mapa z narysowanemi na niéj górami i rzekami, bo jak to doskonale powiedział Pol o Tatrach, jako o przedmiocie poetycznym: „Ani was ująć ni duchem wyświecić, Ni się w was wcielić ni nad was wylecieć." Widok ogromu sam przez się bez pociechy: „bo duch pojmuje tylko ducha tchnienie." Żaden przedmiot sam przez się poetycznym nie jest, a staje się takim przez ideę, którą weń autor włoży. Weźmy porównanie górala do Dunajca, drobne poezye: *Bałtyk*, *do Odry*, *Wisły*, *Niemna*, *Dźwiny*, *do Beskidu i stepów*, wszędzie wrażenia poety sztucznie powiązane w całość, przez uosobienie rzeczy, która szerokie zajmuje miejsce w życiu ludzi i w podaniach. Najmniéj sztuczną, ale i najgrubszą formą powiązania materyi poetyckiéj jest poetyczna podróż, w któréj przypadkowo układają

się rzeczy, widziane w szybkim przebiegu przez delikatny optyczny instrument, oko poety. Jeżeli rzeczy są wielkie nietyle rozmiarem, ile szeregami wspomnień, o które potrącają, jeżeli instrument optyczny jest doskonały i całkiem do używanych dotąd niepodobny, jeżeli nakoniec sam poeta osobą swoją interesujący, genialny, z podróży wyrość może rzecz podziwienia godna, jak Czajld Harold, chociaż i w Czajld Haroldzie centralnym punktem jest sam Bajron, jego podniosłość i tytaniczność. Po Bajronie trudno się ważyć na próby w rodzaju niewdzięcznym i mięszanym. W wieku realizmu, za kartkę z listów Słowackiego do matki ze świéżo odfotografowanemi wrażeniami z podróży, albo za stronicę z wędrówek Taina oddaćby można wszystkie poematy opisowe. Jak podołał zadaniu W. Pol? Najprzód zmienił on temat i z *Pieśni o ziemi* utworzył *Pieśń o ludach i rodach*, w któréj natura fizyczna jest tylko tłem obrazu, a działa i pozuje pierwiastek bardziéj do nas zbliżony, bo etnograficzny: „A czy znasz ty bracie młody, Te pokrewne tobie rody, tych Górali i Litwinów i Żmudź świętą i Rusinów?“ Ramki poematu niezmiernie proste, młodzież otacza lirnika i podnieca go do śpiewu, lirnik brząka i opiewa każdą rasę na tle właściwego jéj krajobrazu. Widomego środkowego punktu nie ma wcale, a ponieważ Pol miał zdolność postrzegania natury wielką, oko prawdziwego pejzażysty i upodobania etnologa, więc i obrazki są ładne, żywe, udatne i strojne, ale drobne i wycackane, istne bawidełka, albo mozaiki z inkrustacyami z perłowéj macicy.

Największy talent nie odmalowałby stosownie batalii na denku od tabakiery Robaka, na któréj ludzie są jak muchy, a Cesarz Napoleon jak chrząszcz niewielki. Największy talent nie zamknie w kilkunastu wierszach tajemniczych szumów puszcz litewskich, ponuréj nudy, wiejącéj z bagien Polesia, albo stepowych bezmiarów. Skoczna nuta każe zapomnieć, że często gęsto w wiersze wplatają się nomenklatura, albo inwentarz. Obrazki wszystkie jakby na ogniu szmelcowane, tak że nie dojrzéć spojeń kawałków; wszystkie są jednako ładne, oko się rozrywa, nie wié na czém się zastanowić. Utwór ten porównałbym jeszcze do szkła wypukłego, w którém się łamią promienie słoneczne, a ognisko jest gdzieś za obróconą ku słońcu soczewką, w głębszych intencyach, w półsłówkach trącających o coś wielkiego, niedopowiedzianego. Poeta już nie wygląda jak rozbitek, zmienił usposobienie, jest pogodniejszy, weselszy, w tym nastroju pełnym szczęścia, które cechowało najlepszą w jego życiu porę i które mu natchnęło piosnkę: „Chociaż to życie idzie po grudzie, Jak mi Bóg miły nieźli są ludzie.“ Na ten okrés przypadło ożenienie się z Kornelią Olszewską (1837), trzechletni pobyt w Kalenicy (1837

do 1840), odbudowanie zamku Kmity w Lisku, znajomość i zażyłość z Ksawerym Krasickim, wreszcie osiedlenie w domu własnym w Bieckiém, we wsi Maryampolu (1840). Nietylko osobiste stosunki układały się pomyślnie, i społecznie téż Pol zgodził się, że można się weseli ć, „dziś, gdy jest znów śpiewać komu, gdy was widzę znowu w zgodzie.“ Zmiana usposobienia zaszła zwolna bez żadnych widocznych powodów. Usposobienie i przekonania pozostały demokratyczne, tylko uczucie starczyło za czyn, a chwila działania odsuniętą została w nieokreślone kiedyś. U Pola, w *Pieśni o ziemi*, po dawnemu na pierwszym planie stoi lud, do wysokiego stopnia posuniętą jest wiara nietylko w dobrą naturę, pracowitość i statek tego ludu, ale w jego rozum, w którym sądzono dotąd, że go wyprzedziły cywilizowane klasy, przechowujące tradycye (A téj szlachcie znarowionéj, Gdyby Bóg dał rozum kmiecy). Jak dawniéj Pol sądzi, że serce i myśl zdrowa chowają się zacisznie i w kąciku „I w pomiernym tym staniku.“ Skoro odmiana przyjmuje się tylko w idei, bez dalszego urzeczywistnienia, bez ofiar, pracy nad sobą i wysiłków, owszem z pewném prawdopodobieństwem, że z téj idei obróconéj w łzę perłową, nigdy nie tryśnie elektryczna iskra ognista, można rachować na najszczersze powodzenie i u twardych zachowawców i u postępowców; nie będą w niéj gustowali chyba tylko skrajni z obydwóch stronnictw. Zachwycać się platonicznie zaletami ludu i marzyć o przyszłości, którą ten lud kmiecy dźwignie swemi plecy, mogli nawet i ci panowie, którzy wedle dosadnego wyrażenia Kondratowicza „rzemiennym berłem sprawia swe wassale.“ Nienormalny stosunek nie był jasno postawiony, wyglądał jak wyjątek, jak prowincyonalizm. Źli byli właściwie tylko półpankowie podolscy, nieczyste szumowiny nowszéj daty, albo dumni magnaci wołyńscy, którzy ledwo znoszą, że i ciebie Pan Bóg stworzył „państwo tam za wszystko stoi.“ Za to gdzieindziéj nie ma tego kąkolu: „nikt cię państwem nie oparzy“ i prawie nic nie pozostaje do życzenia. Serca wszystkich zachwycały się harmonijną nutą poety, który pluskał wesoło jak rybka wierzchem życia, mało wiedząc o tém, co się działo w wód głębi.

Dźwięczną pieśń, przerwał najniespodzianiéj straszliwy zgrzyt wypadków galicyjskich z r. 1846. Rzeczywistość naga rzekła do marzycieli jak czarny cherub w pieśni 27 *Piekła Danta* do Guida de Montefeltro: *tu non pensai ch'io logico fossi* (Nie myślałeś pewnie, że i ja także logikę posiadam). Raniony, chory fizycznie i złamany na duchu poeta powtarzał za Göthem w więzieniu u Karmelitów we Lwowie: „O kto ze łzami nie pożywał chleba, Kto nie przepłakał na swém łożu nocy, Kto nie przyzywał w więzach łaski nieba, Ten cię

nie poznał Boże wielkiéj mocy!“ Wstrząśnienie podziałało na cały umysłowy ustrój poety: demokratyzm, który siedział bardziéj w głowie niż w sercu, ulotnił się; pozostało przywiązanie bezwarunkowe do tradycyi, w któréj poeta odtąd upatrywał jedyny punkt oparcia się, kotwicę zbawienia, i któréj trzymał się oburącz.

II.

Tu najprzód zaznaczymy kilka dat chronologicznych. W Lutym r. 1846, Pol został opadnięty przez uzbrojone chłopstwo w majątku Trzycieckiego, przyjaciela swego, Polance, pod Krośnem, gdzie bawił, wybierając się do Lwowa. Dobytek jego zrabowano, część rękopismów przepadła, żonę skrwawiono, gdy chciała męża bronić; sam on do drzewa przywiązany i duszony za gardło, ledwo uszedł śmierci; poczém dostawiony na wozie drabiastym do Jasła i z Jasła do Lwowa, przetrzymanym został do Lipca w więzieniu. Ranny i chory, nietylko moralnie ucierpiał, lecz materyalnie zrujnowanym i wykolejonym został.

Na utrzymanie siebie i familii trzeba było zarabiać lekcyami literatury, artykułami do czasopisma biblioteki Imienia Ossolińskich, spieniężeniem chowanych oddawna i skąpo udzielanych poetycznych utworów. Po nagłém pognębieniu, padło w r. 1848, śród powszechnéj zawieruchy, która wstrząsnęła do podstaw monarchyą Habsburgów, kilka równie niespodzianych a zawodnych błysków nadziei z niedługo trwałemi zwroty ku lepszemu. W pierwszych dniach Maja, Czesi ułożyli zjazd słowiański w Pradze, któremu Pol szle powitanie: *Słowo a Sława.* Potém obrany on został podszefem sztabu gwardyi narodowéj we Lwowie. Po uspokojeniu zaburzeń w r. 1848 Pol na czas jakiś znika z Galicyi; był w Wiedniu, otrzymał w Listopadzie r. 1849 nominacyą na profesora nowożytnéj jeografii porównawczéj w uniwersytecie jagielońskim. W trzy lata późniéj, na nowy rok 1853, w najgorszéj chwili najmocniejszéj reakcyi, za sprawą tegoż ministra oświaty, hr. Leona Thun, który mianował Pola, dano dymisyą czterem profesorom uniwersytetu, a w téj liczbie i Polowi, poczém przez rok 1854 wprowadzono wszystkie wykłady w języku niemieckim. W chwili dymisyonowania już był Pol bardzo sławnym; każdy nowy jego poemat zaznaczony był jako ważny wypadek w piśmiennictwie: w r. 1853 wrażenie sprawiły wydane *opowiadania Winnickiego*, w 1855 *Mohort* i *Wit Stwosz.* Był to zarazem rok śmierci jego żony Kornelii (*V. 336*) „aniele stróżu, opiekuńczy duchu Natchnienia mego i téj lutni mojéj, Kornelio moja! źle nam tu bez Cie-

bie, To módl się za nas aniele tam w niebie". W r. 1858 odbyła się wycieczka do Warszawy, uczta w resursie obywatelskiéj, owacye w rodzinnym Lublinie, zaofiarowanie mu przez subskrypcyą folwarku Firlejówki. Te dane wystarczą dla udowodnienia, że w ciągu lat 12 (1846—1858), zajmujących cały piąty krzyżyk wieku, zatém najpiękniejszą dojrzałość męża, Wincenty Pol był przez najrozmaitsze losu koleje i srodze, boleśnie, a bezwinnie doświadczonym, lecz niepospolicie czasami pieszczonym, wynoszonym i faworyzowanym. Powiedzieliśmy, że śród tych doświadczeń i falowań zmienił się znacznie w przekonaniach, że się radykalnie przeinaczył, przechodząc przez wypadki, że te wypadki grały na nim pieśń swoję jak na arfie Eola i kładły na jego poezyi kolejno smugi światła, lub cieniów. Założenie to powinienem nietylko dowieść, ale i wytłómaczyć w jaki się sposób działy metamorfozy sprawdzające słowa poety: „Nie przebijesz muru czołem, Nie dopędzisz szczęścia koniem, Nie człek kręci świata kołem, Kolo świata idzie po nim" (*V. 1207*). Najprzód przyznajmy, że jakkolwiek rażące były te odmiany w poglądach na świat poety, działy się one w najlepszéj dobréj wierze i prawie bezwiednie, to jest że Pol wyobrażał sobie, że jest granitową, niewzruszoną z swoich posad skałą, roztrącającą bałwany, a w gruncie mienił się jak wosk potrosze topniejący. To odmienianie się bez żadnego w sobie rozdwojenia stało się tém łatwiéj, że *najprzód* Pol i z natury i jako romantyk był człowiekiem przedewszystkiém uczuciowym, więc byle szczere z serca, a gorące poruszenie, brał za natchnienie saméj prawdy bez zastanowienia i namysłu; *powtóre*, że był i w tym względzie wysoce narodowym człowiekiem, to jest też same zwroty co w nim odbywały się w społeczeństwie, które on tak określił w kilku słowach *Pieśni o ziemi*, malując w tym wizerunku i siebie samego: „Serce czułe, duszę hardą, Miękką wolę, silną wiarę, Kraj otwarty, miłość kraju—Mądrość złożył w obyczaju i dał *czucie nieomylne*." W tém powodowaniu się przez najomylniejszego z przewodników, w każdym razie szczerém, zawiérał się cały sekret wielkiego wpływu Pola na spółczesnych, z których sercami jego własne biło w jeden takt i z którémi poeta trzymał zawsze za jedno, chociaż mu się zdawało, że toruje sobie drogę samodzielnie i samotnie. Nic nie znam mniéj prawdziwego nad te wiersze w *Makowém Ziarnku*: „Szedłem bez opatrzenia i bez towarzyszy. I było ciągle i kopno i grudno. Lecz wielkie drogi zdały mi się marne, A małe ścieżki dla ducha niezdarne, Tom też torował sobie drogę własną I wiecznie było samotnie i ciasno" (*V. 71*). Za *trzecią* okoliczność, tłómaczącą szybkie dokonanie się odmiany w Polu, uważam to, że przerodzenie się jego było częściowe, że pewne tylko wyobrażenia

i zachcenia zamarły, a stanęły na czele inne oddawna już bardzo bujne i czekające na stosowną porę by zapanować bez podziału i wyłącznie.

Od dziecka Pol był człowiekiem religijnym, teraz stał się wielbicielem nawet najmniejszych zewnętrznych praktyk kościelnych, od dziecka był miłośnikiem starego obyczaju w ogóle, i szlacheckiego i ludowego, teraz stał się stronnikiem obyczaju wyłącznie szlacheckiego i to z takiém ciasném zacofaniem się, że odtąd, wedle zasad jego, „ten tylko człek skarby życia posiadł, Kto i to robi i tém radzi, Co mu po ojcu i dziadu padło, I znaną drogą konia prowadzi A i tam siedzi gdzie im się siadło“ (*V. 35*). Dawniéj w myślach jego figurowały ludowe postaci, kmiece typy, teraz znikają w jego utworach. Te postaci i typy są zupełnie jak na dworze Hetmana Tarnowskiego: „I co karane bywa i obite, Przed okiem ludzkiém bywało zakryte“ i jeżeli się jawią, to jako wyjątek, jako czeladź w smoczéj jamie u Tarnowskiego, to tylko pokorne, służebne, domowe i swojskie, jak Cywa co miał sołtysie serce i zdanie, to jest wytresowane do posłuchu; „Bo pan raz tylko kiedy się rozgniewał, To wykarany w progu już nie bywał“ (*V. 51, Pachole hetm.*).

Odmiana w Polu dokonała się stopniowo w ciągu lat pełnych katastrof (1846—1851) nie bez sprzeczności i zwrotów ku dawnemu. A najprzód w więzieniu, śród duchowych cierpień i ostrego bólu, Pol skruszony tłómaczy psalmy pokutne Dawida i modli się, ale śród tych jęków skruchy słusznie zauważył Ujejski, że nie ma nigdzie wyrzeczonego otwarcie przebaczenia ludowi za czyny czerni, a tém bardziéj pojednania się i puszczenia w niepamięć win, które były przynajmniéj zobopólne. Lud, każdy bez wyjątku, powoływany do doraźnéj akcyi, ma drapieżne instynkta i bestwi się jak zwierzę, gniewać się nań tak nie przystoi, jak niepodobna złorzeczyć pożarowi, powodzi, klęskom natury fizycznéj. Jeżeli kogo za czyny mas rozbestwionych winować, to chyba przeszłe pokolenia, które lud ten moralnie zaniedbały, i podżegaczy, którzy ten żywioł rozpasali i srożyć się jemu dopomogli. Oba te względy powinny były Pola zastanowić i zniewolić do uderzenia się w piersi, bo jużciż i sam on należał do narodu, który spełnił względem klas niższych niewszystko to, co mógł był uczynić, i sam on należał niegdyś do tych, którzy do natychmiastowéj rozprawy i wewnętrznéj rewolucyi zachęcali, i których późniéj nazywał fałszywymi prorokami. Temu, nieprzejednanemu z ludem własnym i puszczającemu go na ugor człowiekowi wypadło wkrótce potém godzić daleko dawniéj i gorzéj poważnione strony i sprzęgać daleko bardziéj rozstrzelone żywioły.

Mam tu na myśli wiersz, natchniony wcale niespodziewanemi wypadkami powikłań wewnętrznych w monarchii Habsburgów z r. 1848, *Słowo a Sława.* Moment był dziwny i wyjątkowy. Na chwilę w zawierusze znikły i usunęły się z pod nóg realne stosunki bytu, krępujące i dotkliwe; co chciało serce tego mogło pożądać, a pożądawszy natychmiast urzeczywistnić, zupełnie jak we śnie. Na tę jednę chwilę, umysł poety odzyskał dawną sprężystość, z pamięci jak gdyby zostały wymazane osobiste wspomnienia i doświadczenia z r. 1846, ocknęło się uczucie u większéj części naszych wieszczów, prócz Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego, dość rzadkie, rasowe, słowiańskie, i ręka wydobyła z lutni kilka dźwięcznych, pełnych i potężnych akordów na „Szczęść Boże“ przedstawicielom szczepów po nad Wełtawą. Nim przebrzmiały akordy, już ta sama zawierucha zmiotła wszelkie ślady zjazdu, który, gdyby nawet doszedł do końca, nie ziściłby ani w części pokładanych na nim nadziei. Pieśń Słowo a Sława pozostała w tece, ogłoszoną została za życia autora tylko w wyjątkach, ukazała się w pośmiertném wydaniu. Dziś jeszcze, ta w nadzwyczaj piękną formę liryczną ujęta, przez pół poetyczna polityka, przez pół historyozofia, pociąga grą kolorów i blaskiem myśli tak pięknych jak brylanty, któremi suto jest sadzoną, lecz ani z punktu historyi, ani z punktu polityki nie sprawdza się, aby być miała, jak sądzi Ujejski, pieśnią głębokiéj treści, i najmniéj ziściła porównanie marzyciela historyka Szajnochy, który wnioskował, że poezya ta jest gołębicą potopu, albo ptaszyną, któréj świegotanie nad wędrownym okrętem zwiastuje bliską przystań. Panslawizm Pola, znającego dobrze tylko Czechów jest polskoczeski, więc katolicko-zachodnio-słowiański. Abstrahuje on całkiem od południowéj i wschodniéj słowiańszczyzny i projektuje jakąś przez marzycieli historyków urojoną słowiańszczyznę gminowładno-gromadzką. Sam wywód téj słowiańszczyzny razi płytkością pojęć. Na początku było słowo, jak wedle Ewangelii Ś. Jana, z tą nową prawdą rozsiadły się ludy, „rozcięte na trzy gromady, żyjące po bok jak złe sąsiady, A jedne ludy zwą się Romanie—Pokurcza z Rzymian i dziczy, A Germanami zwą się gromady, zawłoki z cudzych stron świata“—nakoniec trzecią gromadę stanowią pobratymi Słowianie: „Jak pamięć ludzka nikt nie powiedział, Byśmy mu ziemię wydarli,“Myśmy tu wzrośli jak lasy rosną, Razem z tym dębem i sosną.“ Po nad temi ludźmi, którym słowo Boże każe kochać się miłością świętą i żywą, a które jednak żyją jak z dawna poganie, do czego przykłada się i charakterystyka ich dana przez poetę, chrzcąca jednych pokurczami, drugich zawłokami, pławi się w górze sławna dwójca władz naczelnych, niby słońce z księżycem i brzmi zasadnicze mot-

to: „I Ojciec święty w Kościele głową, A cesarz świata był Panem.‘ Pierwsza z tych władz, niewzruszalna jak credo, wzywała ludzi do Boga surowo, druga, to jest Cesarz, z mieczem Rzymu i złotém jabłkiem światowém, targnęła się na pierwszą i była wszego złego źródłem i przyczyną. Słowo upadło a miecz zwyciężył. „A kto w to jabłko i w miecz uwierzył, Tego nic z niebem nie złączy.“ Miecz był ostry i krwawy, a w jabłku zaklęte srebrniki Judasza; narody pod tém jabłkiem światowém stały się jedne *głuche* na Słowo Boże i kujące tylko pieniądze, a drugie *nieme*, kujące miecze i broczące we krwi. Napróżno zsyłano im i myśli wielkie i wielkich ludzi, każda myśl wielka stawała się im karą i chłostą, bo zgubili wiarę i tajemnicę słowa: „I serce poszło w ugor na nice, A jak młyn robi ich głowa. Podła ich przeszłość, więc z nią zerwali, Pękła nić dziejów! ale bez zysku, Bo nie ma czémby dziś stali.“ Przez nienawiść ku rewolucyi, poeta potępia cały zachód i bratając się pomimo wiedzy swojéj z najskrajniejszymi z tak zwanych sławianofilów moskiewskich woła, że zachód ten, złożony z niemych i głuchych narodów, przegnił do szczętu i że nic z niego nie będzie: „Co złe u Ciebie, to wszystko Tobie dały te cudze rozumy.“ Ale za to na wschodzie, po za granicami panowania jabłka, była prawdziwa Arkadya, naród wielki, spokojny a rolny, który nawet będąc poganinem nie błądził, na wiecach dobro ziemi obradzał i wszystko czynił gromadnie i żył i zgodnie i ładnie, już wtedy, gdy z jednéj strony Cyryl i Metody, a z drugiéj Wojciech wyszli nawracać narody.

Naród ten, albo raczéj rzesze tych ludów i dziś takie same, gotowe na przyjęcie słowa bożego, więc na nutę, tak uroczystą i weselną jak alleluja, wieszcz szle pozdrowienie tym nieprzebranym rzeszom, tym braciom po Słowie i Sławie „Słowo co pokój nie wojnę daje, Sławę bez krzywdy bliźniego“, tym ludom z roli, opiéwa jako dokonany fakt jednoczenie się słowiańszczyzny przez zjazdy; nakoniec daje rady nastającemu światu na pokonanie jabłka i miecza. „Wełtawo,“ woła, „ty krasawico, Wynieś co chowa twe łoże, I niech téj głębi nurt twój dosięże, Gdzie leżą Żyszki oręże.“ Nie do boju ten oręż: „My walczym słowem nie dłonią, Ludzkość przymierzem, Słowo puklerzem, I to broń nasza—w to wierzym. Lud zbestwić można, lecz nigdy zmienić, Kto lud przerabia—nie zna go cenić, I biada, biada Słowianie, Jeżeli wzorem zachodnich trudów, Albo południa rozumem, Albo rozumem środkowych ludów, Zechcecie władać tym tłumem. On nic nie przyjmie, wszystko odeprze, Nam tylko pojąć to co w nim lepsze, Nam tylko płynąć po strudze. Niech w nim dojrzewa to co w nim leży. Niech idzie kędy mu droga; Nam w to uwierzyć, w to, co on wierzy, Reszta do czasu i Boga.“ Czar

téj poezyi tak wielki, barwy jéj tak jasne, że każą na chwilę zapomnieć o przędziwie i o sposobie utkania pieśni. Mgławica słowiańszczyzny jeszcze się nie skonsolidowała w system słoneczny, jeszcze szuka swojego moralnego środka, a środkiem tego tworzącego się z materyi kośmicznéj świata nie będzie żadną miarą, żaden z biegunów średniowiecznego ustroju świata. Nowy świat ten powiążą spólne, łącznie moralne, kulturne, ale nie martwa, o ile zewnętrzna, jednota religijna. A i jabłku dostało się niesłusznie: nie ono spłodziło reformacyą, a reformacyi i jéj następstw nikt z dziejów i z umysłów naszych nie wymaże, czego wymownym dowodem inwokacya do Weltawy i orężów Żyszki, tego wielkiego chorążego pierwocin reformacyi. Jeszcze niesłuszniéj oberwały młyny wietrzne, narody romańskie i germańskie, za to, że zapomniały, iż: „Dzieje to pamięć, Kto pamięć straci: albo w szaleństwo popada, Albo głupieje.“ Sądząc tak ostro Pol, nietylko zapomniał o Kielichu i Żyszce, ale i o tém, że niegdyś jako Janusz używał do przędzy i nitek białych i nitek czerwonych; dziś, w odrazie do wszelkiego nowatorstwa, zajęty myślą z czego snuć przędzę żywota, bierze same tylko nitki białe, odrzucając czerwone, jako antydziejowe, chciałby złożyć człowieka z samych kości i mięśni bez krwi i nerwów. W samém przędzeniu, ileż rzeczy rażących i niestosownych. Mając prząść słowiańszczyznę, niby z nici dziejowych, poeta, nie znajdując pod ręką materyałów żadnych, bo, jak wiadomo, największą trudność przy tworzeniu się słowiańszczyzny stanowi brak tych wspólnych nici dziejowych, brak zrozumiałego dla wszystkich rozstrzelonych szczepów nawet języka, cofa się nagle w arkadyjski przedhistoryzm, do wieku nie wiém, bronzowego czy kamiennego, i buduje gmach przyszłości na téj utopii, to jest właściwie nie na dziejowych faktach, a już na czysto rasowych przymiotach, wbrew wiadoméj naszéj tradycyi, stawiającéj kulturę wyżéj rasy, za co stronnicy słowiańskiéj rasowości (np. Samaryn) nieraz przezywali nas odstępcami od słowiańszczyzny, awangardą zachodu, wciśniętą klinem w rdzeń trzonu słowiańszczyzny. Jak wymarzoną jest słowiańszczyzna w Słowie a Sławie, tak wymarzonym jest w innym wierszu lud całkiem niepodobny do tego, którego niedźwiedzie uściski dały się we znaki poecie w Polance. „Z dziadowską kosą ściągną Polanie, Z strzelbą lud celny lasowy, Z toporkiem w ręku górski lud stanie, A konno z dzidą stepowy“.... obradować będą i postanowią prawdę „Czystą jak woda źródłowa, Spokojną jak dzieje wioski, Jako nowina surową i krótką jako sąd boski“. Cały ten rój, niby ludowych marzeń, unoszący się na skrzydłach, nie wiedzieć zkąd pochodzącéj niehistorycznéj utopii, pierzchł jak senna mara, po wyklarowaniu się zmąconych zawieruchą r. 1848 społecz-

cznych i politycznych stosunków. Z świetnych nadziei nie ziściła się żadna, wszystkie zawiodły. Nie jeden Pol przestał odtąd politykować; wszystko co lepsze i uczciwsze wycofało się całkiem, chowając się na lepsze czasy, z pośród wściekłéj walki rozpasanych, a bezmyślnych żywiołów, białego historyzmu i krwawego rewolucyonizmu, po któréj to walce nastąpiła martwota dziesięcioletniéj reakcyi i pozornego zastoju w dziejach Europy. To wycofanie się na ubocze natchnęło znany i piękny sonet Gaszyńskiego, charakteryzujący rok 1849 i ówczesny stan rzeczy całkiem odmienny od dzisiejszego: „Dwa obozy dziś stoją po dwu końcach świata. Pod jeden sztandar biegną staréj przeszłości czciciele, Podtrzymywać złe nawet, jedyne ich cele... Po nad drugim obozem czerwona tkwi szmata, Pod nią motłoch przesądza o przyszłości dziele: Niszczyć chociażby dobre — krzyczą burzyciele, Naśladowcy bezbożnéj zbrodni Herostrata.“

W ten sam prawie sposób streszcza Pol w zwięzłéj formule rok 1849, w Obrazie, któryśmy nazwali Polową Apokalipsą. W obu obozach „każdy na swoją drogę chce świat zwrócić I myśl i wolą swoją mu narzucić, A samą ludzkość ściele pod swe nogi.“ Lecz jeżeli są podobieństwa, są i różnice. Wedle Gaszyńskiego, w żadnym obozie nie ma ani serca, ani rozumu, a tylko namiętność; Pol twierdzi przeciwnie: „bo w jednych nie ma *cnoty*, a w drugich *rozumu*.“ Gaszyński w jednym sztandarze widzi historyzm, pojmowany z europejska, to jest pod postacią jabłka światowego z resztkami feodalizmu, staje on na uboczu z wiarą i nadzieją, że niedobrze poczęte się naprawi, skoro się zjawią ludzie, którzy, godząc przeciwności cierpliwie a rozumnie, z dawną wiarą i prawdą na tor wstąpią młody. U Pola „Jedni pragną woli swojéj znamię Wypiec na duszy okutego świata. A drudzy rwą się uzbroić swe ramię I całą ludzkość zmienić w topór kata.“

Reakcya w formule Pola jest bez idei i treści; historyzmem nazwaćby ją nie chciał a i nie mógł, on w młode tory niewierzący, złamany na duchu, zwichnięty w skrzydłach i całkiem w historyzmie ugrzęzły, tylko nie w ogólnym, zachodnim europejskim, a w naszym własnym polskim, nawołujący odtąd, jak do raju, do Polski XVIII wieku, którą myśl jego miała odtąd obrać za główne miejsce pobytu. Zapomniawszy, że był człowiekiem nowym, Pol powié w przedmowie do Mohorta: „I wystąpili na świat ludzie nowi, Z owym pogaństwem co przed krzyżem padło, I zarażali wścieklizną zajadłą, I nowy ołtarz wznieśli bałwanowi.“ Zapomniawszy, że kiedyś sam szukał czegoś nowego a wielkiego, Pol

wytłómaczy, że zło poszło jedynie z tego, że „puszczono na nice, Łaski Kościoła narodu skarbnicę,“ uderzy się w piersi i przyzna wraz ze wszystkimi, wedle niego, lepszymi i szczerszymi, że to, co się stało, jest chłostą za to: „Że mogli zwątpić i w święte i w proste, Że zapomnieli na to co się działo“, że dla ludzkości już żadnéj nowéj prawdy niema—„Więc za kotwicę świat znowu wziął wiarę, I znowu dzierży co nazwane stare.“ W tém zacofaniu się, przy najbezwzględniejszym konserwatyzmie, Pol ulegał daleko więcéj, aniżeli sądził, prądowi czasu, usposobieniu ogólnemu w znękaném społeczeństwie, które po wielkich agitacyach podobne było do zmęczonego człowieka, rzucającego się na pierwsze lepsze łóżko wygodne, byle się przespać. Poezya Pola dlatego przypadała do smaku, że odpowiadała usposobieniu ogólnemu; zresztą nowy zwrot w téj poezyi nie pasował do dawniejszych umysłowych nawyknień Pola, naprzykład do śmiałych bujań romantyzmu, ani do metafizycznéj filozofii niemieckiéj, ściśléj mówiąc heglowskiéj, któréj Pol był adeptem, wtajemniczonym w nią przez Kremera, Libelta, Trentowskiego, i która, chociaż błędny miała punkt wyjścia, stawała samodzielnie obok religii, tłómaczyła nieskończone rozwijanie się idei, twierdziła, że rozumném jest wszystko, co się dzieje na świecie. Z nowego stanowiska rozważając romantyzm, Pol patrzy nań z ubolewaniem i prawie jak na fakt niepotrzebny, a raczéj jak na taki, który się nie udał i spełzł bez skutku (*V.* 232): „Iskra geniuszu,“ powiada on, „upadła jak chłosta, I co w miłości dała dusza prosta, To w dom rzucano jak z piekła pochodnię. Nowe zawiodło a runęło stare, I duch narodu na długo zatruty.“ Pamiętnik o literaturze polskiéj XIX wieku (*kurs stenografowany* z *r. 1866*) mieści w 9 i 10 odczytach niezmiernie ciekawe rozumowania Pola, które nie usprawiedliwiają wcale jego tendencyj. Prelegent jest przedewszystkiém idealistą; idee wedle jego pojęć istnieją same, jawią się nie wiedzieć zkąd, wyskakują z niebytu, jak Minerwa z głowy Jowisza; indukcyjny proces formowania się ich pominięty, a życie umysłowe narodu przedstawioném jest jako czwałowanie tych wyścigających się wzajem idei po głowach i sercach pokoleń. Były zaś te idee w XIX wieku: idea encyklopedystów francuskich z XVIII w., panslawizm, filozofia niemiecka i radykalizm francuski socyalistyczny. Każda nowa idea jest dla Pola, jako poety, wstrętną, bo jawi się najprzód naga, zimna, arcyprozaiczna i wręcz negacyjna; niby Saturn z kosą, niszczący wszystkie, co się przeżyły, żywioły. Taki jest okres jéj pierwszy abstrakcyjnego istnienia, poczém idzie faza druga, przerabianie jéj i stosowanie w życiu przez tysiące umysłów, obrastanie jéj w mięso i pierze; nakoniec nastaje okres trzeci, gdy idea okryta pracą

i miłością pokoleń skonała, jako abstrakcya, lecz stała się żywą tradycyą narodu. Broniąc się przeciwko czynnemu niszczycielstwu oderwanych idei, społeczeństwo wysuwa przeciwko nim co ma najbardziéj zachowawczego—ideały poezyi. Cały ten wywód jest bardziéj dziwaczny niż prawdziwy; widocznie prelegent przestał pojmować, że może być poezya w samém życiu, że czar potężny otacza mistrza piastuna nowéj wielkiéj idei, że ideały przyświecają, jak pochodnie, wszelkim próbom zastosowania, że niepodobna poezyą zaskorupić w jednéj sztuce i skonfiskować ją na wyłączną własność samego tylko konserwatyzmu. Mimo te usterki, idea abstrakcyjna równoważy się z ideałami poezyi, jak na dwóch słońcach dwa przeciwne bogi; owszem można rzec nawet, że ideał poezyi jest stroną bodaj pośledniejszą i słabszą, bo wyrósł z tego co było niegdyś prozaiczną abstrakcyą a i przeczuwać musi, że będzie kiedyś pokonany i wywłaszczony przez przeciwnika, skoro ten ostatni wystąpi w postaci nowéj, z negacyi przez zastosowanie żywéj tradycyi.

Wincenty Pol pojmował więc dość dobrze w teoryi konieczność równoważenia nowatorstwa z tradycyą, lecz w praktyce ciągnął całemi siłami spółczesnych w wieki średnie, poświęcił się wyłącznie prawie odtwarzaniu przeszłości, w szeregu utworów głównie epickich, pomiędzy któremi naczelne trzymają miejsce: *Trylogia Winnickiego*, *Mohort i Wit Stwosz.* Zatrzymywałem się tak długo nad *Makowém ziarnkiem* usposobień artysty, zanim przystąpiłem do pysznie rozkwitłych makowych kwiatów, które z tego nasienia wyrosły i rozgłos imieniowi Pola nadały, bo mi chodzi głównie o zestawienie zamiarów i skutków i o wykazanie o ile ostatnie odpowiadały pierwszym. Pol został epikiem rozmyślnie, poczuł w sobie powołanie „Stare trumny okrywać chwałą“ (*V. 347*), snuć ideały z wiary i tradycyi i zażegnywać niemi idee negacyjne; zagłębiał się w tę przeszłość nie jako zimny badacz, szukający saméj prawdy, lecz jako „miłujące serce,“ słowem, by dostąpić natchnienia, modlił się do przeszłości w duchu, jak się modlili pobożni mistrze prerafaelici: Orcagna, Fra Angelico da Fiesole. Zdawałoby się, że po takich przygotowaniach, cudów możnaby się spodziéwać, skutki jednak zawiodły. Przynajmniéj o pierwszym z utworów w tym kierunku, a mianowicie o Pamiętnikach Benedykta Winnickiego rzec można: *nascitur ridiculus mus.* Kornel Ujejski osądził te pamiętniki (*89—95, 131—145*) bardzo surowo, lecz zupełnie sprawiedliwie i zaliczył do najgorszych książek literatury polskiéj. Do téj oceny, całkiem słusznéj, pozwolę sobie tylko kilka słów dorzucić.

Pierwsza część trylogii—*Przygody młodości* ukazały się we

Lwowie w r. 1840, w lat 6 po Pamiętnikach Seweryna Soplicy (*Wyd. paryskie 1834*), z któremi Przygody tak ściśle się wiążą i przez osobę Radziwiłła i przez koloryt, jowialność i rubaszność. Przygody pisane były bez pretensyi, w szczęśliwéj epoce, kiedy Pol nie zakładał sobie w epice żadnych innych celów, oprócz albo patryotycznych, albo artystycznych. Jednakie w obu pokrewnych utworach podszywanie się pod styl starego opowiadacza bywalca; tam cześnika Parnawskiego, tu szlachcica osiadłego w Tarnopolu, jednako trafiona jest szczera staropolskość, którą potém rozwałkowali i do tła zużyli nieprzebrani naśladowce—gawędziarze; taż sama naiwna niemoralność i zgnilizna, których nie mógł być naturalnie świadom Pan Benedykt, ale na których bodaj się nie poznawał nawet Wincenty Pol. Twarda konieczność chudoby i ubóstwa każe ojcu, zagonowemu szlachcicowi, oddać synka na dwór, stosownie do przypowieści: U dworu wielkiego trzymaj się choć klamki. Dwór to próżniactwo i rozpusta, temperowane batogiem, (*Sejmik w S. W.*) „A to szlachcic mosanie kiedy zbroił czasem Przyjął nawet batogi byle na kobiercu, I znowu go pan ujął koniem albo pasem;“ a cóż dopiéro na udzielnym, monarchicznym prawie dworze takiego burdy i opoja, jakim był Karol Radziwiłł Panie kochanku „Perceptę to cenić tam było z rozchodu, Nie ciekło jak mówią, tam wszystko się lało A dworno i szumno, że ledwo z hałasu W kościele wypocząć miał człowiek kęs czasu.“ Po tym osobliwym uniwersytecie, dworak, już doświadczony w amorach i obcowaniu z butelką, pięknie odziany z dodanym na własność setnym pachołkiem, wraca do domu pod rygor ojcowski i, zamiast pocałunku, dostaje sute nahaje, za nieuchylenie czapki przed figurą, jechanie przez otawę, niepamiętanie o poście, a najbardziéj za strojność. „Jam nie miał do szlubu poczciwszéj odzieży.“

Domowy tyran, orznąwszy synka, sadzi go do ciupy na chléb i wodę na cztery tygodnie, aż udaje się połączonym usiłowaniom biednéj i choréj matki i proboszcza, po libacyach i za pomocą pochlebstwa: „Więc pozwól jegomość by złożył ukłony, Ukłony samego pana Radziwiłła“ ugłaskać starego wilka i wyjednać przebaczenie. Cięgi, które dostał Pan Benedykt bolesne są nie dla niego jednego; powieść osnuta na bizunie, a ten bizun, jako podstawa wychowania domowego, tak uporczywie prekonizowany przez naszych bardów, Naruszewicza w jego Odzie, przez Ignacego Chodźkę w Nowych Pamiętnikach Kwestarza, jest legatem, którego może najbardziéj Polakowi sromać się należy, bo już przestała być chłosta środkiem pedagogicznym w szkołach, gdy jeszcze poeci brali ją za temat estetyczny. Że Pol trzymał się mocno staréj tradycyi, tego do-

wodzą rady jego słowianinowi w Słowie a Sławie: „dziećmi surowo, prawém łagodnie, A już gromadą rządź silnie“ (*VII. 336*). Myśmy nigdy nie docieklí wielkiéj tajemnicy rządzenia silnie gromadą. Prawo w stosunkach cywilnych i karnych nie było u nas łagodne, chociaż często pozostawało niewykonywane i nawet niewykonalne; przedewszystkiém było one złe, bo nierówne, dla magnata i prostego szlachcica, dla szlachty i nieszlachty, więc „nie było fantazyi czasem i granicy. I krzywda nieraz siadła na krzywéj szabli cy“ (*Sen. Zg.*). Zaradczym środkiem przeciwko nierządowi w publice służyło to tylko, że był człowiek za młodu surowo trzymany i bity, lecz kiedy publika całkiem przepadła, a fantazyą wzięto w bardzo ściste karby, okazały się jedyném przytuliskiem narodowego ducha dom, rodzina, z których daleko pierwéj, ulotniła się dawna i niepotrzebna już surowość, nim na tym nowym obyczaju się poznali starościeccy teoretycy. Z drugiém opowiadaniem Winnickiego—*Senatorską Zgodą* (pisaną 1852, wydaną 1853), rozpoczyna się szereg gawęd wyraźnie tendencyjnych z wyrozumowanemi morałami. Przenosimy się w Sanockie, kącik, który posłużył w połowie XIX w. za niewyczerpaną kopalnią żywych podań i typów dawnéj Polski. Jak we wszystkich późniejszych poematach Pola, uderza najprzód przesyt epizodów, przykrycie fabuli niby płaszczem zielonym z powojów i bluszczu, legendami i opisami (*Jaśko z Nowego Miasta*, *lipa—ksieni na dziedzińcu w Dubiecku*, *podanie o panu Krupie*, *procesującym się z biskupem*, *o Popielu i Leszczyńskim*, *o Gozdawitach*). Jeżeli odrzucimy cały ten przepych ornamentacyi, rzecz sama maleje do najbłahszego drobiazgu, do waśni między Podkomorzym Balem i Starostą Mniszchem, spowodowanéj jedynie tém, że Bal nie domawiał i nazywał Starostę nie Mniszchem a Mniszkiem; z téj zaś waśni poszła emulacya i rozdwojenie całéj ziemi pomiędzy możnym magnatem a popularnym ziemianinem. Powaśniła się ziemia, potworzyły się partye, by kłótnię zagodzić musiał się wysilać dowcip księcia Biskupa Warmińskiego, a dopiął tego zręcznym konceptem, zlaniem do większego dwóch kielichów, wyobrażających jeden Gozdawę Balów, drugi—Starostę, i wypiciem duszkiem zdrowia: kochajmy się! „I do ziemi wróciła znowu zgoda stara, I dotąd zwykła gwarzyć ta Sanocka wiara, Gdy co pójdzie od serca i gładko jak z wodą, O tém mówią, że poszło Senatorską zgodą.“ Promocya na bohatérów najbardziéj stanowczego z nowatorów Krasickiego w Senatorskiéj Zgodzie i najkostyczniejszego ze sfrancuziałych Polaków Jenerała ziem podolskich w Sejmiku w Sądowéj Wiszni, dowodzi, że zawzięty wróg obczyzny w teraźniejszości, Pol, wcale nie miał do niéj wstrętu w przeszłości, słowem, że byle podstarzała i z harcapem,

już ta cudzoziemszczyzna nabiérała niejako praw obywatelstwa i przymiotów szczeropolskości. Na subtelnym, jak ostrze szpilki, koncepcie Krasickiego, który szlachtę udobruchał, osadzony pionowo olbrzymiéj wysokości morał, tak niebotyczny, jak wieże maryackie, że co tak długo stało, to stało posadą, w możnych domach tradycyą a u szlachty familijną radą; że w każdym rodzie było gniazdo, a w każdéj rodzinie głowa, chociażby nawet niewieścia; że kto nie bał się sejmu i sądu i Króla, bał się tego co z rodu miał nim prawo rządzić; że pamiętano przytém, iż człek stoi nie samą radą, lecz pomocą bratnią, że się znalazło nie wiedzieć zkąd poparcie i pokrzywdzonemu przez możnego adwersarza i wdowie i sierocie. Jużciż i to bywało, ale przypadkowo i nie zawsze; jak bodiaki ze zbożem, tak w tym wybujaniu familijnych tradycyj rosły złe trawy razem z dobremi i prędzéj niż dobre; hetmani babiewicze z rodu, łapacze posażnych panien, chociażby garbatych, „Inni znowu tradycyą sami palestranci, Jur w jura totumfaccy, pieniacze i franci, Poplecznicy, rębacze, dworskie stawinogi, Achatesy wyprawne na wysokie progi.“ A przytém całe to zboże, porastające coraz gęstszym kąkolem, to tylko szlachta, któréj braterstwo nie sięga daléj herbownéj pieczęci.

Po za tym narodem, Pol, jakże różny od dawnego, nie pamięta, że jest jeszcze liczniejszy wcale inny, który właściwie i powinienby być posadą.

Gdyby kto zechciał przykładem uwydatnić założenie, że nic w dawnéj Polsce nie stało posadą, nie mógłby przytoczyć nic trafniejszego nad te waśni wielkie, z rzeczy bardzo małych, na ten co chwila chwiejący się porządek, oparty na ostrzu szpilki, w najniestalszéj równowadze i przywracany prawie cudem niespodzianym, raptusem serdeczności, podaniem rąk, puszczeniem w niepamięć uraz. Było to piękne, ale nie trwałe, mięka i dobra natura naprawiała o ile mogła fatalne wady społecznego i politycznego ustroju, który się straszliwie porysował i kawałkami opadał w chwili, kiedy sanocka szlachta w najlepsze popijała Senatorską zgodę, w wigilią konfederacyi barskiéj, w któréj przyjmą udział Bal i Sanoczanie.

Jeżeli Senatorska Zgoda jest w gruncie rzeczą błahą, to Sejmik w Sądowéj Wiszni, rymowany w r. 1853 w Polance, jest rzeczą po prostu wstrętną pod względem treści, a lichą pod względem formy. Publika, to jak wolność takie wielkie słowo, a w téj publice sejm to rzecz tak wielka, że już na nim na Bożą wolę sprawy zdać wypada, ale sejmik to bywał jeszcze w ludzkim ręku. Któż górą na sejmiku? „Ani ten co z rodu, Ani głowacz, ni siłacz, ni bogacz Mosanie, Ale

ten, co najraniéj umiał dać śniadanie.“ Wprowadzeni jesteśmy do wszystkich brudów téj obrzydliwéj kuchni; nie chodzi wcale o wybór dobrych posłów, ale tyko o wysadzenie swoich stronników. Po jednéj stronie *mitraże*, alias sieniawszczyzna, z dworującym ze szlachty, ale nią się posługującym i obsługiwanym Jenerałem ziem podolskich. Po drugiéj stronie trybun demosu szlacheckiego, Pan sędzia Chojnacki, olbrzym, siłacz skorszy do korda niż do statutu i dla każdéj wsi szlacheckiéj mający inne fortele. Dramat poprzedza farsa: sieniawszczyzna omal co nie przegrała, bo stawienie się jéj na sejmik spóźnione, przez skradzenie u całéj partyi Czartoryskich podczas noclegu szarawarów. Jesteśmy wreście w kościele, obróconym na salę sejmikową, z amboną zamiast mównicy, z ołtarzem zawieszonym suknem. Szable dobyto, krew trysła; sędzia Chojnacki rwie się ku swoim, niepomny na votum dane przed księdzem, że nie obnaży szabli na sejmiku, gdzie on tnie kordem, tam krew popłynie strugą. Wtém ksiądz zasłania mu drogę: „Rąb Waść! i pójdę pro Christo do nieba, Ale z sędzią pies nawet nie przełknie już chleba, I bez łaski kościoła przeżyjesz ostatki, A po śmierci zagorzesz w piekle po łopatki.“ Skonwinkowany zagrożeniem sędzia uderza się w piersi, ksiądz niesie sanctissimum, szable chowają się do pochew i zgoda klei się jako tako za wdaniem się religii w okrwawionym już kościele. „A i Eliasz z oliwą i Kurdesz wyjechał“ i skończyło się wszystko na jadle i winie. Jako wypadek Sejmik w Sądowéj Wiszni w r. 1766 idzie zupełnie w parze z ucztą Granowskiego w Lublinie (*1784*) w Pamiętnikach Kajetana Koźmiana, albo z pierwszą lepszą kartką z Pamiętników Matuszewicza, tylko że to, co Matuszewicz opowiada naiwnie, jako rzecz najprostszą w świecie, a o czém Koźmian wspomina z obrzydzeniem, u poety z połowy XIX wieku służy za dowód, że było złego wiele, lecz Pan Bóg zwyciężył. „Ale miał każdy tydzień przecież swą niedzielę,“ i na przekonanie o ile ten świat zeszły był lepszy od teraźniejszego: „A dziś pokaż mi człeka co poczci przymierze, Coby duszę dał w zakład i dotrwał w téj wierze? Pokaż mi dziś człowieka coby w imię Boga Miecz zatrzymał nad głową, gdy ma w ręku wroga?“

Więc, że trafem znalazł się Ksiądz, który w stosowną chwilę ułapił za połę Chojnackiego, i że trafem nie stała się wielka siekanina, a skończyło się na paru kresach przez łeb, stąd już wynika klękanie przed tém „co dziady grzało“ i kamienowanie teraźniejszości, „I choć nie wiele hartu trudniéj was ukrócić I na woli osadzić i do Boga zwrócić!“ Zarzut w ten sposób formułowany jest całkiem bezzasadny; okazuje się, że Pol nie posiada niezbędnego dla moralisty przymiotu—uczucia moralnego; siadł na trybunał sąd czynić nad te-

raźniejszością wedle historyi, a nie rozróżnia co dobre, co złe. Pol po r. 1846 poczuł w sobie powołanie moralizowania, był głównie moralistą, posługiwał się, jako środkiem prowadzącym do tego celu, malarstwem historyczném. Jako malarz historyczny w Senatorskiéj zgodzie poplątał wielkie rzeczy z małemi i dał obraz bez perspektywy w guście chińskim; w Sejmiku pomieszał dobre ze złém i podniósł do ideału to ostatnie. Mimowolnie nasuwa się pytanie: czy był Wincenty Pol tém, czém się być mienił: historykiem poetą? Oczywiście nim nie był, a jeżeliby kazano określić czém był, rzekłbym, że był to tylko najpoetyczniejszy i najpopularniejszy polski antykwaryusz. Pomiędzy historykiem i antykwaryuszem zachodzi ta różnica, że historyk krytykuje i sądzi, szukając w faktach ścisłego związku, nieprzerwanego ciągu, zaś antykwaryusz tak daleko nie sięga. Byle szmatek z odzieży, trzonek od wachlarza, śpięcie, tabakierka, harcap, pudełko od pudru, albo muszka, swawolny obrazek, albo wierszyk, jeżeli jest miłośnikiem XVIII w. już mu zapachniał cały wiek XVIII; jak Słowackiemu w jednym z ustępów zapachniały warkocze kochanki, a prawem towarzyszenia się pojęć w mózgu poety, wrażenie zapachu już wywołało obraz kochanki i przytém nie téj, co była, ale takiéj, jaką ją wyobraził sobie poeta i wyobraziwszy na całą przyszłość zabalsamował, ażeby pozostała niezmienna, skamieniała, święta. Że Pol nie był wcale historykiem, a tylko wysoce uzdolnionym antykwaryuszem, to się dowodzi *najprzód* właściwościami jego twórczości artystycznéj; *powtóre* brakiem całkowitym naukowego ducha w pojmowaniu historyi. Przeładowanie zasadniczego tematu ornamentami jest z czasem coraz bardziéj wzrastające w jego utworach, tak przesadne jak w najpóźniejszym gotyku z epoki upadku. Każdy poemat coraz bardziéj staje się podobny do relikwiarza, do przepysznego pokrowca, w którym najmniéj miejsca zajmuje jakaś świętość pamiątkowa, płateczek, albo kamyk, w końcu wszystkie poemata wyglądają jak muzea poustawianych rzędem, nietyle typowych okazów, ile rzadkich osobliwości (traktat hippiki w Mohorcie, wszystkie rzeźbiarskie arcydzieła w Stwoszu, całe prawie Pacholę Hetmańskie z zegarem, astronomią, sokołami i Drużbiną, cała Stryjanka, cały Starosta Kislacki, Rok myśliwca). Im bardziéj poważniał Pol i posuwał się w tym kierunku, tém za większego miał się historyka i tém bezwzględniéj w poezyi pomiatał i batożył (*V. 346*) „badaczy dziejów krytycznych, książkowych, a razem z nimi publiczność, obsługiwaną przez pisma czasowe i kawiarnie“ (*obj. do 3 Wyd. Moh.*). Dla anatomów i patologów historycznych, wartoby, powiadał on z przekąsem, w naszych czasach filantropii urządzić szpital i klinikę: w tym kierunku nie ma ani prawdy, ani życia

(*abj. do 1 wyd. Moh.*), bo księga dziejów staje się lamusem analitycznych rozbiorów i uczonych drobiazgów, zwróconych ku widokom szkoły, albo stronnictwa pisarzy. Wedle osobliwszego zapatrywania się Pola, poważném było polskie dziejopisarstwo, dopóki pióro dzierżyli ludzie politycznego stanowiska, mężowie stanu; poczém skarlało, skoro pióro dostało się w ręce żmudnych szperaczy szkoły analitycznéj (*Bandtkie, Lelewel, Maciejowski*), którzy zaczęli każdy materyał traktować w odrębności, bez względu na to, co było, jest i będzie (*prelekcya 13*). Wedle Pola, należy dzieje badać syntetycznie, to jest najprzód na całe epoki rzucać z góry światło, a potém już w tém świetle dopatrywać szczegółów.

Ponieważ ludzie stanu pomarli, a i tych niewiele, co zaznali światła przeszłości, Pol sądzi, że dziejopisarz i artysta przedewszystkiém powinni się zasilać nie w książkach i analizach, a w źródle żywéj dotąd tradycyi, któréj Pol tyle zawdzięcza. Zbytecznémby łoby wykazywać najzupełniejszą fałszywość tych poglądów, wedle których, nam jużby nigdy uśmiéchnąć się nie mogła muza Klio. Dzieje narodów były i muszą być pisane niezależnie od zmian politycznego bytu tych narodów; dziejopisarstwo musiało przejść od mężów stanu w ręce badaczy fachowych, zaś analiza materyałów musiała poprzedzić wszelkie zestawienia faktów, jak wypalanie cegieł poprzedza budowanie. Rozumowaniem swojém Pol dowiódł całkowitéj nieznajomości zadania i metod nauki historycznéj; uczonym historykiem Pol nigdyby być nie mógł. Warunki twórczości badacza historycznego są wprawdzie inne niż poety; poeta szuka nie prawdy, ale piękna, i jest panem w wyborze faktów w każdéj epoce; ale i poeta powinien się nauką posługiwać, stać na jéj wysokości, nie obrażać moralnych uczuć publiczności, a gdy sądzi, to sądzić jak historyk i uczony, to jest trzeźwo, sumiennie i logicznie. Brak tego sądu w opowiadaniach Winnickiego nie mógł nie zachwiać reputacyi Pola u ludzi głębiéj myślących. Zachwianą sławę poeta naprawił i podniósł najwyżéj, wydając w r. 1855 dawno (*bo w r. 1840*) zaczętego i już w 1852 ukończonego *Mohorta*. Postaram się to swoje zapatrywanie się na Pola usprawiedliwić rozbiorem tego pięknego i lepszego od poprzednich poematu. Polskę XVIII w. charakteryzowały niesame tylko złe przymioty: pieczeniarstwo i opilstwo; pod brzydką korą zewnętrzną tlał gorący duch obywatelstwa, który się niesłychanie potęgował, gdy się łączył z wojskowością, bo wojskowość, u wszystkich ludów europejskich chrześciańskich, mieści w sobie nieodzownie dwa cenne obyczaje: rygor służbowy i rycerskość. Okoliczności dały Polowi możność poznać i pokochać rycerza staréj daty, pełnego honoru i czystego jak łza. Rycerz ten, Ksawery Krasic-

ki, opowiadał mu o jeszcze dzielniejszym i dawniejszym Paladynie, tak chrobrym i żelaznym, że jużby mu tylko zasiąść pomiędzy parami Karola Wielkiego, albo rycerzami Okrągłego Stołu.

Z tego podania, które przeszło przez piękną duszę Krasickiego, urósł rapsod o poruczniku Mohorcie, a w nim wzniosła idea szczęśliwie i misternie przypasowaną została (czego brak w innych poematach Pola) do wypadków, których jest ona wyrazem i streszczeniem. Tłem służą kresy: step ukraiński z jego bezmiernym obszarem tłustéj ziemi czarnéj, usianym kurhanami, z których każdy świadczy o walce z dziczą tatarską. Poemat potrąca o to, co naród w najlepszych chwilach uważał za swe specyalne powołanie, to jest o walkę ze wschodem muzułmańskim; ta okoliczność ujmuje prozaiczności i dodaje okrasy zajęciom nudnym, niebezpiecznym, ale nieciekawym, bo już i wielkiéj wojny nie bywało na kresach, i funkcye kresowego rycerstwa głównie schodziły na to, co byśmy nazwali, wedle dzisiejszéj terminologii, policyą stepu. „Humańskiéj rzezi pamięć była świeża, A bojaźń dżumy trzymała żołnierza I dniem i nocą na straży granicznéj. Tam na dwór jakiś Tatarzy napadli, Na pograniczu i cerkiew złupili, To znów kozacy tabun nam ukradli, Czeladź uwiedli lub wioski spalili...“—Przez kreowanie Mohorta na nauczyciela w wojennym rzemiośle Księcia Józefa Poniatowskiego, poemat niepospolicie się ożywia, Książę staje się drugim niejako bohatérem, z pojęć i wykształcenia całkiem do nas zbliżonym, prawie nam spółczesnym,—żołnierzem po rycerzu. Poeta zręcznie ominął przykry szczegół: udział wojska w poskramianiu hajdamaków i restaurowaniu poddaństwa, w wykonywaniu wyroków sądów doraźnych Regimentarza Stępkowskiego nad chłopstwem w Kodniu. U Pola, Mohort jest Litwinem, ma przyjaciela od serca, Ihumena od Bazylianów w stepie na granicy, i znalazł się przypadkiem za koliszczyzny w tym monastérze, oblanym dokoła rozjuszoną czernią, więc piersiami swemi broniąc monasteru, odparł czerń przy nieproszonéj pomocy przybywającego Murzy tatarskiego. Ten dziad, więcéj niż stoletni, który pamięta wojny szwedzkie a opowiada o wyprawie Wiedeńskiéj, czujny jak żóraw, bo nawet drzémie, siedząc na koźle z drzewa, z pistoletem w ręku, nic nie pożądał, żył jak asceta i odmawia się od krzyża i starostwa słowami: że na chrzcie jeszcze wyparł się czarta, a ziemi jeżeli ma za mało, to mu po śmierci na grób dodadzą—i stanie.

Wszyscy prawie nasi krytycy znajdują, że rapsod Pola to rzeźba, a Mohort to marmurowy posąg.

W tém porównaniu, które miało być oddaniem hołdu autorowi, tkwi najgorsza, wedle mego zdania, krytyka i potępienie poematu

jako utworu epickiego. Epos opowiada o wielkich czynach posągowych ludzi, a tu posiadamy posąg, ale bez żadnego wydatnego czynu, bo nawet ostatnia szarża na Boryszkowskiéj grobli, w któréj się zwalił Mohort, jak dąb dostały, ocalając wojsko, jest pięknéin, ale zwyczajném spełnieniem pierwszego obowiązku żołnierza, jak się należy, nic więcéj. Naprożno szukalibyśmy w Mohorcie jakiegokolwiek wielkiego, heroicznego, płodnego w następstwa przedsięwzięcia. Mohort nie działa, ale tylko trwa, „Że wiecznie siedział na miejscu i łęku, Ztąd wszystkie końce jeden trzymał w ręku;“ sam kamienny, trzyma się jak na podstawie na jeszcze nieruchomszéj tradycyi; wspaniałym jest jego długi żywot w całości rozważany, ale złożony z praktyk tak jednostajnych jak obroty kół w zégarku, któryby był nakręcony na jakie sto lat. Mohort z wieczora sypiał, raz w dobę jadał, co wiosnę zorał choć zagonów parę, mieszkał w namiocie od śniegu do śniegu. W poście wielkim Jeruzalemski balsam przygotowywał i Silwa rerum spisywał, a w Maju krew puszczał, słowem, ruszał się z przerażającą regularnością automatu. Mogą być bohatérowie wytrwałości, ale bez nowego, wielkiego, twórczego czynu i walki, nie ma epopei, może być tylko coś dydaktycznego, nakształt *Żywota Poczciwego Człowieka* Reja; takim téż tylko opisowym i pouczającym poematem jest Rapsod Pola, drobiazgowo malujący sposobem zamiłowanego w staroświetczyznie antykwaryusza, jak Mohort orze, jak pości, jak jeździ na czaty, z tą różnicą od Reja i Krasickiego (Pan Podstoli), że ci ostatni kreślili idealnych obywateli, takimi jak im być należy w warunkach chwili, która dla tych pisarzy była teraźniejszością.

Pol zaś robił studya nad zaginionym typem, nad ostatnim z krésowych Mohikanów, nad jednym z mamutów, o których mowa w 6-éj Pieśni Bieniowskiego „Starzy minionych czasów kochankowie, Którzy nie pili kawy ani czaju; Żelaza kawał nosili na głowie, Jak kawał staréj arki na Sinaju, A Bóg im dawał rumianość i zdrowie, zwłaszcza, że słomę wkładali do butów.“

Pol natrafił na postać epicką, ale z niéj nie skorzystał, eposu nie ułożył, zanadto skostniałego dziada zrobił z Mohorta, tak że ten Komandor z głazu już zléźć prawie nie może ze swego téż skamieniałego rumaka. To jest, mojém zdaniem, główne uchybienie pod względem artystycznym w Mohorcie, który skądinąd z treści swojéj i z ducha słusznie stał się na bardzo długie czasy jednym z najulubieńszych arcydzieł poezyi polskiéj XIX wieku.

Pozostaje mi z kolei rozebrać ostatnie z lepszych dzieł Wincentego Pola, poemat jednym tchem odlany, bo w dni 40 napisany (17 Grudnia 1853—25 Stycznia 1854). W poemacie tym, Pol skre-

ślił idealny typ artysty, bezwzględnie, jak zwyczajnie u Pola, na wszystkie czasy, a w objaśnieniach podał, żółcią polemiki mocno zafarbowaną historyą i teoryą sztuki chrześciańskiéj, któréj główne zarysy polegają na tém: że Thorwaldsen spoganił katedrę na Wawelu, stawiając z grecka pojęty posąg Włodzimierza Potockiego; że Renesans jest już śmiercią prawdziwéj sztuki, bo gwałtownie przerwał tradycye Kościelne; że prawdziwa sztuka chrześciańska istniała tylko dopóty, dopóki była ściśle kościelną, dopóki z góry szło światło, z nieba na Kościół, z kościoła na tron, na nieskończoną ilość społecznych węzełków, któremi wszystko było związane, od prawa królów aż do bractwa cechów. Sztuka stała się niepłodną, skoro wyszedłszy z kościoła przestała tworzyć w duchu kościelnym, wedle pewnego kanonu, skoro odstąpiła od z góry danéj symboliki i tradycyi. Z takiemi poglądami trudno walczyć na seryo, chcieć, żeby sztuka pozostała li tylko kościelną, znaczy toż samo, co żądać, aby kwiat nie rozwijał się nigdy z pączka. Że sztuka mogła przestać być kościelną, nie przestając być chrześciańską, tego dowodzą: największy z norymbergskich mistrzów Albrecht Dürer, który pójdzie za Lutrem i nakréśli swoję cudną, głęboko pomyślaną Melancholią; dramata Szekspira, które nie mogłyby się zrodzić za czasów kościelnéj przewagi; epos Miłtona i cały artyzm protestancki. Gotyku nikt gwałtownie nie przerwał, listki opadły same z przekwitłego kwiatu, poczém jeżeli sztuka cofnęła się aż do antyku, przez to cofnięcie się nawiązała tylko zerwane nici jeszcze dawniejszych tradycyj. Pol miesza rzeczy różne: regułę tradycyjną, która krępuje, i uczucie, które, mimo to skrępowanie, tworzyło arcydzieła.

Świat średniowieczny był zamczysty, zbrojny, w drobne węzełki powiązany; ojczyzna dla wielu nie wybiegała po za granice miejskiego okopu, jedyną szczerą spójnią była wiara, lecz wiara prosta, bez rozumowania. Rany ukrzyżowanego bolały jak rany ojca, syna, brata, obmyte wczoraj jeszcze łzami całéj rodziny, a bolały tém bardziéj, że za żyjących postradał i ich od śmierci wyratował. Wszelkie zwątpienie uchodziło za grzeszne, a moc obyczaju tak była wielka, że grzesznikowi groziły nietylko klątwa, ale żelazne obcęgi i kleszcze, a po śmierci ognie piekielne.

Kochaj więc, nie mędrkując a wierząc, mówiło sumienie, i chwal Pana kielnią, pędzlem i młotem: ozdobisz kościół, uszlachetnisz miasto i uzacnisz siebie i ród twój. Jakże chwalić Pana sztuką? Jak wyrazić ideał całkiem ascetyczny, brzydzący się wdziękiem formy, jak śmiertelnym grzechem? W braku antyków trzeba było snuć z gotowego, to jest poczynać od grubéj, niełądnéj, brusowatéj natury.

Sam duch rasy germańskiéj nie nadawał się do pięknych kształtów; duch to realistyczny, poczynający nie od ogólnego, to jest nie od chwytania idealnych przebłysków piękna, wydzielających się z pod grubéj powłoki ciała, lecz od najindywidualniejszego, jednostkowego, to jest od portretowania ciężkiéj natury ze wszystkiemi jéj zmarszczkami i brodawkami, artyzm, mogący wyobrażać nie idealnie pojętego człowieka, ale tylko Jana, Andrzeja, Piotra, Piłata jako starostę, oprawców Chrystusa jako knechtów, samego Boga albo podług żywego modelu, albo co najwięcéj podług bizantyjskich ikon. Bóg ten im niepiękniejszy tém lepszy, z żebrami wychudzonemi, z ranami, z których krew ciecze; święci i lud ciężcy, masywni, o twarzach mięsistych, o głowach łysych, albo najeżonych gęstemi kędziorami. Osoby te ożywione są uczuciami, które dla nas są nie bardzo zrozumiałe, bo ani ta trwoga w nas nie powstanie, którą tak ślicznie odmalował Pol, gdy Stwosz musiał, cierpiąc męki judaszowe, przebić stopy ręce i bok ukrzyżowanego, przy wyciosaniu go z drzewa; ani téż dojść do odczuwania nerwami tego, co dla nas jest więcéj ideą i symbolem, a dla owych ludzi było najżywszą rzeczywistością. W tych dziełach sztuki uderza głównie ekspresya, z nieporównaną naiwnością oddana; oprawca rzeczywiście katuje, apostoł rzeczywiście się modli. Ekspresya ta wynikła ze szczerego uczucia, uczucie z wiary, lecz z wiary takiéj, która właściwą była tylko ludziom przed kilku wiekami i dla znalezienia któréj trzebaby było obniżyć się w pojęciach i w całéj umysłowości do tegoż samego poziomu; a że takie cofnięcie się na kilka wieków jest niepodobieństwem, więc można kochać i podziwiać dzieła mistrza Stwosza, lecz niepodobna podawać go za wzór do naśladowania; wszelkie naśladownictwo będzie tylko przedrzeźnianiem i poda robione, papiérowe kwiaty, zamiast żywych, podobne z formy, ale bez woni, bez szczerego uczucia i duszy. Taki bywa los każdego archaizmu.

Jeżeli teraz od teoryi przejdziemy do samego Polowego Stwosza, to najprzód oczy się rozbiegną, taki tam przepych szczegółów, takie tam stropy sklepione w lasy palmowe, oparte na filarach wysmukłych i gonnych, całe miasto dzierzgane „w cudny filigran, w anielskie drobiazgi,“ strojne w tęcze potopu. Kraków, Norymberga i wszystkie arcydzieła Stwosza, oprócz przepomnianych sztychów i grobowca Zbigniewa Oleśnickiego w Gnieźnie, oddane wierniéj i lepiéj wierszem niż rylcem, z pełném pojmowaniem ducha utworów, słowem, poezya przekształca się tu w plastykę i dochodzi do herkulesowych słupów w tym szczególnym rodzaju mistrzostwa.

Śród tego otoczenia stoi Stwosz czy Stoss, Norymberczyk, który, wynosząc się w r. 1477 do Krakowa, dał rewers i zaprzysiągł, że

nic na szkodę miasta nie uczyni i tajemnic jego nie wyda (*Baader 1860 Anzeige zur Kunde deutscher Vorzeit. Rozprawa R. Bergau, 1877, w wydaniu Kunst und Künstler Dohme'a*).

Mistrz ten przez lat 15 z przerwą (1477—1486 i 1489—1496) pracował w Krakowie, nakoniec wrócił z mieniem i rodziną do ojczystego miasta, gdzie ociemniały i 95 letni umarł w r. 1533. Z tego najprawdopodobniéj Niemca, którego w najlepszym razie możnaby podać za przysposobionego syna Polski, Pol zrobił rodowitego Polaka, skąd wynika niczém nieobjaśniona zagadka, jak mogła ta gałązka wykwitnąć w Krakowie, bez poprzedników i następców, bez pierwowzorów i szkoły. By pojąć rozwijanie się Stwosza i dać mu odpowiednie miejsce, potrzeba przyjąć za dowiedzione, że nie Polska Norymberdze, ale Norymberga go Polsce udzieliła. Wtedy złoży się odrazu genialna czwórka artystów: Stwosz, Adam Krafft, Peter Vischer i Dürer, a przodować jéj będzie sędziwy Michał Wolgemut (1519), który dużo zaczerpnął z flamandzkiéj sztuki, z Brügge od van Eycków. Podniósłszy Polskę przez spolszczenie Stwosza, Pol ściele mu potém pod nogi wszystkie główne skarby Norymbergi, odziérając z zasłużonéj chwały i Kraffta, niezaprzeczonego autora cymborium, czyli sakramentshäuslein Immhoffow w Kościele Ś. Wawrzyńca, o skrzywionéj łodydze stanowiącéj szczyt ostry pomnika, i Vischera niezaprzeczonego autora grobowca Ś. Sebalda (1508—1519). Dość spójrzéć na tę egzotyczną roślinę, na ten wdzięczny relikwiarz, niemający w sobie nic gotyckiego, prócz zasadniczego architektonicznego pomysłu, na amorki, muszle i trytony, delfiny, fauny i syreny, na cudnie pięknie wedle antyków ukształtowane i udrapowane posągi apostołów, ażeby odrazu przyznać, że nic nie ma wspólnego między pracami Wita, a tym relikwiarzem, któremuby iść w parze tylko z drzwiami do chrzcielnicy Ś. Jana w Florencyi, Ghibertiego. W dziełach Stwosza jest udoskonalony gotyk, tu już całkowity renesans.

W Norymberdze Stwosz dał się poznać jako człowiek niespokojny i wielki procesowicz. Jeden z tych procesów skończył się okropnie dla mistrza.

Mszcząc się na Jakóbie Banerze, który go podstępnie o znaczną pieniężną stratę przyprawił, Stwosz zfałszował podpis Banera na obligu, szukał potém schronienia w klasztorze; gdy się fałsz wydał, wreszcie przyznał się do winy, poczém przez wzgląd na talent, zamiast być karanym na gardle, został (*1503*) tylko piętnowanym. Nie mogąc przypuścić, aby ten, co był naczyniem Bożém, dopuścił się nikczemności (*I, 115*), Pol zrobił go ofiarą niecnéj intrygi. Do takiego przypuszczenia miał pełne prawo jako artysta, wszakże, by użyć

w poemacie to nieszczęście jako środek artystyczny, koniecznėm jest odjąć mu przypadkowość i nadać mu znaczenie tragiczne, to jest wymotowywać go z przeszłego życia mistrza, z jego własnéj winy, lub czynów, wytłómaczyć logicznie dlaczego nań tak się rozżarła złość ludzka. P. Rapacki, w swoim dramacie, każe Stwoszowi jako nowatorowi ginąć w walce z rutyną i konserwatyzmem cechu przypuszczenie grzeszące najprzód tém, że Stwosz, człowiek przedewszystkiém tradycyi, nigdy nowatorem nie był, powtóre, że cech w owym wieku XVI stanowił pełną życia instytucyą, krzewiącą tradycye, przechowującą swobodę, instytucyą bardzo arystokratyczną, bo hierarchicznie ustopniowaną i wcale daleką od demagogicznéj zasady: kto głowę z korca wychyla tego sztrychulcem w łeb.

Pol tłómaczy nieszczęście, które spotkało Stwosza *najprzód* brzydkiemi przymiotami rasy: „Zajrzę do cechu, patrzę a to knechty, Piwem opiłe nicponie i szlechty!“ i tém, że cała Norymberga była niby małą Sodomą, gdzie mowa nie o tém, coby kto zrobił, ale co od sztuki płacą. Sądy niesłuszne; w takiéj kupieckiéj atmosferze nie rozwinęłaby się żadna sztuka, cóż dopiéro ta, która z każdego domu Norymbergi czyni istne muzeum. *Powtóre*, drugie uzasadnienie katastrofy moralnéj polega na tém, że Stwosz zgrzeszył *pychą*, a mianowicie *tém*, że nie chciał zostać Wieniawitą, kiedy mu Długosz proponował przyjęcie do swojego herbu i że odparł: „Panie, jam pierwszy dziś w téj miejskiéj matni, A wśród rycerstwa ja byłbym ostatni;“ oraz tém, że pysząc się w duchu swojém dziełem, grobowcem Kazimierza Jagiellończyka, nie znalazł łez dosyć, przy odsłonięciu tego grobowca, na płakanie wraz z narodem po zmarłym Królu. Nie u każdego człowieka są łzy na zawołanie; co zaś do rekuzy, każdy przyzna, że rozsądnie postąpił mistrz Wit, odmawiając się od wstąpienia do herbu, bo szlachectwo w owych wiekach nie było honorową oznaką, ale profesyą, wymagającą całkowitego oddania się obowiązkom stanu, wojskowym i politycznym, koniecznego porzucenia młota, dłuta, cechu, a zatém i sztuki, w skutek czego przybyłby jeden szlachcic, ale nie mielibyśmy grobowca Kazimierza, ani innych arcydzieł. Przyczyny pokarania zostają ciemne, i chybaby przypuścić, że taką przyczyną była żądza sławy osobistéj za dzieło, z którego powinna iść chwała wyłącznie na dający namaszczenie artyście kościół. Zestawmy główne motto poematu: „Gieniusz by wzleciał archanioła skrzydłem, Gdyby mu pycha nie była wędzidłem,“ z frazesem: „Gieniusz co bywa w pokorze natchnięty,“ nakoniec z wierszem do Purkiniego (*V*, *328*) „Błogosławiony rozum co nie zbluźnił Bogu,“ i przekonamy się, że Pol, człowiek tradycyi, i myśl i serce chciałby trzymać na pewnym pasku, i że w tych warunkach niepodo-

bna wzlecićć geniuszowi żadném skrzydłem, nietylko archanielskiém. Kréśląc typ wielkiego artystycznego twórcy, Pol pojął twórczość jednostronnie i uwzględnił jeden tylko żywioł tradycyą, pominąwszy drugi: nowe, swobodne i samodzielne grupowanie przez artystę materyałów podawanych przez tradycyą.

Każda twórczość artystyczna poczyna się z dołu w pracy i natchnieniu pojedyńczego umysłu, który łamie, albo nagina pręty klatki tradycyi, aż co sam on wymyślił i stworzył stanie się potém tradycyą i wleje się do ogólnéj masy wszystkich innych tradycyj, a w masie téj nie ma ani jednéj kropli, któraby nie była na początku, zanim się utarła, śmiało i samodzielnie, a więc nie w pokorze, jak ją rozumié Pol, poczętą nowiną. Sąd mój o Wicie Stwoszu mógłbym w ten sposób streścić: niejasnym i jednostronnym jest pomysł poematu, niewyraźnym i mglistym bohatér, odmalowany nie w czynach, a tylko w pracach; prace zaś te pojął i wytłómaczył poeta z dziwną biegłością, jako skończony i nieporównany, ale uprzedzony znawca średnich wieków.

Jestem u kresu. Nie myślę rozbiérać *Pacholęcia Hetmańskiego*, *Stryjanki*, *Powodzi*, *Wyprawy wiedeńskiéj*, *Starosty Kislackiego*; chodziło mi o główne rysy charakterystyki, które, jeżeli trafnie pochwycone w pracach pełnéj dojrzałości, muszą cechować i roboty mniéj znane i słabsze późnéj starości.

Był to mistrz wielkiéj ręki, talent oryginalny, silny, niezbyt bogaty w pomysły, bardzo jednostronny, więc niemogący się liczyć do naczelnych; talent, któremu brakowało harmonii w uzdolnieniach a równowagi w pomysłach i wykonaniu. Przedewszystkiém liryk Pol wywiérał i wywiérać będzie czar niezmierny tém, że nikt nie oddał z większą mocą podniosłego pragnienia czegoś wyższego nad poziomą rzeczywistość, śród któréj zeszedł cały jego żywot, rwania się ku czemuś idealnie doskonalszemu: *excelsior*, *excelsior*. Widnokrąg jego pojęć nie przekraczał nigdy granic jego narodowości i wiary, którą on nierozłącznie wiązał z narodowością, miłując je z pewnym szowinizmem i z upośledzeniem wszystkiego, co leżało po za ich obrębem; stąd pochodzi, że był on wyłącznie polskim poetą, najmniéj zrozumiałym dla cudzoziemców.

Gorzkie życia zawody i rozwiane nadzieje zwichnęły go trochę i pchnęły go w średnie wieki, w których odtąd prawie wyłącznie myślą zamieszkał, niczego nie oczekując od jutra i w przekonaniu, że co lepsze to już przeszło. To zacofanie się Pola oddziałało szkodliwie na spółczesnych; dziś słabną jego wpływy; po usunięciu jednak tego, co w jego poglądach i teoryach było jednostronném i fałszywém, pozostanie wielką jego zasługą, że był poważnym stróżem

wielkich grobów, drogich pamiątek, że krzepił wiarę, bo sam mocno wierzył, i co rzeczą jest dość rzadką, umiał wydobyć z lutni pienia prawie dawidowe, tak szczerze i potężnie religijne. Nie mogę się oprzéć chęci zakończenia mojéj biesiady o Polu przytoczeniem jednéj z najpiękniejszych pereł w tym rodzaju: *Do Boga*. „Stoję zbolały, struchlały wszystek, Ale kazałeś więc stoję,—Bo w łasce Twojéj osiki listek, A w wielkich bólach to *moje*. I Tyś mię stworzył, boś tak chciał Panie! Cierpię—boś krzyżem uraczył, To daj zbawienie na *trzecie* danie, Bom krwią i łzami ślad znaczył. Z Tobą to Panie! nie ma rachuby, Ale po nocy daj brzaski, Bo kiedy Panie! nie chcesz méj zguby, Błagam Twéj łaski—a łaski!“ Nikt dobitniéj nad Pola nie wygłosił wielkiéj prawdy, że „Potrzeba w domu stać o własnéj sile, I w wierze Ojców i w rodowéj szacie“ (*V. 312*), oraz że „z pokolenia przejdzie w pokolenie Bóg i podanie, język i sumienie“ (*V. 201*).

KRYTYKA.

Tom VI. Rewizya Zamków Ziemi Wołyńskiéj w połowie XVI wieku. Wydał i szkicem historycznym poprzedził Aleksander Jabłonowski. 1877.
Tom V. Lustracye Królewszczyzn ziem ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy z piérwszéj połowy XVII wieku. Wydał Aleksander Jabłonowski. 1877.

Z tytułów nie każdyby się domyślił, jak ciekawą i ważną jest zawartość obu tomów niniejszych. Znajdujemy tu pełne realnéj prawdy obrazy: jak się żyło na obszernéj przestrzeni ziem ruskich; znajdujemy bogate materyały do wyjaśnienia: czém była Rzeczpospolita pod względem formy rządu, wysoce oryginalnéj i wielce od innych organizmów państwowych różnéj; a dla głębszych badaczy znajdzie się tu niejedna wskazówka do rozwiązania najważniejszych zagadnień historyi polskiéj.

Pilnując się następstwa czasu, zaczynamy od tomu VI, który nas przenosi w najszczęśliwszą epokę Rzeczypospolitéj, w Zygmuntowskie czasy. Panowali właśnie obaj Zygmuntowie: Stary i August, jako wielki książę Litewski. W r. 1545 ten ostatni, zaraz po objęciu władzy, wysłał Falczewskiego, biskupa Łuckiego z dyjakiem (tj. sekretarzem) swoim Lwem Patejewiczem Tyszkowiczem do zrewidowania zamków „hospodarskich," oraz myt, podwód, stacyj i innych potrzeb ziemskich w Ziemi Wołyńskiéj. Ziemia ta sięgała podówczas aż do dzikich pól, aż do stepów Czarnomorskich, na których koczowali Tatarzy; graniczyła z Podolem, zaludnioném i rządzoném przez koroniarzy z Małopolski. Polecenie Zygmunta Augusta wykonaném zostało po części przez obu, po części zaś przez

jednego komisarza Lwa Patejewicza (biskup bowiem zachorował podobno).

Tym sposobem powstało sprawozdanie, czyli „Rewizya“ sześciu zamków: Włodzimierskiego, Łuckiego (raczéj dwóch Łuckich), Krzemienieckiego, Winnickiego, Brasławskiego i Żytomierskiego. Rewizya była staranna, szczegółowa, sprawozdanie sumienne i szczere. Pisane w języku ruskim, czyli raczéj skażonym cerkiewno-słowiańskim.

Pomimo wiszącego nieustannie niebezpieczeństwa najazdów tatarskich, zamki owe, drewniane, niezawsze w wodę zaopatrzone, znajdują się w stanie zaniedbanym, prócz Brasławskiego, stojącego na saméj granicy, i żytomierskiego, który jest zupełnie nowy, a nawet niewykończony. Arsenał nie jest bogaty: kilka dział „wielkich“ i kilka polowych, hakownice, rusznice, jakieś „kije staroświeckie“ (broń palna), prochu kilkadziesiąt funtów, kul po sztuk kilkadziesiąt, ołowiu parę kamieni, saletra, siarka, stępy do wyrabiania prochu w razie potrzeby, ale puszkarze niewszędzie się znają na téj fabrykacyi. W Brasławiu żądają, aby pomiędzy ruskimi puszkarzami był jeden „Lach abo Czech nauczony.“ W Krzemieńcu wszakże, pod rządami królowéj Bony, jest „wielki dostatek“ amunicyi—na dziesięć albo dwadzieścia innych zamków, jak sądzi na oko Lew Patejewicz. O „naspiżowaniu,“ czyli zapasach żywności nikt nigdy nie słyszał i nie myślał; na zapytania komisarzy starosta odpowiada naiwnie, że dla siebie sprowadza jadło furami ze wsi swoich, a w razie napadu nieprzyjacielskiego ziemianie i mieszczanie zabiorą z domów produkta swoje, któremi żywić się będą podczas oblężenia. Załoga znajduje się, i to niezawsze, tylko w Brasławiu. W innych zamkach bram strzegą dwaj, czteréj a najwyżéj sześciu stróżów i „klikunów,“ pobiérających po półtoréj kop groszy na rok. Jedném słowem, daremniebyśmy szukali Metzu, lub fortów paryskich na ziemi Wołyńskiéj; ponieważ jednak oblegającymi bywali nie Moltke i nie książę Karol, lecz mniéj więcéj liczna kupa Tatarów, więc i taka obronność wystarczała na owe czasy.

Zamek jest przecięż głównem ogniskiem życia państwowego całéj okolicy—u stóp jego rozsiada się miasto „hospodarskie,“ którego nazwa ma zwykle formę przymiotnikową (miasto Łuckie, Włodzimiérskie, Krzemienieckie itp.); a na dziesiątek mil w promieniu, na przestrzeni, zwanéj powiatem, kniaziowie, bojarowie, ziemianie, włościanie obowiązani są do wielorakich służb na rozkaz starosty, nie inaczéj wszakże, jak w zakresie przywileju lub warunków nadania „hospodarskiego.“ Z pieniędzy bowiem rządowych utrzymują się tylko wieże i baszty, całe zaś ogrodzenie—„horodnie“—jest podzie-

lone w czterosążniowych przedziałach (1) między ludność okoliczną, która je budować i utrzymywać musi. To właśnie tłómaczy nam zaniedbany stan obronności: tylko energiczny starosta potrafił różnorodną masę służebników zamkowych do robót zapędzić; jeśli zaś starosta „był ne potomu czołowek“ to i zamek pozostawał bez reperacyj (np. włodzimiérski sto lat).

Społeczeństwo całe znajduje się w stanie przejściowym od dawnych rządów książęcych z władzą silną monarchiczną do późniejszéj rzeczypospolitéj szlacheckiéj. Jeszcze ziemianie oświadczają, że ich mienie i gardło jest w ręku hospodara, jeszcze komisarze królewscy przemawiają groźnie, a starostowie mogą „z horła wydrati“ hospodarskie mienie temu, ktoby je ukraść miał. Ale praktyka, rzeczywistość daleką jest od téj grozy teoretycznéj. Ponieważ komisarze królewscy nakazywali złożenie przywilejów do sprawdzenia, więc nigdzie, z wyjątkiem jednéj tylko Winnicy, nie znajdowali kompletu kniaziów i ziemian: księżna Eliaszowa Ostrogska wymawiała się chorobą córki, pani Bohuszowa, podskarbina tém, iż córkę za mąż wydawała, mężczyźni otwarcie oświadczali, że przywileje swoje okażą chyba w Wilnie „na sojmie,“ jeśli hospodar całą ziemię i wszystkich panów litewskich zwoła, albo nie stawili się wcale pomimo ponawianych wezwań. Imiona tych zuchwalców były wpisywane do aktu z pogróżką, że hospodar będzie wiedział, co ma z nimi uczynić, wątpimy jednak, żeby coś uczynił w istocie. Wszędzie bowiem we wszystkich stanach dostrzegać się daje znaczna samowolność, brak karności, obyczaj krańcowo przeciwległy dzisiejszym pojęciom naszym o ścisłości administracyjnéj biurokratycznéj. Starszy hospodar, Zygmunt I, napominał mnogiemi listami kniaziów, panów i ziemian, żeby przywileje swe pokładali i terminy im wyznaczał, a przecież nie usłuchali tych rozkazów. Starosta ma władzę znaczną, może „grabić“ i „dzieckować“ nieposłusznych, ale rzadko mieszka na zamku, zdając trudy urzędu na podstarościch; wykazu opłat i służb do zamku należnych albo wcale nie posiada, albo pokazać nie chce nawet komisarzowi hospodarskiemu, który musi sam zbierać wiadomości potrzebne, dopytując się o nie mieszczan i ziemian (w Łucku). Władzy swéj może nadużywać, jak np. kniaź starosta włodzimiérski (Czartoryski? str. 85, 19) nietylko wypraszał sobie

---

(1) W „popisie Zamku Wenickoho“ (str. 111) znajdujemy wyrażenie: „wymerali sto y trydcat—sażon, na kotorom możet postawit trydcat horoden.“ Stosunek ten może służyć za skalę do obliczenia téż obwodu i obszerności zamków.

zamki i sioła od hospodara, ale przywłaszczał kaduki, liczne wioski ziemiańskie „stisnuł i skupił.“ Zaczynają się tworzyć wielkie fortuny rodów pańskich—nie koniecznie godziwemi drogami. Najgodziwszą jeszcze było wypraszanie darowizn u hojnych Jagiellonów; ze wsi téż i kluczów na utrzymanie zamku przeznaczonych, mało już pozostało w r. 1545. Ale najczęściéj obywano się bez darowizny i przywileju—zagarniano po prostu cudzą ziemię, szczególnie grunta miejskie. Piéniądz skarbowy płynął obficie do ich kieszeni: tak, książe Ilija Ostrogski dostaje od hospodara 700 kop. hroszy na budowę zamku Brasławskiego, zabiéra je sobie, a roboty wykonywają mu darmo ziemianie, mieszczanie i swoi chłopi. Starosta łucki wykazał 106 kop. dochodu rocznego, ale rewizor wywiedział się jeszcze o 360 przeszło kopach „potajemnych, nowo wymyszlenych prybytków, kotorych on pered nami zakrył... a on to k pożytku swojemu ustanowił.“ Nadto ustanawiali panowie rogatki na drogach i pobiérali dowolne opłaty (myta) dosyć wysokie; np. Czartoryscy w Klewaniu biorą od wozu po groszu, kniaż Korecki w Korcu po 2 gr. od konia, kniaziowie Czetwertyńscy zaś po 3 grosze, od naczynia (sudiny) miodu po groszu, od towarów $^1/_3$; w Czartoryjsku, starościce łuccy—po 8 groszy od wozu, po garnku, kołaczu i 60 hołoważeń soli itd. Skarżą się na to szczególnie mieszczanie, bo dla uniknienia opłat kupcy swoi i cudzoziemscy szukają innych dróg, pomijając miasta. Skarżą się téż na osiedlanie ludu poddanego przy panach na przedmieściach i na budujących sobie domy ziemian, bo ci wszyscy przybysze, nie uczestnicząc w prawie „majdeburskiém“ i ciężarach miejskich, przekupują żywność, a nawet towary, prowadzone do miasta, handlują, nic nie płacąc na hospodara, przynoszą wielki uszczerbek w dochodach kasie miejskiéj. Ale i mieszczanie znów bardzo potulni nie są. Rusini, Niemcy, Lachy, Litwa, Czesi czasem nie chcą tłómaczyć się przed komisarzami (jak w Krzemieńcu np.), albo wytaczają skargi przeciwko najmożniejszym panom, a pomiędzy sobą rządzą się podobnież bezładnie—starszyzna ich obieralna wyzyskuje swe stanowisko na rzecz własnéj kieszeni, drzewo zwiezione na robotę parkanową dla siebie zabiéra lub sprzedaje, rowy i wały pozostawia bez naprawy. Landwójt zwala winę na wójta, burmistrze—na rajców i ławników, ci znów—na pospólstwo, a pospólstwo—na nich. Ziemianie uskarżają się na panów i na chłopów; ci ostatni są czasem od nich bogatsi i hardziejsi (bohatszy y pyszneyszyi mużyk niżli pan“) a w razie jakiegoś niezadowolenia zbiegają za lacką granicę (do Polski), skąd znów robią napady rozbójnicze na osady wołyńskie.

Pomimo tych różnorodnych utrapień, niższe stany mają jeszcze dużo zasobów i warunków wcale dogodnego życia. Mieszczanie, np. brasławscy, pomimo zaborów, posiadają obszerne grunta do swego użytku; pasieki ich ciągną się częstokroć na milę, a najmniéj na pół mili w głąb' lasu, a wolne są od wszelkiego podatku, chociaż zawiérają w sobie nawet grunta orne, stawy spustne, pszczół mnóstwo, zwierz wszelki, ogrody „rozkoszne." Włościanie, osiadając na gruntach hospodarskich lub ziemiańskich, przyjmują nader rozmaite, ale téż po większéj części nie uciążliwe służby, np. wieś Rudniki (14 dworzyszcz), przez kowali zamieszkała, daje rocznie po 2 rydle, motyki, siekiery, radła, po 8 sierpów, po 4 kosy do zamku; inna wieś Rudniki (6 dworzyszcz i 2 ogrodników) zwozi po 8 fur drzewa na tydzień, a czasem po 4, nadto od Ś. Jerzego do Ś. Eliasza z siekierą i wozem na zamek chodzi do wożenia i budowania z każdego dworzyszcza po jednym mężczyznie, potém siano wozić i znów budować, od Ś. Dymitra zaś do Ś. Jerzego są wolni; wieś Radomyszle (12 dworzyszcz) co tydzień poséła dwóch stróżów na zamek, nadto na wiosnę robią w polu 7 dni, gdzieindziéj obowiązani są pełnić służbę stajenną na zamku, lub dostarczać ryb, zwierzyny, skórek wiewiórczych i t. p. W dobrach ziemiańskich i pańskich nie ma jeszcze ustalonéj robocizny. P. Jabłonowski zaznacza, że pierwszy inwentarz ukazuje się w r. 1566, a i ten zawiéra tylko spis włościan i bydła roboczego bez wykazu gruntów posiadanych oraz powinności należnych dworowi. Istnieją jeszcze gminy z wiecami; gospodarze mieli zapisaną na swe imię całą wieś, lub kilka dworzyszcz i od siebie rozdawali grunta połowinnikom, podsadkom i t. p., którzy wiążą się w spółki i dorabiają kapitału, żeby gospodarkę nabyć.

Pomimo licznych nadużyć przewagi, siły lub władzy, pomimo chciwości, jaką i owoczesne pokolenia grzeszyły, widzimy téż i zalety tego społeczeństwa. Zajmuje ono, kolonizuje dzikie pola, uprawia nowiny i przerąbuje pasieki, broniąc się wciąż od Tatarów; ziemianie rzadko z konia zsiadają, znaczna ich liczba jęczy w krymskim jasyrze; biskup skopuje górę i rozszerza wały, buduje miasto swoim nakładem w Krzemieńcu, biskup łucki buduje kościół, który całe miasto przyozdobił. Panowie budują swoje zamki i zameczki; na wojnę zaś występują z „hufami" własnemi.

Do wymienionych rewizyj zamków dołączył p. J. dwa przywileje królewskie i dwa listy kniaziów. Szczególnie ważnym jest „Prywiley wsey Zemli Wołynskoy na prawa y wolnosti ich," wydany przez Zygmunta Augusta w r. 1547. Zabrania tu hospodar starostom swoim znieważać kniaziów, panów i ziemian „złemi słowy," sadzać ich do wieży i w „kaźń," pobiérać od nich główszczyznę,

czyli karę pieniężną za zabójstwo przez ich ludzi popełnione, poséłać „dieckich“ swoich na egzekucyą za pierwszym razem „ino perwym listom y druhim obosłati,“ zwalnia od podatku wołowszczyzny, od myt jarmarcznych i t. p. Przywiléj ten oraz ogół interesów obchodzących klasy wyższe doprowadził ziemię Wołyńską w r. 1569 do zlania się z koroną, co wywarło wpływ stanowczy i na stanowisko całego WKsięstwa Litewskiego. „Przywiléj przywrócenia Ziemie Wołyńskiéj do Królestwa Polskiego,“ wpisany do Voluminów Legum (t. II, str. 752—758), pozostawia Wołyniowi statut Litewski, język ruski we wszystkich aktach urzędowych (prócz sądownictwa miejskiego), nienaruszone starodawne granice powiatów, dostojeństwa i urzędy tak świeckie jak duchowne obu obrządków (katolickiego i greckiego) zachowuje i tylko obywatelom téjże ziemi rozdawać obiecuje. Jednóm słowem, autonomia została nietylko utrzymaną, ale nawet rozszerzoną. Nadto książęta, panowie, marszałkowie, urzędnicy ziemscy, szlachta i wszystko rycerstwo i „wszystkie stany“ ziemi Wołyńskiéj „wszystkich przywilejów wolności, swobód królestwa polskiego tak jako inni wszyscy obywatele korony polskiéj społecznie mieć, używać i z tego się weselić na wieczne czasy, oni i ich potomkowie mają i będą.“

Tom VI, t. j. Lustracye Królewszczyzn, ukazuje nam wnętrze tegoż społeczeństwa w kilkadziesiąt lat później ze strony przeważnie ekonomicznéj. Znajdujemy cztéry kolejne lustracye województwa Kijowskiego, mianowicie z lat 1615—16, 1622, 1629 i 1636, dwie Podolskiego z lat 1615—16 i 1629, dwa Brasławskiego z tychże lat i jednę Wołyńskiego z r. 1628—29. Zadaniem lustratorów nie jest badanie obronności zamków, lecz wynalezienie dochodu ze starostw, celem obliczenia kwarty czyli czwartéj części tych dochodów, należnéj Skarbowi Rzeczypospolitéj. Bo starostwa nie są już teraz własnością hospodara, lecz państwa, skutkiem darowizny Zygmunta Augusta r. 1562, tudzież ustawy z czasów Zygmunta III r. 1595. Król mianuje tylko starostę, daje mu przywiléj i żadnych dochodów od niego już nie pobiéra. Starosta wprawdzie obowiązany jest utrzymywać zamek, podstarościego i „urzędników,“ ale te koszta w ogóle nieznaczne i niekontrolowane prawie nie wiele uszczuplają cyfrę jego sowitéj intraty.

Lustratorami byli w r. 1615 i 1622 urzędnicy miejscowi pod przewodnictwem senatorów: Humieckiego, kasztelana kamienieckiego i Charłęckiego, kasztelana brasławskiego; piszą oni wszakże po polsku i tylko składane im przywileje wpisują w języku oryginału: ruskim lub łacińskim. W r. 1628 województwo Wołyńskie było lustrowane spólnie z Bełzkiém i Ruskiém przez kasztelana radomskiego,

dwie zaś ostatnie lustracye są niekompletne; uważać je należy (szczególnie z r. 1629) za skorowidze, wyciągi układane przez pisarza skarbowego.

Groza władzy chyba zmalała w porównaniu z okrésem poprzednim. Lustratorowie, po większéj części przez sejm mianowani i wielką powagą przez prawo otoczeni, zwiedzają z kolei każde starostwo, ale nie wszędzie mogą czynność swoję wykonać. W Kijowie np. podwojewodzy Stan. Żółkiewskiego, wojewody kijowskiego, zbywa ich krótko oświadczeniem, że „w mieście tém, liczącém przecież 1750 domów w r. 1622, względem starostwa pożytków niemasz żadnych, tylko względem województwa, które od lustracyi są excypowane.“ Ale i pospolici ziemianie, szlachta, pozwalali sobie czasem nie podawać dóbr do lustracyi. Tak w starostwie Lubeckiém, w r. 1622 znajdujemy aż 13 wsi, posiadanych „nie wiedziéć, jakiém prawem,“ ponieważ posesorowie ich, będąc obwieszczeni, z prawem swojém nie stawili się. Mieszczanie zanoszą skargi na panów, np. białocerkiewscy, w r. 1622 na książąt Zbarazkich, że im gwałtem grunty odejmują, albo na starostów, że myta niesłusznie pobiérają; kaniowscy—na Janusza Ostrogskiego, że im prawa oryginalne gwałtownie odjął i zabrał, ale téż i na nich zachodzą skargi np. od ihumena monastyru kijowskiego i Mikuły Pustyńskiego na mieszczan kaniowskich, że na gruncie monastyrskim „futorami stawają, grunty pasą, łąki koszą, jeziora łowią, poddanych monastyrskich ściskają.“ W mieście Lubecz, mieszczanie regestrów czynszowych, a nawet żyd arendarz „intercyzy“ pokazać lustratorom nie chcieli. Niejaki Lesiowicz, bojarzyn białocerkiewski, za kilkakrotném obesłaniem nie stawił się, okazywał nieposłuszeństwo przeciw staroście i urzędowi jego, bo się do kozaków zaporozkich przyłączył. Lustratorowie zapisują takie wypadki na delacyą, w skutku któréj instygator skarbu koronnego obowiązany był pozywać opornych przed sądy; czy jednak zawsze dopilnował interesu skarbowego i poszanowania dla władzy? wątpimy. Na krésach zaś wszędzie po miastach znajdujemy domy, po wsiach—futory kozaków „nieposłusznych,“ którzy nic płacić i żadnych służb pełnić nie chcą, a w mieście Ostrzu np. osiedli w wolnych domach miejskich „gwałtownie.“

Pomimo to ludność wzrasta. Znajdujemy nietylko żydów, z pomiędzy których żyd białocerkiewski Kopel trzyma ogromne arendy, ale przybyłych aż od Kazania Czeremisów w starostwie Lubeckiém (s. 201), w m. Barze, gdzie były zjednoczone trzy miasta: „lackie, ruskie i czeremiskie“ (s. 40), uprawa roli rozszerza się, dochody ze starostw zwiększały się, jak to okazuje tablica porównawcza starostw Żytomierskiego, Białocerkiewskiego, Kaniowskiego, Czerkaskie-

go, Korsuńskiego i Perejasławskiego, ułożona przez p. Jabłonowskiego (s. LIX). Znajdujemy mnóstwo wsi i miasteczek, założonych „na nowym korzeniu“ pomiędzy innemi Humańszczyzna, nadana Al. Kalinowskiemu jako „pewna pustynia,“ dobra Romanowskie Rożyńskich, jako „puste uroczyska nad rzekami Skwirą, Rastawicą, Unawą, Olszanką i Kamienicą,“ miasteczka Pułtawa, Hadziacz itd. Nowym osadnikom przysługuje zwykle 20-letnia „słoboda;“ ziemianie, a nawet bojarowie posiadają wolność warzenia miodów, piwa i palenia gorzałek, powinności włościan, jakkolwiek systematyczniéj ustalane, nie przenoszą przecięż dwóch dni robocizny na tydzień. Wiele wsi jest posiadanych prawem używalności za pożyczkę skarbowi udzieloną i umarzalną „czworgiem dożywocia.“ Królewszczyzny musiały przynosić wielkie zyski posiadaczom, bo szacunek lustratorów jest nader względny; nie rachują oni nigdy dochodu z gospodarstwa, tylko z danin, arend, myt, młynów, jedném słowem, z gotowego grosza. W starostwie Żytomierskiém w r. 1636, posesor Janusz Tyszkiewicz, wojewoda kijowski, pozostawiony został przy dawnéj lustracyi, ponieważ „żadnych nowych osad nie znajduje się, zkądby aukcya do prowentów Rzeczypospolitéj iść miała.“ Tymczasém dawna lustracya robioną była podobno w r. 1622, więc nie dopytywano się o wzrost dochodów w ciągu lat 14-u. A z wynalezionéj tą drogą intraty strącano znów koszta utrzymania podstarościego, jurgielt dla urzędnika, znaczną sumę na prochy, ołów, szpiegi w starostwach pogranicznych i już dopiéro z reszty wyciągano część piątą na opłatę do skarbu, a więc właściwie kwintę, nie kwartę. Można więc było wkładać wtedy w ziemię kapitał i pracę, bo zapewniały procent niewątpliwie bardzo wysoki. Nie wiém jednak, czy wielu dzisiejszych kapitalistów pokusiłoby się na te zyski, gdyż niebezpieczeństwa gospodarki były niemałe. Żołkiewski liczy w okresie od r. 1547—1618 trzydzieści wielkich napadów tatarskich, pomniejsze zaś trafiały się po kilka razy w ciągu jednéj zimy.

Względność lustratorów objawiała się dla wszystkich posesorów: bojarów bronią od przesadnych wymagań służby, nakazując używać ich tylko do wożenia listów lub służby wojskowéj; mieszczan lubeckich, ponieważ „ci nieborzęta ludzie bardzo są znędznieni,“ lustracya r. 1615 utrzymuje przy wolności od ceł, myt i wszelkich opłat; w m. Niechoroszczy, gdy wypadło znieść niesłusznie wprowadzone myto, które żyd arendarz podał na 5 złł. rocznie, lustratorowie strącają podwójną sumę 10 złł., żeby „krzywdy nie było“ i t. p. Wszakże względność ta obróciła się głównie na pożytek starostów, wielkich panów, których synowie i wnukowie z mniejszą, albo i żadną zasługą dla kraju gromadzili kolosalne for-

tuny i utworzyli zastęp zuchwałego możnowładztwa, którego właśnie kolébką były główne starostwa ukrainne.

Lustracye zawiérają ślad prądów cywilizacyjnych społeczeństwa, jak np. przeznaczenie pewnéj sumy w starostwie Rateńskiém „na bakałarza lackiego," któryby uczył dzieci miejskie, nie wyciągając od nich żadnego salarium, ale zarazem nasiona téj nienawiści, która się niedługo potém rozpłomieniła w kozaczyźnie, a która skrystalizowała się w charakterystycznéj piosnce ludowéj, że nie dadzą Polski samym Lachom (Ne popustymo Lachowi Polszczy).

Taką jest mniéj więcéj w najogólniejszym zarysie treść w mowie będących dokumentów oraz monografij pana Jabłonowskiego, poprzedzających oba tomy i zawiérających ważne objaśnienia lub dopełnienia z innych źródeł (np. Aktów Komisyi Archeograficznéj Kijowskiéj) oraz z prac Xcia T. Lubomirskiego, Szajnochy, Jaroszewicza, Kulisza i t. p. Znaczenie obu tych tomów, ze stanowiska studyów prawnych, ekonomicznych a nawet historyczno-politycznych, jest bardzo ważne i zasługę pana Jabłonowskiego jako wydawcy i komentatora cenimy wysoko. Ponieważ jednak „jeszcze się ten nie narodził, coby wszystkim dogodził," więc i p. J. musi przyjąć od nas parę uwag z powodu nieziszczonych dezyderatów naszych. Tak, popisy Zamków Wołyńskich są wydane w języku oryginalnym, który przez samego pana J. jest uznany za język martwy; jest on wprawdzie zrozumiały i dla polskiego czytelnika, ale tu i owdzie znajdują się wyrazy, wymagające wytłómaczenia, wyjaśnień, a przynajmniéj hypotetycznych domysłów, jak np. „kii staroświeckije..... ku strelbie" (s. 112 i passim); „sażał w netstwo" albo „w nezstwo" (s. 136); „hołoważnia soli" (s. 113 i passim); „podwody powinni choditi czerhoiu" (s. 113, może „czeredoiu,"/ z kolei, ale w tomie VI nie znajdujemy wcale spisu omyłek druku); mieszczanie żytomiérscy nazywają siebie „my horczaki" (s. 139), miałożby to znaczyć „biédacy"? „Stolby y pomosty po weżam" (s. 129) czy nie „stołby" słupy? „Na weżach..... niet.... słonow" (tamże). „Żeremiana.... bobrowniczyi i hospodarskii" (s. 77). Do mostu robić „try, dwe tesnicy, odnu tesnicu" (s. 33). Warto byłoby postarać się o dokładne wyjaśnienie tak często powtarzającego się wyrazu „horodnia." Wyjaśnienia takie znalazłyby najwłaściwsze miejsce w dopiskach, których p. J. wcale nie używa.

Co do lustracyj znów radzibyśmy widzieć tablicę synoptyczną dochodów ze wszystkich starostw z poddziałami na pieniężne, robocizny i daniny, oraz cyfry opłacanéj przez nie kwarty. Jakkolwiek bowiem dochód z kwarty znajduje się w rachunkach sejmowych, przecież niezawsze wyszczególniają się tam prowincye i nie wszyst-

kie lata dadzą się odnaléźć. Tablica taka posłużyłaby więc, z jednéj strony, za dopełnienie i materyał do skontrolowania rachunków sejmowych, a z drugiéj — wyjaśniałaby poniekąd ciemną kwestyą intrat, pobiéranych przez każdego starostę. Tém mocniéj dopominamy się takiéj tablicy, że p. J. odebrał czytelnikom swoim możność podobnéj rachuby, gdyż pomijał widocznie niektóre pozycye, jak np. Wieś Hreczanna „jest w niéj ludzi etc., czynsz, daniny etc." (s. 5) Jerzy Lutomirski ze wsi Brzeżanki „aczkolwiek lustracyi etc. płacić kwartę według starych kwitów i staréj lustracyi (jakiéj?) do Rawy powinien będzie" (s. 19). Są téż błędy niesprostowane w omyłkach druku i nieobjaśnione np. „Suma prowentów starostwa tego (Kamienieckiego) wedle pierwszéj lustracyi f. 3.615—11—4½. Rachując staw z młynem, który nowo do Latyczowa przybył (a który przynosił, jak czytamy wyżéj, 1.800 złł.) uczyni f. 3.615—11—4½". (s. 2). Namawiamy przeto p. J., żeby pracę ułożenia takiéj tablicy na podstawie oryginałów podjąć zechciał i ułożoną, jako dodatek do tomu V, drukiem ogłosił.

Byłoby téż do życzenia, żeby miary ruskie, w lustracyach napotykane, jak np. „trzeciennik," były objaśnione, oraz żeby z zestawienia cen sprawdzoną była ewaluacya monet Czackiego. Ale praca taka jest przystępną i dla czytelnika, jeśli zechce materyału w dokumentach poszukać. *Tadeusz Korzon.*

O starostwach w Polsce do końca XVIII wieku z dołączeniem wykazu ich miejscowości. Skreślił Aleksander Wejnert Mag. Pr. i Administracyi. Nakład Autora. Warszawa 1877 str. 137 w 16-ce.

Zasłużony archeolog, autor cennego dzieła „Starożytności miasta Warszawy," pan Wejnert, poruszył obecnie ważną dla historyi polskiéj i trudną rzecz o starostwach ze skromną zapowiedzią: in magnis voluisse sat est.

Główną część téj pracy stanowi wykaz alfabetyczny wszystkich starostw Rzeczypospolitéj z oznaczeniem województwa, powiatu, ziemi lub księztwa, w których się znajdowały. Jestto spis bodaj najliczniejszy z tych, jakie dotychczas drukiem były ogłoszone. Znamy zaś dwa: 1) Duńczewskiego alfabetyczny z r. 1758, na całą Rzeczpospolitą, ale niekompletny, gdyż pod każdą literą znajdujemy dodatek „etc." i nieopatrzony ubikacyą; 2) w książeczce, p. t. „Płata Woyska y chleb zasłużonych" etc. 1771 r. bardzo dokładny, z wyszczególnieniem nietylko starostw, ale téż dzierżaw, młynów, wój-

towstw, sołectw województwami, powiatami, ziemiami, ale bez W. X. Litewskiego, Inflant etc. z samćj tylko korony w 7-ém dziesiątku lat XVIII wieku. Przy każdéj takiéj posiadłości oznaczoną jest kwarta podług lustracyi r. 1764. Spis pana W. różni się od obu, zapewne więc powstał na podstawie innych źródeł; żałujemy wszakże, iż źródła te nie są wskazane i scharakteryzowane, gdyż nie umiemy obecnie rozstrzygnąć wielu wątpliwości, np. dlaczego pominiętą została kasztelania Krakowska w powiecie Szczerzeckim, opłacająca kwarty 6.829 złł., gdy starostwo Krakowskie płaciło tylko 1.320 złł. (opłata kwarty wskazuje, że ta kasztelania liczyła się do królewszczyzn), albo dlaczego do pocztu starostw zaliczonemi zostały dzierżawy, jak np. Medycka w ziemi Przemyskiéj. W ogóle zdaje się nam, że pomnożenie nomenklatur w spisie p. Wejnerta wynikło z doliczenia znacznéj liczby dzierżaw do starostw właściwych. Pomimo zaś tego pomnożenia dostrzegliśmy brak wielu nazw przy porównywaniu z obu wskazanemi wyżéj spisami (1). Widzimy przeto, że spis p.

---

(1) „Płata Woyska" etc. wymienia pominięte przez P. Wejnerta starostwa koronne: Grodzieckie w ziemi Czerskiéj (str. 53), kasztelanią krakowską (s. 7) i drugie Stwo Zwinogrodzkie W. Podolskie, pt. Kamieniecki i Czerwonogrodzki (s. 29); nadto mieści pierwsze Stwo Zwinogrodzkie w jednym z dwóch powiatów Kijowskim, albo Żytomierskim (s. 13) nie zaś w Zwinogrodzkim powiecie, jak chce p. W., podobnież Trębowelskie w powiecie Trębowelskim (str. 27) a Płoskirowskie w powiecie Latyczewskim (s. 31).

Duńczewski podaje nie wzmiankowane przez p. Wejnerta starostwa koronne i litewskie: Białycińskie, Bobrańskie, Bobrowskie, Bogusławskie (obok Bohusławskiego), Brzegowskie, Brdowskie s. Brodowskie, Budowieckie, Bysztynieckie, Bystrzykowskie, Bytowskie, Chrzanowskie, Chełmińskie, Chrepterowskie, Chełchowskie, Chełmedzkie, Cichowskie, Cyborskie s. Ciebowskie, Czersswadzkie, Czetwertyńskie, Czerwońskie, Czczewskie, Derszawskie s. Tożewskie, Dmirskie, Dorogalskie, Drohojowskie, Drewinickie, Dynemuthskie, Dymidyńskie, Dziacielskie, Erszyjskie, Ewruckie, Gorczyńskie, Golnińskie, Golińskie, Grębowskie, Grzybowskie, Hajszynskie, Haimskie, Helmetskie, Horbowskie, Hrabowskie, Hulanickie s. Hulanowskie, Jasienickie, Jaswyskie, Jezierskie, Kamowskie, Kańskie, Kąkolewskie, Kirsnyńskie, Kiernowskie, Kicharskie, Kijowskie, Kirylskie, Kiszawskie, Kiszyńskie, Kojrawskie, Kojrańskie, Koscieneńskie, Korczyńskie, Kossanowskie, Kokonawskie s. Kukonawskie, Kormiałkowskie, Koźlińskie, Krusiewskie, Kunińskie, Kurkleńskie, Lejzdziejskie, Lenczewskie, Łomaskie, Lipnickie (Lipnica) w w Chełmińskiém, Lubowelskie, Lubuskie, Lutyńskie, Luchowieckie, Luchowskie, Luciaskie, Marnawskie, Markowickie, Maryemburskie, Milwiskie, Miedziarskie, Modżyłowskie, Mołczadzkie, Obolnickie, Obojskie, Obuchowskie, Olchowickie, Olnickie, Ostrzeskie, Ostrzyckie, Oszkińskie, Piaseckie, Piątkowskie, Pielskie, Pilskie, Polepskie, Poniewlaskie, Powierzchniańskie, Prasniskie s. Przasnyckie, Przerolskie, Przewskie, Przybysławskie, Radoszewskie, Radomskie w Mścisławskiém, Radzimińskie, Raczyńskie, Raciborskie, Ratymskie v. Ratnyńskie (prócz Ratheńskiego), Rasleńskie, Rempkowskie, Robczyckie,

Wejnerta nie może być uważany jako dokładny i ścisły: obejmuje bowiem po części za wiele, po części za mało. Domyślamy się, że był formowany na podstawie źródeł z okrésu 1775—1788 r., kiedy starostwa przeistaczały się na emfiteuzy i zapewne dzieliły się stosownie do upatrzonych przez Komisye Skarbowe dogodności finansowych; nie umiém wszakże domyśléć się, jakim sposobem p. Wejnert uzupełniał swą listę starostwami z prowincyj, odciętych piérwszym rozbiorem kraju. Jeśli przypuszczenie moje jest trafném, w takim razie spis w mowie będący pochodzi z epoki, w której instytucya starostw postradała właściwy swój charakter i legalnie jako „chléb zasłużonych" zniesioną została przez zamianę na dzierżawy emfiteutyczne. W każdym zaś razie, do udeterminowania ilości i obszaru starostw, konieczném jest ułożenie kilku spisów podług epok, np. jagiellońskiéj, obiéralnéj, porozbiorowéj z r. 1775 z podziałem na starostwa sądowe i ekonomiczne. Nie wątpimy, że praca taka, chociażby przy pomocy Kromera, Hartknocha, Lengnicha, jest nader mozolną i że kompletną nigdy nie będzie dla braku dostatecznéj ilości źródeł, ale téż spis obecnie przez p. Wejnerta sporządzony nie daje dokładnego pojęcia o rzeczy. Zdaje się, że i sam p. Wejnert miał to na myśli, gdyż w tytule napisał nie „spis starostw," lecz „Wykaz miejscowości starostw." W tém znaczeniu praca jego posiada niezaprzeczoną wartość użytkową.

Wykaz miejscowości jest poprzedzony rozprawką, któréj celem jest wyjaśnienie: zkąd powstawały, jak się dzieliły, niknęły, rozdawane i odbiérane były starostwa, jakie były obowiązki starostów i lustratorów, jak opiérane były długi skarbowe na starostwach i w końcu „dzieje ogółowe starostw." Wszystkie te pytania są bardzo ważne i interesujące, żałujemy téż bardzo, że na odpowiedzi, przez p. Wejnerta podane, nie możemy się godzić.

Kamieniem obrazy dla nas jest metoda w naczelném określeniu

Rożyńskie, Rozemberskie, Rosłańskie s. Rosławskie, Ruczyckie, Rzęczyckie w Łęczyck., Scemińskie, Seswiejskie, Siewierskie, Skarzewskie, Słuchowskie s. Schluchowskie (oddzielnie od Czluchowskiego), Smalyńskie, Starodębskie, Stargarskie (oprócz Starogrodzkiego), Staszewskie, Sugintowskie, Sudziłowskie, Suchockie, Sulistrowskie, Sumiliskie s. Semilijskie, Suchystskie, Swaneburskie, Sydryczyńskie, Szynwaldzkie, Szrumskie, Szczerańskie, Szczarowiskie, Szereszowskie w Kowieńskiém, Tauruskie, Tarnogrodzkie, Tolmickie, Trzebowskie, Tuczewskie, Tysmienickie, Uberpolskie, Ucherskie, Ujańskie, Welatyckie, Wertkowskie, Werbelskie, Wilkowskie, Wiebkowskie, Wierzbowskie, Wolkowskie, Wołyńskie, Wolmińskie, Wyszyńskie, Zarnowieckie, Zachalczowskie, Zapolskie, Zelborskie, Żmudzkie, Żostelskie s. Żosielskie, Żurawskie, Zakleckie, Żytorskie, Życkie, Zygwultskie, Zyczyńskie.

instytucyi zastosowana, mianowicie w dziale obejmującym „obowiązki starostów.“ P. Wejnert, nie uwzględniając ani epok, ani świadectwa rzeczywistości historycznéj, wylicza 52 rodzaje obowiązków (pomiędzy innemi np. utrzymywanie w należytym porządku wież, ustanawianie miar i wag, nadzór nad porządkiem i poprawą miast, napominanie szlachty, aby poddanych nie uciemiężała, doglądanie portowych miast i rzek) i jeszcze dodaje, że to jest „spis przybliżony tylko ważniejszych obowiązków i zajęć, najpotrzebniejszego urzędu w całéj Rzeczypospolitéj, jakiśmy mogli zebrać“ (s. 54). Do tego spisu wchodzą wszelkie orzeczenia praw, jakie się mieszczą w Voluminach Legum, a wydawane były w ciągu przeszło pięciu stuleci. Dla braku cytaty, nie wiém, czy p. Wejnert sam wybiérał z Voluminów, czy też korzystał z dziełka, noszącego tytuł: „Traktat o starostwach tak w Koronie jak i w W. X. L. etc. Stanisława z Łazów Duńczewskiego.... W Warszawie w drukarni królewskiéj Mitzlerowskiéj r. P. 1758“ (edycya 2-ga, str. 75—92, 100—112); w każdym razie tą samą posłużył się metodą Duńczewski, przeznaczając pracę swoję do użytku praktycznego, jako przewodnik dla istniejących podówczas urzędów starościńskich, słusznie sobie postąpił, wypisując wszystkie ustawy prawne i stawiąc na oczy starostów cały zakrés ich obowiązków. Był nawet w porządku ze stanowiska prawniczego, ponieważ w Polsce, jak wiadomo, wszelkie prawo, jeśli wyraźnie odwołaném nie było, utrzymywało swoję moc obowiązującą w najpóźniejsze czasy; sądy też powoływały się za Stanisława Augusta na ustawy Kazimierza Wielkiego. Ale w badaniu historycznéin, takie idealne, teoretyczno-prawne określenie instytucyi jest błędem kardynalnym, tworzy bowiem instytucye fantastyczne, które nie istniały w żadnéj z epok dziejowych pojedyńczo. To téż p. Wejnert, postępując drogą Duńczewskiego, Hartknocha, Lengnicha, doszedł do najdziwniejszych wniosków, np. że starosta sam, nie wyręczając się nawet podstarościm i urzędnikami grodu, „z dobraną pomocą wojskową, musiał osobiście doglądać wszędzie po różnych miastach i wsiach swego grodu, po portach, nad rzekami spławnemi, nad morzem, po karczmach nawet!“ (s. 56—57). Czyż to ma się stosować i do epoki królów obiéralnych Piastów i do czasów Saskich, kiedy starostami bywali magnaci, co zaledwo raz w życiu wjeżdżali na swój zamek przy objęciu starostwa? Następnie, zdaniem p. Wejnerta, urząd starosty „tak był rozrywany na wielkiéj przestrzeni, że przy najlepszych chęciach i olbrzymich zdolnościach, niepodobna było zadosyć uczynić wszystkim powyższym obowiązkom. Bardzo wielu pisarzy potępia w ogóle starostów o zdzierstwa i upadek miast im przypisuje. Co do nas, nie podzielamy bynajmniéj tego,

gdyż nie uważamy, że złe istniało w osobach, ale raczéj w zbytku i ogromie zatrudnień (!), jakie na ten ważny urząd Rzeczpospolita wkładała“ (s. 57) Mój Boże! Jeśli starostowie byli tak przeciążeni pracą, czemuż sobie nie przybierali więcéj oficyalistów i urzędników do pomocy, „tém bardziéj, że trzy czwarte, albo i cztery piąte dochodów po większéj części bardzo znacznych, krociowych, pozwoliłyby im na ten wydatek. Dzisiaj przecię policya umié podołać swemu zadaniu z mniejszemi stosunkowo funduszami.

Tak samo idealném jest twierdzenie szanownego autora, że od r. 1562 lustracye królewszczyzn odbywały się co lat pięć, a w razie spustoszeń w czasie wojny „nie czekano tego terminu,“ że „cały zarząd dóbr królewskich w najściślejszych karbach był utrzymywany,“ że „w lustracyach wszystkie dochody drobiazgowo są w nich wyłuszczone, wszystkie folwarki z każdego ziarna obrachowane,“ że „niejeden z urzędników tegoczesnych mógłby brać wzór z nich, tak są dokładnie sporządzane“ (str. 75, 76). Radzibyśmy widzieć dowody na poparcie twierdzeń tak nowych i śmiałych, a przedewszystkiém dokładny spis wszystkich dochowanych przynajmniéj lustracyj (co nawet nie jest rzeczą trudną, bo spisy takie są gotowe w archiwach). Tymczasowo bowiem musimy pozostawać pod wpływem wcale innych wrażeń, gdy ogłoszone obecnie przez p. Jabłonowskiego „Lustracye Królewszczyzn“ świadczą, że województwo Kijowskie np. lustrowaném było w latach 1615, 1622, może 1629 i w 1636, to znaczy co lat 7 i to w początkach XVII w., na Ukrainie, wśród ciągłéj trwogi o Tatarów i kozaków. W województwach środkowych działo się to podobno rzadziéj, np. starostwo Piotrkowskie było lustrowane w 1565, 1569, 1628 i w 1659 r. ustęp zaś o „Prowentach Dworowi z miasta należących“ o żadnych innych lustracyach nie wzmiankuje (Fol. 17 i 18 w oblacie trybunalskiéj z r. 1678). Drobiazgowość obliczenia „z każdego ziarna“ nie daje się pogodzić ze stałą metodą powołanych lustracyj ukrainnych, które pomijają całkiem dochód rolny z gospodarstwa; w lustracyach piotrkowskich znajduje się obliczenie urodzaju z ziarna, ale tylko na folwarku zamkowym; o utrzymywaniu zaś w najściślejszych karbach zarządu królewszczyzn i wzorowéj jakoby dokładności lustracyj już nawet mówić nie będziemy, jako o rzeczy, którą każdy z ciekawych łacno sprawdzić może sam, podług wydrukowanych obecnie dokumentów téj natury oraz rachunków skarbu królewskiego Stanisława Augusta (księgi Nr. 88, 89, 92 w Archiwum Główném).

Szanowny autor jest konsekwentnym, gdy przedstawiwszy tak powabnie instytucyą starościńską, opłakuje jéj upadek, a raczéj reformę tylko (zamianę na dzierżawy emfiteutyczne) dokonaną przez

sejm 1773—5 r.: „Runęła więc tym sposobem siedmiowiekowa instytucya, będąca jedyną podporą Majestatu Polskiego. Odtąd, w miejsce zasługi dla kraju (!) i poświęceń dla osoby królewskiéj, pieniądz rozpostarł się możnowładnie.... Całe bezpieczeństwo publiczne wewnątrz kraju zostało mocno zagrożone, bo kupujący na licytacyi emfiteuta bynajmniéj nie troszczył się o los swoich sąsiadów. ....Krocie ubogich zasłużonych, pozbawionych utrzymania wlokło życie swoje w ubóstwie i niedostatku“ (s. 96, 101, 102). Zwrócimy tylko uwagę P. Wejnerta, że urzędy grodzkie zniesionemi przecięż nie były, więc „palenie dóbr, rabunek, złodziejstwa“ i w ogóle zachwianie bezpieczeństwa publicznego nie mogło być następstwem reformy czysto-finansowéj. Z tych kroci ludzi zasłużonych, zrujnowanych przez reformę, radzibyśmy wiedzieć nazwiska, chociażby dziesięciu osób. Teorya pana Wejnerta staje w sprzeczności krańcowéj z głosami prasy owoczesnéj i posłów sejmu czteroletniego. Nie powołamy ich obecnie, ponieważ niedawno jeszcze przytaczaliśmy je na tém miejscu (Ateneum r. 1877, Listopad str. 338—343, Grudzień str. 589, 598). Nie będziemy téż utrudzali pana Wejnerta i czytelników dyskusyą o szczegółach i przeoczeniach pomniejszych, ani téż nie poruszymy wielce zawikłanéj kwestyi dochodów ze starostw. Zakończymy spór nasz podzięką p. Wejnertowi za ułożenie pracowitego „wykazu miejscowości starostw,“ który się niejednokrotnie badaczom przyda.

Tadeusz Korzon.

Brus jazyka českého, jejž sestavila komisse širším sborem Matice České zřízená. Pomocí Matice České, V Praze. Nákladem Theodora Mourka 1877.

Jak znajomość prawd językowych, podawanych nam przez umiejętną gramatykę pewnego języka, i stosowanie się do tychże prawd w mowie i piśmie stanowi niezbędny warunek, bez którego tenże język nie może być nazwany *poprawnym*, tak znowu wypowiadanie myśli li tylko zapomocą wyrazów, wyrażeń i zwrotów, właściwych naturze danego języka, zapewnia mu niemniéj pożądany i konieczny przymiot, zwany *czystością* języka. Mniejszy, lub większy niedostatek tych przymiotów u piszących jest zjawiskiem dosyć powszednim, nie wyłącznie w naszym tylko piśmiennictwie. Nie mniéj wolne jest od niego piśmiennictwo czeskie. Przyczynę pewnego zaniedbania i każenia języka ojczystego przez piszących widzą i Cze-

si przeważnie w braku gruntownéj nauki tego języka, udzielanej młodzieży w szkołach czeskich. Pisarze, kształceni w szkołach, z których nie wynoszą należytéj znajomości języka ojczystego, czerpiąc następnie wiedzę ze źródeł obcych, mianowicie niemieckich, przywykają stopniowo do wyrażeń cudzoziemskich, tracą poczucie różnicy między zwrotem obcym a rodzimym i z kolei pojęcia obce w mowie czeskiéj oddają zwrotami obcemi, wręcz naturze języka ojczystego przeciwnemi. Dla zaradzenia złemu, towarzystwo „Maticy czeskiéj“ powzięło zamiar wykazania błędów w mowie popełnianych, oraz systematycznego przedstawienia wzorów i skazówek, dotyczących tak pojedyńczych form języka czeskiego, jako téż całych wyrażeń i zwrotów. Cel praktyczny takiéj książki sam przez się jest jasny: zapobieganie błędom gramatycznym (tj. morfologicznym, składniowym, leksykalnym i ortograficznym), tudzież rugowanie wciskających się do czeszczyzny sposobów mówienia cudzoziemskich. Wykonanie téj pracy towarzystwo powierzyło osobnéj komisyi, wybranéj przez siebie jeszcze w r. 1871. W liczbie pierwszych członków téj komisyi spotykamy imiona znane zaszczytnie na polu filologii słowiańskiéj, takie, jak prof. Gebauera, prof. Hattali, prof. Zikmunda i innych. Świéżo wydana książka p. t. *Brus jazyka českého* jest owocem zbiorowych usiłowań tych uczonych. Dzieli się ona na 2 główne części: 1) Morfologiczną (tvaroslovná část', str. 1—58), gdzie zawarte są uwagi należące do zakresu nauki o formach, i 2) słownik (str. 59—198).

W części piérwszéj mieszczą się uwagi, dotyczące odmian i używania różnych form rzeczowników (podstatná jména s. 3—11), przymiotników (přidavná jména, s. 11—12), zaimków (náměstky 12—13), liczebników (číslovky, s. 14—15) i słów (slovesa, st. 16—20). Po czém następuje obszerny „Dodatek do części morfologicznéj“ (dodatek k tvaroslovné části), zawiérający rzecz o odmianie imion cudzoziemskich (skloňování cizích jmen str. 21—58).

Uwagi, dotyczące form rzeczowników, uporządkowane są podług trzech głównych wzorów deklinacyi męskiéj, żeńskiéj i nijakiéj. Mamy tu zebrane rozliczne osobliwości i tak zwane nieforemności pewnych odmian, po większéj części opatrzone odpowiedniemi objaśnieniami bądź historycznemi, bądź czysto gramatycznemi.

W szczegółach jednak niektóre z tych objaśnień są albo za ogólne, albo téż nie zawsze czynią zadość wymaganiom dzisiejszéj nauki. Autor, przytaczając pewne formy, nie według utartych prawideł urobione, często ogranicza się na prostym nazwaniu ich złemi, lichemi („jsou špatné tvary“), lub błędnie utworzonemi („chybné“), nie wdając się w głębsze wyjaśnienie przyczyny powstania takiéj „błędnéj“

formy. A jednak przy bliższéj rozwadze okazałoby się nieraz, że owa błędna forma powstała pod wpływem tak zwykłego a zarazem tak silnego psychicznego czynnika, jakim jest analogia, czyli upodobnienie jednych form do drugich; rezultaty zaś działania analogii, jak wiemy z historyi przeradzania się form w każdym języku, nie zasługują bynajmniéj na miano złych, lichych lub błędnych. Formy np. wołacza (5-go przyp.) pane *soudci* lub *soudče*, *vůdci* l. *vůdče* itp. zamiast poprawnéj („spravného tvaru“) *soudce*, *vůdce* od mianownika (1-go przyp.) soudce, vůdce, uważa autor wprost za złe (špatné, str. 5); a przecie istnienie swoje w języku zawdzięczają one analogii wołacza rzeczowników na *ec*, jak np. otec-otče, chlapec-chlapče, lub věnec-věnci itp.

Niekiedy znowu w objaśnieniu spotykamy przywiedzioną przyczynę na domysł, nieprawdziwą. Tak np. na str. 4 czytamy, że obok prawidłowych końcówek *ích*, *ech* w miejscowniku (v lokalu) l. mn. rzeczowników męskich trafia się niekiedy także z *przyczyny miłodźwięku* końcówka *ách*, mianowicie w słowach zdrobniałych np. lesičkách lub np. snách („ za příčinou libozvuku připouští se druhdy také *ách*“). Przywiedziony tu wzgląd miłodźwięku jest przyczyną powyższego zjawiska zupełnie urojoną. Tysiące bowiem innych, podobnie utworzonych wyrazów, zatrzymały swe dawne końcówki *ich*, *ech*, a mimo to nie przestały być dla ucha czeskiego eufonicznemi, miłodźwięcznemi. Właściwie takie formy męskie na *ach* powstały na zasadzie analogii do form żeńskich, mających takąż samę sobie właściwą końcówkę *ách* w miejscowniku (np. v hlav*ách*), podobnie jak to ma miejsce w niektórych rzeczownikach nijakich języka czeskiego, np. v okách (do mianow. oka w znaczeniu oka u siatki), na kolečkách, v městečkách (mian. kolečko, městečko,) itd., podobnie téż jak się rzecz ma w tym przypadku ze wszystkiemi rzeczownikami rodz. męskiego i nijakiego w języku polskim, które piérwotne swe końcówki *och*, *ech* przemieniły na *ach* pod wpływem analogii zakończenia rzeczowników żeńskich; w skutek czego, zamiast form staropolskich: w synoch, ludzioch, w grzeszech itp., wyrobiły się, poczynając od XVI wieku i do dziś istnieją w ogólnym języku polskim formy: w synach, ludziach, grzechach itp.

W dalszym ciągu, w ustępie „skloňování jmen vlastních“ (str. 9—11) słuszne spotykamy uwagi co do odmieniania w ogóle imion własnych. Niektóre z tych uwag dałyby się wprost zastosować i do nielogicznych form i wyrażeń, spotykanych w pismach polskich. Autor, mówiąc, między innemi, o imionach własnych spółek, firm itp., przypomina, że i te imiona również odmieniać należy, że np. pisać

się winno „knihkupectvi Kobrovo,“ „nakladem Kobra“ itp., zamiast „knihkupectvi Kober,“ „nakladem Kober“ itp.

Do téj kategoryi imion rodowych, pozbawionych bez należytego powodu deklinacyi, zaliczyć można nazwisko w napisie znanéj u nas firmy „Bracia Wróbel.“ Dlaczego czystopolski rzeczownik, użyty tu w liczbie pojedyńczéj zamiast mnogiéj, pozostaje w niezgodzie z rodzimą swą deklinacyą, rzeczą jest niezrozumiałą. Istnieją zaś, jak wiadomo, aż dwie formy ku temu celowi w naszym języku: *wróble* (forma dzisiejsza) i *wróblowie* (f. staropolska); ta ostatnia z zakończeniem osobowym *(owie)* byłaby w tym razie zupełnie na miejscu, tém bardziéj, że ma za sobą powagę wzorowych pisarzów wieku XVI-go, u których pospolicie spotykamy formy: baranowie, ptakowie, orłowie, a także (u Mikołaja Reja) krokodylowie.

Obok tych niedeklinowanych wyrazów godne sąsiedztwo możnaby naznaczyć podobnym formacyom, uparcie u nas przez niektóre pisma drukowanym. Tak np. przez lat kilka czytaliśmy w Gaz. polskiéj: pomysły „księcia Bismark,“ odpowiedziano „księciu Bismark“ itp., jak gdyby nazwisko tego męża, wrzekomo szczególnie uprzywilejowane, nie nadawało się wcale do deklinacyi polskiéj. Wszak formy takie, jak: Bismarka, Bismarkowi, Bismarkiem itd., nie ubliżają w niczém ani zasadom zdrowéj logiki, ani gramatyki, ani téż bynajmniéj nie uchybiają osobie, o któréj mowa.

Wracając do treści rozbiéranéj książki, znajdujemy w ustępie o przymiotnikach (str. 11) objaśnienia gruntowne, z pojęciami dzisiejszéj nauki zgodne. Toż samo powiedziéć można w ogólności i o uwagach, dotyczących niektórych form zaimków (str. 12). Nie rozumiemy tylko, dlaczego zaimek *týž*, *táž*, *též* „jest tvar lepši,“ aniżeli równie używana forma *ten samy* (str. 13).

Logiczne są również uwagi o odmianach liczebników. Pomiędzy innemi słuszność téż przyznać trzeba zarzutom, jakie autor skierował tu przeciw rachmistrzom (počtař), popełniającym błędy przy używaniu liczebników porządkowych (základných čislovek), np. gdy formułę 16=8+5+3 wyrażają: šestnáct rovná se osm, vice pět, vice tři, zamiast: rovná se osmi, vice pěti, vice třem, l. t. p.; chociaż wzgląd na szybkość rachunku dość jest silnym do utrzymania w mowie podobnych skróceń.

W rozdziale o słowach (slovesa) mamy krótki zbiór ważnych i umiejętnie przedstawionych objaśnień, dotyczących form konjugacyjnych.

Następujący „Dodatek“ zawiéra rzecz o skłanianiu imion cudzoziemskich. Autor tego obszernego działu, ze względu na panu-

jącą chwiejność, a nawet anarchią (pravá anarchie) w zakresie odmian wielu rzeczowników cudzoziemskich, przejęty jest intencyą ustalenia ich deklinacyj („Všickni takměř spisovatelé jsou v té příčině na rozdílech“ Úvod, x.), i dlatego wszelkie obce wyrazy stara się podciągnąć pod znane wzory deklinacyi imion swojskich, ażeby analogicznie do tych imion mogły być stale i imiona obce odmieniane.

Dla uczynienia téj odmiany imion obcych bardziéj przejrzystą, dzieli języki na dwie grupy: A) języki słowiańskiemu pokrewne (příbuzné) i B) języki jemu niepokrewne (nepříbuzné). Do piérwszych zalicza języki indoeuropejskie: grecki (staro- i nowogrecki), łaciński, celtycki, romańskie i germańskie, język litewski, sanskrycki, zendzki i powstałe z nich nowsze narzecza. Do drugiéj grupy przydziela język hebrajski, arabski, turecki, madźarski, chiński i inne. Obok deklinacyi autor dotyka także kwestyi pisowni imion obcych, i jest zdania, ażeby wszelkie imiona cudzoziemskie pisać ich właściwemi głoskami, nie zmieniając wcale pierwotnéj, rodzinéj ich pisowni. Słuszna ta zasada powinna być ogólnie zachowywaną i przez naszych piszących, z tém jednak zastrzeżeniem, ażeby w pisemkach popularnych, dla ogółu przeznaczonych, obok obcego wyrazu dodawać w nawiasach polską pisownią właściwe tegoż wyrazu wymawianie.

Dla zrobienia swych uwag o ile można najwięcéj praktycznemi, umieścił autor odpowiednie przy każdym języku wskazówki co do wymawiania dźwięków każdego obcego języka, wyrażonych głoskami abecadła łacińskiego, a mianowicie języków: włoskiego, hiszpańskiego, portugalskiego, francuskiego, niemieckiego, holenderskiego, duńskiego, norweskiego, szwedzkiego, angielskiego i madźarskiego. Wskazówki tu dosyć szczegółowe, wszędzie przykładami odpowiedniemi objaśnione, i dlatego dział ten w stosunku do części poprzednich jest nieproporcyonalnie obszerny.

Gdyby nie względy zbytecznéj systematyczności i dokładności, mogłaby część ta uledz znacznemu skróceniu przez opuszczenie wskazówek powszechnie znanych. Tak np. nikt pewno nie będzie inaczéj odmieniał: ani włoskich Parma, Adda, ani hiszpańskich Granada, Alcara, ani portugalskich Valença, Coimbra I. t. podobnych, tylko podług wzoru „*ryba.*“ Mogłoby się zatém bezpiecznie obejść bez wyliczenia przy każdym z tych języków, jakie rzeczowniki żeńskie podług tego wzoru odmieniać należy. Podobne niejedno jeszcze miejsce kwalifikowałoby się do usunięcia bez żadnéj szkody dla całego tego działu, starannie opracowanego.

Część druga dzieła, nosząca ogólny tytuł „Slovnik“ (str. 59—198), jest abecadłowym wykazem wyrazów i wyrażeń, które czy to pod względem leksykalnym, czy też składniowym, czy też ortograficznym nie mają za sobą prawa obywatelstwa w języku czeskim, ale pochodzenie swoje zawdzięczają wyraźnemu wpływowi obczyzny, a głównie języka niemieckiego. Nie jest to jednak suchy i bezbarwny wykaz barbaryzmów. Obok bowiem wyrazów i zwrotów mamy tu objaśnienia, przedstawiające jasno i umiejętnie, na czém polega niewłaściwość wyrażenia, jakie przyczyny i źródło ich pochodzenia, a zarazem wskazówki, jakie na miejscu tego przypadkowego wytworu czysto swojski, rodzimy wyraz lub zwrot używany być winien.

Przy ocenianiu niewłaściwych wyrazów i wyrażeń autor nie kierował się tu wymaganiami krańcowego puryzmu językowego, usuwającego wszystko, co nowe, dlatego tylko, że przedtém nigdy nie istniało. Jakkolwiek w całém opracowaniu dzieła miarę poprawności językowéj dla komisyi stanowił język książkowy dawniejszych epok aż do czasu Komeńskiego, tj. czeszczyzna, klasyczną zwana, a w rzeczach składni głównym źródłem był słownik Jungmana (powaga, równie jak nasz słow. Lindego), nie mniéj przeto należycie uwzględniono tu wszelkie sposoby mówienia spółczesnego języka, uważając za nowy nabytek każdy wyraz i zwrot, którego ustrój nie sprzeciwia się w niczém naturze języka czeskiego.

Książka ta, mianowicie w części drugiéj (Slovnik), przypomina zarówno swą tendencyją, jak i nagromadzonym w niéj materyałem pracę podobną w języku polskim d-ra Skobla, p. t. „O skażeniu języka polskiego w dziennikach i w mowie potocznéj, osobliwie w Galicyi“ (Kraków, 1-sze wyd. 1870, 3-cie 1872. Poczet drugi 1874 r.). Jednak „Brus jazyka českého“ pod dwoma względami pierwszeństwo ma przed pracą Skobla; mianowicie: zadanie samo przez komisyą Maticy czeskiéj pojęte zostało gruntowniéj i wykonane przy pomocy metody bardziéj naukowéj. Wzgląd ten uchronił biorących w téj pracy autorów od wielu pedantycznych uprzedzeń i rutynicznych, dalekich od prawdy sądów, na jakich nie zbywa dziełkom Skobla, z wielu innych stron bardzo szacownym. Druga zaś ważna zaleta pracy rozbiéranéj, a szczególnie części drugiéj, zawiérającéj „Slovnik,“ polega na abecadłowym uporządkowaniu całego materyału, w niéj zawartego, co odrazu czyni książkę wygodną do praktycznego użytku. Zupełny zaś brak téj dogodności w pierwszéj książce Skobla utrudnia, a niekiedy nawet czyni niemożebném w praktyce korzystanie z tak skrzętnie zebranego i w wielu razach cennemi uwagami opatrzonego materyału językowego. Poczet 2-gi

pracy Skobla, posiadający na końcu „Spis wyrazów i wyrażeń etc.“ już znacznie wartość praktyczną książki podnosi.

Choć w paru słowach wspomnieć na tém miejscu należy o podobnym swą treścią dziełku p. Walickiego, p. t. „Błędy nasze w mowie i piśmie etc. (Warszawa 1876).“ Posiada ono też same prawie, co i prace Skobla zalety pod względem starannego zebrania i przedstawienia materyału językowego i też same wady co do braku bezstronnéj ściśle naukowéj oceny tegoż materyału. W dziełku tym przy objaśnianiu form i wyrażeń polskich i niepolskich, obok wielu trafnych i prawdziwych sądów, zbyt często spotkać można zamiast krytyki naukowéj potępianie form i wyrażeń bezzasadne, na własném tylko widzimisię autora oparte.

Książka, staraniem Maticy czeskiej wydana, pod względem naukowego opracowania przewyższa zarówno oba dziełka Skobla, jak i pracę p. Walickiego.

Ad. Ant. Kryński.

KRONIKA NAUKOWA.

Kronika telefonu.

P. Antoni Breguet, na posiedzeniu Francuskiego Towarzystwa Fizycznego z dnia 15 Lutego r. b. zdał sprawę z kilku nowych doświadczeń, odnoszących się do telefonu. Powiększając stopniowo grubość blaszki drgającéj w odbieraczu, Breguet użył wreszcie krążka żelaznego, mającego 15 centymetrów grubości, a pomimo to głos był słyszany równie wyraźnie jak przedtém. Daléj, zauważył, że błona drgająca w odbieraczu nie koniecznie jest potrzebną. I tak, można głos słyszéć, usunąwszy błonę i przyłożywszy ucho do samego magnesu, albo, co lepsza, wziąwszy magnes w zęby. Można również przytwierdzić do magnesu, lub do blaszki, haczyk i przyczepić do niego pewną liczbę sznurków, zakończonych telefonami z błoną pergaminową, takiemi, jakich używano dla zabawki. W każdym z tych telefonów głos będzie słyszany; tak więc jedna osoba może się dać słyszéć jednocześnie bardzo wielu osobom. Co się tyczy telefonu sznurkowego, to p. Breguet proponuje urządzenie, które pozwoli z niego korzystać nawet przy dość wielkich odległościach. Według niego trzeba tylko w miejscach podparcia i zagięć sznurka umieścić błony naprężone, przez któreby sznurek przechodził. Błony te będą przejmowały głos i przesyłały na znaczne odległości.

P. A. Demoget z Nantes oblicza, że głos wychodzący z telefonu ma tylko 1/1800 pierwotnego swego natężenia. Telefon więc Bella jest przyrządem bardzo niedoskonałym, gdyż zatraca się w nim znaczna ilość siły. Dla powiększenia natężenia i wyraźności głosu, p. Demoget radzi użyć następnego sposobu: Przed blaszką

drgającą umieszcza się jednę lub dwie blaszki podobne, w odległości 1 milimetra. W pierwszéj z nich wycina się otwór równy grubości magnesu, a w drugiéj większy. W skutek tego urządzenia, można bardzo dobrze porozumiewać się półgłosem w odległości 30 metrów.

Fonograf Edisona, o którym mówiliśmy już w jednéj z poprzednich kronik, był przedstawiony na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu d. 11 Marca r. b. Sprawozdawcy piszą, iż funkcyonuje bardzo dobrze, że przeszedł wszelkie oczekiwania zdumionych słuchaczy.

Na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu d. 25 Lutego, p. Du Moncel podał wiadomość, że natężenie głosu wydawanego przez telefon bardzo się powiększa, jeśli na stacyi odbiérającéj przepuszczamy prąd telefonu przez cewkę Rhumkorff'a.

Stos elektryczny Jabłoszkowa.

Najpotężniejszém źródłem siły na ziemi jest węgiel: palony pod kotłem machiny parowéj zastępuje dawniéj używaną siłę ludzi i zwierząt. Ponieważ i elektryczność galwaniczna jest prawdopodobnie pewnym rodzajem ruchu, więc już dawno myślano o tém, aby ją można było otrzymywać z ruchu cieplnego, wprost z palącego się węgla.

P. Jabłoszkow znany już z wynalazku „świec elektrycznych," używanych do światła elektrycznego, rozwiązał w pewnym stopniu to zadanie.

Płynem, wchodzącym w skład jego stosu, jest stopiony azotan potasu lub sodu (saletra zwyczajna lub czylijska). Z dwóch elektrodów jeden jest z węgla, drugi z platyny lub ołowiu. Węgiel spala się w stopionéj saletrze na koszt jéj tlenu i wydaje kwas węglany, platyna zaś lub ołów pozostają nietkniętemi.

Węgiel więc jest tu elektrodem dodatnim, a ołów ujemnym, przeciwnie jak w stosie zwyczajnym z używanemi dotychczas roztworami kwasów lub soli.

Saletrę należy stopić przed rozpoczęciem doświadczenia, lecz gdy czynność stosu rozpocznie się, zostaje ona płynną z powodu wielkiéj ilości ciepła, które się przy paleniu węgla wywiązuje. Możemy nawet uniknąć przedwstępnego topienia saletry, gdyż rozżarzywszy w ogniu koniec węgla i wstawiwszy go do saletry wywołujemy natychmiast silne gorenie, od którego saletra się topi i stos jak najlepiéj funkcyonuje.

Dotychczas stos Jabłoszkowa nie może mieć zastosowań praktycznych, ważnym jest jednak ze względu teoretycznego. W Paryżu, gdzie p. Jabłoszkow pracuje, wzbudził on wielkie zajęcie. Może da początek licznym modyfikacyom, tak jak stos Volty, który w początkach także był tylko ciekawą naukową zabawką.

Czy rośliny mięsożerne żywią się rzeczywiście mięsem?

P. Ch. Martins pomieścił w „Revue Scientifique" następujące sprawozdanie.

Wiadomo czytelnikom, że Darwin w dziele swém o roślinach owadożernych wykazał ostatecznie, iż pewne rośliny, należące do rodziny Rosiczkowatych (Droseraceae), mają własność chwytania i pochłaniania substancyj zwierzęcych, położonych na ich liściach, albo owadów, które same liśćmi swemi chwytają. Fakt ten dowiedziony został doświadczeniami licznemi, odbywanemi z coraz to nowemi zmianami. Pomimo to, jeden szczegół pozostał wątpliwym, a mianowicie: czy materye zwierzęce, pochłaniane przez roślinę, przyczyniają się do jéj żywienia? Czy przyłączają się do tych materyj, które roślina czerpie swemi liśćmi z powietrza i swemi korzeniami z ziemi? Czy liście rosiczkowatych grają rolę żołądków? Zdania co do tego były podzielone, a doświadczenia niedostateczne na nie rzucały światło, choć już w dość dalekiéj przeszłości odzywano się dość stanowczo w téj kwestyi. Andrzéj Knight, znakomity ogrodnik angielski, znany z swych prac na polu fizyologii roślin, stwierdził, że krzaczek muchołówki, na którego liściach położono małe paseczki mięsa surowego, rósł z daleko większą siłą, aniżeli drugi, nieżywiony tym sposobem. Lindsay spostrzegł, że krzaczek Rosiczki, rosnący na otwartém powietrzu, a więc odwiedzany przez owady, okazywał większą energią życia od tych, które chowano pod kloszem. Przeciwnie zaś Kazimierz de Candolle, trzymając w cieplarni cztery krzaczki muchołówki pod dwoma dzwonami i umieszczając na dwóch owady oraz mięso, a dwa drugie pozbawiwszy tych substancyj, nie dostrzegł żadnéj różnicy w sile wegetacyi tych czterech krzaczków.

Canby, Taït, Edward Morren, Duval-Jouve jeszcze bardziéj rzecz tę zawikłali, utrzymując, iż chwytanie owadów, wydzielanie płynu rozpuszczającego, a może i pochłanianie strawionéj substancyi nie stanowią wcale funkcyi normalnéj, kończącéj się pożytecznie dla rośliny; przeciwnie, owad wywołując nadmierne wydzielenie cieczy spowodowuje śmierć organu. Wreszcie sam Martins we wstępie biograficznym do francuskiego wydania cytowanego dzieła Darwina,

w przekładzie Barbier'a, wygłosił co do roślin owadożernych własną hipotezę, tłómaczącą jednocześnie pochłanianie materyj zwierzęcych przez liście, obok pochłaniania roztworów substancyj pożywnych z ziemi, przez korzenie. Martins opiéra się na tém, że w państwie roślin i zwierząt istnieją organa, a więc i funkcye zupełnie niepotrzebne tym istotom. Do takich np. należą u człowieka muskuły, które u konia poruszają uszami, lub wyrostek robaczkowy kiszki ślepéj, dający często powód do śmiertelnych chorób, gdy weń wpadnie ziarko piasku. W naturze istnieją pewne zaczątki, pewne funkcye niejasne u istot niższych, które rozwijają się, uzupełniają i doskonalą u wyższych. Martins więc zadał sobie pytanie, czy czasem to chwytanie owadów przez rośliny, rozpuszczanie i pochłanianie zdobyczy, nie jest funkcyą zupełnie bezużyteczną dla rośliny, czy nie jest raczéj zarysem, zaczątkiem funkcyi właściwéj i niezbędnéj u zwierząt stale przytwierdzonych, np. u aktynij i polipów, u których trawienie i przyswajanie substancyj zwierzęcych nie mogą ulegać wątpliwości. Funkcya ta, uzupełniająca funkcyą żywienia się korzeniami u Rosiczkowatych, a nieistniejąca, lub niejasna u innych roślin, dawałaby doskonały dowód na wspólne pochodzenie zwierząt i roślin.

Wszystkie te wątpliwości zmuszały do wykonania doświadczeń decydujących. Franciszek Darwin, syn słynnego Karola, przedsięwziął je i rozwiązał kwestyą w sposób stanowczy. Wszystkie zdania przeczące, a pomiędzy niemi i Martins'a upadło, i sprawdziło się przeczucie Diderota, który o muchołówce powiedział „oto jest roślina prawie *mięsożerna*."

Fr. Darwin postąpił sobie w sposób następujący. 12 Czerwca r. 1877 przesadził na głębokie talerze dwieście krzaczków Rosiczki okrągłolistnéj (Drosera rotundifolia). Każdy z talerzy był napełniony mchem i podzielony na dwie części równe niską przegrodą drewnianą. W jednéj części znajdowały się rośliny, które miały otrzymywać pokarm zwierzęcy, z drugiéj zaś egzemplarze, skazane na zupełną dyetę. Wszystkie one pokryte były siatką drucianą, niedopuszczającą odwiedzin owadów. Każdy z liści roślin karmionych substancyą zwierzęcą otrzymywał co kilka dni maleńką porcyą mięsa pieczonego. Praktykowało się to od początku Czerwca do pierwszych dni Września, do chwili, kiedy eksperymentator porównywał ostatecznie rezultaty, do których doszły obie partye roślin. Ale nawet nie potrzeba było tak długo czekać: już i przed tym terminem widać było wyraźnie, że rośliny karmione substancyą zwierzęcą odnoszą pożytek z swego pokarmu. Od 17 Lipca liście tych roślin odznaczały się daleko żywszą zielonością, co dowodziło, że

przyjmowanie większéj ilości materyj azotowych sprzyja mnożeniu się ziarn zieleni (chlorofilu). Badanie mikroskopowe zawartości liści oraz ostateczne porównanie wagi liści suchych, dowiodły, że temu powiększeniu się ilości chlorofilu towarzyszyło pomnożenie się ilości błonnika. Od tego czasu, oddziały roślin żywionych substancyą zwierzęcą okazywały daleko piękniejszą powierzchowność od pozostawionych samym sobie i miały daleko większą ilość i większe szypułki kwiatowe aniżeli głodzone.

Wyższość roślin żywionych nad nieżywionemi okazywała się na wielu punktach. I tak, 7 Sierpnia, stosunek ilości krzaczków kwitnących pomiędzy głodzonemi do ilości kwitnących pomiędzy żywionemi, miał się jak 100 : 149,1. Porównywając zaś z sobą tylko krzaczki kwitnące w obu szeregach, widoczną było rzeczą, że pozostawione na dyecie nie miały już siły do wydawania nowych kwiatków, jak to czyniły żywione. W połowie Sierpnia, eksperymentator policzył liście na trzech talerzach: w oddziale niekarmionych znalazł liści 187, w oddziale karmionych—256, co odpowiada stosunkowi 100 : 136,9.

Następująca tabliczka podaje rezultaty porównawczego liczenia, mierzenia i wagi różnych części obu działów. Ilość krzaczków w jednym i drugim była prawie tażsama, gdyż stosunek wynosił 100 : 101. Liczby, odnoszące się do roślin głodzonych, są zawsze wyrażone w tabliczce przez 100.

Stosunek wagi krzaczków oprócz szypułek kwiatowych	100 : 121,5
Ogólna liczba krzaczków kwitnących	100 : 164,9
Suma wysokości szypułek kwiatowych	100 : 159,9
Suma wagi szypułek kwiatowych	100 : 231,9
Ogólna liczba torebek nasiennych	100 : 194.4
Średnia ilość nasion w torebce	100 : 122,7
Średnia waga nasion	100 : 157,3
Całkowita ilość ziarn z wszystkich krzaczków	100 : 241,5
Całkowita waga ziarn „ „	100 : 379,7

Najważniejszym wynikiem wszystkich tych rezultatów jest to, że różnica pomiędzy roślinami żywionemi a nieżywionemi objawia się nadewszystko w szypułkach kwiatowych. I tak stosunek wagi krzaczków pozbawionych szypułek wynosi 100 : 121,5, stosunek zaś szypułek dźwigających na sobie torebki z ziarnami jest jak 100 : 231,9. Największy zaś zachodzi stosunek pomiędzy ogólnemi ilościami nasion wyprodukowanych, albowiem wynosi on 100 : 379,7. Łatwo to zrozumiéć, gdyż ziarna zawierają największą ilość azotu. Na-

turalną też jest rzeczą, że różnica pomiędzy roślinami żywionemi a nieżywionemi najwydatniéj okazuje się przy porównywaniu wag: waga bowiem jest najlepszą wskazówką przyswajania pokarmów.

Pokarm więc zwierzęcy przynosi materyalną korzyść Rosiczkowatym, a więc i chwytanie owadów w stanie natury wychodzi im na pożytek. To jest rzecz dowiedziona, ale na tém badanie nie powinno się skończyć. Fakt pomimo to pozostaje zdumiewającym i dziwnym. Na jakiéj zasadzie funkcya żywienia, właściwa zwierzętom, występuje wyjątkowo, jako wyłączna własność pewnéj grupy roślin wodnych, lub nawpół wodnych? Jakim sposobem liście, będąc zawsze tylko organami do wymiany gazów i do ulatniania wody w całém królestwie roślin, stają się tu żołądkiem chwytnym, opatrzonym w ruchome przysadki jak u promieniaków, wydzielającym sok kwaśny rozpuszczający i trawiący wyłącznie tylko materye azotowe, a nie tykający innych? Na podstawie jakich zjawisk przystosowywania mogła się ta funkcya rozwinąć wśród małéj wysepki na wielkim oceanie roślin, u ziół, które pod względem innych części swego organizmu, korzeni, kwiatów, owoców i t. d. nie przedstawiają nic szczególnego. Jest to tajemnica, kończy p. Martins, któréj rozjaśnienie odkryje ścisłe węzły łączące dwie gałęzie królestwa organizowanego, rośliny i zwierzęta, potwierdzi zapewne na nowo wspólne ich pochodzenie i da nowy dowód na korzyść teoryi ewolucyi.

Liczba słojów łodygi i wiek roślin.

Bardzo rozpowszechnioném jest mniemanie, że corocznie roślinom jeden słój przybywa. Obecnie jednak utrzymują niektórzy uczeni, że zdanie to jest zupełnie mylném. Gray np. przytacza pewną szkarłatkę (Phytolacca), która miała dwa razy tyle słojów ile lat, a Karol B. Warring u czteromiesięcznéj komosy (chenopodium album) znalazł ośm wyraźnych słojów. Daléj, w umiarkowanych strefach Ameryki północnéj, odznaczających się mroźnemi zimami i gorącém latem, rosną pewne rośliny dwuliścieniowe, które najmniejszego śladu słojów nie posiadają. Na poprzeczném przecięciu łodygi Akebia quinquefolia nie dostrzeżono żadnego rysunku słojów, a u grabu amerykańskiego (Carpinus americana) zaledwie słabe okazywały się ich ślady. Wreszcie Warren podaje, że sagowce (Cycadeae) potrzebują kilku lat na utworzenie jednego słoja.

Wszystko to dowodzi, że wprawdzie słoje zależą od peryodów czynności i odpoczynku rośliny, ale peryody te nie są bezpośrednim skutkiem letniéj i zimowéj pory. Wpływa na to głównie natura ro-

śliny, a więc powyżéj przytoczone mniemanie nie może być uważane za prawo ogólne.

Drugi egzemplarz Archeopterixa.

W r. 1861 p. Häberlein z Pappenheimu znalazł w białéj Jurze, w łupku litograficznym w Solnhofen, skamieniałe szczątki jakiegoś dziwnego zwierzęcia, co do którego panowała wątpliwość: czy jest ptakiem, czy gadem? Dopiéro uczony angielski Ryszard Owen rozpoznał w nim ptaka, posiadającego wiele cech właściwych gadom, a więc stanowiącego przejście pomiędzy ptakami i gadami. Egzemplarz ten sprzedano do Londynu za sumę mniéj więcéj 5.000 rs. Od tego czasu długo szukano napróżno podobnego ptaka, którýby stanowił pożądany nabytek dla innych muzeów. Niedawno jednak, tenże sam p. Häberlein był tyle szczęśliwym, że znalazł drugi i to jeszcze lepiéj zachowany egzemplarz Archeopterixa. Leży on także w płycie kamienia litograficznego. Co do wielkości, jest on cokolwiek mniejszy od pierwszego. Płyta jest rozłamana na dwie części. Mniejsza część zawiéra ogon i część nóg tylnych, reszta zaś leży na płycie większéj, pod dość twardą, lecz cienką skorupą kamienną. Panu Häberlein'owi udało się zręcznie odsłonić koniec ogona, na którym zachowały się jak najlepiéj pióra, wychodzące z obu stron kręgów ogonowych.

Synteza związków organicznych za pomocą glinu.

Jak ważną jest synteza ciał organicznych, jak doniosłe przynosi rezultaty, o tém wié każdy, choćby powierzchownie obznajmiony z kierunkiem i zadaniem współczesnéj chemii: ona daje nam najściślejszą wiadomość o szczegółowéj budowie związków, ona nagromadza najpozytywniejszy materyał do bardzo ogólnéj teoryi chemicznéj, ona przedstawia nam coraz to nowe strony właściwości materyi. Każda nowa metoda syntezy jest nowym kilofem, którym rozgrzebujemy łono tajemnic natury, nową bronią, którą z ciemnością walczymy. Ze względu na to nie możemy pominąć zasady nowych odkryć Friedel'a i Crafts'a, które już dawniéj dokonane, coraz większe zyskują rozwinięcie i zastosowanie w pracach teoretycznych.

Metoda ta polega na użyciu chlorku glinu (chlorku aluminium). Droga, którą do niéj przyszli, jest następująca:

Chcąc zamienić pewien chlorek organiczny na jodek, Friedel i Crafts postanowili zastosować metodę Gustavsona, który wykazał, że działaniem jodku glinu na chlorek organiczny, można w ten

ostatni wprowadzić jod na miejsce chloru. Lecz zamiast użyć gotowego jodku glinu, Friedel i Crafts użyli jego składników, tj. opiłek glinu i jodu. Po wrzuceniu tych pierwiastków do chlorku organicznego, pojawiła się zaraz nadzwyczaj żywa reakcya. Innym razem, do chlorku zmięszanego z opiłkami glinowemi, dodali uczeni tylko ślad jodu: okazała się prawie równie żywa reakcya i kwas chlorowodorny zaczął się obficie wydzielać. Prawdopodobną było rzeczą, że w tym razie, przynajmniéj w części, reakcya zależała od samego glinu metalicznego, i dla sprawdzenia tego chemicy postanowili zbadać zachowanie się chlorku amylu, pomięszanego z glinem metalicznym. Rzeczywiście glin w opiłkach lub cienkich blaszkach działał na chlorek amylu w wyższéj temperaturze i wydzielał się chlorowodór oraz płynne i gazowe węglowodory. Lecz co było szczególném, to że reakcya zamiast się stawać coraz powolniejszą w miarę zamieniania się chlorku na metal, okazywała się przeciwnie coraz żywszą i odbywała się głównie na granicy chlorku amylu i cieczy oleistéj, zawiérającéj powstały z reakcyi chlorek glinu. W sprawie więc téj można odróżnić dwie fazy: w pierwszéj glin działa na chlorek amylu i tworzy się chlorek glinu, w drugiéj zaś, utworzony chlorek glinu działa w dalszym ciągu na chlorek amylu i rozkłada go z wydzieleniem chlorowodoru.

To pobudziło Friedela i Crafts'a do zbadania wpływu bezwodnego chlorku glinu na chlorki organiczne. W ciągu tych prac przekonali się, iż rzeczywiście chlorek glinu działa energicznie na chlorek amylu, i że produkta ztąd wynikające są analogiczne z produktami działania metalicznego glinu na chlorek amylu, a mianowicie, że i tu wydzielają się chlorowodór i węglowodory lotne. Część zaś, pozostała w retorcie po wypłukaniu wodą, zawiérała tylko węglowodory płynne, wyższych rzędów, tj. wrzące w bardzo wysokich temperaturach. Oprócz więc rozkładu, nastąpił przy téj reakcyi skład, synteza: z jednego węglowodoru, mającego pięć atomów węgla w cząsteczce (amylu), powstały węglowodory, mające ich więcéj w cząsteczce. Produkta były tu liczne i bardzo złożone. Z początku chemicy nie mogli się zabrać do zbadania ich i szukali reakcyj prostszych, zrozumialszych, mogących rzucić niejakie światło na znaczenie chlorku glinu przy tych sprawach.

Oto są główniejsze ich rezultaty.

Chlorki alkoholowe. Biorąc za punkt wyjścia metodę syntezy węglowodorów grupy aromatycznéj, odkrytą przez Zincke'go a polegającą na ogrzewaniu mięszaniny benzolu z chlorkiem organicznym w obecności proszku cynkowego, Friedel i Crafts zmięszali benzol z chlorkiem amylu i, ogrzewając powoli, dodawali w małych por-

cyach chlorku glinu. Natychmiast zaczął się obficie wywiązywać kwas chlorowodorny, a po skończeniu reakcyi, po usunięciu pozostałego chlorku glinu za pomocą wody, po zlaniu wierzchniéj warstwy płynu utworzonego głównie przez benzol, chemicy z łatwością oddzielili amylbenzol, utworzony w stosunkach prawie teoretycznych. W płynie już się nie znajdował chlorek amylu. Po zebraniu kwasu chlorowodornego wydzielonego z mięszaniny i zważeniu go, przekonano się, że wagą swego chloru odpowiadał prawie ściśle wadze chloru zawartego w chlorku amylu.

Reakcya więc, która tu ostatecznie zachodziła (że pominiemy na teraz znaczenie chlorku glinu w téj sprawie), daje się wyrazić wzorem.

$$C_6H_6 + C_5H_{11}Cl = HCl + C_6H_5.C_5H_{11}$$

Benzol + chlorek amylu = Chlorowodór + amylbenzol

Jodki i bromki organiczne zachowują się tak samo jak chlorki. Sprawdzono to odnośnie do jodku etylu za pomocą którego otrzymano *etylbenzol* i bromku metylu, który dał *toluol*.

$$C_6H_6 + C_2H_5J = HI + C_6H_5.C_2H_5$$

Benzol + jodek etylu = jodowodór + etylbenzol

$$C_6H_6 + CH_3Br = HBr + C_6H_5.CH_3$$

Benzol + bromek metylu = bromowodór + toluol.

Doświadczenie to wykazuje jednocześnie, że bromki i jodki glinu dzielą z chlorkiem własność wywoływania podstawienia w chlorkach organicznych grupy fenylu (C_6H_5) za chlor, albo też, jeśli się odwrotne podoba wyrażenie, podstawienia rodnika alkoholowego związanego pierwotnie z chlorem itd. za wodór w benzolu.

W tych wszystkich podstawieniach, jeden tylko atom wodoru w benzolu został zastąpiony przez rodnik alkoholowy. Można jednakże tym sposobem więcéj atomów wodoru zastąpić, używając chlorku metylu, etylu itd. w nadmiarze. Tym sposobem, oprócz innych pochodnych już znany ch, Friedel i Crafts otrzymali pentametylbenzol $C_6H\ (CH_3)_5$ oraz heksametylbenzol $C_6(CH_3)_6$.

Chlorki rodników kwasowych zachowują się tak samo jak powyższe. Mięszanina chlorku acetoilu z wielkim nadmiarem benzolu, za dodaniem chlorku glinu, wydziela w łagodnéj temperaturze kwas sol-

ny i daje metyl-benzoil, keton mięszany kwasu benzoseowego i octowego

$$C_6H_6 + CH_3.COCl = HCl + CH_3.CO.C_6H_5$$

Benzol + chlorek acetoilu = chlorowodór + metylbenzoll

Podobnie z benzolu i chlorku benzoilu można otrzymać benzofenon $C_6H_5.CO.C_6H_5$.

Na téj saméj zasadzie Friedel i Crafts otrzymali wiele innych związków, rzucając silne światło na ich budowę.

Co się tyczy znaczenia glinu w tych reakcyach, to chemicy ci utrzymują, że tu się tworzy mała ilość związku metalorganicznego, składającego się z reszty węglowodoru mniéj jeden atom wodoru i reszty chlorku glinu, mniéj jeden atom chloru. Z oderwanych zaś od jednego związku atomu wodoru, a od drugiego chloru, tworzy się kwas solny

$$C_6H_6 + Al_2Cl_6 = HCl + C_6H_5Al_2Cl_5$$

Na ten związek metalorganiczny zaczyna dopiéro działać chlorek rodnika alkoholowego, czy kwasowego i, dając węglowodór, keton i t. d., regeneruje chlorek glinu

$$C_6H_5Al_2Cl_5 + CH_3Cl = C_6H_5CH_3 + Al_2Cl_6.$$

Utworzony na nowo chlorek glinu działa tak samo na nową porcyą benzolu i tak daléj, bez końca, aż do wyczerpania się chlorku organicznego. Małą więc ilością chlorku glinu, wywołać możemy utworzenie się znacznéj ilości powyższych produktów.

Friedel utrzymuje, że w powyżéj wspomnianéj metodzie Zinckego, pył cynkowy tak samo się zachowuje jak tu glin, wbrew zdaniu Zincke'go, który sądzi, że cynk metaliczny sprawia tylko wstrząśnienie molekularne związków.

* *

*

Rok bieżący, rozpocząwszy się szczęśliwie dla nauki odkryciem zgęszczalności gazów stałych, dotknął ją z drugiéj strony bardzo bolesnym ciosem. Kilku pierwszorzędnych uczonych zeszło z tego świata. Becquerel, Regnault, Klaudyusz Bernard i ojciec Secchi już

są straceni dla nauki na zawsze. Poświęcimy kilka słów każdemu z nich.

A. C. Becquerel urodził się 7 Marca 1788 roku. Po skończeniu szkoły politechnicznéj, z któréj wyszedł w r. 1808, brał udział w wojnach Napoleońskich jako oficer, a potém wyłącznie poświęcił się już powołaniu naukowemu. Umarł 18 Stycznia r. b. Z mowy znakomitego fizyka p. Fizeau, mianéj nad grobem Becquerel'a, wyjmiemy kilka słów o zasługach tego uczonego.

Do pierwszych prac Becquerel'a należy badanie nad wywiązywaniem się elektryczności przy zetknięciu dwóch metali, wykazanie związku pomiędzy wywiązywaniem się elektryczności a procesem chemicznym w stosie Volty. Dowiódł on, że to ostatnie zjawisko jest koniecznym warunkiem pierwszego, że, jak w tym razie, prąd elektryczny jest rezultatem działania kwasu na metal. Wpłynął więc tym sposobem na ustalenie się pierwszych podstaw teoryi stosu. Ztąd wynikł pomysł zmodyfikowania stosu Volty w ten sposób, że Becquerel odrzucił płatki sukienne i zastąpił je roztworem kwasu. Był to pierwszy stos przegródkowy, który dał początek innym coraz doskonalszym, i osiągnięto siłę i stałość prądu elektrycznego, któréj dotychczas nie znano. Daléj wynalazł Becquerel termometr elektryczny, pozwalający z odległości oznaczać temperaturę wnętrza roślin i zwierząt, oraz wnętrza ziemi i górnych warstw atmosfery. Zawdzięczamy również Becquerelowi wagę magnetyczną, galwanometr różniczkowy, oraz ważne prace na polu meteorologii, nad klimatem właściwym lasów, nad burzami gradowemi itd.

Charakterystyczną jest dla Becquerel'a okoliczność, że prawie każda gałąź nauki o elektryczności jemu coś zawdzięcza. Gdy specyalista zagłębi się w historyą któréjkolwiek z nich, gdy zacznie gromadzić materyały, zawsze napotka na nazwisko Becquerel'a, przywiązane do jakiejś pracy, któréj postęp czasu bynajmniéj wartości nie odjął.

Do ostatnich chwil swego długiego dziewięćdziesięcioletniego życia, Becquerel zachował wielką żywość ciała i umysłu, pomimo na pozór wątłéj kompleksyi. Ani na chwilę nie stracił swéj miłości dla pracy i jasności umysłu w badaniach. Swym zapałem do nauki, swą metodą badania, czcią dla prawdy, niemało wpływał na młodzież, która pragnęła iść w ślady mistrza. Jeden z jego uczniów, własny syn Becquerela, zasłużył się już bardzo nauce i, zdaje się, że utrzyma nadal w całym blasku tak zasłużone nazwisko ojca.

Więcéj jeszcze niż Becquerela słynie po świecie imię Wiktora Regnault'a. Umarł on nazajutrz po śmierci Becquerel'a, tj. 19 Stycz-

nia r. 1878. Rzecz szczególna, że śmierć Wiktora przypadła dokładnie w rocznicę śmierci syna jego, malarza Henryka Regnault'a, który padł ugodzony w serce kulą pruską podczas wojny w r. 1870—1871. Może to wspomnienie odebrało sławnemu fizykowi resztę sił.....

Nad grobem jego przemawiali Debray, Jamin, Daubrée i Laboulaye.

Wiktor Regnault urodził się 21 Lipca r. 1810. Skończywszy szkołę politechniczną, został inżynierem górniczym w r. 1847, następnie dyrektorem w Sèvres w 1854 i wreszcie profesorem w Collège de France, w szkole politechnicznéj i członkiem Akademii Nauk w r. 1840 i 1842. Był to jeden z tych rzadkich ludzi, którzy, nie poświęcając się wyłącznie jednéj specyalności, jednocześnie wykonywają doniosłe prace na kilku polach. Będąc jednym z najzasłużeńszych chemików, był także chlubą fizyki. Nie tu miejsce wyliczać długi szereg jego prac: wspomnimy tylko badania nad cieczą chemików holenderskich, nad oddychaniem rozmaitych zwierząt, nad rozszerzaniem się płynów elastycznych pod wpływem ciepła, gęstością gazów, mierzeniem temperatury, daléj klasyczne prace nad ciepłem właściwém pierwiastków, a szczególniéj nad prężnością pary wodnéj, których praktyczne znaczenie rywalizuje o pierwszeństwo z teoretyczném. Jedném z najwięcéj znanych jest badanie nad prawem ściśliwości gazów, modyfikujące prawo Boylego i Mariotta. Wywołało ono to przekonanie, że gazy stałe są także parami i że dadzą się skroplić tak jak one. Przygotowało to pole dla prac Cailletet'a i Pictet'a (patrz zeszyt 3 Ateneum). Choćbyśmy resztę badań jego opuścili, to już wymienione starczyłyby mu do zapewnienia jednéj z najpiękniejszych kart w historyi wiedzy.

Charakterystyczną jego właściwością był dowcip w obmyślaniu doświadczeń oraz staranność i ścisłość w wykonywaniu i obliczaniu, tak, że pod tym względem mało kto mu dorówna, a nikt z pewnością nie przewyższył.

Luboulaye przy końcu swéj mowy wspomniał o smutnych okolicznościach, towarzyszących ostatnim chwilom zmarłego.

Śmierć syna, który był jego chlubą, zupełnie złamała życie Regnault'a. Nie mógł on nawet szukać pociechy w badaniach naukowych. Niemcy zabrali papiéry i aparaty, pozostawione przez niego w Sèvres, i po ich odejściu, Regnault nie mógł już znaléść rękopismów, w których zawarł wielką ilość spostrzeżeń tak delikatnych, że wątpliwą jest rzeczą, czy kto je na nowo przedsięweźmie. Pod tym ciosem Regnault uległ, i życie jego od lat kilku było tylko powolném konaniem.

Zeszły ze świata d. 11 Lutego r. b. Klaudyusz (Claude) Bernard urodził się w r. 1813, w St. Julien, w departamencie Rodanu. Żył więc lat 65. W młodości swéj poświęcał się aptekarstwu, jako uczeń, i w r. 1832 przybył do Paryża z tragedyą własnego utworu w kieszeni, niezdecydowany, czemu się ma poświęcić. Idąc za poradą St. Marc Girardin'a, porzucił literaturę i oddał się studyom medycznym. Pracował we wszystkich gałęziach medycyny, ale najwięcéj przyciągały go wykłady fizyologiczne Magendie'go, i w r. 1840 wyłącznie poświęcił się fizyologii. Wkrótce odznaczył się w téj nauce genialnemi pomysłami, dowcipnemi metodami eksperymentalnemi i śmiałym, nieuprzedzonym sposobem widzenia. Od niego datuje się we Francyi przekonanie, że fizyologiczne sprawy istoty żyjącéj są wynikiem procesów fizycznych i chemicznych, i że tak jak one mogą być poddane doświadczeniu. Ztąd to Francuzi nazywają go ojcem naukowéj fizyologii. Lecz znaczeniu temu nadają zbyt szeroki zakrés: jest on ojcem tylko francuskiéj fizyologii, bo co się tyczy téj nauki w Europie, to już przed nim Jędrzéj Śniadecki i Johannes Müller wprowadzili ją na drogę ściśle naukową.

Kl. Bernard był tak jak Faraday geniuszem samodzielnym, który, nie idąc drogą przyjętą przez ogół fizyologów, wchodził na tor odkryć siłą swych zdolności, swego umysłu jasnego, swéj myśli logicznéj, swéj intuicyi. Zdolność do odkryć stanowi właśnie najwybitniejszy charakter jego umysłowości. Do tego niezmiernie pomagał mu brak wszelkich uprzedzeń, zupełna swoboda badania. Widział on nietylko to, czego szukał, ale i to wszystko, co podczas doświadczeń występowało jako poboczne zjawiska, i zajmował się z podobną wytrwałością rzeczami pobocznemi jak główną, dopóki wspólnéj podstawy nie odkrył. Najważniejszém odkryciem, które mu sławę w całym świecie zjednało, było wykazanie zależności systemu naczyniowego od nerwu sympatycznego; nadto zawdzięcza mu nauka cenne prace nad trawieniem: wszystkie niemal swe wiadomości o gruczole trzustkowym, wykazanie zależności wydzielania się śliny i w ogóle wydzielin gruczołów od nerwów, zbadanie wpływu trucizn a głównie tlenku węgla, wspólnéj czułości zwierząt i roślin, względem niektórych środków narkotycznych itd. Najpopularniejszém jego odkryciem jest wykazanie, że w wątrobie wyrabia się cukier, że ta czynność jest zależna od systemu nerwowego, że przez ukłucie mózgu w pewném miejscu można wywołać sztucznie chorobę, zwaną cukrową (cukromocz).

Rodacy Kl. Bernarda nie zachowywali się obojętnie względem jego zdolności i pracy. W r. 1854 został członkiem Akademii Nauk, i jednocześnie utworzono dla niego katedrę fizyologii w Sorbonnie,

w 1855 został po swym nauczycielu Magendie'm profesorem w Collège de France, w 1868 obrano go na członka Akademii Francuskiéj, a w 1869 cesarz Napoleon, który go znał osobiście i wysoko szacował, mianował go senatorem.

Kl. Bernard zbyt wcześnie zgasł dla nauki—umarł w toku nowych odkryć. Powiadają, że zaniósł z sobą do grobu rezultaty prawie skończonych, lecz jeszcze nieskreślonych badań nad fermentacyą, które w zupełnym trzymał sekrecie. Kto wié czy w nich nie zawiérała się ostateczna prawda, potwierdzenie jednéj lub drugiéj istniejącéj teoryi, lub jakaś zupełnie nowa? Niepowetowana to strata!

Izba deputowanych uchwaliła jednogłośnie, aby pogrzeb Kl. Bernarda odbył się na koszt państwa. Gambeta, jako sprawozdawca komisyi budżetowéj, któréj zdania kazał formalizm zasięgnąć, zakończył swą krótką za wnioskiem przemowę, świetném słowem: „*nous saluons l'entrée de Claude Bernard dans l'immortalité.*“

Ostatnim z rzędu zmarłych w tym roku wielkich uczonych, był ojciec Angelo Secchi.

Urodził się d. 29 Czerwca 1818 roku w Reggio w Lombardyi. Wstąpiwszy do zakonu Jezuitów, okazał wielkie zdolności do nauk przyrodniczych, które zaraz zauważono i postarano się rozwinąć. Po skończeniu studyów, został Secchi wysłany do Georgetown-College w Waszyngtonie, zkąd powróciwszy do Rzymu, objął po słynnym astronomie de Vico, kierunek nad papieskiém obserwatoryum Collegio Romano. Ponieważ Secchi był jeszcze wtedy nieznany, więc wątpiono czy okaże się godnym swego poprzednika—ale Secchi jeszcze go przewyższył i laurem niespożytéj sławy naukę włoską uwieńczył.

Angelo Secchi poświęcił się wyłącznie astrofizyce, téj części astronomii, która zajmuje się badaniem gwiazd i planet pod względem fizycznym i chemicznym. Uzbrojony w znakomitą lunetę, którą zakupił dla obserwatoryum, kolega jego ojciec Rosa, korzystając z najbardziéj sprzyjającego obserwacyom klimatu Italii, zapuszczał swój wzrok bezustannie w niezmierne otchłanie niebios. W r. 1867 oznaczył już Secchi widma 500 gwiazd stałych, na zasadzie których zdobył podstawę do rozklasyfikowania gwiazd na cztery grupy. Nadto zajmował się słońcem i wydał wyborną jego monografią, która uchodzi za pracę klasyczną, a jest przytém tak popularną, że czytać ją może każdy ukształcony człowiek. Oprócz tego, badał Secchi zjawiska magnetyczne i elektryczne kuli ziemskiéj. Doszedł nawet, do zauważenia pewnego związku pomiędzy większemi zboczeniami igły magnetycznéj a zjawiskami atmosferycznemi, ale z powodu wiel-

kiéj komplikacyi, nie zdołał téj zależności ściśle określić. Ośm razy dziennie odczytywał Secchi stan instrumentów, okazujących zmiany w atmosferze, a chęć ułatwienia sobie téj zmudnéj pracy doprowadziła go do wynalezienia przyrządu, który sam automatycznie, zaznacza wszelkie zmiany termometryczne, barometryczne, umbrometryczne, anemometryczne itd. Przyrząd ten, nazwany meteorografem, jest nadzwyczaj ważną zdobyczą dla nauki, gdyż zastępuje najpilniejszego i najsumienniejszego obserwatora.

Przy tych wszystkich kolosalnych pracach empirycznych, Secchi miał czas na rozmyślania filozoficzne, na napisanie dzieła o jedności sił w przyrodzie. W książce tej zamknął tyle wiedzy głębokiéj, okazał tak jasny pogląd na rzeczy, iż mało dzieł wyszłych w ostatnich czasach da się z nią porównać.

Zasługi zmarłego jezuity stawiają go w szeregu współczesnych, pierwszorzędnych uczonych. Strata jego dotknęła boleśnie nietylko astronomią, ale i całą wiedzę, nietylko Włochy, ale i świat cały. Zgasł w sile wieku, przy najświetniejszéj energii umysłu, mając lat sześćdziesiąt. Ciężka choroba przemogła silny organizm i wydarła wielki umysł ludzkości.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Jeżeli pominiemy sprawy finansowe, kwestye polityczne i całą lawinę drobiazgów życia codziennego, to miesiąc ubiegły przedstawi się nam, jako szereg pokuszeń na większą lub mniejszą skalę do popisania się przed światem z tego, co mamy,—a właściwiéj cobyśmy mieć mogli i powinni. Zdaleka i zbliska spadły na nas zaszczytne zaproszenia do wzięcia udziału w międzynarodowym konkursie cywilizowanego świata, na ogólnéj schadzce ludów w Paryżu, i.. (ostateczności się schodzą!) na małéj w porównaniu wystawie specyalnéj w naszém warszawskiém Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

Jak dwa zdyszane gołębie pocztowe, co się dobrze opóźniły z przesełką, pojawiły się nagle w Redakcyi „Tygodnika illustrowanego" i „Wieku" dwie wiadomości z Paryża; jedna z nich zapowiedziała uchwałę komisyi wystawowéj, według któréj niezależnie od udziału nauki, sztuki i przemysłu polskiego w rosyjskiéj i austryjackiéj galeryi, przeznaczone zostało oddzielne miejsce dla etnografii i antropologii naszéj. Skutkiem różnych okoliczności uchwała ta dopiéro teraz zapadła, jak gdyby komisya wystawy powszechnéj dopiéro przed samém otwarciem przypomniała sobie, że Polacy, jak inne ludy, mają równie swe etnograficzne i antropologiczne cechy, które na osobne miejsce w pałacu wystawy zasługują.

Być może, iż pod tym względem Francuzi o nas, jako o „Francuzach północy", mają tak dobre wyobrażenie, iż im się dostateczném wydawało zapukać choćby o spóźnionéj porze do naszych muzeów, gabinetów i zbiorów, aby te w każdéj chwili odpowiedziéć mogły gotowym rezultatem na ich żądanie; ale niestety tak nie jest. Przyznajmy się w pokorze ducha, iż podobne wezwanie, nawet ze

znacznie odleglejszym terminem, sprawiłoby nam niemało ambarasu, a cóż dopiéro dzisiaj, kiedy wymagają od nas w przeciągu miesiąca, zebrania kolekcyi ubiorów ludowych z rozmaitych stron kraju, bądź w naturze, bądź w fotografiach, wyrobów włościańskich o ile te przedstawiają stopień rozwoju przemysłowego pewnéj okolicy, instrumentów muzycznych, z oznaczeniem ceny, z wymienieniem miejsca wyrobu itp.

Przydałaby się zapewne i chata z całym urządzeniem włościańskiém, co Bogiem a prawdą, lepiéj może. iż wybrednym Francuzom i zachodnim europejczykom pozostanie niewyraźną zagadką, przydałyby się narzędzia rolnicze, a jeśli niewszystko w naturze, to choćby w wiernych kopiach, książkach, rysunkach, modelach przedstawione;—lecz skąd ich wziąć na razie?

Z działu antropologii zaś wymagają głównie włosów mężczyzn i kobiét, gipsowych odlewów twarzy charakterystyczniejszych, statystycznych danych z badań kranioskopii zaczerpniętych, więc objętość czaszki u ludzi pewnego stanu i wieku, kąta twarzy etc. etc. A skądże tu tego wszystkiego dostarczyć?

O potrzebie rozszerzenia i ulepszenia statystyki miejskiéj piszą się dopiéro artykuły po dziennikach, z których kiedyś ma się wyłonić projekt, a z projektami wiadoma sprawa u nas; jeżeli zaś po miastach tak trudno o dokładny pod tym względem materyał, cóż powiedzieć o wsiach i zaściankach. Najlepsze chęci i usiłowania w tak krótkim przeciągu czasu nie potrafią cudem stworzyć, ani dat systematycznie uporządkowanych, ani zbiorów mozolnéj i długoletniéj wymagających pracy i zachodu. Już to pod tym względem Galicya niezawodnie zawstydzi królestwo, bo tam i biuro statystyczne we Lwowie od kilku lat urzędujące i prywatne zbiory hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, muzeów miejskich, a wreszcie prace akademii umiejętności w obu wspomnianych kierunkach, posiadają już pewien nagromadzony materyał, z którego da się utworzyć całość, wcale pokaźna.

U nas zaś w braku gotowych danych, wszelkie odezwy do obywateli ziemskich, do proboszczów, nauczycieli wiejskich, fotografów itp. wielkiego i świetnego rezultatu wydać nie mogą.

Po pierwsze, w naszych warunkach termin jest za krótki do zakrzątnienia się około potrzebnych w tym celu przygotowań, powtóre brakuje nam energicznéj w tym kierunku inicyatywy, a po trzecie ludzi dokładnie obznajomionych z tego rodzaju robotą, na których dokładności polegaćby można.

Przykra to rzecz w danéj chwili odczuwać tak boleśnie pewne braki, wstyd przyznawać się do zacofania w porównaniu z innymi,

ale też i nauka zarazem: jak i do czego nam jeszcze zabrać się potrzeba.

Ma się rozumiéć, że bezczynnie rąk opuszczać nie można, że coś robić koniecznie wypada, aby chociaż przy innych ustawić swoje, a może szczęśliwy przypadek pozwoli jaką lukę zapełnić, albo wyrównać.

Podobnież ma się rzecz z drugą propozycyą, która jeszcze mniéj przedstawia widoków powodzenia.

Pan Wiktor Każyński donosi z Paryża, iż komisya koncertów międzynarodowych pragnie w programie swych popisów pomieścić także kompozycye polskich organistów; w tym celu wielki organ w pałacu wystawy oddany będzie do ich rozporządzenia, albowiem komisyi życzeniem jest: „dać poznać zebranemu na wystawie światu przeważnie oryginalne kompozycye polskie na organ.“ Czas przybycia najpożądańszy około 1 go Czerwca r. b. Bliższych szczegółów udzielać może p. Wiktor Każyński—Rue de Clichy, 15, w Paryżu.

Jakkolwiek na wszelkie uznanie z naszéj strony zasługuje ta ochotna uprzejmość komisyi, wyszczególniającéj nasze *oryginalne kompozycye na organ* i zapraszającéj naszych artystów do popisu w obec „zebranego na wystawie świata,“—prawdziwie jednak my to za ironią wziąćbyśmy mogli.

Żądają od nas jakby umyślnie tego, czego nie mamy,—a co prawdę powiedziawszy, miećbyśmy powinni, bo jeśliśmy się dotychczas nie zdobyli na dokładne wymiary naszych czaszek i kątów twarzy, jeśli od niedawna, idąc za przykładem zagranicy i postępu, zakładamy dopiéro muzea, toć w każdym razie dążymy dopiéro do nowych nabytków,—lecz jeśli to, co od wieków było naszym udziałem, cośmy wykształcić mogli byli, mając po temu wszelkie dane, pozostało dotąd w pieluchach i zacofaniu,—to już smutny objaw naszéj... powiédzmy chyba fatalności.

Niezaprzeczenie w muzyce mamy reprezentantów tak wybitnych, że możnaby się odważyć z nimi wystąpić na estradzie międzynarodowéj nad Sekwaną, ale nieszczęście chciało, że nas właśnie zagabnięto o ten rodzaj muzyki, którego nie posiadamy niestety. Oryginalnych kompozycyj na sam organ brakowało nam zawsze, a w muzyce kościelnéj nie mamy również, w porównaniu z innymi wiele do wyboru. Organiści nasi, z których każdy Boga chwalił, najczęściéj jak umiał, a dodajmy do tego nieuczenie po większéj części, w razie potrzeby posługiwali się przeważnie niemieckiemi kompozycyami, a z polskich kompozytorów żadnemu ani do głowy nie przyszło, że z oryginalnych polskich motywów, dałyby się poplątać również kunsztowne fugi jak Bacha, Brosiga lub innych, zaś z takiego

skarbca melodyi ileż przepięknych, harmonijnie ułożonych możnaby było utworzyć preludyj!

Pominąwszy zresztą i tę okoliczność, że pod względem twórczości polskie organy musiałyby się bardzo skromnie na powszechnéj wystawie odzywać,—zapytujemy skąd wziąć wykonawców? Ktokolwiek miał sposobność podziwiać mistrzowską grę paryskiego organisty w warszawskim kościele ewangelickim, Saint-Saensa—ten na wspomnienie rywalizacyi naszych domorosłych artystów boleśnie uśmiechnąć się musi. Lud nasz nie ma w sobie jeszcze do tego stopnia rozwiniętych instynktów estetycznych, aby zrozumiał a tém samém pożądał lepszéj muzyki kościelnéj; przedęty, piszczący organ na chórze miejskiego kościołka, pod grubemi palcami mistrza naturalisty, zaspakaja dotychczas wymogi piękna wiernych, którzy jedną pieśnią przez całe wieki Boga chwalić umieją.

Na wsi przeto i na prowincyi nie mogła się wykształcić ani muzyka, ani artyści kościelni, a po większych miastach śpiewy chóralne i muzyka orkiestralna zasunęły na drugi plan organ i jego zwolenników.

Jedyny p. Józef Grabowski w *Kur. Warsz.* odważył się publicznie w téj sprawie podnieść głos i bez ogródek wypowiedzieć swoje zdanie w téj kwestyi: „tak niewiele posiadamy własnych utworów, że dziś z bólem serca wyznać trzeba, iż nie dla nas wystawa i popisy, ale praca, abyśmy choć w dalekiéj przyszłości z innymi zrównać się mogli.“

Z bólem serca przewidywać tedy musimy, że na wystawie paryskiéj, pod owemi dwoma względami, palmy nie zdobędziemy; za to przynajmniéj skorzystać powinniśmy z tego i brać naukę na przyszłość, jak o sobie radzić należy; zresztą nie powinno to jeszcze na nas ściągnąć wyroku potępienia, bo znajdują się ludy, więcéj mające pretensyi od nas do cywilizacyi i postępu, a zacofane w wielu ważniejszych względach.

Nierównie za to więcéj powodzenia a i znaczenia dla nas ważniejszego, mieć będzie urządzana przez komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa wystawa czasowa w Październiku, w którą wejść mają: 1) *wyroby z gliny*, jako to: przedmioty zwykłego garncarstwa różnych okolic kraju, wyroby fajansowe i porcelanowe razem z próbami glinek porcelanowych krajowych; 2) *wyroby ze szkla* i okazy surowych materyałów, używanych przez huty szklane w różnych okolicach kraju; 3) *wyroby z drzewa* ręczne przez włościan w okolicach leśnych wyrabiane, przedmioty bednarskie, ciesielskie, stolarskie i wszelkie galanteryjne drzewne. Przyjmowane będą tylko takie wy-

roby, które odznaczać się będą dokładnością roboty, taniością lub nowością pomysłu.

Komitet muzealny nie poraz pierwszy zasługuje podniesieniem dobréj inicyatywy na uznanie, ale sama inicyatywa to wiele, jednak nie wszystko; potrzeba jeszcze dobrego wykonania. Pomysł takiéj specyalnéj wystawy trzech gałęzi przemysłu i rękodzielnictwa może przynieść wiele rzetelnego pożytku, przez zestawienie porównawcze rozmaitych wyrobów, wszelako sądzimy, iż głównie chodzić tu powinno o wykazanie ujemnych i dodatnich stron w wymienionych powyżéj gałęziach produkcyi; wystawa taka powinna nauczyć.

Wszystkie niemal trzy działy dotykają przemysłu ludowego, którego podniesienie stanowi jeden z kardynalnych warunków ekonomicznego rozwoju niższych warstw społecznych. Lud nasz, z wielu względów uparcie konserwatywny, posiada jeden wielki przymiot, właśnie w owym kierunku ekonomicznym najmniéj u nas wyzyskiwany, a mianowicie jego chęć i łatwość nabywania pewnych przemysłowych właściwości.

Tak zwany przemysł ludowy, obejmujący bardzo rozległy obszar produktów, lecz w nader pierwotnych granicach i formach ujęty, potrzebowałby silnego poparcia i zachęty, aby się podnieść z dotychczasowego poziomu. Musimy się pod tym względem znowu odnieść do przykładów, jakie nam sąsiednia Austrya przedstawia; tam od bardzo niedawnego czasu, bo od objęcia teki ministeryalnéj przez p. Ziemiałkowskiego, zwrócono większą uwagę na przemysł ludowy w Galicyi, i gdziekolwiek znalazły się już pewne zawiązki podstaw do rozwoju w silną i zdrową gałąź dobrobytu ekonomicznego, śpieszono z pomocą przez zakładanie szkółek przemysłowych po wsiach, lub przez wysełanie po kraju wędrownych nauczycieli kształconych kosztem Rządu. Ostatnia wystawa lwowska przekonała jakie rezultaty osiągnąć się stąd dadzą w przeciągu lat kilku, koszykarstwo ściejowickie, stolarstwo podkarpackie, garncarstwo, zaczynają już powoli rywalizować z zagranicznemi wyrobami i obiecują wkrótce stanąć z niemi na równi.

U nas, nie mamy wprawdzie pod ręką szczegółowych wykazów statystycznych, pleni się również zaród takich przemysłowych instynktów w ludzie, tu i ówdzie w wyraźniejszych występujący rysach. Pragnąćby należało, aby wystawa w Muzeum przemysłowém mogła nam dać o ile możności dokładne pojęcie o istotnym stanie i rozwoju tych gałęzi przemysłu ludowego, który, zestawiony z wyrobami postępowych naszych fabryk i warsztatów, wykaże je-

dnocześnie o ile pierwszy jest jeszcze zacofany i w jakim szczególniéj kierunku poparcia potrzebować może.

Ma się rozumiéć, iż tak wielkie zadanie nie może przypaść li tylko samemu komitetowi w udziale, który wiele zrobi, jeżeli się tutaj na miejscu wszystkiém należycie zajmie; potrzebuje on poparcia z zewnątrz i to w promieniach jak najdalszych od punktu centralnego wystawy, aby rzeczywiście wszystkie strony kraju były tu reprezentowane. Żądanie to śmiałe, warunki uciążliwe, lecz zważywszy, iż chodzi tu nie o sam popis i o zadowolenie miłości własnéj z jednéj, a prostéj ciekawości z drugiéj strony, lecz o cel dobra ogółu jedynie dotyczący,—żadne ofiary i trudy nie powinny wchodzić w rachubę. Obywatele nasi w poczuciu swych obowiązków przyłożą zapewne najchętniéj pomocną rękę w tym celu i na wezwanie komitetu, które należałoby z większym naciskiem i w wyraźniejszéj formie zaadresować do pewnych wybranych a wpływowych w okolicy osobistości—pośpieszą z energiczném poparciem.

Jednym z najuciążliwszych warunków, zniechęcających do wzięcia udziału w wystawie, jest punkt 7-my ogłoszenia, według którego „*wszelkie koszta przewiezienia i odwiezienia przedmiotów na wystawę do Muzeum, ponosić mają wystawcy*;“ paraliżuje to wiele i odbiéra prawie nadzieję, aby dział ludowy należycie był reprezentowany. Obawiamy się, aby podobnie, jak przy ostatniéj „wystawie pracy kobiet,“ prowincya z tego względu nie tworzyła przerażającéj mniejszości i nie ograniczył się znowu przemysł ludowy do kilku kapeluszy słomkowych i przetykanych rańtuchów.

Powiedzieliśmy już, iż od Komitetu nie można bezwzględnie wymagać wypełnienia całego zadania, że ogół światły i rozumiejący dobrze intencye Komitetu powinien mu przyjść z chętną pomocą, czy to przez ułatwienie stosunków z odleglejszemi punktami przemysłowych źródeł, czy téż głównie w dostarczeniu jak najliczniejszych okazów i w zwerbowaniu wystawców; jest to obowiązek obywatelski, a połączony nietylko z samą korzyścią ogółu, gdyż rezultat wystawy może wyprowadzić na jaw tę lub owę firmę, chowającą się dotąd w skromném zakątku, podać wskazówki samym wystawcom ulepszenia, lub korzystniejszego wyzyskania swojego przemysłu lub materyału w naturze posiadanego.

Nie wątpimy, iż Komitet rozporządzając większemi funduszami potrafiłby własną energią i zachodem złożyć pożądaną całość, ale dzisiaj właśnie te względy finansowe nie pozwalają mu rozwinąć szerszego działania w celach wystawowych, przeto, oprócz dobréj woli i obywatelskiego poparcia, przydałaby się jeszcze i hojna ręka, którąby szczególniéj wesprzéć mogła ubogich wystawców z ludu, u-

łatwiając im przewóz okazów przeznaczonych na warszawską wystawę. Niejeden grosz wpada do zapełnionéj skarbony dla mniéj utylitarnych celów, tutaj mógłby on stać się kapitałem na dobry procent ofiarowanym. Nie wahamy się z takiém wezwaniem wystąpić do zamożnych jednostek społeczeństwa, dla których taki wydatek nie byłby obciążającym, a znakomicie mógłby się przyczynić do zastąpienia subwencyi udzielanéj zazwyczaj Komitetom wystawy dla skuteczniejszego dopięcia celu.

Nie polegając wiele na podobnych przypuszczeniach, nasz Komitet zakrzątnie się zapewne około zawiązania stosunków z prowincyą za pośrednictwem uproszonych agentów i im powierzy ten moralny obowiązek zaszczytnego współpracownictwa w celu przyprowadzenia wystawy do skutku w możebnie rozszerzonych granicach.

Od przemysłu ludowego do oświaty ludowéj bardzo blizko, a że jedno bez drugiego obejść się nie może, korzystamy ze sposobności, aby w téj sprawie zanotować kilka uwag, jakie uważaliśmy za godne głębszéj rozwagi. Jakby na przypomnienie tego bolesnego zarzutu, iż pozwalaliśmy temu ludowi pozostać aż do naszych czasów „ciemną marą,“ dzienniki coraz częściéj przynoszą wiadomości o wyjątkowych w niéj przebłyskach inteligencyi, charakteru i społecznych dążeń, pozbawionych niestety należytego poparcia i kierownictwa.

Szczególniéj z ponad Wisły przypływają ciągle pocieszające wiadomości o garnieniu się włościan ku oświacie i moralności. Krzewienie téj ostatniéj jest rzeczą kościoła i dworu, nad pierwszą cały inteligentniejszy ogół czuwać i pracować powinien. Zakładanie szkółek nie zaradza jeszcze we wszystkiém głównéj potrzebie; nader trafne podnosiły się głosy w kwestyi wychowywania i kształcenia ludu przez nauczycieli z jego łona wyprowadzonych; swój swego najlepiéj zrozumié, lecz i tu przedstawiały się liczne trudności, już dla tego samego, iż kwestya kompetencyi nauczycielskiéj i wpływów wiązała się ściśle z indywidualnością nauczyciela.

O samych szkółkach zaś możnaby długi traktat napisać, choćby ze stanowiska przeciwnego dzisiejszemu systemowi szkółek mięszanych, w których dzieci włościańskie nie odnoszą należytego pożytku, już przez sam niestosowny rozkład kursu nauk przypadających w porę zbiorów, gdy dzieci wiejskie mają tysiączne zajęcia w polu, a przez to opuszczają lekcye i systematycznie nie mogą postępować w nauce. Do czasu jeszcze, rozdział miejskich i wiejskich szkółek wydaje się koniecznym.

Tymczasem zaś powstaje kwestya oświaty pomiędzy starszymi wiekiem w miejscowościach, gdzie niczyja łaska ziarna nauki nie siała, a mimo to, ona Bóg wié zkąd, jakim dobrym duchem podszepnięta, odezwała się w ludzie,—należy wydawnictwami poczciwéj i zdrowéj treści wspiérać ją i rozkrzewiać. Wiemy, iż przy szkole elementarnéj w Gołębiu, zaprowadzone zostały wykłady wieczorne dla starszych; kilkunastu gospodarzy rolnych stale na wykłady te uczęszcza, które trwają codziennie, z wyłączeniem świąt do godziny 11-éj wieczorem; chodzi tylko o stosowne książeczki do czytania. Znakomitéj metody elementarze Promyka nie tak łatwo rozchodzą się pomiędzy ludem, jakby sobie tego życzyć należało, a to z powodu nie urządzenia kolporteryi po wsiach. *W Gazecie lubelskiéj* znajdujemy projekt powierzenia jéj nauczycielom szkół początkowych za odstąpieniem pewnego procentu; pomysł praktyczny, jeśli mu tylko nic nie stoi na przeszkodzie, a taki sposób rozpowszechniania książek ludowych musiałby mieć powodzenie.

Nasuwa się téż pytanie, co począć z tém najmłodszém pokoleniem, które wzrasta wśród warunków nieprzychylnych, w stronach oddalonych od ognisk oświaty, które niejako z tradycyi i przeznaczenia swego musi rosnąć na niczyjéj opiece, na Bożéj Łasce, pozbawione tych wysoce humanitarnych wpływów, jakie daje nauka i dobry, zachęcający przykład?

Zanim i tam dosięgnie ożywczy promień światła, powinny go zastąpić zacne obywatelskie cnoty naszych ziemian, pamiętnych o ideale stosunku dwóch warstw między chatą i dworem rozpostartych. Gołosłowne w tym względzie teorye nie robią już wrażenia, bośmy się swego czasu zanadto znieczulili frazeologią na ten temat; sięgnijmy do przykładów, które powinny być najwymowniejszym w tym przedmiocie argumentem.

Litując się losu biédnych dzieci włościańskich, szczególniéj podczas żniw, hr. Krasińska założyła dla nich w Lekowie, w ordynacyi opino-górskiéj (pow. Ciechanowski) ochronkę, doniosłość tego faktu pod względem moralnym nie potrzebuje komentarzy. Niechaj w każdéj dziesiątéj wsi znajdzie się taka dobrodziéjka dla dzieci włościańskich, niechaj dwór nie unika zetknięcia się z ludem, ale względem niego choćby z niejakiém poświęceniem początkowo wypełnia dawniéj zaniedbywane obowiązki, wynagradzając przynajmniéj dzieciom szkody ojców, a obaczymy, iż stan umysłowy i moralny naszego ludu, jeśli się nie podniesie, to przynajmniéj usposobi jak należy do przyszłego zasiewu oświaty.

Powiedzieliśmy wyraźnie, iż początkowo sprawa oświaty i zaopiekowania się ludem wymaga pewnego poświęcenia się ze strony na-

szego obywatelstwa; niekiedy to poświęcenie się może być ciężarem skutkiem pewnych okoliczności, ale sarkać na nie i zrażać się, dla miłości własnéj lub własnego interesu, poświęcać sprawę ogółu, to nie po obywatelsku, nie po polsku przedewszystkiém.

Przyznając ludowi, co mu się należy, nie możemy też optymistycznie hołdować mu we wszystkiém, a więc podnieść tu także potrzeba wadę jego charakteru, którą wszelako również wytłómaczyćby się dało; oto lud sam, pomimo widocznéj chęci do oświaty, chciałby ją czerpać, lecz jak wodę ze zdroju, darmo, bez wszelkich materyalnych ze swéj strony poświęceń. Kiedy tylko potrzeba opłacić naukę, wieśniak nasz skrobie się w głowę, ociąga, namyśla, rozumuje i przychodzi do wniosku, że „kiedy tatuś nie płacili na szkołę,“ to i syn płacić nie powinien. Zarzutu mu z tego bezwzględnie robić nie można, że nie rozumié jeszcze wartości nauki, choć jéj potrzebę odczuwa.

Ztąd też od czasu do czasu podnoszą się głosy obywatelstwa, które, zkądinąd uginając się pod ciężarem swych interesów, obrusza się na każdy nowy dorzucony gwichcik, choćby nim nawet okupić miano.... oświatę ludową. Bywało dotąd, że według Najwyższego Rozporządzenia z dnia 19 Lutego (2 Marca) r. 1864 o urządzeniu gmin wiejskich, szkółki wiejskie utrzymywały się kosztem gromady; dwory uwolnione były od składek.

Te wyłączne ciężary dokuczały włościanom, apelowali też w niektórych powiatach, jak np. w Lipnowskim, do wyższéj władzy o rozłożenie opłaty szkolnéj na folwarki, aby i właściciele większych majętności razem z nimi ponosili koszta oświaty. Apelacya nie odniosła pomyślnego skutku, lecz *est modus in rebus*, a chłopski rozum niejednokrotnie dawał tego dowody; zebrania gminne, nie mogąc zmienić prawa, potrafiły je obejść, zamieniając szkółki *wiejskie* na *gminne*, które przez wszystkich bez wyjątku właścicieli gruntów utrzymywane być winny.

W jedném z pism prowincyonalnych znajdujemy właśnie skargę na takową zamianę, obciążającą grunta folwarczne, zakończoną temi słowy: „takim to sposobem podciągnięto i dwory do utrzymywania b. szkółek wiejskich, które już obecnie istnieć przestały; a że zaś do wszystkich bez wyjątku podatków gminnych przyjęto tu zasadę „z morga,“ zatém wyłącznie na dworach ciąży teraz utrzymanie szkółek, gdyż podług mego obliczenia płacimy $^7/_8$, kiedy włościanie płacą tylko $^1/_8$ część należnéj składki. Podobna ta manipulacya nietylko w naszéj gminie (Mazowsze), ale i w innych naszego powiatu przeprowadzoną została.“

Jakkolwiek nietrudno wejść w położenie obywatela ziemskiego, który aż do publicznych pism uciekać się musi, aby wynurzyć swą skargę na tego rodzaju *manipulacye gminy*, to przecięż widzi nam się, że właściwiéjby było zająć się zmianą Ustawy, dogodniejszém rozłożeniem ciężarów przez porozumienie się z gminą lub wreszcie obroną swego prawa na właściwéj drodze, niżli rozwodzeniem żalu, w gazetach, które nie ulży, a tylko echem zniechęcenia u innych odezwać się może.

Korespondent, rozwodząc się daléj nad nieproporcyonalnym rozkładem ciężarów na utrzymanie sądów przeznaczonych, wykazuje na cyfrach, w jaki sposób tylko jedna ziemia jest u nas opodatkowaną, i to przeważnie ziemia większych obszarów, służebnościami już i tak mocno obciążana. W jednéj bowiem kategoryi postawiono tu ziemię ogrodową osad włościańskich z ziemią polewą większych majętności, pomiędzy któremi zachodzi różnica ogromna; kiedy bowiem za mórg nowopolski 300 prętowy pierwszéj płacą rs. 200 i więcéj, za mórg drugiéj, najwyższa jaką osiągnąć można cena jest 100 rs. W obec takich przeciążających warunków, zdaniem korespondenta, nic dziwnego, iż obywatele pozbywają się kłopotliwego gospodarstwa i starają się żyć spokojnie z procentu jako kapitaliści, gdyż w dzisiejszym stanie rzeczy „porzucenie pługa dla nożyc kapitalisty strzygących kupony staje się pokusą coraz silniejszą; a jednak pomimo, że wszystko złe się składa, aby złamać nasz opór w walce przeciw téj pokusie, należy ją pokonywać do końca, z tysiąca ważnych powodów i przez *święty obowiązek.*“

Podkreślamy umyślnie te dwa ostatnie wyrazy, w których mieścić się powinna cała odpowiedź i cała pociecha narzekającym na brzemię, jakie dźwigać powinni wytrwale właśnie w imię tego obowiązku!

Pomimo nawoływań i zaklęć, jeżeli nie pokusy, to smutna konieczność i ogólny zastój wszelkich interesów, coraz częściéj popychają ziemiaństwo nasze do dobrowolnego wywłaszczania się z ziemi; coraz częściéj dochodzą nas wieści, że te lub owe dobra przeszły w obce ręce za bezcen, lecz o ile nad tém ubolewać trzeba, o tyle dziwić się nie można, zbadawszy dokładnie dzisiejsze ekonomiczne stosunki naszego kraju.

Zanim czas, kredyt i przywrócona równowaga handlowo-przemysłowych warunków sprowadzą pomyślniejsze zmiany, należałoby energiczniéj zająć się zbadaniem owych licznych projektów drobniejszéj eksploatacyi bogactwa krajowego. Na wnioskach nam nie zbywa; ostatniemi czasy szczególniejszą uwagę zwrócono ku gospodar-

stwu wiejskiemu, wskazując w niém niewyczerpane źródło dochodów zapoznawanych oddawna.

Począwszy od p. Popiela, który w osobnéj broszurze pouczał nas o korzyściach, jakie odnieśćby można z chowu zwyczajnych królików, aż do ostatnich projektów rybołóstwa w Drwęcy i przyrządzania minogów, dałby się ułożyć cały szereg mniéj lub więcéj praktycznych wskazówek dla drobnego przemysłu gospodarskiego, który swoje główne punkta zbytu powinien znaléść w tak usilnie zalecanych sklepach gospodyń wiejskich i towarzystwach spożywczych, jak *Merkury* w Warszawie, albo *Zgoda* w Płocku. Największa biéda z tém, że o praktyczności wszystkich tych pomysłów, wzbogacających w teoryi, mało kto własném doświadczeniem chciał się u nas przekonać, a ztąd trudno orzeknąć o ile dałyby się rzeczywiście podnieść dochody naszego drobnego gospodarstwa. Wszelką zachętę opiérano dotychczas na przykładach zagranicy, zadziwiających, ale nieudowadniających swéj praktyczności na naszym gruncie, a wiadoma rzecz, że u nas tylko przykład z za ściany, od sąsiada działać potrafi.

Mitelstedt i inni ekonomiści utrzymywali, iż ziarno główną stanowić winno podstawę większych gospodarstw, rozdrobnienie roli musi zaś wpłynąć koniecznie na podniesienie innego przemysłu gopodarskiego i szukać rekompensaty w dziale owocowym, warzywnym i spożytkowaniu korzystném nabiału. Otóż na utyskiwania drobniejszych posiadaczy ziemi, najłatwiejsza odpowiedź w powyższém zdaniu: „podnieście sady i ogrody, gospodarstwo mleczne, zwróćcie więcéj uwagi na chów drobiu, słowem, zwróćcie się do tego najważniejszego czynnika ekonomicznego na wsi, do gospodarstwa kobiécego, a dobrobyt może stanąć zapewniony na długie lata.“ Ś. p. Józef Zieliński (Izzet-bey), człowiek praktyczny, który się dużo po świecie napatrzył, przed kilkoma tygodniami z takąż radą wystąpił publicznie: między różnemi sposobami wyzyskania największego dochodu najmniejszym nakładem z drobnych posiadłości ziemskich, proponuje spotęgowanie produkcyi owocowéj, warzywnéj i nabiałowéj po wsiach.

Rada praktyczna, tylko doradzca wspiéra ją argumentami dosyć iluzorycznemi, namawiając do wprowadzenia a raczéj wznowienia wetów czyli deseru przy stole, przez co zapotrzebowanie rozmaitych produktów drobnego gospodarstwa wiejskiego wzmoże się, a tém samém przyczyni się do rozwoju tych zaniedbanych gałęzi przemysłu. Podobne półśrodeczki, pomimo pozorów racyonalności, nie mogą być na seryo traktowane, gdyż mogą one być raczéj wynikiem, ale nie przyczyną pewnych zmian ekonomicznych, za czém wszakże nie

idzie, aby zasada Mitelstedta nie mogła u nas w praktyce znaléść poważniejszego poparcia. Już samo utworzenie konkurencyi z zagranicą, nasełającą do naszych handlów produkta gospodarskie z bajecznym niekiedy zyskiem, stanowić może niezmiernie ważny czynnik powodzenia i rozwoju.

O wspominanych tyle razy sklepach gospodyń wiejskich w rodzaju komisowych składów, niepodobna dotychczas wydać ostatecznego sądu. Na prowincyi dotąd, o ile wiemy, w Lublinie, podobny sklep założonym został, a z jego powodzenia nie można sądzić o praktyczności innych; obaczymy zresztą wkrótce tu na miejscu rezultaty tego zalecanego przedsiębierstwa, skoro powstanie pierwszy taki sklep staraniem redakcyi „Gospodyni wiejskiéj“ założony, który ma być pierwszym wzorowym eksperymentem tego rodzaju.

Kwestya zdrowych i pożywnych pokarmów nietylko w konkurencyi handlowéj stanowi czynnik nader ważny. Nauka poddała je badaniom specyalnym dla wynalezienia rzeczywistéj ich wartości i wykazała różnicę ceny, jaką materyały spożywcze mają właśnie ze względu na swą pożywność. König w *Zeitschrift für Biologie*, przyjąwszy normalne ceny głównych części składowych, zawartych w naszych pokarmach, jako to: białka, tłuszczu i materyi wyciągowych, dochodzi do przekonania, że w gastronomii zasada: „gust zmienia wartość“—jest równie panująca jak w innych sferach.

Niemiecki biolog, rozebrawszy po szczególe rozmaite gatunki mięsa co do ich rzeczywistéj i targowéj wartości, uważa wieprzowinę za zbytek dla ludzi ubogich, polędwicę—za przepłacaną dla smaku, zwierzynę zalicza do nader zbytkowych pokarmów, zaś do oszczędnych zalicza śledzia, którego wartość rzeczywista jest wyższą od wartości rzeczywistéj najlepszéj wołowiny. Uboga klasa żydowska żywi się przeto racyonalniéj, aniżeli uboga klasa chrześcian, zajadająca suchą kiełbasę. Jaja i masło zalicza König do zbytków, gdyż ich cena targowa jest prawie dwa razy wyższą od ich rzeczywistéj wartości, za to sér a szczególniéj mléko należą do najtańszych pokarmów. Z pomiędzy pokarmów roślinnych tanieni nazywa mąkę żytnią razową, chléb razowy, groch, zaś niesłychanie małą wartość rzeczywistą w porównaniu z ceną targową mają jarzyny, jak marchew a szczególniéj kalafiory. Do najzbytkowniejszych zalicza autor czekoladę, która chociaż dorównywa mléku pod względem pożywności, to z uwagi, iż ma 6 razy większą cenę targową od rzeczywistéj, do téj kategoryi zaliczoną być musi.

Jeżeli tedy do powyższych badań Königa dodamy niesumienne zafałszowania materyałów spożywczych przez przekupniów, to do-

piéro obaczymy, jak wielką szkodę ponosi ogół materyalnie i hygienicznie. Na posiedzeniu lutowém Tow. lekarskiego dr. Weinberg odczytał rozprawę na ten temat, traktującą o kontrolowaniu rzeczonych materyałów w innych krajach i u nas. Wiadoma rzecz powszechnie, jak trudno na naszych targach o zdrowe, czyste i niezaprawiane niczém artykuły spożywcze, jak wygórowane wreszcie ceny służyć mogą i to niezawsze, za jedyną rękojmią niezafałszowania; o ile w tém winy spada na niesumiennych przekupniów, o tyle też sama publiczność przyczynia się do takiego stanu rzeczy, poszukując tylko *taniości* i nią się łakomiąc. Przysłowie o „taniém mięsie“ od wieków przechowało swą racyonalność, dzisiaj możnaby je niemal każdym artykułem żywności zastąpić. Fałszowanie stało się tedy *malum necesarium*, które ogół dla miłego grosza oszczędności pozornéj pobłażliwie toleruje i zjada masło podrabiane, mléko rozpuszczane wodą, ryby uśnięte od dawna,—jednakże tak być nie powinno. Państwo nie potrzebuje Mitrydatów i nie może od swych obywateli, posiadających tylko ludzki organizm, wymagać strusich żołądków, dlatego też wszędzie, gdziekolwiek dobro publiczne stoi na pierwszym planie, ustanowiono osobne komisye kontrolujące, utrzymywane albo kosztem Rządu jak we Francyi, Niemczech, Austryi i u nas,— albo kosztem gminy, jak w Anglii, Belgii i Holandyi.

U nas w Warszawie, kontrola na targach ciąży na trzech osobach; biegłym jest komisarz miejski, jego pomocnikiem—lekarz miejski a reprezentantem władzy wykonawczéj—komisarz policyi.

Od r. 1870 zaprowadzono u nas instytucyą komisarzy targowych; miasto podzielono na okręg wschodni i zachodni i téj urzędowéj trójcy poruczono rewizyą produktów spożywczych, konfiskatę zafałszowanych i ściganie przestępców; środkami badania: węch, smak i wzrok. Wchodząc w położenie komisarza targowego, władza zaleciła każdemu z nich nabyć *na własny rachunek* przyrząd Rakowicza, w Petersburgu używany do wykrywania fałszerstw, gdyby wspomniane trzy zmysły i doświadczenie nie miały się okazać dostatecznemi środkami.

Uwzględniwszy, iż przy lichém uposażeniu komisarzy targowych, a jeszcze lichszém wynagrodzeniu lekarzy miejskich, a przeciążeniu obowiązkami asesora farmacyi przy urzędzie lekarskim, mającego badać czystość wiktuałów spożywczych,—niepodobna wymagać, aby owa kontrola była wzorową; a przecież wykazy od r. 1873 dowodzą, że pomimo wszelkich niedostatków zdołano wykryć około 385 centnarów ryb nieświeżych, 5.145 funt. mięsa, 1.419 funt. wędlin, 4.186 chléba itp.

Dr. Weinberg, któremu pod tym względem słuszne uznanie się należy za podniesienie téj kwestyi żywotnéj, wyraża w końcu zdanie, że publiczność oświecana zdrowemi radami prasy peryodycznéj powinna sobie sama radzić, podobnie jak się to dzieje w Niemczech, albo we Francyi, gdzie się potworzyły Towarzystwa prywatne, które, dbając same o swoje bezpieczeństwo, utrzymują rewizorów i kupują u tych tylko kupców, którzy swój towar ich ścisłéj rewizyi poddają.

Mogłoby się i u nas znaléść grono specyalistów, którzyby się zajęli prywatném badaniem produktów targowych i sklepowych i wyniki tych badań ogłaszali publicznie; byłby to niejako pręgierz publiczny dla niesumienności przekupniów, a wystawienie takiego pręgierza nie ubliżałoby nikomu ze specyalistów, bo byłby to jedyny rodzaj niehańbiącéj denuncyacyi, zresztą sam pomysł jest zgodny z prawem, pozwalającém czuwać nad własném i współobywateli bezpieczeństwem zdrowia i życia.

Jeśli słowa p. Weinberga nie przebrzmią bez echa, zyskamy jednę pożyteczną instytucyą więcéj *pro publico bono*, a jeden projekt mniéj pozostanie nam do zrealizowania; w przeciwnym razie przybędzie do szeregu dowodów jeszcze jeden nowy, iż pomysły u nas ptakiem lecą, lecz wykonanie żółwiem postępuje.

Nie chcąc zakończać naszéj kroniki tak pesymistycznem zdaniem, poświęcimy jeszcze słów kilka nader ważnéj, prawdziwie obywatelskiéj myśli, która w jesieni r. b. ma się ucieleśnić na polu poważnego wydawnictwa naszego. Mówimy tu o *Encyklopedyi Wychowawczéj*.

Potrzeba dzieła wyczerpującego ten przedmiot ze wszech miar żywotny dla każdego społeczeństwa, a tém bardziéj naszego, uczuwać się dawała od dawna, skoro po pracach komisyj edukacyjnych zabrakło nam gruntownych, wymogom i pojęciom czasu odpowiadających podręczników pedagogicznych.

Przed laty 20-u grono literatów w Wilnie, złożone głównie z profesorów instytutu i gimnazyum, miało już zamiar opracowania podobnego dzieła. Rumbowicz, Starczewski, Przybylski, Tamulewicz, Korotyński, Filipowicz i kilku innych chciało się tém zająć, rozdzieliwszy pomiędzy siebie całą pracę, lecz kwestya funduszów stanęła rojektowi i dobrym chęciom na przeszkodzie. Przed kilku laty ten sam omysł nawet usiłowaniami kilku profesorów i literatów warszawskich poparty, spełznął na niczém; dopiéro teraz na inicyatywę ks. J. T. Lubomirskiego, przy współudziale pp. Edmunda Stawiskiego i Stanisława Przystańskiego, redaktorów i wydawców znakomitéj *Ecyklopedyi Rolnictwa*, zabrano się ponownie i, ufać można, skutecz-

nie do owego wydawnictwa, wymagającego znacznego nakładu i ogromnéj a poczciwéj pracy.

Encyklcpedya wychowawcza objąć ma wszelkie wskazówki i gałęzie wiadomości, potrzebnych do kształcenia umysłu; wychodzić będzie zeszytami, w trzechmiesięcznych odstępach czasu, tak, iżby całe wydawnictwo w przeciągu dwóch lat, począwszy od 1 Listopada r. b. ukończone zostało; cena ma być jak najprzystępniejszą, aby rozpowszechnienie *Encyklopedyi* ułatwić ile możności.

Tryumwirat wydawniczy i redakcyjny, zamierzający to kosztowne i mozolne przedsięwzięcie doprowadzić do skutku i nadać mu właściwy kierunek, w ogłoszonym obecnie programie zaprosił wszystkich pedagogów do udziału we wspólnéj pracy, zastrzegając sobie prawo wyboru pomiędzy artykułami, jakieby nadesłane być mogły, oraz podciągania ich pod ogólnie dla encyklopedyi przyjęte zasady, za porozumieniem się wszakże z autorami, o ile możność a zwłaszcza czas na to pozwoli. Dołączony do zaproszenia alfabetyczny wykaz artykułów, mających się złożyć na *Encyklopedyą*, zapowiada, iż praca stosownie do rozmiaru i charakteru swego będzie wyczerpującą, wszelako zdaje się nam, iż pierwotny ten szkic wymaga jeszcze niejakiego dopełnienia i przejrzenia.

Nader pożądanym pomocnikiem wydawnictwa może być także rozpoczęta w Styczniu r. b. godna uwagi publikacya francuska, podjęta nakładem księgarni Hachette et Comp. w Paryżu. Tytuł téj publikacyi, któréj główną redakcyą objął p. F. Buisson, b. inspektor szkół, jest: *Dictionnaire de Pedagogue et d'instruction primaire*; ma to być przewodnik teoretyczno-praktyczny dla wszystkich, co w jakimbądź stopniu i pod jakąbądź nazwą wychowaniem młodzieży się zajmują.

Lista współpracowników, których około *150* zajmuje się opracowaniem tego pomnikowego dzieła, zawiéra najznakomitsze nazwiska współczesnych uczonych francuskich.

Dykcyonarz osnuty będzie na najobszerniejszą skalę, bo oprócz głównego przeznaczenia dla pedagogów francuskich, będzie téż mi: swoję uniwersalną wartość przez zestawienie porównawcze wszys-kich działów pedagogiki innych krajów.

W szeregu pism peryodycznych stanie wkrótce, bo od dia 1-go Maja r. b. nowy kolega, mający na celu mówić zrozumile dla całéj Europy, więc po francusku o rzeczach sławiańskich.

Nazywać się będzie *Revue slave*, obejmować sześć tomów ocznie in 8-o, wychodzić każdego 1-go i 15-go w zeszytach 7—8 arkuszowych. Redaktor p. A. de Fontain w liście otwartym zawiadamia, iż „pismo jego nie będzie pismem politycznćm, tylko tłma-

czem wszystkiego, co się przyczynić może do poznania ruchu umysłowego krajów (chyba ludów?) sławiańskich na polu literatury, wiedzy i sztuk pięknych.“ *Revue slave* zawiérać będzie następujące działy:

1) *Literatura*, biografie pisarzy, poetów, romansopisarzy i historyków starożytnych i współczesnych; krytykę i sprawozdanie z ich prac, zarówno jak tłómaczenia takowych w całości lub częściowo.

2) *Umiejętność*, Sprawozdania z posiedzeń i obrad wszystkich towarzystw uczonych, artykuły treści specyalnéj z całego obszaru nauki.

3) *Sztuki piękne*, Opisy dzieł sztuki, znajdujących się w muzeach i galeryach, zabytków i pomników historycznych; artykuły traktujące zarówno o malarstwie jak i o rzeźbie, architekturze, bibliografii, numizmatyce etc.

4) *Korespondencye*.

5) *Rysunki*, portrety uczonych, literatów i artystów, użyteczne reprodukcye dzieł sztuki, zabytków starożytności i t. p.

6) *Ogłoszenia* odpowiednie charakterowi pisma.

Wyłączając politykę ze swego programu, Redakcya otwiéra tomy swego pisma pracom wszystkich uczonych i literatów sławiańskich bez wyjątku i zapewnia w ten sposób swym prenumeratorom udział i współpracownictwo w piśmie inteligencyi całego tak licznego szczepu.

Wydawcą podpisuje się na programie p. A. v. Spitzberth. Cena pisma w kraju rs. 16 rocznie, zagranicą 60 fr., 30 guldenów, lub 50 marek.

Redakcya wzywa osoby, zajmujące się przedmiotami w prospekcie wyliczonemi do współpracownictwa, jako téż tłomaczów, którzyby za odpowiedniém wynagrodzeniem podjęli się przekładu artykułów z języków sławiańskich na język francuski.

Czém będą i w jakiéj formie przedstawią się te nowe usiłowania wydawnicze? *Vederemo*.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

TOWARZYSTWO LEKARSKIE
WARSZAWSKIE.

W końcu roku zeszłego społeczeństwo polskie poniosło dotkliwą stratę przez śmierć profesora kliniki chirurgicznéj uniwersytetu Cesarskiego w Warszawie doktora Polikarpa Girsztowta, ugodzonego zbrodniczą ręką.

Towarzystwo Lekarskie Warszawskie, którego profesor Girsztowt był czynnym członkiem, oceniając położone przez zmarłego znakomite zasługi tak na polu ojczystego piśmiennictwa, pedagogii, jak i praktyki lekarskiéj, postanowiło uczcić i utrwalić pamięć zmarłego, przez utworzenie przy uniwersytecie warszawskim stypendyum imienia Polikarpa Girsztowta. W tym celu Warszawskie Towarzystwo Lekarskie udało się z prośbą do JW. Warszawskiego Jenerał-Gubernatora Hr. Kotzebuego, który pod dniem 16 (28) Stycznia r. 1878 za Nr. 518, upoważnić raczył Warszawskie Towarzystwo Lekarskie i gubernialne urzędy lekarskie, do zbiérania potrzebnych funduszów na utworzenie odpowiedniego kapitału, z którego procentów powstałoby zamierzone stypendyum, corocznie jednemu ze słuchaczów medycyny dawać się mające.

Towarzystwo Lekarskie ma niepłonną nadzieję, że wezwanie niniejsze, zmierzające do oddania hołdu i czci, za wcześnie i tak niespodziewanie wyrwanemu z pośród nas krzewicielowi oświaty, znajdzie życzliwe, prędkie i skuteczne poparcie nietylko między lekarzami, ale i między ukształconą publicznością kraju, który w ciągu prawie 20-tu lat miał sposobność ś. p. Girsztowta poznać jako dzielnego mówcę, niepospolitego pisarza i doświadczonego a biegłego operatora chirurga.

Towarzystwo Lekarskie ma przekonanie, że ci, którym sława i pamięć mężów znakomitych nie jest obojętną, nie dadzą się wyprzedzić w uwiciu laurowego wieńca, jaki na skronie męczennika oświaty włożyć nam nakazuje uczucie sprawiedliwości. Tak więc, z chwilą ogłoszenia niniejszéj odezwy, o któréj powtórzenie we wszystkich czasopismach Towarzystwo najuprzejmiéj uprasza szanownych panów redaktorów, dobrowolne ofiary przyjmują się w Warszawie w biurze Towarzystwa Lekarskiego, przy ulicy Niecałéj Nr. 7, codziennie w godzinach od 4—6 po południu, na ręce sekretarza kancelaryi Towarzystwa p. Jankowskiego za kwitami sznurowemi; na prowincyi zaś—w biurach pp. inspektorów lekarskich właściwych gubernij. W miarę nadsyłania ofiar, Towarzystwo od czasu do czasu liczbę wpływów i listę ofiarodawców ogłaszać będzie w pismach publicznych.

w Warszawie d. 5 Lutego 1878 r.

Prezes Towarzystwa, Dr. **Hoyer**.
Sekretarz stały, Dr. **Szokalski**.

Konkurs dramatyczny

z zapisu

ś. p. Norberta Bredkrajcza.

Z funduszu przeznaczonego na konkurs dramatyczny poznański, rozstrzygnięty w Czerwcu roku 1877, pozostało 900 marek, ponieważ przyznano jednę tylko pieniężną i to najniższą nagrodę. Z tego powodu komisya konkursowa wynurzyła życzenie, aby sumę tę przeznaczono na nowy konkurs, którego przedmiotem byłaby komedya obyczajowa o dążności moralnéj, wytykająca śmieszności lub wady obecnych czasów.

W myśl tego polecenia ogłaszamy konkurs na komedyą wierszem, lub prozą, odpowiadającą powyższemu życzeniu, najmniéj w 3 aktach, zdolną cały wieczór wypełnić.

Komedya taka, uznana za bezwzględnie dobrą, otrzyma pełną nagrodę, to jest 900 marek.

W braku bezwzględnie dobrego utworu komisya konkursowa podzieli powyższą sumę między inne sztuki, jeżeli te w przeważnéj mierze odpowiadać będą wyłuszczonym warunkom, to jest między najlepsze i wedle ich wartości. W żadnym razie nagroda nie będzie niższą od 300 marek.

Sztukom kwalifikującym się do pieniężnéj nagrody ta ostatecznie przyznaną nie będzie, aż dopiéro po przedstawieniu w teatrze poznańskim, to jest skoro się komisya przekona, że sztuka równie dobrze wydaje się na scenie jak przy czytaniu i że pozyskała przychylny sąd znawców.

Sztuki, nieuwzględniające żądanych warunków, scenicznym nieodpowiadające wymaganiom i zaletom, ale odznaczające się trafnym pomysłem lub charakterystyką osób, lub wzorowym stylem i udatném opracowaniem, otrzymają pochwałę.

Tłómaczone z obcych języków, albo już grane lub drukowane, albo takie, co się ubiegały o nagrodę gdziekolwiekindziéj, nie będą przyjętemi.

Komisyą konkursową składać będą pp.:

Dr. Rymarkiewicz,
Stanisław Motty,
Józef Kościelski,
Władysław Bentkowski,

Marceli Motty,
A. hr. Sołtan,
B. Studniarski,
Dz. Cybichowski,
J. K. Żupański,
Stanisław Koźmian,
Dr. W. Łebiński,
Hieronim Feldmanowski.

W miarę ilości nadesłanych utworów powyższa komisya będzie upoważnioną do przybrania sobie nowych członków, a według liczby członków oznaczy komplet konieczny do prawomocnych uchwał.

Utwór uwieńczony pieniężną nagrodą autor zezwoli, oprócz pierwszéj próby, trzy razy odegrać miejscowemu teatrowi bez żądania honorarium. Zresztą zostanie jego praca tak co do ogłoszenia drukiem, jak co do oddania na inną scenę zupełną jego własnością.

Sztuki winny być nadesłane franco przed 1 Października r. 1879 do Poznania, pod adresem: Hieronim Feldmanowski, 25 ulica Młyńska.

Przesyłkom winien towarzyszyć list zapieczętowany, zawierający nazwisko i adres autora a opatrzony tą samą dewizą co rękopis. Żadna z sztuk nadesłanych nie może być wycofaną przed rozstrzygnięciem konkursu. Żadna też autorowi zwróconą nie będzie, chyba że się sam po nią osobiście, lub przez upoważnioną osobę zgłosi w przeciągu trzech miesięcy. Inaczéj będzie zniszczoną, lub, jeśli ma jaką wartość, oddaną zbiorom teatru poznańskiego. W każdym razie, listy zapieczętowane spalonemi wprzód zostaną.

Wszystkie pisma nasze, mianowicie literaturze poświęcone, upraszamy o łaskawe powtórzenie niniejszego ogłoszenia.

Poznań, w Grudniu 1877.

Zarząd Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego.

SPROSTOWANIE OMYŁEK.

Stronica	*wiersz*	*zamiast*	*powinno być:*
105	21 od góry	nim	niéj
126	6 od dołu	temi	tymi
„	4 „	które	którzy
131	16 od góry	wystąpi w postaci nowéj, z negacyi przez zastosowanie.	wystąpi z negacyi przez zastosowanie w postaci nowéj.